

STAR WARS

NOCE CORUSCANT

POGROM JEDI

MICHAEL REAVES

Przekład:
Andrzej Syrzycki

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Star Wars: Coruscant Nights I: Jedi Twilight

Data wydania:

2008

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Projekt graficzny okładki:

Wydawnictwo Amber

Ilustracja na okładce:

Glen Orbik

Przekład:

Andrzej Syrzycki

Wydawca:

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 22620 40 13, 22620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

ISBN 978-83-241-3224-9

Wydanie I

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Michaelowi Meadowsowi

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Dal Perhi – lord Czarnego Słońca (mężczyzna)

Darth Vader – Czarny Lord Sithów (mężczyzna)

Den Dhur – były reporter Wiadomości HoloNetu (Sullustanin)

Even Piel – mistrz Jedi (Lannik)

Haninum Tyk Rhinann – osobisty adiutant Dartha Vadera (Elomin)

I-5YQ – protokolarny android

Jax Pavan – rycerz Jedi (mężczyzna)

Kaird – agent Czarnego Słońca (Nedijanin)

Larant Tarak – paladynka Jedi i bojowniczka o wolność (Twi'lekanka)

Nick Rostu – były dyplomowany major armii Republiki, bojownik o wolność (mężczyzna)

Księżę Xizor – agent Czarnego Słońca (Falleen)

*Gdyby androidy umiały myśleć,
żadnego z nas by tu nie było, prawda?*

Obi-Wan Kenobi

Dawno temu, w odległej galaktyce...

Część I

Życie podczas wojny

ROZDZIAŁ 1

Do najniższych poziomów niezbadanych miejskich głębin ekumenopolii Coruscant rzadko docierały promienie słońca. Dla mieszkańców roziskrzonych drapaczy chmur, strzelistych wież i superwieżowców o wysokości nierzadko dwóch kilometrów widok słońca, podobnie jak inne udogodnienia codziennego życia, był czymś oczywistym. Dzięki systemom automatycznej regulacji pogody deszcz nigdy nie padał przed wieczorem, więc można było liczyć na złociste zachody słońca, podobnie jak można było oczekiwać, że z każdym oddechem do płuc wpadnie porcja świeżego powietrza.

Sytuacja pod powierzchnią zajmującego całą planetę miasta, setki pięter pod najwcześniej zasiedlonymi poziomami ogromnych wież, zigguratów czy minaretów, wyglądała jednak zupełnie inaczej. Na najniższych poziomach setki tysięcy istot ludzkich i innych żyło i umierało, czasami w ogóle nie oglądając znanego tylko z legend nieba. Przez wszechobecną szarą warstwę inwersyjną przenikało jedynie blade światło. Do powierzchni planety docierały za to kwaśne deszcze, czasami tak bardzo żrące, że żłobiły w ferrowęglowych fundamentach miniaturowe rynny i kanały. Trudno uwierzyć, że cokolwiek mogłoby przetrwać w równie ponurych warunkach, a jednak nawet tam formy życia – zarówno inteligentnego, jak i nieinteligentnego – zdążyły się dawno przystosować do wiecznego mroku i posępnego środowiska.

Na samym dnie otchłani, w różnobarwnym blasku pulsujących sztucznych światel i znaków, na szczątkach technologicznej cywilizacji wegetowały kamienne roztocza, żerujące w rurach robaki i inne żywiące się odpadami stworzenia. Pośród rumowisk pełzały na oślepie durbetonowe ślimaki. W pobliżu przetworników energii budowały gniazda jastrzębionietoperze, żeby zapewnić ciepło swoim jajom. Obok wysokich na dwa piętra stosów śmieci przemykały i polowały pancerne szczury czy pająkokaraluchy. O przeżycie w środowisku tylko niewiele różniącym się od dżungli tysiąca innych planet walczyły miliony pasożytujących stworzeń, począwszy od jednokomórkowych drobnoustrojów, a skończywszy na istotach obdarzonych wystarczającym poziomem inteligencji, aby żałować, że zostały nią obdarzone. Wyrzucone za burtę galaktyki rozumne istoty, określane przez osobników z wyższych poziomów pogardliwym mianem podrzędnych form życia, wiodły tu żywot nacechowany przemocą i rozpaczą. Ich środowisko było po prostu innym rodzajem dżungli.

A w dżungli, jak to w dżungli, zawsze można się było spodziewać polujących drapieżników.

Even Piel mógł się uważać za szczęściarza. Urodzony w ubogiej rodzinie na planecie Lannik, na której panoszyła się przemoc, jeszcze jako małe dziecko został zabrany przez Jedi, bo wykazywał wrażliwość na oddziaływanie Mocy. Wychowywał się w Świątyni, z daleka od ubóstwa i nieszczęść, których nie mógłby uniknąć na rodzinnej planecie. Wiódł co prawda życie ascetyczne, ale za to spokojne i zorganizowane, i – co najważniejsze – miał świadomość jego sensu. Stał się częścią czegoś większego... istniejącego od setek pokoleń szlachetnego, szanowanego zakonu.

Został rycerzem Jedi.

A dziś był pariasem.

Ci, którzy go znali, szanowali go – i nie bez powodu – za nieugiętość, odwagę i umiejętność walki. Czyż nie pokonał terrorysty z ugrupowania Red Iaro, Myk'chura Zuga, chociaż przypłacił to zwycięstwo utratą oka? Czyż nie ocalał po masakrze podczas bitwy o Geonosis i nie brał udziału w wielu bitwach Wojen Klonów? Nikt nie mógłby mu zarzucić, że kiedykolwiek w życiu unikał walki. Jeżeli tylko miał świetlny miecz i dobry powód do zapalenia jego klingi, nie mógł mu dorównać żaden inny dzielny wojownik na dwóch, czterech czy sześciu nogach. Teraz jednak...

Teraz, pierwszy raz w życiu, chwycił go strach.

Szybko szedł przez różnobarwny tłum, kłębiący się na rynku Zi-Zhinn. Takim eufemistycznym mianem określano czynne non stop hałaśliwe targowisko na siedemnastym poziomie położonego wzdłuż równika sektora 4805, zwanego także sektorem Zi-Kree. Pod taką nazwą znali go mieszkańcy wyższych poziomów, bo tu, na dole, wśród mgły i dymu, nazywano go po prostu Karmazynowym Korytarzem. Wprawdzie większość lokali na niższych poziomach nie cieszyła się dużym zainteresowaniem, ale w niektórych miejscach można było się spodziewać szczególnych kłopotów. Południowe Podziemie, Dzielnica Fabryczna, Roboty, Slumsy Blackpit... te i inne równie miło brzmiące nazwy nie oddawały w pełni ponurej rzeczywistości życia pod warstwą wiecznego smogu, który chronił te miejsca przed wzrokiem mieszkańców wyższych poziomów. Jak na ironię losu jednak tylko w takich miejscach, pośród wszechobecnej desperacji i rozpacz, można było liczyć na odrobinę bezpieczeństwa i prywatności.

Even nie miał pojęcia, ilu Jedi przeżyło zagładę, ale przypuszczał, że niewielu. Rzeź, która zaczęła się jeszcze na Geonosis, przeniosła się później z równą intensywnością na Coruscant i na inne planety w rodzaju Felucji i Kashyyyka. Barissa Offee nie żyła, podobnie jak Luminara Unduli, Mace Windu i Kit Fisto. Myśliwiec Plo Kloona został zestrzelony nad Cato Neimoidią. O ile Even się orientował, był jedynym członkiem Rady, któremu udało się uniknąć masakry w Świątyni.

To wszystko było niepojęte. Wydarzenia następowały błyskawicznie jedno po drugim. W ciągu kilku krótkich dni musiał zrezygnować ze wszystkiego. Wiedział, że już nigdy nie nacieszy wzroku widokiem pięciu iglic Świątyni. Już nigdy nie będzie spacerował ścieżkami ogrodów wśród wonnych kwiatów ani chodził wykładanymi mozaiką korytarzami osobistych kwater. Już nigdy nie spędzi czasu na dyskusjach z uczonymi z Rady Wiedzy Podstawowej, nie zgłębi tajników intergalaktycznej wiedzy w świątynnych archiwach ani nie będzie doskonalił siedmiu stylów walki na świetlne miecze z innymi Jedi.

Nie mógł jednak zrezygnować z posługiwania się Mocą, żeby pomagać innym istotom, bo wyrzeczenie się jej oznaczałoby zaparcie się samego siebie. Z obawy przed wykryciem starał się, na ile to było możliwe, nie korzystać z niej w miejscach publicznych. Bezradnie przyglądał się codziennym okrucieństwom okresu zmiany władzy... był świadkiem chaosu i anarchii towarzyszącym rozwiązaniu Galaktycznego Senatu i przejściu steru rządów przez nowego Imperatora. Zmagał się z bólem, przerażeniem i odrazą, rozpaczliwie starając się zrobić cokolwiek, co by powstrzymało niekończący się koszmar. Był świadkiem, jak na mocy rozkazu sześćdziesiątego szóstego dowódcy oddziałów klonów mordują innych Jedi. Widział pracowników i instruktorów masakrowanych błyskawicami blasterowych strzałów. Najgorsze jednak ze wszystkiego były krzyki i jęki zabijanych dzieci i młodych padawanów.

Postanowił uciec. Tamtej pamiętnej nocy, kiedy szturmowcy patrolowali ulice, a z nieba spadały śmiertelne ciosy, Even Piel i pozostali przy życiu po masakrze – a było ich naprawdę niewiele – po prostu uciekli.

Na razie wciąż żyli.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Even przecinał obszary zalane pulsującym neonowym blaskiem. Posługując się subtelnie Mocą, prześlizgiwał się przez tłumy istot różnych ras – Bothan, Niktów, Twi'leków i ludzi – powodując, że tylko nieliczni go dostrzegali, a i oni niemal natychmiast o tym zapominali. Na razie mógł się czuć bezpieczny, ale nawet Moc nie mogła go chronić wiecznie.

Jego prześladowcy się zbliżali.

Even nie znał ich numerów identyfikacyjnych, ale nawet gdyby je znał, nie miałyby to dla niego najmniejszego znaczenia. Byli szturmowcami, żołnierzami sklonowanymi w ogromnych kadziach w Tipoca City na Kamino i gdzie indziej. Wojownikami, wyhodowanymi do walki ku chwale Republiki. Mieli bez zadawania pytań wykonywać rozkazy swoich dowódców Jedi.

Tak przynajmniej wyglądała sytuacja przed wydaniem rozkazu sześćdziesiątego szóstego.

Wyczuwał szturmowców dzięki Mocy, bo ich wroga aura działała na jego nerwy niczym lodowata woda. Z każdą chwilą się zbliżali. Even oceniał, że dzieli ich od niego odległość niewiele większa niż kilometr.

Skreślił w najbliższą wnękę z drzwiami. Były zamknięte, ale rycerz Jedi wykonał nieznaczny ruch ręką, po którym płyta zaczęła się chować w ścianie. W pewnej chwili

usłyszał piskliwy zgrzyt; to mechanizm się zaciął. Jednak Even dał radę przecisnąć się przez powstałą szczelinę.

Przebiegł przez pomieszczenie, w którym kiedyś, sądząc po jego wyglądzie, raczono się przyprawą. Świadczyły o tym wnęki w ścianach i odlewane „kołyski” dostosowane do kształtów i rozmiarów istot różnych ras, które miały w nich leżeć, podczas gdy ich myśli unosiły się pod sufitem w spowodowanej przez narkotyk nieświadomości. Even ocenił, że od opuszczenia lokalu przez ostatniego klienta upłynęło co najmniej pięćset lat. Mimo to wciąż jeszcze wyczuwał upiorną woń błyszczostymu, który kiedyś zanieczyszczał powietrze i umysły gości.

Zastanawiał się, jakim cudem ścigający go szturmowcy tak szybko go wytropili. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy posługiwał się Mocą bardzo ostrożnie i starał się w miarę możliwości nie rzucać w oczy. Nie łączył się z siecią, a za artykuły żywnościowe i przedmioty pierwszej potrzeby płacił tylko żetonami kredytowymi albo banknotami. Wprawdzie nawet na Coruscant nie widywało się wielu Lanników, ale i tak niesamowite, jak błyskawicznie żołnierze wpadli na jego trop. W ostatecznym rozrachunku to jednak nie miało żadnego znaczenia. Możliwe, że ktoś rozpoznał w nim jednego z członków Rady i doniósł o tym nowym władzom. Liczyło się tylko to, że szturmowcy się zbliżali. Myśleli tylko o jednym... o zabiciu Jedi.

O zabiciu Evena.

Even ukrywał świetlny miecz w wewnętrznej kieszeni kurtki, ale oparł się pokusie wyciągnięcia broni, chociaż dotyk chłodnego metalowego cylindra mógłby mu przynieść ulgę.

To nie była właściwa pora, chociaż wszystko wskazywało na to, że niedługo i tak będzie musiał zrobić z niego użytek. Lannik nie miał wątpliwości, że czeka go rozstrzygająca bitwa, ale nie stoczy jej w miejscu, w którym niewinne istoty mogłyby zginąć od zabłąkanych strzałów. Siepacze Imperium nie przejmowali się takimi ofiarami, ale rycerz Jedi nie mógł sobie poczynać równie beztrosko.

Już samo to było powodem, żeby uciekać, unikając walki. Even znał jednak jeszcze inny powód. Miał do wykonania zadanie. Ważne zadanie. Stawiając czoło prześladowcom, ryzykował nie tylko własne życie. Musiał przejmować się losem wielu innych osób, więc opóźniał to, co nieuniknione, tak długo jak się da.

Z pomieszczenia, w którym kiedyś zażywano przyprawę, wiodło dyskretne przejście do kiepsko oświetlonej, podobnej do pieczary komnaty, w której mieściło się wtedy kasyno. Pomieszczenie było ogromne, a jego sklepiony kolebkowo sufit wznosił się na wysokości co najmniej trzech pięter. Even od razu zobaczył szyb turbowindy. Idąc ku niemu, musiał się przeciskać między archaicznymi meblami i stołami do hazardowych gier, tak starymi, że pod dotykiem niektóre rozsypywały się w pył. Zastanowił się, ile jeszcze podobnych miejsc mieści się na najniższych poziomach. Bez wątplenia na dole roziskrzonych wieżowców kryły

się miliony identycznych kasyn. Wszystkie niszczały powoli, jak zęby trawione próchnicą. Stolica galaktyki wznosiła się na bezkresnym cmentarzysku jak pieniające się na pochowanych szczątkach kwiaty...

Even Piel pokręcił głową, żeby odzyskać jasność umysłu. To nie była odpowiednia pora na oddawanie się rozmyślaniom o przeszłości. Jeżeli chciał przeżyć tę noc, musiał się skoncentrować.

Jakby na potwierdzenie tej myśli usłyszał dobiegające z zewnątrz ciche, ale stanowcze głosy swoich prześladowców. Wszedł do przezroczystej, cylindrycznej kabiny turbowindy. Kabina ani drgnęła, ale rycerz Jedi się tego spodziewał. Liczył się z tym, że przez stulecia wyczerpały się ładunki na płytach repulsorów. Na szczęście nie musiał korzystać ze zdobycy techniki, żeby zmusić kabinę do ruszenia.

Podobno każdy doświadczał skutków oddziaływania Mocy w inny sposób. Dla niektórych Moc była jak burza, oni zaś stawali się jej ośrodkiem. Czuli się bezpieczni jak w oku cyklonu, skąd mogli panować nad porywami wichury. Dla innych Moc była jak mgła albo opar... albo jak cienkie nici, którymi mogli manewrować. Jeszcze inni odczuwali ją jak poświatę, którą mogli dowolnie rozjaśniać albo ściemniać. Wszystkie te opisy były jednak zbyt mało precyzyjne... Ot, kiepskie próby opisanie w kategoriach pięciu zwykłych zmysłów tego, czego i tak nie dawało się ująć w słowa. W porównaniu z doświadczeniem zanurzenia się w Mocy nawet zbiorowe doznania po zażyciu jednej z bardziej halucynogennych odmian przyprawy były tylko słabą, bezbarwną namiastką.

Evenowi te przeżycia najbardziej przypominały zanurzenie się w ciepłej wodzie. Korzystanie z Mocy uspokajało go i koło nerwy, a zarazem zwiększało energię zmęczonych mięśni i wyostrzało zmysły.

Rycerz Jedi wykonał ledwo zauważalny ruch ręką, jakby wypychał powietrze ku górze. Moc podziałała jak gejzer, który zaczął go unosić przezroczystą rurą szybu turbowindy.

Zanim Lannik dotarł do sufitu, przez który przechodziła rura, usłyszał dobiegający z dołu trzask wyłamywanych drzwi. Do ogromnej sali wpadło pięciu zakutych w kompletne pancerze imperialnych szturmowców. Wszyscy byli uzbrojeni w blastery i miotacze konwencjonalnych pocisków. Jeden ze szturmowców wskazał wznoszącego się Evena.

– Tam! – wykrzyknął. – W szybie turbowindy!

Wszyscy spojrzeli we wskazaną stronę. Jeden z nich – sierżant, sądząc po zielonych oznakach na pancerzu – uniósł gotowy do strzału pistolet BlasTech SE-14. Z blastera tego typu można było strzelać skupioną wiązką energii o mocy dwukrotnie większego karabinu. Ładunku niosących ogromną energię cząstek nie dałyby rady powstrzymać nawet kryształowe ścianki szybu turbowindy. Even zwiększył tempo wznoszenia. Zanim jednak dotarł do sufitu, szturmowiec na czele oddziału dał ognia... ale nie do niego.

Skierował energetyczną wiązkę nad jego głowę.

Even za późno zrozumiał jego zamiar. Błyskawica blasterowego strzału trafiła w rurę w

miejscu, w którym ginęła w suficie sali, i zamieniła ją w bezkształtną, niemożliwą do pokonania przezroczystą bryłę. W ostatniej chwili rycerz Jedi unieruchomiłabinę, ale sekundę później szturmowiec znów wystrzelił. Tym razem stopił ściankę szybu turbowindy pod stopami uciekającego Lannika.

Even Pieli uświadomił sobie, że kabina nie może się przemieścić ani w dół, ani w górę. Został w niej uwięziony niczym owad w butelce.

Ten owad miał jednak ogniste żądło.

Rycerz Jedi sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął świetlny miecz. Zanim szturmowiec wymierzył i zdążył dać ognia, rycerz Jedi wysunął energetyczną klingę broni. Z charakterystycznym pomrukiem ostrze obudziło się do życia, jakby po długiej beczynności ucieszyło się z odzyskanej swobody. Even machnął klingą w prawo i w lewo, wycinając w ściankach kabiny i szybu spory otwór. Pozwolił, żeby Moc omyła go niczym niewidzialna kaskada, a później wyrzuciła z kabiny turbowindy i łagodnym łukiem posłała na posadzkę. Pięciu zaskoczonych szturmowców w dole otworzyło ogień, ale rycerz Jedi, pomagając sobie Mocą, bez trudu odbił klingą miecza wszystkie czerwone błyskawice skupionej energii. Nie pozwolił, żeby chociaż jedna przeleciała blisko niego.

Wiedział jednak, że bitwa nie jest jeszcze wygrana. Szturmowcy uniemożliwiali mu ucieczkę z wielkiej sali. Zazwyczaj walka z pięcioma przeciwnikami naraz nie stanowiła dużego wyzwania dla zanurzonego w nurcie Mocy rycerza Jedi, ale Even, uciekając od wielu tygodni, rzadko odpoczywał i jeszcze rzadziej coś jadł. Mimo pobudzającego wpływu Mocy nie był w dobrej formie. Nie miałby nic przeciwko ratowaniu się ucieczką, gdyby to było możliwe, bo Jedi wyżej ceni przetrwanie niż brawurę. W jego sytuacji wszelkie próby ukrycia się w ciemności wielkiej sali byłyby jednak skazane na niepowodzenie. Gdyby zaczął uciekać, przeciwnicy skosiliby go błyskawicami blasterowych strzałów jak dojrzałą łodygę yahi'i. Nie, miał tylko jedno wyjście... musiał przedrzeć się przez ich grupę.

Szturmowcy zaczęli się zbliżać. Even Pieli przygotował się do walki. Uniósł świetlny miecz i poddał się Mocy.

ROZDZIAŁ 2

Nick Rostu rozumiał, że chwile jego życia są policzone.

Wiedział to od niemal trzech standardowych lat... od tamtej pamiętnej nocy w bunkrze dowodzenia na planecie Haruun Kal, kiedy wibrotarcza Iolu rozplątała jego brzuch jak niedopieczony pasztet. Przytrzymując palcami wnętrzości, żeby nie wypłynęły na durbetonową posadzkę, leżał skulony, tylko częściowo świadom, że kilka metrów od niego Mace Windu i Kar Vastor toczą walkę na śmierć i życie. A później poczuł, że gaśnie ostatnia iskierka jego świadomości. Planeta pod nim rozwarła paszczę, a Nick w nią wpadł, żeby pokoziołkować ku gwiazdom.

Naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Był Korunnai, a więc jak daleko sięgał pamięcią, nie znał nic prócz walki. Był bardziej niż gotów na spotkanie ze spokojem.

Okazało się jednak, że spokój nie jest mu pisany.

Oprzytomniał dwa dni później na pokładzie lecącej w kierunku planet Jądra fregaty „MedStara”. Podobno tylko więzi z Mocą zawdzięczał, że przeżył na tyle długo, aby jego organizm poddał się jeszcze działaniu leków. Nie dał sobie jednak usunąć z brzucha blizny po odniesionej ranie. Chciał już zawsze zapamiętać, co to znaczy pozwolić sobie na nieuwagę... choćby na mgnienie oka.

Powrócił do zdrowia w ośrodku medycznym na Coruscant. Miał najlepszą możliwą opiekę – zatroszczyła się o to Rada Jedi. Z początku Mace Windu odwiedzał go często, ale w miarę upływu czasu i eskalacji Wojen Klonów mistrz Jedi zaglądał do niego coraz rzadziej. Nick doskonale to rozumiał. Sytuacja stawała się coraz gorsza. Podczas kilku ostatnich wizyt Mace’a widział na twarzy mistrza Jedi cienie niepokoju.

Windu zgłosił go do odznaczenia srebrnym medalem, drugim co do znaczenia wyróżnieniem za niezwykłą odwagę na polu bitwy. Uroczystość wręczenia medalu odbyła się, kiedy Nicka zwolniono ze szpitala. Potwierdzono wówczas także jego nominację na dyplomowanego majora Wielkiej Armii Republiki. W ciągu następnych dwóch lat major Nick Rostu dowodził Czterdziestą Czwartą Dywizją – jednostką, w której szeregach służyli nie tylko sklonowani żołnierze, ale także istoty innych ras, zwane niekiedy Renegatami Rostu. Czterdziestka Czwórka brała udział w walkach na Basadro, Ando, Atrakenie i kilku innych planetach, wyróżniając się na każdym froncie. Przynajmniej tak to przedstawiano w

biuletynach informacyjnych HoloNetu. Mimo wszystko galaktyczni lojaliści pragnęli mieć pewność, że szale wojny rzeczywiście przechylają się na stronę Republiki. Potrzebowali bohaterów, więc Renegatów Rostu przedstawiono jako energicznych i dzielnych żołnierzy, którzy tuż po zakończeniu jednej bitwy są gotowi rzucić się w wir następnej.

Nick zapamiętał jednak tamten okres inaczej. Przypominał sobie dni i noce pełne wrzasku i nieopisanego chaosu. Wiele razy tylko interwencja innych oddziałów albo zwyczajny łut szczęścia ratowały w ostatniej chwili jego podwładnych przed nieuchronną zagładą. Tak jednak działo się podczas każdej wojny. A zresztą jego żołnierze nie raz i nie dwa odwdzięczali się kolegom podobną przysługą, więc wszystkie rachunki były wyrównane.

Jednak mimo niewygód, cierpień i ekstremalnych warunków, a także nieodłącznego strachu, który zawiązywał żołądki na supeł, Nick mógł uważać się za szczęściarza. Był jednym z najmłodszych dyplomowanych oficerów Republiki, więc gdyby przeżył wszystkie konflikty zbrojne, mógł liczyć na karierę dowódcy pokojowych oddziałów wojskowych, a później prawdopodobnie na wysoką emeryturę. Zamierzał założyć rodzinę, zapewne w okręgu Arak Dunes albo w podobnym ważnym rejonie, a jeszcze później sadzać na kolanach tłuściutkie wnuki. Byłby w tym naprawdę bardzo dobry. Może życie sławnego bohatera galaktyki powinno wyglądać inaczej, ale i tak wiodłoby mu się o wiele lepiej niż po powrocie na Haruun Kal, gdzie – przy odrobinie szczęścia – mógł liczyć najwyżej na oznakowany grób zamiast anonimowego wzgórzka z miejscowego gruntu.

Okazało się jednak, że nie taka przyszłość jest mu pisana. Po tym, jak niemal trzy lata wcześniej Iolu pokazał mu kolor jego wnętrza, Nick Rostu został członkiem niedawno założonej grupy rewolucjonistów, których celem było przeciwstawienie się nowemu reżimowi.

Ziomkowie z *ghósha* Nicka na planecie Haruun Kal zwykli byli mawiać: „Nie igraj z psem akk”. Rada była dobra, zwłaszcza w obecnych burzliwych czasach. Kiedy doszło do przewrotu, Rostu przebywał w stolicy. Odniósł wrażenie, że z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Zmieniła się nawet nazwa planety z Coruscant na Imperialne Centrum, chociaż żaden ze znajomych Nicka jej tak nie nazywał. Nagle pojawiła się nowa oligarchia, na której czele stanął Palpatine. Armia Republiki zmieniła się w armię Imperium i od razu stało się oczywiste, że uprzykrzy życie każdemu, kto nie będzie wiedział, komu salutować. Major Rostu stanął przed dylematem: złożyć przysięgę na wierność nowej władzy albo stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Usłyszał to ultimatum tego samego dnia, kiedy się dowiedział o śmierci Mace’a Windu. Podobno mistrz Jedi – jego doradca, dobroczyńca i przyjaciel – planował zamordowanie Kanclerza, ale zginął, zanim zdążył wcielić swój zdradziecki zamiar w życie. Nick znał Mace’a bardzo dobrze, więc nie uwierzył w tę historię; zresztą skoro Imperator Palpatine wydał rozkaz wymordowania innych Jedi, w zamiarach Mace’a nie mogło być nic zdradzieckiego, przynajmniej z jego punktu widzenia.

Nick cieszył się, że dokonał właściwego wyboru. Przyznawał jednak, że podjęcie tej decyzji ułatwiła mu wiadomość o śmierci Mace'a. Stojąc przed przedstawicielem Imperium, który odwiedził go w asyście dwóch uzbrojonych w blastery szturmowców, powiedział mu – naturalnie bardzo taktownie, bo w końcu starszy stopniem oficer był jego zwierzchnikiem za czasów poprzedniej władzy – żeby poszedł do diabła. Później chwycił jeden z blasterów, zastrzelił obu żołnierzy oraz oficera, wypalił dziurę w wielkim transpastalowym oknie sali konferencyjnej i wyskoczył, kiedy pozostali szturmowcy otworzyli do niego ogień.

Chybili – prawdopodobnie na skutek wstrząsu, jaki przeżyli na widok mężczyzny wyskakującego z okna dwieście dziesiątego piętra. Nick też nie był tym zachwycony, ale nie chciał dać się usmażyć jak placek. Na szczęście miał asa w rękawie.

Umiał nawiązywać kontakt z Mocą.

Podobnie zresztą jak wszyscy, którzy pochodzili z Haruun Kal. Nikt nie wiedział, dlaczego to potrafią. Podobno wszyscy byli potomkami członków złożonej z samych Jedi załogi gwiazdowego statku, który kilka tysięcy lat wcześniej rozbił się o powierzchnię planety. Bez względu na prawdziwy powód, Moc podpowiedziała Nickowi, że dziesięć metrów pod jego oknem właśnie przelatuje wyładowana skórą nerfów gwiazdowa ciężarówka.

W końcu uciekinier dotarł pod wszechobecną warstwę inwersyjną, a nawet na poziom ulic. Już pierwszej nocy o mało nie zginął z rąk członków gangu o zdumiewającej nazwie Purpurowi Zombie. Większość posiadanych kredytów wydał na nocleg na zapchlonym materacu w pierwszej lepszej noclegowni. Następnego ranka skorzystał z oferty ulicznego sprzedawcy i zaspokoił głód porcją pancernego szczura z rusztu.

Zamiast piąć się w górę, zaczął się staczać.

Sześć tygodni później, o trzy kilogramy chudszy i znacznie uboższy, ocalił życie kitonackiej handlarki. W tym celu musiał stoczyć pojedynek z trandoszańskim osiłkiem, którego miejscowy gangster wysłał do zebrania kredytów za rzekomą ochronę. Po niewczasie doszedł do wniosku, że zachował się jak cyrkowy „połykacz” kling konwencjonalnych mieczy, który postanowił połknąć klingę broni Jedi, ale w pierwszej chwili wydawało mu się, że to dobry pomysł. Trandoshanin nosił przydomek Miażdźciel albo Mściciel. Mówił zbyt bełkotliwie, żeby Nick mógł być tego pewny. Tak czy owak, przydomek pasował do zbira jak ulał. Łuskowata istota, zirytowana propozycją Nicka, żeby zostawił drobną człekokształtną handlarke w spokoju, chlasnęła go na odlew z taką siłą, że oficer przeleciał na drugą stronę wąskiej ulicy i o mało nie wybił plecami dziury w murze otaczającym jeden z ogromnych, cuchnących dołów na odpady, jakich wiele szpeciło coruskańskie slumsy i tereny przemysłowe.

Miażdźciel (albo Mściciel) nie był wysoki, ale potężnie zbudowany. Musiał ważyć co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Wzniósł bojowy okrzyk i chociaż zakrztusił się przy tym flegmą, śmiało pobiegł w kierunku przeciwnika. Nick miał tylko tyle przytomności umysłu i czasu, żeby uniknąć ciosu i pozwolić, aby niezdarne osiłek przeleciał obok niego i

runął z wrzaskiem w głąb dołu. Krzyk Trandoshanina od razu się urwał; sądząc po głośnym mlaskaniu, Mściciel zaczął się pożywiać żyjącym w dołach z odpadkami robalem, zwanym dianogą. Nick doszedł do wniosku, że nie musi tego wiedzieć na pewno.

Okazało się, że Kitonaczka należy do utworzonej ostatnio komórki dywersantów o nazwie Whiplash. Istota była mu bardzo wdzięczna i tak głośno wychwalała jego odwagę swoim towarzyszom broni, że zaproponowali Nickowi przyłączenie się do nich w walce przeciwko nowej władzy. Miało to być zajęcie bez wynagrodzenia, niemal bez odpoczynku i w ciągłym zagrożeniu. Nick nie widział wielkiej różnicy między swoją nową sytuacją a warunkami życia członków ruchu oporu na Haruun Kal.

Wyraził zgodę. Tak czy owak, był zabójcą i dezerterem, którego można było zabić bez zadawania jakichkolwiek pytań. W gronie nowych towarzyszy broni mógł liczyć na większe – może złudne, ale jednak – bezpieczeństwo. A zresztą czy miał inne wyjście? Był żołnierzem i umiał tylko walczyć. Nie liczyło się, czy jego organizacja nosi nazwę Front Wyzwolenia Armii Republiki, czy jakąś inną. Mundury wyglądały wprawdzie inaczej, ale praca była identyczna.

Nie chodziło o to, że lubił brać udział w tej czy w innej wojnie. W przeciwieństwie do wszystkich klonów wiedział, co to strach, i był za to wdzięczny losowi. Kiedyś obserwował na Muunilinscie, jak falanga sklonowanych żołnierzy nieustraszenie atakuje wzgórze, bronione przez trzykrotnie większą liczbę robotów niszczycieli uzbrojonych w ciężkie blastery. Żaden żołnierz nawet się nie potknął, chociaż lasery, plazmowe promienie i wiązki cząstek z broni robotów kosiły ich jak flimsiplastowe kukły. W tamtym ataku zginęło trzy czwarte atakujących klonów, ale pozostałe opanowały wzgórze.

A jednak, mimo zagrożeń i okrucieństw wojny, przepisy i regulaminy wojskowego życia zapewniały swoiste bezpieczeństwo; dawały spokój ducha. Nick umiał nie tylko trzaskać obcasami i salutować. Oprócz szkolenia na holosymulatorach i ćwiczebnych automatach zdobył duże doświadczenie w wielu bitwach. Dowodził własną jednostką, ale musiał wykonywać idiotyczne rozkazy generałów, którzy nie ruszali się z biurka, przez co nie raz i nie dwa o mało nie zginął. Wielu dopiero co awansowanych wymuskanych oficerków wracało ciężko rannych z pola już pierwszej czy drugiej bitwy, jeśli w ogóle udawało im się przeżyć.

Podobnie jak wielu innych Nick cieszył się na myśl o trwałym pokoju, o czasach, kiedy Dooku, Grievous i inni zostaną na dobre pokonani. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł odłożyć na bok broń i odpocząć... i pozwolić, żeby czas zatarł wszystkie niemiłe wspomnienia.

Tymczasem wraz z sześcioma bojownikami ruchu oporu kulił się za zardzewiałym zderzakiem porzuconego pełzaka konstrukcyjnego. Czekali w napięciu, aż przejdzie obok nich pięciu szturmowców. Ze strzępków ich rozmów, jakie udało się mu usłyszeć, kiedy przechodzili, Nick wywnioskował, że ścigają jakiegoś Jedi. Nie zdążył się jednak

zorientować, czy chodzi o padawanę, rycerza czy też mistrza.

Podczas służby, w okresie znajomości z Mace'em Windu poznał całkiem niezłe kilku Jedi, nie wyłączając członków Rady. O ile wiedział, wszyscy oni zginęli albo, jak sami Jedi to często określali, „powrócili do Mocy”. Wszystko jedno. Nick nie przepadał za filozoficznymi teoriami na temat życia po śmierci. W obecnym życiu miał aż nadto pracy i na samą myśl o tym, że będzie musiał robić wszystko jeszcze raz, ogarniało go zmęczenie.

Obejrzał się na członków komórki ruchu oporu i kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że mają podążyć za szturmowcami. Nikt się nie zawahał ani nie sprzeciwił.

Starając się nie stracić szturmowców z oczu, Nick biegł cicho za nimi przez opustoszałe ulice. O tej porze nigdy nie widywało się w okolicy wielu przechodniów, a ci, którzy znaleźli się w pobliżu, na widok maszerujących środkiem jezdni szturmowców całkiem rozsądnie woleli się ukryć. Wkrótce imperialni żołnierze znieruchomieli przed częściowo otwartą płytą drzwi od dawną opustoszałego gmachu. Nick usłyszał, choć z trudem, że się zastanawiają, czy właśnie tam się nie ukryła ścigana przez nich osoba. Decyzję o sprawdzeniu podjęto szybko; widocznie jeden ze szturmowców się zorientował, że od otwarcia drzwi nie zdążyło upłynąć dużo czasu, sądząc po rysach w pyle i w grubej warstwie brudu. Inny żołnierz kopnął płytę, która otworzyła się do końca. Wszyscy przygotowali broń do strzału i zniknęli w środku.

– Chodźmy – szepnął Nick. – Możliwe, że zapędzili tam do pułapki jakiegoś Jedi.

– Podzielimy jego los, jeżeli się nie rozejrzemy, zanim się tam wpakujemy – ostrzegł Kars Karkus. Był niskim, krępy męczyzną, tryskającym energią, zawsze gotową do wybuchu niczym gejzer na słońcu. Wszyscy jednak wiedzieli, że przecucia bojownika niemal nigdy go nie mylą.

Nick po zastanowieniu doszedł do wniosku, że Kars ma rację. Zanim wejdą do budynku, powinni przynajmniej poszukać innych wejść albo wyjść.

Nagle z głębi mrocznego wnętrza napłynął odgłos blasterowego strzału.

– Wchodzimy – zdecydował Rostu. Wyciągnął blaster i przestąpił próg wyłamanych drzwi.

– Nie ma rady – zgodził się z nim Kars i wszyscy podążyli śladem Nicka.

ROZDZIAŁ 3

Moc schwytała Evena Piella w objęcia jak niewidzialna katarakta i zaraz poniosła go łagodnie i bez wysiłku jak spieniona woda nasiono jekka. Rycerz Jedi, jak go dawno nauczono, poddał się jej strumieniowi. Pozwolił, żeby go niósł i kierował jego ruchami szybciej i precyzyjniej, niż mógłby to zrobić jego świadomy umysł. Smugi blasterowych strzałów z broni szturmowców odbijały się oślepiająco od świetlistej klingi, która nieszkodliwie rozpraszała ich energię.

Lannik wiedział, że ma tylko jedną szansę wyjścia cało z tej nierównej walki. Gdyby wykonał wspomagane przez Moc salto nad głowami szturmowców, mógłby wylądować za ich plecami niedaleko drzwi. Musiałby jednak wymierzyć skok bardzo precyzyjnie, bo jego przeciwnicy mogli już kiedyś widzieć taką sztuczkę. Rozmyślając o tym, wylądował na posadzce i puścił się biegiem w kierunku zakutych w pancerze przeciwników, z których każdy był dwukrotnie wyższy i cięższy niż on.

Niespodziewany wyczyn rycerza Jedi obrócił się na jego korzyść. Wszystko wskazywało, że szturmowcy jeszcze się z czymś takim nie spotkali. Even odbił się od posadzki i pozwolił, żeby Moc dźwignęła go i wypchnęła w górę. Napiął mięśnie, żeby obrócić się w powietrzu i wylądować twarzą do napastników.

Dzięki bezbłędnej technice wylądował na starym parkiecie w idealnej równowadze i od razu wyciągnął przed siebie klingę miecza. Zaskoczeni szturmowcy odwrócili się i na oślep zaczęli strzelać w jego stronę. Wycofując się ku drzwiom i odbijając na boki błyskawice ich strzałów, Even poczuł w sercu nadzieję. Do wyjścia, które miał za plecami, było tylko pięć czy sześć metrów. Gdyby dał radę tam dotrzeć...

Jeden ze szturmowców oderwał od pasa okrągły przedmiot i wyciągnął przed siebie, jakby chciał go rzucić. Even doszedł do wniosku, że to granat.

Zaczynają się denerwować, pomyślał. Na pewno zrozumieli, że jeżeli potrafię odbijać energetyczne błyskawice ich strzałów, bez trudu odbiję także...

Po niewczasie zrozumiał plan żołnierza. Szturmowiec trzymał granat lumę, ale wcale nie zamierzał go rzucić. Przycisnął tylko guzik na obudowie i upuścił sobie granat pod stopy. Zanim rycerz Jedi zdążył zasłonić czy choćby tylko zamknąć oczy, cały świat przed nim zalało oślepiające aktywniczne światło.

Szturmowcy mieli w hełmach spolaryzowane obiektywy, więc blask w ogóle ich nie oślepił. Nie stracili z oczu Evena, który nie widział teraz nic oprócz błysku. Cóż, jednak przeciwnicy głupio kombinowali, uważając, że eksplozja lumy im w czymś pomoże. Jedi „widzieli” raczej dzięki Mocy niż dzięki zmysłowi wzroku. Powoli się cofając, Even nadal wymachiwał klingą świetlnego miecza i odbijał wszystkie posyłane ku niemu błyskawice. Wykorzystując Moc, pozwalał jej robić wszystko, żeby zastąpiła oczy. Gdy się zastanawiał nad naiwnością przeciwników, w jego kierunku poszybował następny obiekt. Zmarszczki w Mocy ujawniły mu, że to jeszcze jedna niewielka kula, najprawdopodobniej inny granat. Rycerz Jedi wyczuł, że to granat wrażliwy na wstrząsy. Gdyby go odbił klingą świetlnego miecza, spowodowałby eksplozję. Uniósł rękę, żeby zmienić kierunek lotu kuli pchnięciem Mocy...

...i w tej samej chwili jeden ze szturmowców wystrzelił kolejną błyskawicę. Wycelował jednak nie w niego, ale w granat. Ładunek eksplodował.

Even uświadomił sobie, że dał się podejść jak naiwne dziecko. Eksplozja lumy miała tylko odwrócić jego uwagę od właściwego ataku przeciwników. Fala udarowa eksplozji zdzieliła go jak młotem, poderwała z posadzki i odrzuciła do tyłu. Rycerz Jedi ze straszliwą siłą uderzył plecami w filar. Moc uchroniła go wprawdzie przed natychmiastowym wyparowaniem, ale kolumna za jego plecami załatwiła resztę. Even usłyszał trzask łamanych kości i poczuł ból pękających organów wewnętrznych.

Nie usłyszał własnego krzyku.

Jak przez mgłę, jakby z dużej odległości, zorientował się, że Moc burzy się w nim jak tafla spokojnego stawu, do którego ktoś wrzucił duży kamień. Usłyszał pełne zaskoczenia okrzyki przeciwników i odgłosy blasterowych strzałów, które jednak brzmiały inaczej niż strzały z broni szturmowców. Resztą gasnącej świadomości Pielu pomyślał, że przybyła pomoc.

Za późno.

Nick usłyszał krzyk. On i jego towarzysze wbiegli do wielkiej sali, w której kiedyś musiało się mieścić kasyno. Kilka metrów dalej, u podstawy kolumny, leżała skulona niewielka postać. Nieco dalej pięciu szturmowców kierowało lufy blasterów ku Nickowi i jego towarzyszom. Na razie dali ognia na oślep, ale Nick wiedział, że kiedy otrząsną się z zaskoczenia, usmażą jego i pozostałych bojowników.

– Brać ich! – wykrzyknął. Wyciągnął blaster i skoczył ku szturmowcom, żeby ściągnąć na siebie ogień ich strzałów. Pod gradem błyskawic runął na posadzkę, przetoczył się, ale zaraz przyklęknął na jedno kolano i skierował blaster do przodu. Błyskawica z broni najbliższego żołnierza zwęgliła płytki w miejscu, gdzie chwilę wcześniej leżał ich przeciwnik, ale Nick zgrzytnął zębami i zignorował to. Przycisnął spust, a siła jego strzału odrzuciła jednego ze szturmowców do tyłu. Pancierz imperialnego żołnierza mógł go ochronić przed każdym strzałem z wyjątkiem tych, które niosły największą energię, a przy tym były

oddawane z bliska, ale i tak szturmowiec będzie przez jakiś czas ogłuszony.

Słyszając wymianę ognia między pozostałymi szturmowcami a swoimi towarzyszami, Nick skupił uwagę na istocie leżącej nieruchomo u stóp filaru. Rozpoznał ją.

Even Pieli.

Rostu zerwał się z posadzki i podbiegł do rycerza Jedi, ale zorientował się od razu, że nie da rady już nic zrobić. Mistrz Pieli najwyraźniej odniósł ciężkie obrażenia wewnętrzne, a wykrzywione nienaturalnie kończyny dowodziły, że prawdopodobnie ma także połamane kości. Jakby tego nie dość, wygięcie dolnej części pleców wskazywało na złamanie kręgosłupa.

Nick widział wielu rannych na polach bitew różnych planet – żołnierzy z oderwanymi kończynami, z podziurawionymi przez odłamki ciałami, częściowo spalonych. Z całą pewnością nie chciał przypominać sobie wszystkich możliwych urazów i kontuzji. Rzadko jednak widywał tak wiele obrażeń u jednej osoby. Do tej pory większość inteligentnych istot zmarłaby z upływu krwi albo z przeżytego wstrząsu. Mistrza Piella utrzymywała przy życiu tylko Moc, ale i ona szybko zanikała. Nick doskonale to wyczuwał.

Nie znał dobrze Lannika, ale wiedział o nim wystarczająco dużo, żeby go darzyć ogromnym szacunkiem. Na razie mistrz Jedi pozostawał przy życiu, chociaż znalazł się tak blisko wybuchu granatu. Wystawiało to niezwykle świadectwo zarówno jego odwadze, jak i skuteczności szkolenia.

– Nie ma śmierci, jest Moc – wymruczał Nick ostatnią mantrę kodeksu Jedi. W tej chwili nic innego nie przyszło mu do głowy.

Mistrz Pieli zamrugał i otworzył oczy. Z wyraźnym wysiłkiem skupił spojrzenie na twarzy Nicka.

– Rostu? – wychrypiał. – To ty?

Nick był zaszokowany. Nie spodziewał się, że Jedi przeżyje następną minutę, a tym bardziej że odzyska świadomość.

– Tak, Mistrzu Pieli – powiedział. – Nic nie mów. Musisz oszczędzać siły. Zaraz ściągnę tu sanitariuszy, którzy zabiorą cię do...

– Nie bądź idiotą – przerwał mu cicho Mistrz Pieli. – Jeżeli mnie stąd ruszysz, rozsypię się jak kawałki układanki. Obaj wiemy, że to koniec, ale ktoś musi wykonać moje zadanie. – Zakasłał z wysiłkiem. – A teraz uważaj... – podjął po chwili.

Nick dołączył do towarzyszy, którzy czekali na niego przy drzwiach. Rozejrzał się po wielkiej sali.

– Co się stało ze szturmowcami? – zapytał.

– Odeszli – wyjaśnił Kars Karkus. – Zabrali rannego kolegę i zniknęli. – Nie powiedział nic więcej. Nick zauważył, że jeden z jego towarzyszy, Nautolanin Lex Rogger, opatruje ranę po blasterowym strzale na rękę Karkusa, więc postanowił nie dopytywać się o szczegóły. –

Co z tamtym Jedi? – zapytał Kars.

Nick westchnął i otarł twarz grzbietem dłoni.

– Nie żyje – oznajmił, spoglądając na pozostałych bojowników. – Ale opowiedział mi o zadaniu, którego nie zdążył wykonać.

– A które my za niego dokończymy – domyślił się Lex.

– Prawdę mówiąc – sprostował Rostu – nie my. Ale znam kogoś, kto to zrobi.

ROZDZIAŁ 4

Wypreżone cielsko Hutta wyglądało naprawdę imponująco. Istota wyprostowała tułów na maksymalną wysokość. Górowała nad Jaksem jak pozbawiona kości masa mięsa, lekko napęczniała, żeby zasugerować jeszcze większą objętość. Rycerz Jedi wiedział, że to reakcja atawistyczna, podświadoma odpowiedź na możliwe zagrożenie z pradawnych dziejów, kiedy Huttowie bywali zarówno drapieżnikami, jak i ofiarami. Tak czy owak, Hurt przedstawiał groźny widok. Blokował niemal całą szerokość łukowatego wiaduktu, na którym stali wszyscy czterej. I tak nie miało to większego znaczenia, bo mniej więcej w połowie długości wiadukt kończył się poszarpaną, skręconą masą ferrobetonu i duraniowych prętów zbrojeniowych. Prawdopodobnie roztrzaskał się tu kiedyś towarowy statek, którego pilot stracił panowanie nad sterami. Konstrukcji nigdy nie naprawiono, co nie było niczym niezwykłym w tej okolicy. Osoby żyjące na wyższych poziomach uważały, że pod pałapem mgły nic już nie ma, a zatem nie ma sensu tracić kredytów na naprawy.

Hurt wybrał to trochę ryzykowne miejsce na spotkanie, ale nie pojawił się sam. Po jego obu stronach stali dwaj brutale, Klatooinianin i Czerwony Nikto. Obaj wyglądali wyjątkowo groźnie i Jax nie miał wątpliwości, że są wyjątkowo niebezpieczni. Hutt Rokko był pod każdym względem osobnikiem potężnym, przynajmniej w Slumsach Blackpit, i zatrudniał tylko najgroźniejszych zbirów. Jax jeszcze nigdy nie prowadził z nim interesów i wyglądało na to, że potem także nie będzie ich prowadził. Co więcej, jeżeli dobrze rozumował, interesów z przerośniętym ślimakiem nikt już nie miał załatwiać.

Rokko spiorunował go mściwym spojrzeniem.

– Powiniennem być zrozumieć, że nie należy ufać... człowiekowi – powiedział. Jego głos brzmiał, jakby ktoś sypał żwir na alumabrazową pochylnię. – Wynająłem cię, bo Braze wyrażał się o tobie z uznaniem. Wygląda na to, że jemu też nie powiniennem być ufać.

– Polecieś mi schwytać i oddać w twoje ręce cereańskiego oszusta Toha Reva Chryyxa – przypomniał Jax. – Wywiązałem się ze swojej części umowy. Nie moja wina, że popełnił samobójstwo, zanim zdążyłeś go przesłuchać. – Ani Hutt, ani rycerz Jedi nie mieli pojęcia, jak człekokształtna istota potrafiła zatrzymać pracę swojego serca, chociaż Jax słyszał plotki, jakoby dzięki medytacjom i samoświadomości niektórzy Cereanie umieli panować nad autonomicznym systemem nerwowym. W tej chwili nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Liczyło się tylko to, że Hutt obiecał wypłacić Jaksowi piętnaście tysięcy kredytów i robił wszystko, żeby nie dotrzymać tej obietnicy.

– Masz mnie za głupca? – ryknął gangster. – Nasz kontrakt mówi wyraźnie, że miałeś mi go dostarczyć żywego. Nie wywiązałeś się ze swojej części umowy.

– Żył, kiedy ci go dostarczyłem. – Jax starał się mówić spokojnie, chociaż przychodziło mu to z trudem. – Powstrzymał bicie swojego serca w tej samej chwili, kiedy cię zobaczył. – I trudno mu się dziwić, dodał w myśli. Rokko cieszył się sławą najbardziej mściwego gangstera podziemnego świata. Nie miał sobie równych pod względem pomysłowości w wymyślaniu najróżniejszych rodzajów tortur i cieszył się jak dziecko, że spędza to sen z powiek niejednemu oszustowi.

Obaj pachołkowie Hutta oddalili się kilka kroków od swojego szefa, jakby chcieli zaatakować Jaksę z dwóch stron naraz. Rycerz Jedi ich zignorował, ale nie odrywał spojrzenia od gangstera. Pajęcza sieć, którą wyczuwał od pierwszej chwili spotkania, z każdą chwilą stawała się grubsza i bardziej mroczna. W końcu zaczęło mu się wydawać, że ogromny ślimak tkwi niemal całkowicie w kokonie z grubego czarnego błyszczojedwabiu. Niektóre włókna owinęły się nawet wokół jego zbirów. Jax „widział” także nitki wychodzące z ogromnego brzuchonogiego mięczaka i przenikające przez wyższe wymiary, w których czas i odległość traciły znaczenie. Obejmowały zasięgiem różne istoty w sferze wpływów Rokka, i to nie tylko na Coruscant, ale także na innych planetach. Niektórzy nieszczęśnicy jeszcze żyli, ale wielu pożegnało się z życiem. Jax nie miał specjalnej ochoty podążać tropem tych nici, żeby poznać losy istot uwikłanych w sieć przewrotnego gangstera. Rokko nie znał litości i słynął z pedanterii, więc bez wątpienia umiał doprowadzać sprawę do końca.

Jax się zasepił. Największą goryczą napawała go świadomość, że z własnej woli robi interesy z przestępcą. Rokko handlował kradzionymi rzeczami i był kimś w rodzaju współczesnego pirata. Nie interesowały go okoliczności, w jakich produkowano czy zdobywano przemycane towary. No i z pewnością nie miał nic przeciwko stwarzaniu tych okoliczności, ilekroć uważał to za konieczne. Był okrutny i mściwy. Miał na sumieniu życie wielu istot, które zginęły, żeby on mógł palić najlepszy gatunek przyprawy i żywić się najwykwintniejszymi specjałami w rodzaju cho nor hoola czy żywych soczystych nun.

A teraz umożliwił mu to Jax Pavan, który był kiedyś rycerzem Jedi.

Hutt machnął tłustą ręką, jakby uznał sprawę za zakończoną. Odwrócił się i zaczął ślizgać z powrotem do budynku.

– Skończyliśmy – oznajmił, odwracając głowę nad nieistniejącym ramieniem. – Nie wywiązałeś się z umowy, więc nie możesz się spodziewać, że dostaniesz nagrodę.

– To oburzające – parsknął Jax. – Zawieraliśmy umowę w dobrej wierze.

– Jeżeli nie jesteś zadowolony – dodał jeszcze Rokko, zanim zniknął – możesz omówić sprawę z moimi partnerami w interesach.

Rycerz Jedi odwrócił się i spojrzał najpierw na Klatooinianina, a potem na Nikta.

Pierwszy uśmiechnął się i sięgnął szorstką dłonią do zawieszanej nisko u boku kabury z blasterem. Nikto zatrzepotał membraną ustną, co u istot tej rasy oznaczało coś w rodzaju uśmiechu, i także chwycił za broń. Obaj ruszyli w kierunku rycerza Jedi.

Jax stał rozluźniony; ręce zwiesił wzdłuż boków. Mógł uchodzić za bezbronny, bo w pochwie u pasa miał tylko wibronóż, ale raczej nie zamierzał go wyciągać.

Klatooinianin podszedł do Nikta i szturchnął go pod żebro.

– Czego innego można się spodziewać po człowieku? – powiedział. – Ma tylko wibronóż, a staje do walki z przeciwnikami uzbrojonymi w blastery.

Jax znał tylko jeden sposób, żeby ująć z takiej walki z życiem. Wszystko działo się, niestety, zbyt szybko; nie zdąży nakłonić tej dwójki, aby zapomnieli o jego obecności. Rycerz Jedi nie był zresztą pewny, czy by mu się to udało – pachołki Rokka byli żądni jego krwi, a w ich prymitywnych mózgach płonęło podniecenie na myśl o zabiciu ofiary. Jax musiał się posłużyć Mocą, ale nie miał dość czasu, żeby zrobić to subtelnie.

Obaj „partnerzy Hutta w interesach” wyciągnęli broń niemal równocześnie. Bez wątpienia spodziewali się łatwego zwycięstwa. Chwilę później stracili sporo pewności siebie. A kiedy Jax wykonał dwa niemal niedostrzegalne gesty, stracili także blastery, które wyskoczyły z ich dłoni, przeleciały dwa metry w powietrzu i z głośnym plaśnięciem wyładowały w dłoniach rycerza Jedi. Jax nie zmienił wyrazu twarzy.

– Czego innego można się było spodziewać po dwóch tępych bandziorach? – powiedział. – Mają tylko blastery, a stają do walki z kimś, kto umie władać Mocą.

Obaj bandyci popatrzyli najpierw na wymierzone w nich blastery, później na Jaksę, a w końcu jeden na drugiego. Jak na komendę odwrócili się i pobiegli w kierunku, w którym zniknął Rokko; po drodze poślizgnęli się na pozostawionej przez swojego szefa smudze śluzu i o mało nie upadli. Jax musiał się szybko usunąć na bok, żeby go nie stratowali.

Kiedy ucichło echo tupotu ich buciorów, spojrzął na blastery w swoich dłoniach. Powinienem ich zabić, uświadomił sobie. Za chwilę, prawdopodobnie już po kilku minutach, Rokko się zorientuje, że Jax Pavan, z którym przez ostatnie dwa miesiące prowadził interesy, to ktoś więcej niż zwykły łowca nagród.

Powinienem ich zabić, powtórzył w myśli.

Wiedział jednak, że nie mógłby tego zrobić. Czym innym było zabijanie przeciwników w bitwie, a czym innym mordowanie ich z zimną krwią. Z drugiej strony... puszczenie ich wolno oznaczało samobójstwo. Rycerz Jedi zyskał co prawda dwa blastery, ale zdobycie broni i tak nie stanowiło dużego problemu, zwłaszcza w jego obecnym zawodzie.

Wsunął broń do kieszeni obszernego płaszcza, podszedł do balustrady i spojrzął w dół. Podniósł kołnierz, bo poczuł podmuch chłodnego wiatru. Stał zaledwie dwadzieścia pięć pięter nad brukowaną nawierzchnią ulicy, znacznie poniżej brudnej, szarobrunatnej warstwy zanieczyszczeń, chroniącej bogatszych mieszkańców tego sektora przed nieprzyjemnymi widokami najniższych poziomów. Przebywał w tej okolicy od ponad trzech standardowych

miesiący.

Tego dnia smog nie wydawał się szczególnie dokuczliwy, ale i tak wszystko było pograżone w cieniu wznoszących się w pobliżu gmachów... grubych niczym pnie gigantycznych drzew w dżungli Kashyyyka. Na wysokości nieprzekraczającej pięćdziesięciu pięter widziało się niewiele powietrznych pojazdów, więc nie przesłaniały widoku okolicy. Metr nad nawierzchnią ulicy przelatywały z pomrukiem lądowe śmigacze. Jax widział także jednoosobowe pojazdy, zwane repulsorowymi platformami albo czółnami, które umożliwiały pasażerom zmianę kierunku lotu dzięki zręcznemu balansowaniu ciałem. Niektóre istoty korzystały z pilotowanych przez roboty rikszy. Większość jednak mieszkańców slumsów chodziła, ślizgała się albo poruszała w inny sposób wyłącznie dzięki sile własnych mięśni. Na ulicach roiło się od sprzedawców, nagabywaczy, włóczęgów i rabusiów – można było odnieść wrażenie, że to jakaś zacofana planeta Zewnętrznych Rubieży. Trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się na Coruscant, klejnocie koronnym Jądra galaktyki.

Jeszcze kiedy Jax był padawanem, zapuszczał się dwukrotnie na najniższe poziomy. Za każdym razem w wyprawie towarzyszył mu jego mistrz. Przy obu okazjach chodziło o załatwienie stosunkowo błahej sprawy, ale Jax był przerażony ubóstwem i wszechobecnym brudem. Z radością i ulgą wracał do sanktuarium Świątyni. Miał wyrzuty sumienia z powodu takiego nastawienia, ale nie mógłby się go wyprzeć. Zastanawiał się, jak inteligentne istoty mogą żyć w tak beznadziejnych warunkach.

Teraz już wiedział jak: z trudem, w chorobach, w cierpieniu i krótko.

Został pasowany na rycerza Jedi trzy miesiące przed upadkiem zakonu. Do tego czasu szeregi rycerzy znacznie się przerzedziły z powodu rzezi na Geonosis i późniejszych Wojen Klonów. Rozkaz sześćdziesiąty szósty o mało nie doprowadził do śmierci wszystkich pozostałych Jedi. Ocalała garstka rycerzy i ich towarzyszy, ale samozwańczy Imperator Palpatine najwyraźniej nie uważał ich za duże zagrożenie, bo nie starał się zbytnio, żeby ich wyłapać i zabić. Co prawda, jeżeli patrolujący ulice szturmowcy, którzy mieli pilnować porządku, spotykali jakiegoś Jedi, nie dawali mu szansy na przeżycie. Prawdopodobnie śmierć pozostałych Jedi i koniec zakonu były wyłącznie kwestią czasu.

Zanim wszystko się rozpadło jak świecące w nocy iglice samej Świątyni, Jax zdążył poczuć dumę z pasowania na rycerza. Podobnie jak wielu jego ziomków rozplynął się w półmroku karmazynowej nocy, dokładnie zacierając wszelkie ślady, które mogłyby go zidentyfikować jako Jedi. Żyjąc z dnia na dzień na ulicach, skazany na ukradkowe manipulowanie umysłami i materią, żeby przeżyć, stał się w końcu kimś, kogo przedtem sam by uważał za najgorszego nikczemnika. By przetrwać, postanowił zostać kimś stojącym zaledwie o szczebel wyżej w hierarchii społecznej niż gangsterzy i inne szumowiny, z którymi przyszło mu się zadawać.

Został łowcą nagród.

W początkowym okresie wydawało mu się to jedynym sensownym rozwiązaniem. W

końcu musiał coś jeść, a nawet Jedi poddawali się strachowi i rozpacz. Pragnąc zwiększyć szansę przeżycia, cały czas posługiwał się Mocą na różne subtelne sposoby, począwszy od wygrywania kredytów dzięki dyskretnemu manipulowaniu rozdaniem kart podczas gry w sabaka, a skończywszy na „sugerowaniu” miejscowym sprzedawcom i restauratorom, żeby zaopatrywali go w jedzenie. Jego mistrz, zanim rozdzielił ich zamęt tamtej pamiętnej nocy, zabronił mu posługiwania się Mocą jawnie, w miejscach publicznych, o ile nie była to sprawa życia czy śmierci. Zawsze istniało ryzyko, chociaż niewielkie, że zwróci na siebie uwagę szturmowców, robotów czy agentów Imperium. Zauważyć go i wydać mógł także zwykły obywatel, znęcony możliwością zdobycia nagrody albo zaskarżenia sobie względów nowej władzy. Nie można było się tego dowiedzieć, dopóki nie stałoby się za późno.

Na pozór zachowywanie tak daleko posuniętych środków ostrożności graniczyło z paranoją. Z ostatniego spisu ludności wynikało, że na Coruscant mieszka ponad trylion osób... i to tylko tych, którzy byli zarejestrowani na stałe. W spisie nie uwzględniono przybyszów ze sztucznych planetoid, księżycy Hesperidium i członków innych pozaplanetarnych społeczności. Nie uwzględniono w nim także setek tysięcy zakwaterowanych w garnizonach szturmowców. No i z pewnością nie objęto spisem – bo było to niemożliwe – miliardów istot wegetujących poza siecią, w głębinach miejskich slumsów. Zdaniem statystyków, którzy brali pod uwagę wszystkie te grupy, liczba mieszkańców planety była niemal trzykrotnie większa niż podawana w oficjalnych komunikatach. Samotna istota inteligentna mogła teoretycznie mieszkać na Coruscant całe życie, niezauważona przez żadne władze. Niestety, dla Jedi, a więc i dla Jaksy Pavana, oznaczało to konieczność wyrzeczenia się więzi z Mocą.

Rycerz starał się jak najmniej rzucać w oczy. Brązowe włosy, które zapuścił w stylu Jedi, natychmiast ostrzygł i ufarbował na czarno. Pierwszemu napotkanemu fryzjerowi kazał systematycznie depilować swoją brodę. Naturalnie od razu pozbył się płaszcza z kapturem i ubrania, jakie dostał od zakonu. Nosił teraz trudną do zapamiętania czarną kamizelkę ze skóry bantha, wyświechtane szare spodnie i czarne buty. Przed zimnem chronił go długi do kostek, stalowoszary, obszerny płaszcz, którego wysoki kołnierz zasłaniał sporą część twarzy. Przestał dumnie przypinać do pasa rękojeść świetlnego miecza; ukrywał ją w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyglądał jak prześladowany przez pecha gwiazdny podróżnik, bo też właśnie za kogoś takiego starał się uchodzić. Na widoku nosił tylko wibronóż, za to w prawym rękawie ukrywał mały blaster, a w pochwie na plecach między łopatkami duracrisowy sztylet, którego nie było widać na ekranach podczas rutynowego skanowania. W tej samej kieszeni co świetlny miecz nosił także niewielkie urządzenie zakłócające sygnały skanerów, żeby uniemożliwić wykrycie broni Jedi podczas przypadkowej kontroli.

Jakiś czas się łudził i usprawiedliwiał, sam przed sobą, że poluje tylko na przestępców. W rzeczywistości jednak wszystko to było czystą sofistyką... zwłaszcza jeżeli robił to dla innych złoczyńców, w rodzaju Hutta Rokko. Patrząc w dół na ulicę, musiał przyznać, że upadł jeszcze niżej niż odległość, jaka dzieliła go od nawierzchni w dole. W trosce o przeżycie w

mrocznych trzewiach Coruscant stał się jednym z typów, przeciwko którym kiedyś występował. Polował na istoty inteligentne, za których głowy wyznaczano nagrody.

Wyrzeczenie się więzi z Mocą było dla niego prawdziwą torturą, równoznaczną niemal z dobrowolnym odcięciem kończyny. Co prawda rycerz Jedi nadal korzystał z Mocy na różne subtelne sposoby, choćby po to, żeby wprowadzać w błąd istoty słabego umysłu albo wyczuwać zagrożenie. Nie mógł jednak urządzić pokazów, do których byli zdolni tylko Jedi. Musiał zrezygnować nawet z najprostszycch sztuczek, w rodzaju wyszarpywania blasterów z dłoni zbirów Rokka. Ale w zaistniałej sytuacji nie miał wyboru.

– Chyba już najwyższy czas się stąd wynosić – mruknął do siebie.

Zwlekał wystarczająco długo. Pozostał na Coruscant, żeby odbierać nagrody z rąk żądnych zemsty złoczyńców, ale po wykonaniu każdego takiego zadania odczuwał wyrzuty sumienia. Starał się je zagłuszyć, pomagając innym istotom odlatywać z planety, lecz to wszystko ciągnęło się stanowczo zbyt długo. W końcu przyszła kolej na niego.

Ruch oporu Whiplash istniał od niespełna dwóch miesięcy, ale jego bojownicy mieli już na koncie kilka imponujących akcji, a wśród nich przeprowadzone z chirurgiczną precyzją ataki na trasy zaopatrzeniowe i transporty wojska. Zorganizowali także kilka tajnych szlaków przerzutowych i zdobyli bezpieczne kryjówki, a grupy partyzantów współpracowały ze sobą, żeby pomagać w ucieczce osobom prześladowanym ze względów politycznych albo uznawanym za „wrogów nowej władzy”. Zaliczano do nich pracowników Świątyni, adiutantów i osoby wrażliwe na działanie Mocy, a nawet, jak głosiła plotka, kilku ocalałych przy życiu padawanów i rycerzy Jedi. Prześladowanych i ściganych przemycano towarowymi ciężarówkami, przewożono do kryjówek tunelami naprawczymi i innymi tajnymi trasami, znanymi pod wspólną nazwą Podziemnej Kolei na Poduszce Magnetycznej. Transportowano ich później bezpiecznie na inne planety na pokładach transportowców, frachtowców czy nawet luksusowych jachtów, których kapitanowie sprzyjali bojownikom. Czasami powierzano ich także opiece najemników, których milczenie można było kupić za kredyty. Palpatine oznajmił wprawdzie publicznie, że Jedi i ich doradcy przestali stwarzać zagrożenie, ale Jax podejrzewał, że Imperium bardzo zależy na znalezieniu i zlikwidowaniu tajnych szlaków, choćby tylko ze względów propagandowych. Imperialni żołnierze wykryli i wyeliminowali niektóre drogi przerzutowe, ale bojownicy ruchu oporu szybko zorganizowali w ich miejsce następne.

Jax Pavan był rycerzem Jedi, więc miał zagwarantowane miejsce na pokładzie jednego z tych transportowców, frachtowców czy innych statków, których kapitanowie brali udział w akcji ratowania rzekomych wrogów nowego ustroju. Dotąd jednak rezygnował z kolejnych okazji; wolał pozostawać na Coruscant, żeby pomagać w ucieczce innym nieszczęśnikom.

Cóż, teraz chyba nie miał wyboru. Musiał porzucić dotychczasowy styl życia i znaleźć sobie inną planetę, najlepiej w odległości wielu setek parseków od stolicy galaktyki. Do tej pory Rokko zdążył się dowiedzieć, że jego łowca nagród jest Jedi, więc wkrótce tajemnicę

Pavana miał poznać cały sektor policji. Za głowę ściganego Jedi nie przyznawano wprawdzie zbyt wysokiej nagrody, ale gdyby w grę wchodziła możliwość zarobienia choćby kilku kredytów, Rokko byłby gotów bez wahania wydać w łapy funkcjonariuszy Imperium macierzysty żłobek.

Jax odwrócił się, odszedł od balustrady i podążył do budynku. Wszedł do środka, znalazł szyb turbowindy i po niespełna minucie zjechał na poziom ulicy.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nawet nie pomyślał o pieniądzach, które był mu winien huttański gangster, chociaż piętnaście tysięcy kredytów bardzo by mu się przydało. Pieniądze pomogłyby Jaksowi przenieść się na inną planetę i rozpocząć tam nowe życie. Rycerz Jedi wiedział jednak, że nie ma cienia szansy, by zmusić Rokka do wypłacenia mu tej sumy.

Mimo to, chociaż nie powinien, czuł się pokrzepiony na duchu. Nadeszła pora na zmiany. Rycerz Jedi nie był pewny, czy nieświadomie nie ujawnił siepaczom Rokka swojej więzi z Mocą tylko dlatego, aby zmusić się do podjęcia tej decyzji. Tak czy owak, zrobił to, co zrobił, i nic na to nie mógł już poradzić.

Znacznie się ochłodziło. W przeciwieństwie do wyższych poziomów, gdzie klimat, podobnie jak wszystko inne, regulowały automaty, na najniższych piętrach pogoda była wielką niewiadomą. Z powodu niemal stałej warstwy inwersyjnej, a także przypadkowego uwalniania ciepłego powietrza i pary wodnej, często tworzyły się lokalne zimne i ciepłe fronty. Idąc szybko wąską ulicą, Jax uskakiwał przed wyładowanymi śmieciami i odpadkami, zautomatyzowane dwukołowe powozy, które co chwila wyprzedzały go albo mijaly. Zmókł do suchej nitki w strugach niespodziewanego lodowatego deszczu, ale po kilku następnych minutach temperatura powietrza wzrosła i nad wybrukowaną jezdnią pojawiły się obłoki mgły. Na szczęście ruch pojazdów i pieszych zaczął rzednąć, chociaż i tak rycerz Jedi o mało nie wpadł pod koła środka transportu naziemnego, kiedy z pobliskiej tawerny wyszedł pijany Shistavenen i zderzył się z nim. Zaraz potem Jaks zaczął agresywny młody Toydarianin, który usiłował mu sprzedać bilety na koncert zespołu heavyizotopowego. W końcu jednak rycerz Jedi dotarł do celu wędrówki.

Mikroconapta, którą jeszcze godzinę wcześniej nazywał domem, zasługiwała na swoją nazwę. Wyglądała jak pęcherz w sześciennym ferrobetonowym bunkrze, na którym mrugający napis głosił: „Herb Coruscant”. Powrót do „domu” upewnił rycerza Jedi, że bez względu na to, jak może wyglądać jego przyszłe życie na dowolnej zapadłej planecie, na pewno nie będzie gorsze niż obecne.

Kiedy znalazł się w środku, wyciągnął z niewielkiej szafki mocno zniszczoną walizkę ze skóry fleeka i otworzył ją na rozkładanej pryczy. Na szczęście przyzwyczał się do podróżowania z małym bagażem. Włożył do walizki jedno ubranie na zmianę, najpotrzebniejsze kosmetyki i przybory toaletowe, a także kilka przedmiotów zachowanych z czasów, kiedy jeszcze mieszkał w Świątyni. Do tych ostatnich należał niewielki holocron, w

którym Mistrz Yoda zarejestrował różne aspekty kodeksu Jedi. Do walizki trafił także służący do „ostrzenia” energetycznej klingi świetlnego miecza kryształ z jaskini na Dantooine oraz duritowy relikwiarz wielkości kciuka. Kiedy rycerz Jedi otworzył relikwiarz, zobaczył kawałek czarnego metalu w kształcie łyży. Pod wpływem sztucznego oświetlenia conapty kryształ rozjarzył się najpierw na czerwono, potem na pomarańczowo, wreszcie kolejno na żółto, zielono, niebiesko i fioletowo, żeby w końcu wyemitować łagodne białe światło. Jax wpatrywał się w nie chwilę, a potem zamknął wieczko relikwiarza i wsunął go do zapinanej na zamek wewnętrznej kieszeni.

Pakując się, rozmyślał o chaosie ostatnich kilku miesięcy, a także o śmierci kolegów, mentorów i przyjaciół. Zastanawiał się, jaki los mógł spotkać Anakina Skywalkerera.

Anakin był zawsze dla Jaksa i innych padawanów wielką niewiadomą. Obaj byli niemal w tym samym wieku, więc często razem się uczyli i stacali ćwiczebne pojedynki na świetlne miecze. Wprawdzie Anakin nie miał bliskich przyjaciół – młody Skywalker zawsze zachowywał się z rezerwą i z wyższością, których nie mógł przeniknąć żaden towarzysz – ale Jax mógł się uważać za jednego z niewielu zaufanych niespokojnego młodego Jedi. Anakin zwierzył się mu nawet kiedyś, że jego mistrz, Obi-Wan Kenobi, stara się go powstrzymać przed osiągnięciem prawdziwego przeznaczenia. Kiedy to mówił, w jego niebieskich oczach pojawił się niepokojący błysk świadczący o tym, że młody Skywalker jest absolutnie przekonany o słuszności swojego oskarżenia. Jeszcze bardziej niepokojąca była jego reakcja w Mocy. Na ułamek sekundy Jax ujrzał kręte nici rozchodzącej się we wszystkie strony ciemnej energii. Nigdy i u nikogo nie widział czegoś takiego. Wyglądało to, jakby młody Jedi był źródłem bezkresnej, skomplikowanej sieci, przenikającej w czasoprzestrzeń nienawiści i rozpacz. Zjawisko trwało jednak bardzo krótko. Więź z Ciemną Stroną zaraz zanikła, i to tak szybko, że Jax nie był nawet pewny, czy w ogóle coś zobaczył. Anakin stał się znów tym samym, uśmiechniętym młodzieńcem. Ani razu o tym później nie wspomniał, więc Jax wkrótce wszystko puścił w niepamięć. Przypomniawszy sobie dopiero, kiedy doszło do pogromu.

Ostatnio coraz częściej się zastanawiał, czy nie powinien był porozmawiać o tej niepokojącej wizji z Mistrzem Kenobim, z Mistrzem Piellelem czy z jakimkolwiek innym członkiem Rady. Pytanie tylko, czy ktokolwiek dałby mu wiarę. W końcu najbardziej czcigodni członkowie Rady, utrzymujący najściślejszą więź z Mocą i najlepiej przez nią poinformowani, nie widzieli niczego złowieszczonego w aurze Anakina. Wręcz przeciwnie, uważali go za wzór wszystkich cnót Jedi. Mówiono nawet, że niektórzy widzą w nim Wybrańca. Jak mógł zwykły padawan, taki jak Jax, przeniknąć przez zasłonę, której nie mogła przebić ich świadomość?

Rycerz Jedi pokręcił głową. Do tej pory Anakin niemal na pewno zginął, a jeżeli nie, musiał uciec z Coruscant i osiedlić się na jednej z setek tysięcy znanych planet galaktyki. Nikt nie miał się dowiedzieć, czy młody Jedi rzeczywiście został wybrany, aby zaprowadzić równowagę w Mocy.

Może jednak na swój dziwny sposób ją przywrócił, skoro po tysiącletnich tolerancji i oświecenia galaktyką ponownie zawładnęła Ciemna Strona. Jax nie miał pojęcia, ile czasu będzie trwała nowa równowaga. Nie wiedział także, czy Anakin miał z tym coś wspólnego. Był pewny tylko tego, że Jedi stali się ściganą zwierzyną, a nagle, piekące uczucie straty, jakiego Jax doświadczył ostatniego wieczoru dzięki Mocy, dowodziło, że polowanie nie dobiegło jeszcze końca.

ROZDZIAŁ 5

– ...szsze je-en cooler – zażądał Den, piorunując spojrzeniem barmana. – Nalewaj następną ko-ejkę, jak tylko skończę pić poprzednią.

Barman rasy Bith skierował na niego ogromne, błyszczące czarne oczy. Den wiedział, że mają one zdumiewającą rozdzielczość, osiągającą siedem setnych w skali Gandoka. Był reporterem. Dużo wiedział.

Poinformował Bitha o tym fascynującym odkryciu.

– To oz-zacza, że m’żesz widzieć naprawdę dobrze – podsumował.

– Na tyle dobrze, aby wiedzieć, że masz dosyć – odparł bez ceregieli barman.

Den pogroził mu z dezaprobatą wskazującym palcem.

– Nie martw się, m’dobry przyjacielu... Czyżbyś nie wiedział, że doprowadzenie Sull’stanina do stanu upojenia alkoholowego jest praa-tycznie niemożliwe?

– A zatem osiągnąłeś to, co niemożliwe. Moje gratulacje – mruknął Bith, zabierając kufel Dena. – Proponuję, żebyś złapał powietrzną taksówkę i wrócił do domu. Do widzenia.

Den skoncentrował się na opuszczeniu pubu w taki sposób, aby nikt nie zauważył, że się zatacza. Kiedy wyszedł na ulicę, trochę go otrzeźwiła mieszanina cuchnących wyziewów, smrodu nieuprzątniętych śmieci, odoru potu nigdy niemytych istot różnych ras, dymów spalonych węglowodorów z rur wydechowych archaicznych pojazdów, z których korzystanie na wyższych poziomach było od wielu wieków zabronione, a także smrodu z wielu źródeł jęlczejących odpadów. Przestrzeń przed nim wprawdzie ostatnio zyskała lustrzane odbicie, a może i dwa – przynajmniej wszystko na to wskazywało – ale kierunek i siła grawitacji pozostawały mniej więcej takie same.

Den znalazł stosunkowo czyste miejsce na ulicznej ławce i usiadł. On i android I-Five wylądowali w końcu prawie przed rokiem na Coruscant, ale zanieczyszczone powietrze w połączeniu z kakofonią słów w dziesiątkach języków, wypowiedanych, wygwizdywanych, wypiskiwanym, wykrzykiwanym czy wytwarzanych w jakikolwiek inny sposób, a także widok kłębiącego się tłumu, przypomniały mu, że nie wszystko w jego życiu potoczyło się tak, jak planował. Zasoby ukrytych kredytów niemal się wyczerpały, a okres, za który zapłacił czynsz za wynajętą „luksusową” norę, także miał wkrótce dobiec końca. Den żył z dnia na dzień i z trudem wiązał koniec z końcem, wyłącznie dzięki temu, że od czasu do czasu

pisywał krótkie artykuły do rozmaitych brukowców i holożinów, ale nawet te źródła dochodów zaczynały powoli wysychać.

Nie tak wyobrażał sobie życie, wcale nie tak. Den Dhur był przecież kiedyś sławnym dziennikarzem, ale to było dawno, przed Wojnami Klonów, a zwłaszcza przed bitwą o Drongara. Sullustanin wysyłał wiadomości z frontu tamtych walk, a podczas pobytu na planecie napisał artykuł na temat Phowa Ji, bundukańskiego mistrza walki w stylu teras kasi.

Den uważał, że Ji, sławny mistrz sztuk walki wręcz, był po prostu psychopata, który lubił zabijać i wykorzystywał wojnę jako pretekst do oddawania się ulubionemu zajęciu. W końcu jednak stanął do walki z oddziałem salissjańskich najemników i całym batalionem żołnierzy Separatystów. Zabił wszystkich i zniszczył ich transportowiec, ale przy okazji sam zginął.

Niektórzy jednak uznali jego wyczyn za akt bohaterstwa. Den miał na ten temat odmienne zdanie. Podobnie uważało zresztą kilku pracowników Mobilnej Jednostki Chirurgicznej Numer Siedem Republiki, do których zaliczała się także padawanka Jedi, Barrissa Offee, przydzielona do niej jako uzdrowicielka. Jako przedstawicielka zakonu młoda kobieta stała się celem wyjątkowo złośliwych słownych i fizycznych ataków Phowa Ji. Barrissa i pozostali uważali, że w motywach działania Ji trudno się dopatrywać czegokolwiek patriotycznego czy bohaterskiego. Mieli go za brutalnego zbira, który z taką samą radością mordowałby Separatystów, jak i żołnierzy Republiki.

Właśnie taki punkt widzenia przedstawił Den w swoim reportażu. Niestety, jego wydawca, którego zdaniem opinia publiczna potrzebowała w tamtych czasach pozytywnych bohaterów, przeredagował w domu jego artykuł i przedstawił Phowa Ji jako męczennika. Na domiar złego, zanim Kanclerz Palpatine awansował na Imperatora, podczas jednego z ostatnich wystąpień publicznych zdążył poświęcić posąg Ji na placu Pomników na Coruscant.

Den zażądał usunięcia z przeredagowanego artykułu swojego imienia i nazwiska, ale większość wydawców czy redaktorów i tak dobrze znała jego opinię na temat Phowa Ji i jego rzekomo bohaterskich wyczynów. A jeżeli dodać do tego, że Palpatine był obecnie Imperatorem i krzywo patrzył na każdego właściciela środków przekazu, który ośmieliłby się sugerować, że niedawno zakończona wojna nie była chlubnym epizodem w historii galaktyki, Den został niemal z dnia na dzień objęty zakazem publikowania artykułów.

Próbował napisać powieść, kierując się raczej wątplym przekonaniem, że niepopularny punkt widzenia będzie mu łatwiej przedstawić jako literacką fikcję. Niech to zaraza, był przecież świetnym reporterem. Niestety fakt, że jego komunikator nagle przestał dzwonić, wpłynął niekorzystnie nie tylko na stan jego konta, ale także na samopoczucie. W końcu Den Dhur, rozgoryczony i coraz bardziej rozczarowany, zaczął często odwiedzać pobliskie puby i bary.

W ciągu ostatnich kilku tygodni poważnie myślał, żeby rzucić wszystko i w jakiś sposób powrócić na Sullustę. Gdyby tam dotarł, mógłby znów skontaktować się z Eyarą Marath, urodziwą tancerką i piosenkarką, poznaną podczas pobytu na Drongarze, gdzie pracował jako

reporter biuletynu informacyjnego HoloNetu. Sullustanka zaproponowała mu wówczas zaszczytne stanowisko małżonka w swoim stadzie. Z początku Den nie miał wielkiej ochoty przyjąć jej propozycji, bo nie czuł się wystarczająco stary, aby przejść na emeryturę, i to niezależnie od woli właścicieli środków przekazu, ale ostatnio propozycja zostania patriarchą rodu coraz bardziej go pociągała. Szacunek i poważanie, jakim by się cieszył na rodzinnej planecie w wygodnej, rodzinnej jaskini, wydawały mu się lepsze niż wegetowanie na najniższych poziomach stolicy galaktyki.

Prawdę mówiąc, tylko jedna rzecz trzymała go tak długo pośród konstrukcji z permabetonu i plastali: I-5YQ. Den nigdy nie traktował androida jak oznaczony numerem seryjnym przedmiot. Dla niego jednostka protokolarna nazywała się po prostu I-Five. Ostatnio zresztą przestał nawet uważać ją za androida. I-Five był jego przyjacielem... Jednym z niewielu na tej czy każdej innej planecie, którego mógł darzyć nieograniczonym zaufaniem.

Podobnie jak niemal wszyscy w galaktyce były reporter uważał, że androidy są tylko maszynami. Maszyny te umiały wprawdzie przetwarzać kolosalne ilości danych, a jeśli były podobne do istot człękokształtnych, potrafiły zdumiewająco wiernie naśladować zachowanie istot żywych, po prostu umożliwiało to ich oprogramowanie. Zważywszy na pojemność pamięci oraz szybkość sieci neuronowych czy procesorów połączeń synaptycznych, mogły zostać wyposażone w zestaw podstawowych odpowiedzi i reakcji, żeby na ich podstawie heurystycznie ekstrapolować zachowanie ludzi, Falleenów, Geonosjan czy istot niemal każdej innej rasy. Na tym jednak właściwie kończyły się ich możliwości. Osiągnięcie prawdziwej samoświadomości uniemożliwiały androidom tłumiki kreatywności, obwody i oprogramowanie zabraniające przejawiania określonych reakcji, a także inne wbudowane ograniczniki. Dzięki nim człękokształtne automaty miały w galaktyce ten sam status społeczny co elektrokłucze. Z większym szacunkiem traktowano nawet niewolników na pograżonych w mrokach barbarzyństwa planetach Zewnętrznych Rubieży.

To była wygodna teoria. Dla większości ludzi to samo, chociaż w mniejszym stopniu, odnosiło się do klonów tworzących trzon armii Republiki. Istoty inteligentne uważały je na ogół za „umięśnione androidy”, zaledwie odrobinę lepsze niż obdarzone umiejętnością mówienia automaty, bo klony tak zmodyfikowano pod względem genetycznym i psychicznym, żeby nie obawiały się śmierci i były zawsze gotowe do walki.

Rzeczywiście, teoria była wygodna. Jedyne problemy stwarzały tutaj wyjątki, do których zaliczał się także I-Five. O ta-a, akurat, jak mawiali Ugnaughtowie. Rzeczywiście. Zgryźliwy android i cyniczny reporter zaprzyjaźnili się podczas pobytu w cieplarni, jaką była planeta Drongar. Dwie armie toczyły tam walkę o panowanie nad uprawami cudownej rośliny, zwanej botą, tak długo, aż po mutacji plonów roślina straciła wartość, a dalsza walka wszelki sens.

Potem Den towarzyszył androidowi w drodze powrotnej na Coruscant, żeby mu pomóc wywiązać się z obietnicy, która była dla niego czymś w rodzaju uroczystej przysięgi. Dotarcie

do stolicy zajęło im kilka miesięcy, bo z powodu trwającej wojny nie mogli lecieć tam bezpośrednio i musieli zrobić kilka przerw w podróży. Od czasu wylądowania na Coruscant I-Five nie posunął się jednak daleko w poszukiwaniach syna swojego byłego partnera, Lorna Pavana. Android, chociaż niechętnie, doszedł do wniosku, że Lorn nie żyje, ale znalazł bardzo niewiele informacji o szczegółach jego śmierci. Wyglądało na to, że wszelkie fakty utajniono tak starannie, jakby je pogrzebano w nieoznakowanych grobach. Syn Lorna jednak był wychowywany jako Jedi, więc znalezienie go nie powinno być bardzo trudne. Niestety, zaraz po tym, kiedy Den i I-Five przylecieli na Coruscant, Republika zmieniła się nagle w Imperium. Teraz obaj musieli się bardzo starać, żeby się nie dać wytropić i schwycić. W końcu, kiedy spowodowana zmianą władzy zawierucha się uspokoiła – na tyle, na ile było to możliwe na najniższych poziomach – obaj stwierdzili z przerażeniem, że niemal wszyscy Jedi zostali brutalnie zamordowani.

Z krążących plotek wynikało jednak, że trochę ich przeżyło. Podobno nawet niektórzy ukrywali się tu, na Coruscant. To właśnie dlatego I-Five nie zrezygnował z poszukiwań.

Czy jednak ich dalsze prowadzenie miało jakikolwiek sens? Den zastanawiał się nad tym z niejakim wysiłkiem, kiedy jego neurony usiłowały na oślep przeniknąć przez alkoholową mgłę. Sullustanin nie znosił tego pytania, ale ilekroć o tym rozmyślał, za każdym razem dochodził do takiego samego wniosku: nie miało. Żadnego sensu. Do tej pory syn Lorna Pavana albo zdążył odlecieć, albo został przerobiony na karmę dla akków. Tak czy owak, nie można było na to nic poradzić. Pozostali Jedi rozproszyli się na cztery strony świata – co zdaniem Dena było rozsądnym zachowaniem – ale nawet jeżeli Jax Pavan przebywał nadal gdzieś na Coruscant, szanse przypadkowego spotkania go na rogu ulicy nie były zbyt wysokie w mieście liczącym tryliony mieszkańców i zajmującym powierzchnię całej planety.

Den musiał jednak przyznać, że lojalność I-Five wobec byłego partnera i determinacja, z jaką android usiłował wypełnić ostatnie życzenie Lorna, który przykazał mu opiekować się synem, są godne pochwały. Cóż, kiedy nie miały sensu.

– Powinien to zauważyć nawet jego wielki pozytronowy mózg – mruknął do siebie Sullustanin.

Wstał, trochę chwiejnie zrobił w tył zwrot i od razu zderzył się z trzema zakutymi od stóp do głów w pancerze Gankami. Jeden z nich, z szacunkiem i troskliwością charakterystyczną dla istot swojej rasy, chlasnął Dena na odlew z taką siłą, że drobny Sullustanin przeleciał w powietrzu sporą odległość i wylądował w zaśmieconym rynsztoku. Drugi Gank wyciągnął wibronóż, podszedł do Dena i pochylił się nad nim. Wielojęzyczny tłum rozstąpił się, co wyglądało, jakby Gankowie i Sullustanin znaleźli się pod niewidoczną kopułą. Wszyscy obchodzili ich szerokim łukiem, nie zwracając uwagi na ofiarę tej brutalnej napaści.

Den usiłował wstać, ale trzeci Gank stanął nad nim i nadepnął mu na klatkę piersiową.

– Za późno na przeprosiny, co? – wychrypiał były reporter.

Gank z wibronożem w dłoni włączył ostrze. Z wibrującej broni wydobył się wysoki

skowyt, a monomolekularna klinga rozmazała się i zniknęła. Na zasłoniętych hełmami twarzach pozostałych dwóch napastników nie malowały się żadne uczucia. Uzbrojony w wibronóż Gank sięgnął wolną ręką do jednego z łagodnie zaokrąglonych uszu Sullustanina... i nagle nad ramieniem bandyty pojawiła się srebrzysta mechaniczna ręka, wyszarpnęła wibrującą broń z palców zaskoczonego właściciela i rzuciła ją na bruk. Klinga wbiła się w durbeton po samą gardę.

– Co za maniery, co za maniery... – dał się słyszeć strofujący, chociaż miły głos. – On naprawdę chciał was przeprosić.

Gankowie odwrócili się i zobaczyli protokolarnego androida, który stał za nimi z uniesionym palcem wskazującym, jakby ich napominał. Czubek palca jarzył się na czerwono.

– Wiem, wiem, co myślicie: „Wszyscy wiedzą, że tłumiki zachowań protokolarnego androida uniemożliwiają mu wyrządzenie krzywdy inteligentnej istocie organicznej”. – Den zauważył, że cienki czerwony promień lasera kieruje się w dół. W końcu durastalowy palec wziął na cel czoło najbliższego Ganka, trochę powyżej miejsca pod hełmem, gdzie powinny się znajdować oczy. – Przykro mi – ciągnął android – ale w tym przypadku jesteście w błędzie.

Gankowie spojrzeli po sobie i chyba milcząco doszli do tego samego wniosku, bo wszyscy trzej jak na komendę odwrócili się i wtopili w obojętny tłum.

Android pochylił się i pomógł Denowi wstać. Sullustanin otrzepał ubranie z odpadków.

– Następnym razem nie zwlekaj tak długo – burknął.

– Co właściwie miałeś na myśli? – Z fotoreceptorów I-Five wyzierała urażona niewinność. – Obliczyłem, że mam całe dwie koma siedem dziesiątych sekundy, zanim klinga wibronoża zetknie się...

Den uniósł obie ręce, żeby przerwać potok słów androida.

– Dobrze, dobrze! – powiedział. – Oszczędź mi słuchania krwawych szczegółów. A przy okazji, dziękuję.

Na nieruchomej metalowej twarzy pojawił się wyraz bardzo podobny do rozbawienia.

– Żyję, aby służyć – oznajmił I-Five.

ROZDZIAŁ 6

Nedijanin Kaird przemierzał tam i z powrotem swój luksusowy apartament, zastanawiając się nad popełnieniem morderstwa.

Prawdę mówiąc, nie było po temu dobrej okazji. Już wiele razy Kaird zastanawiał się, jak by odebrać komuś życie, a później niejednokrotnie wcielał zamiar w czyn. Problem zabicia innej inteligentnej istoty nie miał dla niego wymiaru moralnego. Przy podejmowaniu decyzji Kaird kierował się wyłącznie względami praktycznymi. Liczyło się tylko to, czy posłanie konkretnej istoty do Wielkiego Gniazda będzie służyło celom Nedijanina, czy też wyłącznie zaspokoi jego żądze zemsty i wygładzi kilka chwilowo nastroszonych piórek. Gdyby chodziło tylko o to drugie, zabijanie nie miałoby sensu. Jak powiadali Aqualishanie, „zemsta to chłodny prąd, w którym trzeba pływać”. Na zniewagi i afronty powinno się reagować tylko wówczas, kiedy przyspieszało to realizację własnych planów. Honor był luksusem, na który praktyczne istoty nie mogły sobie pozwalać.

W tym konkretnym wypadku pokusa była jednak zbyt silna, żeby się jej oprzeć. Kaird chodził więc tam i z powrotem i rozmyślał, jak najlepiej się pozbyć swoich wrogów.

A zwłaszcza jednego...

Kaird awansował szybko w hierarchii Czarnego Słońca. Niewiele ponad standardowy rok wcześniej był szeregowym, chociaż bardzo dobrym skrytobójcą. Od tamtej pory stał się w organizacji najdoskonalszym mistrzem fugi i bardzo starannie dobierał sprzymierzeńców. Obecnie zaś, po ponad roku działalności, dzięki umiejętnemu manipulowaniu zajmował godne zazdrości stanowisko: miał wkrótce zostać vigiem.

Wkrótce, ale nie natychmiast, przypomniał sobie. W wewnętrznym kręgu Dala Perhiego, obecnego lorda Czarnego Słońca, było miejsce tylko dla jednego nowego członka, a jego najgroźniejszym przeciwnikiem w wyścigu do tego stanowiska był falleeński książę Xizor.

Falleenowie byli zawsze zagadkowymi istotami i rzadko szukali kontaktów z obcymi. Reszta galaktyki wiedziała o nich właściwie tylko tyle, że niemal nigdy nie opuszczają macierzystego systemu. W kontaktach z przedstawicielami innych ras dawali się poznać jako osoby łagodne i elokwentne. W przeciwieństwie do dwulicowych Neimoidian nie byli obłudni ani przymilni, chociaż znacznie mądrzejsi i nie tak bezpośredni jak mówiący bez ogródek Dresselianie. A przy tym wyglądali naprawdę dobrze. Istoty tej rasy osiągały ponad

półtora metra wzrostu, a symetryczna, mezomorficzna budowa ciała pozwalała im na zmianę karnacji. Mieli klasyczne rysy i skórę zależnie od nastroju indywidualnego osobnika w pełnej gamie kolorów, od zielonego do pomarańczowo-czerwonego, a także lśniące włosy. Daleko im było do odrażającego wyglądu pozbawionych upierzenia istot dwunożnych.

Co więcej, Falleenowie potrafili wydzielać zwiększoną ilość rozmaitych feromonów, dzięki czemu łatwo zyskiwali sympatię. O tej ostatniej umiejętności na ogół nie wiadano, bo Falleenów widywało się bardzo rzadko, a podczas kontaktów z innymi rasami nie mieli zwyczaju chwalenia się tą właściwością swoich organizmów. Kaird poznał jednak w nieodległej przeszłości Falleenkę Thulę i wiedział, że uwalniane przez gruczoły apokrynowe istot obojga płci tej rasy feromony mogą wywoływać u ich ziomek pożądane reakcje, do których zaliczał się także pociąg fizyczny. Oprócz feromonów Falleenowie umieli także wytwarzać allelochemiczne związki wywołujące strach, podniecenie, gniew, wątpliwości albo dezorientację u istot większości ras wrażliwych na takie związki chemiczne. Dzięki takiemu oddziaływaniu na podświadomość istoty tej rasy osiągnęły dużą biegłość w manipulowaniu nastrojami i emocjami, a Xizor, książę rodu Sizhran, jednej z najstarszych monarchii Falleenów, był w tej sztuce mistrzem nad mistrzami.

Nawet jednak bez biochemicznego wspomaganie Falleenowie zasługiwali na opinię urodzonych intrygantów politycznych. Najlepszym tego dowodem był Xizor. Ten wytworny gracz wierzył bez zastrzeżeń w słowa znakomitego stratega, generała Grievousa: „Trzeba żyć w zgodzie z przyjaciółmi, ale w jeszcze większej z wrogami”. Kaird wyznawał podobną filozofię życiową. Bawiło go – ciesząc przy tym jego rywala – umniejszanie jego osiągnięć przy równoczesnym subtelnym podkreślaniu porażek: „Książę Xizor pozbył się Bractwa Jalorian w sposób imponujący i pomysłowy. Nie dał wprawdzie rady odzyskać ładunku ognistych szmaragdów, które pochłonęła Khadajańska Osobliwość, ale to w żaden sposób nie umniejsza znaczenia jego wyczynu”. Albo: „Nieporozumienie związane z próbą zamordowania khommickiego ambasadora to prawdziwe nieszczęście, ale trzeba pamiętać, że Khommici to klony. Można się było spodziewać, że jeden z nich zostanie wzięty za innego... zważywszy na niewystarczającą dokładność zebranych informacji”.

Xizor nigdy nie okazał zdenerwowania z powodu takich zawoalowanych uszczypliwości, lecz ani razu nie pozostał dłużny. „Raczej nie zawiniła kiepska jakość przekazanych informacji” – oznajmił, odpowiadając na ostatnią insynuację Kairda – „tylko interpretacja tych danych. Nie wybierałem osobiście ekipy skrytobójców. Przekazałem im tylko ważne informacje... Z których większość najwyraźniej została zignorowana”.

Zabójców wybrał oczywiście Kaird i to on poinstruował ich, co robić. Właśnie tak wyglądała rywalizacja jego i Xizora. W dążeniu do tego samego celu, jakim było uzyskanie przychylności lorda Perhiego, jeden starał się nieustannie przechytryć drugiego.

Kaird wiedział, na czym zależy Falleenowi: na władzy i na poczuciu bezpieczeństwa w organizacji, a także na dobrym starcie przy ubieganiu się o stanowisko lorda. Ten sam cel

przyświecał zresztą także większości rywali. Jedynym sposobem osiągnięcia go było wdrapanie się jak najwyżej w hierarchii Czarnego Słońca. Szczytem marzeń było uzyskanie tytułu viga. Ośmiu wybitnych członków organizacji dorównywało vigowi pod względem zakresu władzy, ale wszystkich przewyższał tylko jeden: lord Perhi. Xizorowi zależało na jego potędze i autorytecie. Choćby nawet nie był falleeńskim księciem, miał do dyspozycji prawie nieograniczone środki finansowe. Jego fasadowa firma, Systemy Transportowe Xizora, przynosiła mu rocznie miliony kredytów dochodu bez potrzeby kiwnięcia wymanikiowanym palcem. Nie brakowało mu także damskiego towarzystwa; nawet gdyby nie był tak bogaty ani przystojny, niewidoczne chmury feromonów, które umiał w razie potrzeby roztaczać wokół siebie, gwarantowały mu zainteresowanie wszystkich istot płci pięknej, na które zechciał zwrócić uwagę. Ale Xizor pożył tylko jednego: potęgi i władzy, a to mogło mu zapewnić tylko stanowisko lorda Czarnego Słońca. Od upragnionego celu dzieliło go bardzo niewiele; właściwie miał go w zasięgu ręki. Kaird wyraźnie to dostrzegł w jego przysłoniętych błonami mrużnymi, niebieskofioletowych oczach.

On sam miał fioletowe oczy i doskonały wzrok. Jego ptakopodobni przodkowie mieszkali kiedyś na pokrytych śniegiem wysokich szczytach odległej planety Wschodniej Spirali, Nedija, gdzie między innymi polowali na człekokształtne istoty, bardzo podobne do Falleenów. Kaird nie umiał latać; był silniejszy i szybszy niż większość istot innych ras, ale nie miałby najmniejszej szansy w bezpośredniej konfrontacji z księciem, mającym lepsze warunki fizyczne i znającym sztukę walki wręcz. Co prawda nie zamierzał z nim stawać do pojedynku... Tym bardziej że i on był bliski osiągnięcia swojego celu.

Zastanowił się, co powiedzieliby książę Xizor, lord Perhi i większość znajomych, gdyby znali prawdziwy cel jego życia. Kaird nie pożył władzy dla niej samej. Nie zamierzał zostawać prawą ręką lorda ani nawet samym lordem. Zależało mu na czymś zupełnie innym.

Chciał wrócić do domu.

Wrócić na Nedija, do oświetlonych promieniami słońca wysokich, stromych skał i przylądków rodzinnej planety. Wrócić do swojego stada. Ziomkowie chyba by go przyjęli; do tej pory wykroczenia, za które go wygnano, powinny zostać puszczane w niepamięć. Nawet gdyby się okazało, że jest inaczej, Kaird zamierzał powrócić, choćby się musiał gnieździć samotnie. Samotność na Nediju była lepsza niż wegetowanie w towarzystwie łajdaków tu, na Coruscant.

„Tu, na Coruscant” nie było zresztą ścisłym określeniem, bo Kaird i Xizor nie przebywali na powierzchni samej planety. Czarne Słońce miało rozsiane po wszystkich zakątkach galaktyki bezpieczne kryjówki. Ta konkretna była sztuczną planetoidą – gwiazdą stacją krążącą po geosynchronicznej orbicie. Łączył ją z planetą durakablowy szyb długości trzydziestu siedmiu tysięcy siedmiuset trzydziestu kilometrów. Dla nielicznych Coruscant, wystarczająco bogatych albo ważnych, aby w ogóle bywać na orbicie, Sinharan T'sau była tylko jeszcze jedną prywatną planetoidą. Wyglądała jak przysłonięta kopułą oaza z

rzeźbionego tachylitu. Obsydianowe skały i turnie usiane były pomarańczowymi janowcami, purpurowymi fiołkami i innymi egzotycznymi roślinami. Pod połyskującą czarną powierzchnią kryło się jednak sanktuarium, znane pod nazwą Północna Hala. W jej przypominających labirynt mrocznych komnatach i korytarzach załatwiano większość interesów Czarnego Słońca. To właśnie tu Kaird spędził ponad połowę ostatniego roku.

Nienawidził tego miejsca. Gdyby ktoś zaprojektował piekło z jego wyobrażeń, nie mógłby się lepiej wywiązać ze swojego zadania. Pomieszczenia były wprawdzie jasno oświetlone i dobrze przewietrzane, ale mimo to Nedijanin czuł się tak, jakby przytłaczała go masa ciężkich kamieni, gotowych w każdej chwili strzaskać jego kruche kości. Wiedział oczywiście, że nic podobnego nie mogło się wydarzyć, ale świadomość tego faktu nie pozwalała pozbyć się strachu.

Kaird zakładał, że spędzi w takich warunkach dwa, najwyżej trzy lata. Chciał najpierw umocnić swoją władzę jako vigo, a później wykorzystać ją do poznania wszystkich drastycznych, drobnych sekretów, jak na przykład miejsc, gdzie chowano wrogów organizacji w nieoznakowanych mogiłach... i tak dalej. Doskonale wiedział, że tylko wtedy dożyje zasłużonej emerytury, jeżeli będzie trzymał wystarczająco wielki miecz nad głowami rywali... A może tylko najważniejszego.

Dla większości agentów służba w Czarnym Słońcu oznaczała zaangażowanie się na resztę życia, jeżeli się nie miało ochoty tego życia przedwcześnie utracić. Można było wprawdzie zrezygnować z dalszej służby, łudząc się, że oto udało się osiągnąć to, czego dotąd nie zdołał dokonać nikt inny. Można było nawet znaleźć gościnną, spokojną planetę z daleka od głównych gwiazdnych szlaków, gdzie wystarczająco zamożny przybysz zostałby powitany bez zadawania pytań i z szeroko otwartymi ramionami. Wcześniej czy później jednak, kiedy się przestawało zachowywać środki ostrożności, rozlegało się pukanie do drzwi i były agent miał tylko tyle czasu, aby pożałować, że je otworzył, bo chwilę później ginął rażony blasterowym strzałem.

Kaird dobrze o tym wiedział, bo wielokrotnie sam stał po drugiej stronie drzwi z gotowym do strzału blasterem w dłoni. Nie zamierzał ryzykować, że spotka go podobny los.

A już raz mało brakowało. Było to krótko po zakończeniu działań zbrojnych, znanych pod nazwą bitwy o Drongara. On i dwoje jego znajomych przemytników, Falleenka Thula i Umbaranin Squa Tront, przechwycili jeden z ostatnich transportów wartościowej boty. Kaird miał nadzieję, że jeżeli podzieli się z Czarnym Słońcem zyskami z jej sprzedaży, zaskarbi sobie wdzięczność vigo, a oni pozwolą mu przejść w stan spoczynku... zwłaszcza że był dla nich niewygodnym świadkiem, bo znał miejsca pochówku wielu ich wrogów. Nie miał jednak okazji się o tym przekonać. Jego towarzysze go przechytrzyli, czmychnęli z całym transportem boty i pozostawili go w przestworzach z bombą, którą udało mu się wykryć dosłownie w ostatniej chwili.

Na wspomnienie o tym Kaird poczuł, że jeżą mu się piórka na szyi. Utrata boty oznaczała

konieczność rezygnacji na długo, może nawet na zawsze, z marzeń o powrocie na Nedija, bo bez cennego transportu jego pozycja w organizacji nie była na tyle silna, żeby mógł sobie na to pozwolić. Cały czas wierzył, że zemsta jest dobra dla amatorów, ale gdyby kiedyś spotkał na swojej drodze parę oszustów, zapewne zrobiłby dla nich wyjątek.

Usłyszał cichy sygnał chronometru i przypomniał sobie, że to pora spotkania z lordem. Niestety, mieli w nim uczestniczyć także dwaj wyznaczeni wigowie. Wielka szkoda. Gdyby mógł porozmawiać z lordem Perhim sam na sam, może zdołałby przyspieszyć realizację swoich marzeń...

Ciężko westchnął. Mógł się tylko starać ze wszystkich sił i mieć nadzieję, że wiatr od ogona popchnie go szybciej ku upragnionemu celowi. Przez ten czas zamierzał nadal odgrywać swoją rolę, trzymać język na wodzy i wyrażać się z uznaniem o wrogach, ilekroć mogli go usłyszeć oni lub ich szpiedzy.

Nikt nie znał jednak jego myśli, więc Kaird doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi się zająć czymś pożytecznym. Po drodze na spotkanie zaczął obmyślać najróżniejsze, najbardziej wymyślne sposoby zlikwidowania księcia Xizora. Od razu poczuł się o wiele lepiej.

ROZDZIAŁ 7

Na tych poziomach Coruscant, gdzie o widoku promieni słońca opowiadano dzieciom i wnukom, nigdy nie panowała całkowita ciemność. Na poziomie najniższych slumsów planety-miasta nie widziało się ani prawdziwego dnia, ani prawdziwej nocy. Istoty mieszkające na powierzchni albo blisko niej żyły w nieustannym elektroluminescencyjnym blasku. Chromatyczne błyski neonu, argonu i innych zjonizowanych gazów rozjaśniały ulice Slumsów Blackpit o każdej porze dnia i nocy, chociaż niewiele żyjących tu istot uznawało obowiązujące na wyższych poziomach pory standardowej doby. Większość lokali usługowych zresztą i tak była otwarta przez cały dwudziestoczerogodzinny cykl, a istoty najróżniejszych ras kierowały się na ogół własnym rytmem biologicznym, bez względu na to, jaki mógł się wydać dziwaczny.

Może częściowo dlatego Nickowi Rostowi świat najniższych poziomów zawsze wydawał się niezbyt realny. Miał dziwny, fantasmagoryczny wymiar, który czasami go fascynował, a kiedy indziej przyprawiał o frustrację. Oficer czuł się niekiedy tak, jakby nosił na skórze plaster nasączony sennoprzyprawą, albo jakby właśnie zażył jakiś mocny środek halucynogeny.

Teraz, podczas lotu lądowym śmigaczem wąską uliczką, wrażenie było szczególnie silne. Jego chronometr pokazywał trzecią czterdzieści dwie – po prostu taka pora była na wyższych poziomach, gdzie dzień i noc miały jakieś znaczenie. Tu zaś, na dole, w niekończącym się nigdy elektrycznym półmroku, czas odgrywał zupełnie inną rolę. Nie dało się go wyrazić w kategoriach sekund, minut czy godzin. Na najniższych poziomach Coruscant czas określało się inaczej: albo się miało już dość, albo jeszcze nie. W ostatnim okresie Nickowi się wydawało, że nigdy nie ma dosyć.

Zanim Mistrz Pieli wydał ostatnie tchnienie, wyjaśnił mu, dlaczego jego zadanie było takie ważne. Powiedział także, kto po jego śmierci ma się zająć jego wykonaniem. Zlecił to swojemu byłemu padawanowi Jaksowi Pawanowi, który został pasowany na rycerza Jedi zaledwie kilka miesięcy przed końcem wojny. Mistrz Pieli aż do śmierci poszukiwał Pavana, a teraz musiał się tym zająć Nick Rostu.

Na pierwszy rzut oka zadanie było niemożliwe do wykonania. Jak można odnaleźć konkretną osobę w mieście zajmującym całą powierzchnię planety? Na szczęście Nick znał

trochę Pavana przed rozwiązaniem zakonu Jedi, a jedna z pieczołowicie tworzonych przez bojowników ruchu oporu Whiplash baz danych zawierała informacje na temat nielicznych Jedi, którzy cały czas przebywali na Coruscant. Nick nie znalazł tam wprawdzie konkretnego adresu Pavana, ale upewnił się, że rycerz Jedi przebywa w sektorze Yaam, zwanym także sektorem 1Y4F, w niższych rejonach Slumsów Blackpit, gdzieś w pobliżu alei Amtor.

Sektor Yaam zajmował fragment pasa równikowego niemal pięć tysięcy kilometrów na wschód i czterysta na północ od obecnego miejsca pobytu oficera. Pierwszy etap podróży Nick pokonał superpociągiem – jednym z kwitujących na poduszce magnetycznej ogromnych środków transportu – który mknął szczelną rurą z prędkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Przed skutkami potężnych sił odśrodkowych i przeciążeń chroniły pasażerów inercyjne tłumiki, a panująca w rurze niemal idealna próżnia zmniejszała właściwie do zera opór powietrza. Podróż w komfortowych warunkach trwała niewiele ponad dwie i pół godziny. W ciągu tego czasu Nick pokonał prawie jedną ósmą obwodu planety, uwzględniając nawet objazd ogromnego krateru po potężnej eksplozji.

Na tym objeździe pociąg zwolnił, dzięki czemu pasażerowie mogli dokładnie obejrzyć rozmiary zniszczeń. Krater miał średnicę siedmiu kilometrów, a jego ściany i dno wyglądały jak stopione czarne szkło. Wokół leja wznosiły się szczątki konstrukcji, podobne do powyginanych niedopałków gigantycznych świec. Powierzchnię planety szpeciło wiele podobnych kraterów – upiornych pamiątek po dywanowych nalotach, jakich dokonywali na Coruscant Separatyści w ostatnich dniach wojny.

Nick przesiadł się na stacji Ts'chai, żeby ostatnią część drogi przejechać wagonem jednoszynowej kolei. Wysiadł na dworcu Yaam. Tam czekał już na niego jeden z bojowników ruchu oporu. Dostarczył ślizgacz, którym Nick zapuścił się w głąb Slumsów Blackpit.

Lecąc stromo w dół, obserwował z niepokojem, ale i z fascynacją zanik lub stopniowe karłowacenie wszelkiej roślinności. Widział to zjawisko już wcześniej, ale nigdy dotąd nie zachodziło tak szybko. Na wysokości sto piętnastego poziomu zamiast powietrza zastał drażniącą oczy mgłę, a cuchnące wyziewy tak mocno atakowały powonienie, że Nick zaczął się zastanawiać, czy nie przesłonić kabiny przezroczystą owiewką. Wiedział, że to skutek przegrzania węglowodorów i ozonu, wywołany przez temperaturową warstwę inwersyjną. Brało się to stąd, że mieszkańcy najniższych poziomów palili olej, drewno, odchody zwierząt i wszystko, co tylko mogli, żeby uzyskać energię i zapewnić sobie ciepło. Na wyższych poziomach, dokąd jeszcze docierały promienie słońca, warstwy atmosfery były patrolowane przez automaty do odświeżania, dzięki którym powietrze było względnie czyste, ale tu, na samym dole, nikt nawet nie słyszał o podobnych udogodnieniach.

Pod warstwą cuchnącego brązowego gazu istniał zupełnie inny świat... świat, który Nick Rostu poznał aż za dobrze.

W powietrzu latało tu mniej pojazdów niż na górze, i całe szczęście, bo piloci byli o wiele mniej doświadczeni. W pewnej chwili Nick o mało się nie zderzył z pilotem lądowego

śmigacza, który ciągle zbaczał z kursu w prawo. Wyglądało na to, że pojazd ma uszkodzoną sterburtową łopatkę repulsora. Pilotujący maszynę flegmatyczny Ortolanin zareagował na niemal pewną katastrofę tylko nieznacznym drgnieniem niebieskiej trąbki, by po chwili roztopić się w mglistym półmroku.

Większość budynków w sektorze Yaam stanowiły drapacze chmur – najwyżej po siedemset albo osiemset metrów wysokości, a więc niewiele w porównaniu z imponującymi, ponad dwukilometrowej wysokości iglicami w okolicy równika. Budowle stały tu niezwykle blisko siebie. Sektor Yaam zaliczał się do najstarszych na Coruscant, chociaż był młodszy niż dzielnica Petrax. Większość tutejszych gmachów powstała, zanim jeszcze zniknęły oceany. Przeważały kręte i wąskie ulice, bo w zamierzchłych czasach nie przewidywano stosowania dużych pojazdów transportu lądowego. Nick nie wiedział, czy to prawdziwy powód, ale wcale się tym nie przejmował. Liczyło się tylko, że wąskie i kręte ulice w tej okolicy przyprawiały go o rodzaj klaustrofobii. Jakby tego nie było dość, wiele ulic, mocno na wyrost nazywanych alejami, kończyło się nagle i niespodziewanie, bo kiedyś, wiele wieków wcześniej, jakiś kabotyn postanowił zbudować dom w poprzek ulicy. Chwilami Nickowi udawało się przedzierać przez ten labirynt całkiem zręcznie, ale najczęściej, kiedy ulica kończyła się ślepym zaułkiem, musiał zawracać i szukać innej drogi. Jego sytuacji nie poprawiało wcale, że ślizgacz miał uszkodzony pokładowy czytnik miejsca, w którym się obecnie znajduje.

W końcu jednak, choć z trudem, znalazł miejsce, którego poszukiwał. Aleja Amtor była zdecydowanie zbyt szumną nazwą dla wąskiej uliczki. Po obu jej stronach wznosiły się upstrzone plamami sadzy towarowe magazyny o bramach tak szerokich, że dałoby się przez nie przepchnąć bantha. Obok widać było lądowiska i wielkie budowle, ginące w mglistym półmroku. Kilka przecnic dalej Nick zauważył pełzak towarowy, mozolnie sunący po torze w górę pionowej ściany z transportem dla odbiorców z wyższych pięter. Jeszcze dalej między potężnymi zaciskami generatora podstacji energetycznej przeskakiwały purpurowo-błękitne błyskawice elektrycznych wyładowań o mocy wielu gigawatów.

Wszędzie wokół także błyskały różnobarwne, chociaż słabsze światła. Nawet na najniższych poziomach dzielnicy przemysłowej trudno było uniknąć atakowania zmysłów przez latające kule reklamowe i ogromne holoplansze. Lecąc powoli w głąb ulicy, Nick rejestrował kątem oka zmieniające się jak w kalejdoskopie trójwymiarowe reklamy zachwalające rozmaite uciechy, obsceniczne domeny HoloNetu, a nawet nielegalne substancje.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał znosić tego zbyt długo. Musi tylko znaleźć właściwy budynek. Włączył automatycznego pilota i jeszcze bardziej zwolnił. Lecąc cały czas dość wysoko, żeby zniechęcić potencjalnych porywaczy pojazdów do przejścia kontroli nad jego ślizgaczem, zaczął się koncentrować.

Każdy padawan Jedi potrafiłby dzięki Mocy pilotować ślizgacz, posługiwać się nią do

szukania innej wrażliwej na Moc osoby, a prawdopodobnie także prowadzić rozmowę. Nick nie był jednak Jedi. Niewątpliwie miał zakodowaną w genach umiejętność kontaktowania się z Mocą, ale nawet jeżeli jego przodkowie byli Jedi, odziedziczona po nich wrażliwość na Moc była najwyraźniej bardzo słaba w porównaniu z tym, czym oni kiedyś dysponowali. Dawniej, kiedy Nick przebywał na Haruun Kal, rzadko wykorzystywał wrażliwość na Moc inaczej niż do wydawania rozkazów akkom, a wykonywanie wielu czynności równocześnie stanowczo przekraczało jego możliwości. Niektórzy członkowie jego ghósha potrafili to wprawdzie robić lepiej niż on, ale jedynym znanym mu Korunnai, który opanował tę sztukę do perfekcji, był Kar Vastor. Vastor pograżył się jednak w nurcie Ciemnej Strony.

Można byłoby pomyśleć, że Nick ma przed sobą dość proste zadanie. W końcu ile wrażliwych na Moc istot może mieszkać na takiej ulicy, w takich slumsach, zwłaszcza po likwidacji zakonu Jedi? Nick wiedział jednak, że Jedi zazwyczaj potrafią ukrywać swoją więź z Mocą, więc ci nieliczni, którzy ocaleli z pogromu, mogli być zmuszeni do posługiwania się tą umiejętnością. A wtedy zadanie odnalezienia Pavana może się okazać bardzo skomplikowane.

Nick musiał jednak próbować.

Usiadł prosto w powoli lejącym ślizgaczu, zamknął oczy i jeszcze bardziej się skoncentrował.

Nie wyczuł niczego.

Westchnął i przeszedł do planu awaryjnego. Zaczął wypytywać nielicznych przechodniów, których uwagę udało mu się zwrócić, czy gdzieś w okolicy nie widzieli dwudziestokilkuletniego mężczyzny o ciemnych włosach. Z początku wszystko wskazywało, że jego starania zakończą się podobnym niepowodzeniem jak przed chwilą, kiedy usiłował odnaleźć Pavana dzięki Mocy. W końcu jednak natknął się na protokolarnego androida serii C-3PO, który musiał spędzić na najniższych poziomach sporo czasu, sądząc po grubej warstwie śnieży, sadzy i brudu na alabastrowym niegdyś pancerzu. Android był własnością miejscowego huttańskiego gangstera o imieniu Rokko i z początku odmówił poszukania odpowiedzi w pojemnych bazach danych swojej pamięci. W końcu jednak, chociaż niechętnie, przedstawił Nickowi listę dziesięciu mężczyzn, którzy przynajmniej w przybliżeniu odpowiadali rysopisowi Pavana.

Pierwszy z nich mieszkał w rezydencyjnym osiedlu tuż za rogiem, w trzydziestometrowej wysokości budynku z ciemnoszarego ferrobetonu. Budynek miał tylko jedno, okratowane solidnymi prętami drzwi, ale Nick nie zauważył żadnego okna. Błyszczący neon nad drzwiami głosił, że ta atrakcyjna nieruchomość nazywa się „Herb Coruscant”. Nick unieruchomił ślizgacz po drugiej stronie ulicy. Jeżeli rzeczywiście Pavan mieszka w tej obskurnej noclegowni, sytuacja zakonu Jedi musi być gorsza, niż były major Wielkiej Armii Republiki sobie wyobrażał.

Nick wyskoczył z pojazdu na chodnik i od razu wdepnął w coś miękkiego i

śmierdzącego. W półmroku nie mógł stwierdzić, co to jest, ale nie zamierzał się o tym przekonywać. Kubaski handlarz narkotykami usiłował mu wcisnąć działkę somaprinu-3, ale szybko zmienił zdanie, kiedy Nick mu zaproponował:

– Zrób użytek ze swoich nóg, zanim ci je odstrzelę, trąbonosa gnido.

Cudowne życie tu prowadzę, pomyślał ponuro.

Ulicę przemierzało niewiele pojazdów, ale musiał zaczekać, aż przeleci transportowiec pełen wojska, zanim będzie mógł przejść na drugą stronę ulicy. Tymczasem jak na złość pilot wojskowego pojazdu zastopował dokładnie naprzeciwko drzwi noclegowni po drugiej stronie. Chwilę później z transportowca wyskoczyło pięciu szturmowców z gotowymi do strzału pistoletami typu BlasTech E-II. Kiedy wszyscy zniknęli w budynku, transportowiec wznosił się w powietrze i odleciał.

Nick zamrugął, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czyżby już drugą noc z rzędu miał patrzeć, jak imperialni żołnierze starają się upolować jakiegoś Jedi?

– Szanse takiego zbiegu okoliczności są równe zeru – mruknął do siebie.

Szturmowcy mogli mieć oczywiście do załatwienia zupełnie inną sprawę, ale Nick bardzo w to wątpił.

Westchnął, poluzował blaster w kaburze na biodrze i ruszył na drugą stronę ulicy. Unikał walki, więc nie mógł się wykazać odwagą, choć z drugiej strony nie musiał tego robić. Doskonale wiedział, że jest odważny. Niedawno o mało nie przypłacił tej wiedzy życiem.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy nadeszło wezwanie, Haninum Tyk Rhinann był przygotowany. Wiedział, że wcześniej czy później usłyszy melodyjny kurant z głośnika bezpiecznego komunikatora i zostanie wezwany przed oblicze swojego pana. Ta świadomość nie poprawiała jednak wcale jego samopoczucia. W końcu nikt się nie zapuszczał beztrąsko do nory nexu... jeżeli chciał z niej wyjść ze wszystkimi kończynami na swoich miejscach.

– Tak, tak, naturalnie – zapewnił androida, który się z nim skontaktował. – Dziesięć minut. Na pewno przyjdę.

Nie było sensu kazać „mu” czekać. Rhinann niczego tak dobrze nie rozumiał jak znaczenia punktualności. Mimo to spędził chwilę przed holoreflektorem i poczekał, aż jego wizerunek obróci się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Chciał się upewnić, że fałdy jego szaty będą idealnie równoległe, a krawat odstaje wszędzie na prawidłową odległość od koralu na szyi. Jeszcze tylko przekręcił wizerunek pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aby się upewnić, że ma zaczesane włosy w uchu. Dopiero wtedy ruszył do wyjścia, ale od razu pożałował, że nie pomyślał o wypolerowaniu rogów. Dochodząc do drzwi, zauważył, że jedna z ozdób na ścianie wisi odrobinę krzywo; siłą woli musiał się powstrzymać przed jej wyprostowaniem.

Jak większość Elominów, odznaczał się zamiłowaniem do porządku graniczącym z fanatyzmem. Zresztą dzięki temu zamiłowaniu został osobistym adiutantem. Traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. Był świadom, że spotkało go niewiarygodne szczęście. Kiedy do władzy doszedł Imperator, większość Elominów dostała się do niewoli, skazana na koszmarną harówkę w brudnych fabrykach i zakładach przemysłowej dzielnicy Coruscant. Rhinann miał podzielić ich los, ale na szczęście w ostatniej chwili został ocalony. Nadal wprawdzie uważał, że świat wokół niego pełen jest szaleństwa – zaradzić temu mógłby tylko powrót na Elomę – ale mógłby go spotkać o wiele gorszy los. Cały czas zresztą mu to groziło, jeśli przestanie wywiązywać się dobrze z obowiązków.

Podążył łagodnie skręcającym korytarzem do turbowindy. Nawet o tej porze kręciło się tu wiele osób. Przeważali ludzie, chociaż Rhinann zauważył także Ortolanina i parę Zabraków. Prawie wszyscy unikali jego spojrzenia i szybko go mijali.

Wjechał ekspresową windą na dziewięćdziesiąte piąte piętro. Ta część pałacu była niemal

całkowicie pozbawiona ozdób. Na białych ścianach korytarzy widniały tylko gdzieniegdzie kolumnowe kartusze i ozdobne portale, co miało podkreślić skromność wystroju. Rhinann pochwalał taki styl architektury. Im mniej ozdób, tym mniejsza szansa narażenia się na zarzut bezguścia, pomyślał.

Zdaniem Rhinanna najprostszym i najszybszym sposobem zrozumienia istot obcej rasy było zapoznanie się z ich architekturą. Doskonałym przykładem tej tezy była sama Coruscant. Szykowne dzielnice planety-miasta, zaprojektowane po większej części przez istoty ludzkie, charakteryzowało połączenie strzelistych wieżowców z prastarymi formami w rodzaju piramid czy minaretów. Tu i ówdzie widywało się także akcenty nowoczesnej architektury czy techniki. Efekt był taki, jakby świadomi przeszłości projektanci składali jej hołd, ale zarazem łączyli ją z wizją przyszłości. Nie było w tym nic niewłaściwego, jednak planeta wyglądała przez to niespójnie. Trudno byłoby się tu doszukać charakterystycznych cech czy stałych prawidłowości. Miasto wyglądało w najlepszym razie amorficznie i dysharmonicznie, a w najgorszym – jak królestwo anarchii. Zupełnie zresztą jak społeczeństwo jego budowniczych.

Rhinann gardził ludźmi. Istoty tej rasy miały skłonności do bałaganiarstwa. Wszędzie, dokądkolwiek się udawały, pozostawiały chaos i niezgodę. Były jak zaraza, która się rozprzestrzenia po całej galaktyce. Wprawdzie to samo dałoby się powiedzieć o istotach innych ras, nawet o żyjących w jaskiniach jego macierzystego Eloma barbarzyńskich Elomach, ale ludzie byli pod tym względem najgorsi, choćby dlatego, że było ich tak wielu. Podobnie jak niemal wszyscy jego ziomkowie Rhinann wierzył, że Elominowie są jedyną naprawdę cywilizowaną rasą w galaktyce.

Ludzi było jednak więcej niż jakichkolwiek istot inteligentnych, więc przeciwstawianie się im nie miało najmniejszego sensu... zwłaszcza że najczęściej to właśnie oni zajmowali kluczowe stanowiska. Jak w tej chwili. Ale i tak jego sytuacja tu, na Coruscant, wyglądała o wiele lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie zajmowałby się czymś innym niż w obecnej chwili. Nawet gdyby nie brać pod uwagę oznak władzy, służbowego ubrania i broni, wynagrodzenia czy luksusowej conapty, Rhinann i tak by się zgodził pełnić swoje obowiązki. A to z jednego powodu: pozwalały mu zgłębiać tajniki Mocy.

Musiał przyznać, że Moc go fascynuje. Nie utrzymywał z nią więzi ani nie wykazywał wrażliwości na jej działanie, więc czasem się czuł jak ślepiec, który słucha, jak ktoś opisuje mu cuda świata oglądanego za pośrednictwem zmysłu wzroku. Z pozoru mogło się wydawać, że Moc to ostateczne narzędzie chaosu, zwłaszcza jeżeli ktoś wykorzystuje ją w służbie Ciemnej Strony. Gdy się jednak lepiej przyjrzeć, pod niespokojną powierzchnią kryła się pogoda ducha i wrodzony porządek, podobnie jak pod powierzchnią wzburzonego oceanu można znaleźć spokojne głębiny. Nikt nie mógłby zarzucić Jedi, że są nieźrównoważeni czy tchórzliwi. Rhinann nie słyszał dotąd o żadnym Jedi, który by nie zginął szlachetną śmiercią. Czasami, tak jak teraz, kiedy tak się denerwował na myśl o czekającym go spotkaniu, że

nawet jego czwarty żołądek zawiązywał się na supeł, zazdrościł rycerzom Jedi ich umiejętności wykorzystywania Mocy do kojenia nerwów.

To nie była jednak odpowiednia pora na takie rozważania. Musiał panować nad umysłem i ciałem. Nie może okazać niezdecydowania czy wątpliwości, bo to by go przedstawiło w niekorzystnym świetle.

Uświadomił sobie nagle – i o wiele za szybko – że stoi przed właściwymi drzwiami.

Zorientował się także, że oddycha szybko i głęboko, aż od tego wysiłku drżą mu kostki w nosie. Z trudem zmusił się do zachowania spokoju, przynajmniej na pozór.

Otworzył drzwi i wszedł. Przedpokój nie był jego zdaniem dość przestronny, ale nawet Wielka Hala Spotkań nie wystarczyłaby na podkreślenie dystansu, jaki miał go dzielić od jego mocodawcy podczas tego spotkania. Rhinann poświęcił chwilę na podziwianie architektury przedpokoju. Sufit był kolebkowo sklepiony, a linie żłobkowanych ścian łagodnie zagięte, co sprawiało przyjemność jego oczom. W pomieszczeniu było niewiele mebli. Stało tu tylko kilka krzeseł, niewielka kanapa i niski stolik. Ściany miały stonowane kolory, a łagodne światło dochodziło nie wiadomo skąd. Sala wyglądałaby bardziej przytulnie, a nawet kojąco, gdyby nie osoba, która weszła przez drzwi w drugim końcu... ktoś, kto ocalił go przed losem niewolnika, zapewnił mu zaszczytne stanowisko i dopilnował, żeby był sownie wynagradzany za swoją pracę. To właśnie jemu Haninum Tyk Rhinann zawdzięczał dosłownie wszystko.

Mimo to obawiał się go bardziej niż kogokolwiek w galaktyce.

– Zechciej usiąść, Rhinannie – powitał go Darth Vader.

– Chyba czas, żebyśmy stawili czoło rzeczywistości, I-Five – odezwał się Den.

– Którejś konkretnej rzeczywistości? – zainteresował się android. – Jak zapewne wiesz, liczba możliwych równoległych światów jest dosłownie astronomiczna.

Sullustanin z chęcią by wałnął androida w ucho, ale nie miał nic oprócz gołych pięści, więc oparł się pokusie. Nie było sensu kaleczyć sobie dłoni, a z doświadczenia wiedział, że właśnie tak by się to skończyło. Modele typu I-Five, chociaż przestały być produkowane, miały bardzo wytrzymały, durastalowy pancerz.

Obaj kroczyli ulicą, znaną w tej okolicy pod nazwą Slan. Wracali do nory, w której razem mieszkali. Den przypomniał sobie o ciekącym kranie w łazience i pająkokaraluchach tak dużych, że mogłyby go wypchnąć z łóżka. Byłby gotów zrobić wszystko, byle tylko nakłonić I-Five do odlotu z tej zapowietrzanej, przeludnionej planety.

Na szczęście ulica Slan była niezłe oświetlona i trochę bezpieczniejsza niż inne arterie komunikacyjne Karmazynowego Korytarza. W dodatku okoliczni przestępcy nauczyli się omijać I-Five szerokim łukiem. Wiedzieli, że świetnie strzela z laserów zainstalowanych w każdym palcu wskazującym. Do tej pory Den zdążył wytrzeźwieć. Jak zapewnił barmana, rzeczywiście trudno było doprowadzić Sullustanina do stanu upojenia alkoholowego, a

zresztą nawet gdyby się to komuś udało, istoty tej rasy umiały błyskawicznie pozbywać się skutków nadużycia alkoholu bez nieprzyjemnych dolegliwości, zwanych potocznie kacem. Wraz z otrzeźwieniem Den uświadomił sobie jednak, że był idiotą, decydując się na wizytę w pubie w tej dzielnicy o tak późnej porze. Jak to dobrze, że I-Five postanowił go odnaleźć.

Mimo to Sullustanin zdecydował się przemówić przyjacielowi do rozumu.

– Zrobiliśmy wszystko, co się dało – powiedział, kiedy przechodzili obok obskurnej galerii, której migotliwe trójwymiarowe reklamy zachwalały wymyślne sposoby zaspokajania zmysłowych potrzeb. – Sam musisz przyznać, że wyczerpaliśmy wszystkie dostępne źródła informacji. Podążaliśmy każdym wyraźnym i mniej wyraźnym tropem. Nawet gdyby Jax Pavan wciąż jeszcze żył i cały czas przebywał na Coruscant, dalsze próby odnalezienia go będą wyglądały jak szukanie igły w stogu siana.

Android nie odpowiedział, więc Den zerknął na niego kątem oka. Na metalowej twarzy jego towarzysza nie mogła się malować gra uczuć, ale w ciągu wielu lat swojego istnienia I-Five nauczył się znakomicie symulować wyraz twarzy. Subtelnie zmieniając kąt ustawienia i intensywność świecenia fotoreceptorów, a także imitując gesty i ruchy, potrafił zdumiewająco dokładnie naśladować zachowanie ludzi. To właśnie dlatego Den i większość ludzi uważali androida raczej za istotę żywą niż maszynę.

W czasie swojej pracy – kiedy ją jeszcze miał – Den także się nauczył rozpoznawać wyraz twarzy i mowę ciała ludzi. Zorientował się więc, że w tej chwili I-Five wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

– O co chodzi? – zapytał.

– Znalazłem go – odparł android.

– Czyżby? – mruknął sceptycznym tonem Sullustanin. Już kiedyś to przerabiali... prawdę mówiąc kilka razy. – A gdzie mianowicie miałyby się znajdować w tej chwili?

– Jestem świadom tego, że fałszywe tropy, na które mnie przedtem skierowano, sprawiły nam trochę kłopotów...

– Ciekawy eufemizm – przerwał Den. – Jeżeli chodzi o mnie, próbę wyrwania mi rąk przez naszpikowanego przyprawą Abyssina czy uwikłanie się w wojnę gangu Drapieźników z Purpurowymi Zombie nazwałbym raczej kompletną katastrofą. Domyślam się jednak, że może trochę przesadzam...

– Nadal jesteś cały i zdrowy – zauważył android.

– Tylko pod względem fizycznym – zastrzegł Sullustanin. – Moja psychika jest w tej chwili jedynie cieniem samej siebie. Obawiam się, że już nigdy nie będę umiał śmiać się tak uroczo jak dawniej.

I-Five go zignorował.

– Zgodnie z informacjami, jakie mi przekazano, Jax przebywa w tej chwili w sektorze Yaam – powiedział.

– Jasne, jasne... mamy do przeszukania zaledwie jakieś osiemdziesiąt kilometrów

kwadratowych – burknął Den. – Chyba wiesz, jak nazywają tę część najniższych poziomów, prawda?

– To lepsze niż przeszukiwanie całej planety – stwierdził I-Five. – I wiem, jak nazywają tę okolicę. To Slumsy Blackpit.

– Właśnie – przytaknął reporter. – Co za parszywa nazwa. Parszywe nazwy zazwyczaj oznaczają parszywe miejsca, a my zamierzamy się trzymać od takich miejsc jak najdalej.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, potknął się i o mało nie przewrócił o nieprzytomnego albo zabitego Snivvianina, rozciągniętego w mrocznej wnęce z drzwiami. Nieco dalej przed nimi sprzeczka między Klatooinianinem a Ishi Tibem zaczynała się szybko przeradzać w morderczą walkę. Obaj przeciwnicy wyciągnęli wibroostrza i obchodzili się nawzajem, szukając okazji do ataku. Nagle oba wibroostrza rozjarzyły się czerwonym blaskiem. Ich właściciele wrzasnęli z bólu i rzucili broń na chodnik, po czym pobiegli w przeciwne strony.

Den spojrzął na I-Five. Android wycelował w zabijaków oba palce wskazujące, chociaż na pozór ujmował się pod boki. Nie było szans, żeby ktokolwiek odróżnił dwie nitki laserowego światła od błysków różnobarwnych znaków, reklam czy informacji na ścianach okolicznych domów. Obie bezużyteczne sztuki broni dołączyły do stosów odpadków i porzuconego wszędzie złomu.

– Nie wiemy, jak tam jest – odezwał się I-Five – ale Slumsy nie mogą być gorszym miejscem niż to.

Den westchnął.

– Co prawda, to prawda – mruknął bez przekonania. – Ale odpowiedz mi na jedno pytanie.

– Słucham.

– Dlaczego żaden z twoich tropów nie prowadzi nas do jakiegoś miłego miejsca?

– Bo poszukujemy ściganego przez prawo Jedi, nie gwiazdy holodramatów – wyjaśnił android. – Obliczyłem, ile by nas kosztowało dotarcie do Slumsów Blackpit. Zostało nam już tylko tyle, żeby kupić bilety na przelot do sektora Yaam w jedną stronę powietrznym autobusem.

– Coś wspaniałego – mruknął Den, kierując się w stronę domu. – A już zaczynałem się obawiać, że dotrzemy do jednego z najbardziej parszywych miejsc w galaktyce z kilkoma kredytami przy duszy.

Jax ułożył w niewielkiej walizce wszystkie swoje rzeczy i przekonał się, że jeszcze pozostało w niej sporo wolnego miejsca. Odwrócił się w stronę drzwi. Żałował, że zmarnował ostatnie dni, rozmyślając o przeszłości. Jeżeli zamierzał odlecieć z Coruscant, liczyła się dosłownie każda chwila...

Spojrzał na klamkę i zamarł. Zobaczył na niej podobne do pajęczej sieci ciemne wici.

Przenikały przez cienką płytę drzwi i owijały się wszędzie...

Cofnął się szybko. Musiał coś wymyślić. Tym razem został naprawdę schwytany w pułapkę. Komórka, którą nazywał domem, mierzyła zaledwie trzy metry długości i dwa szerokości. Nie miała okien, a od ulicy oddzielała ją lita durbetonowa ściana o grubości dziesięciu centymetrów. Jax zrozumiał, że nie zdąży jej przebić klingą świetlnego miecza w czasie, jaki mu pozostał.

Wici Mocy w jego umyśle podpowiedziały mu, że nadchodzi co najmniej pięciu, a może nawet sześciu szturmowców. Już za kilka minut wedrą się do jego „mieszkania”... żeby go zabić.

Skąd się tu pojawili? Jax miał gotową odpowiedź na to pytanie. Rokko nie tracił ani chwili, żeby zrobić użytek z informacji, jaką mu przekazali obaj ochroniarze. Na pewno się skontaktował z miejscowym garnizonem i zameldował, że Jax to Jedi.

Rycerz pokręcił głową, zdumiony demoralizacją władzy, która daje wiarę słowom znanego przestępcy, żeby puścić się w pogoń za ściganym Jedi.

To nie była jednak odpowiednia pora na takie rozważania. Pięciu szturmowców zdążyło do niego.

„Niech przyjdą”.

Jax usłyszał te słowa w głowie tak wyraźnie, jakby wypowiedział je ktoś za jego plecami. O mało się nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście nikogo tam nie ma.

„Niech przyjdą” – odezwał się ponownie ten sam głos. – „Pozwól im się zabić. Dlaczego nie? W czym twoje obecne życie jest lepsze od śmierci? Twój zakon, twoi koledzy i cel twojego życia należą do przeszłości. Nic na to nie możesz poradzić. Jedyna rozsądna rzecz, jaką możesz zrobić, to przyłączyć się do nich. Niech przyjdą. Daj im się zabić. Wszystko zakończy się szybko i bezboleśnie”.

Jax energicznie pokręcił głową.

– Jeszcze czego – warknął, jakby uwodzicielski głos naprawdę należał do żywej osoby, która próbował go skusić. Nie wiedział, skąd się wziął ten niespodziewany egzystencjalny impuls, ale nie zamierzał mu ulegać.

„Nie ma emocji, jest spokój”.

Rzeczywiście, tak brzmiała pierwsza zasada kodeksu Jedi. Jax powtórzył szeptem te słowa, żeby je usłyszeć. Choćby nie wiadomo jak rozpaczliwa wydawała się jego sytuacja, nie zamierzał poddawać się rozpacz. Spojrzał jeszcze raz na drzwi...

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wici Mocy, które na swój wyjątkowy sposób pozwalały mu się kontaktować z Mocą, nagle zniknęły. Na mgnienie oka jego więź z Mocą ustała, ale po ułamku sekundy powróciła. Rycerz Jedi znów poczuł, że chroni go i przenika znajoma fala. Migotanie zniknęło... tak szybko jak przedtem się pojawiło. Jax nie był nawet pewien, czy rzeczywiście przydarzyło mu się coś niezwykłego.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął świetlny miecz. Wcisnął kciukiem guzik na metalowej obudowie i patrzył, jak z cylindra wysuwa się kolumna czystej błękitnej energii. Chwycił oburącz rękojeść broni, stanął w lekkim rozkroku i przygotował się do walki. Tak, pomyślał. Pozwolę im tu wejść, ale tej nocy na pewno ktoś straci życie.

ROZDZIAŁ 9

Darth Vader przeszedł na środek pomieszczenia. Jego buty cicho skrzypiały, kiedy stąpił po dywanie, a płaszcz szeleścił, układając się w fałdy. Jedynym prócz tego odgłosem był syk maski do oddychania, który powtarzał się w regularnych odstępach czasu. Rhinann przypomniał sobie, że często słyszał ten dźwięk w swoich nocnych koszmarach. Pancierz Vadera był czarniejszy od czerni i pochłaniał światło, jakby wysysał kolory ze wszystkich przedmiotów w pomieszczeniu. Lord Vader spojrział na Rhinanna. Jego gładkie, podobne do owadzych gałki oczne na pewno dostrzegały więcej niż normalne oczy. Rhinann poczuł, że jego generatywne guzy marszczą się ze strachu.

– Twój raport, Rhinannie, jeśli łaska – usłyszał słowa Vadera.

Jego głos miał głębokie i basowe brzmienie, ale gładkie jak płynny miód, a słowa były, jak zawsze, niezawodnie uprzejme. Rhinann nie usłyszał żadnej nuty groźby, a mimo to podskoczył jak użądłony przez ogniste osy.

– Tak, tak... naturalnie, Lordzie Vader – bąknął. – Eee... potwierdziło się, że Mistrz Even Pieli został... został...

– Wyeliminowany – dokończył Vader. – Wiem, bo powiedziała mi o tym Moc. – Wykonał ręką lekceważący gest. – Pozostali przy życiu Jedi mnie nie obchodzą. Wcześniej czy później i tak nie unikną swojego przeznaczenia. Chyba się ze mną zgadzasz?

Elomin pokiwał energicznie głową.

– O tak... naturalnie, Lordzie Vader – powiedział. – Nie ulega najmniejszej wątpliwości...

– Z jednym wyjątkiem – przerwał mu rozmówca, a jego jedwabiste miękkie, chociaż tchnący grozą głos od razu zdławił każdą opinię, jaką Rhinann miałby ochotę wygłosić. – Jest nim Jedi, który nazywa się Jax Pavan. – Urwał na chwilę, jakby się zastanawiał, ale rytm odgłosów jego respiratora nie uległ zmianie. – Przebywa w sektorze Yaam – podjął w końcu. – Nie mogę dokładniej określić miejsca jego pobytu, bo nie powinien się dowiedzieć, że się nim interesuję. Odnajdziesz tego Jedi, Rhinannie, i przyprowadzisz go do mnie. – W ociekającym miodem głosie dała się słyszeć nutka zadumy. – Mam z nim do omówienia pewne... sprawy.

– T-tak, mój lordzie – wyjąkał Rhinann. – Ale... jeżeli pozwolisz, sektor Yaam to bardzo duży obszar do prowadzenia takich poszukiwań. Dokładniejsze określenie miejsca pobytu

tego Jedi byłoby jak najbardziej...

Niemal od razu pożałował tego, co powiedział, ale nie mógł cofnąć swoich słów. Czarny Lord nie od razu zareagował. Spojrzał na adiutanta, który poczuł się jak zahipnotyzowana przez kryształowego węża bezbronna ofiara. Vader uniósł leciutko prawą rękę i Rhinann poczuł, że coś zaciska się lekko na jego gardle. Już po chwili zniknął paralizujący wpływ spojrzenia Czarnego Lorda, ale Elomin i tak czuł się zdrętwiały ze strachu. Wydawało mu się, że słyszy potrójny łoskot uderzeń swojego sześciokomorowego serca, z każdą chwilą głośniejszy i głośniejszy... Nagle jednak głośne bicie serca i wrażenie dławienia zanikły równie szybko, jak się pojawiły... tak nagle, że Rhinann nawet nie był pewny, czy w ogóle coś się stało.

Vader opuścił rękę.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, jakie zadanie poleciłem ci wykonać? – zapytał.

– Tak jest, Lordzie Vader – odparł adiutant. – Jak najbardziej. Jak mój lord sobie życzy, tak się stanie.

– Doskonale. Możesz teraz odejść, Rhinannie – oznajmił Vader. – Kiedy następnym razem się spotkamy, spodziewam się usłyszeć od ciebie pomyślną wiadomość. Nie spraw mi zawodu.

Tafla drzwi obok Rhinanna od razu ukryła się w ścianie. Kiedy Lord Vader się odwrócił, Elomin wyszedł... odrobinę szybciej niż pozwalała mu na to godność.

Idąc do szybu turbowindy, zastanawiał się nad swoją sytuacją. Musiał przyznać, że nie wygląda najgorzej. Vader potwierdził, że wie o wyeliminowaniu Piella. Zrobił to wprawdzie trochę bezceremonialnie, ale za to powierzył swojemu adiutantowi wykonanie nowego zadania – odnalezienie rycerza Jedi, Jaksa Pavana.

Moja sytuacja nie wygląda wcale tak źle, pomyślał Rhinann. Prawdę mówiąc, nawet zupełnie dobrze... a ten ucisk, który na ułamek sekundy poczułem na gardle, jakby się zacisnęły na nim palce niewidzialnej dłoni? To nic, to tylko twoja wyobraźnia, skarcił się w duchu. Nie masz się czym przejmować, dodał w myśli, wstępując do kabiny turbowindy. Wcale a wcale.

Chyba że nie uda ci się znaleźć Jaksa Pavana natychmiast, a nawet jeszcze prędzej...

Jax czekał w napięciu na atak i na chwilę, kiedy cienka płyta drzwi wyleci z futryny albo rozpadnie się w drzazgi pod ogniem blasterowych strzałów. Nieważne, ilu będzie napastników, zamierzał przynajmniej pokazać się im z jak najlepszej strony. Może nawet przeżyje walkę z nimi. Szturmowcy mogli w tej ciasnocie atakować pojedynczo, najwyżej po dwóch naraz. A on jest przecież Jedi. Żaden z przeciwników nie mógł się równać z Mocą.

Zanurzony ponownie w jej nurcie, czuł się doskonale. Prawie go cieszyła perspektywa czekającej go walki. Wici Mocy wyraźnie się zaciskały, zupełnie jakby przyciągały do jego drzwi idących korytarzem żołnierzy...

I nagle stwierdził z zaskoczeniem, że napastnicy stali się ofiarami.

Dzięki Mocy poczuł dezorientację i zdumienie szturmców. Ktoś, kto zaatakował ich od tyłu, dał ognia z blastera i powalił ostatniego żołnierza z grupy. Idący przed nim szturmcowiec się odwrócił, ale zaraz poraziła go niosąca ogromną energię błyskawica drugiego strzału.

Nie wiadomo, kto interweniował, tak czy owak, starał się ocalić Jaksę... świadomie albo nieświadomie. W tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Rycerz Jedi przeszył na wylot zamek drzwi szpicem świetlnego miecza, kopnięciem wypchnął płytę na korytarz i wyskoczył z pokoju. Zanim idący na czele grupy szturmcowiec zdążył dać ognia, Jax przebił ostrzem miecza jego pierś. Imperialny żołnierz runął na wznak, a idący za nim kolega dał ognia do Jaksy.

Jak zwykle Moc uprzedziła rycerza Jedi o tym, co się stanie... na tyle wcześnie, żeby Jax zdążył odpowiednio ustawić ostrze świetlnego miecza. Błyskawica blasterowego strzału odbiła się od klingi i poleciała z powrotem w głąb korytarza.

Walka trwała najwyżej kilka sekund, bo szturmcowiec nie spodziewali się ataku od tyłu. Starcie skończyło się niemal równie szybko, jak się zaczęło. Niektóre oddane na oślep błyskawice wypaliły dziury w ścianach i podłodze, więc teraz w korytarzu unosił się dym i pył. Panował też półmrok, bo szturmcowiec trafili przynajmniej dwa kinkiety ze źródłami światła.

Jax zmrużył oczy i przyjrzał się na majaczącej w półmroku sylwetce wybawcy, który przedzierał się ku niemu zadymionym korytarzem. Rycerz Jedi nie wyłączył jednak ani nie opuścił klingi świetlnego miecza. W zbliżającym się mężczyźnie było coś znajomego... coś więcej niż tylko jego wąta więź z Mocą.

– Wyłącz swój pręt jarzeniowy, Pawanie, i wynośmy się stąd – usłyszał niepokojąco znajomy głos. Chwilę później rozległ się charakterystyczny szmer wsuwanego do kabury blastera.

Jax wyłączył ostrze miecza, ale był gotów znów go użyć.

– Dokąd? – zapytał.

– A czy to ważne? – Mężczyzna trącił podkutym butem zwłoki jednego ze szturmców. – Ci goście wprawdzie nie żyją, ale niedługo pojawią się następni. To pewne jak dwa i dwa to cztery. Właśnie dlatego nazywają ich klonami.

Ledwo skończył mówić, wyłonił się z kłębow dymu. Stał przed Jaksem, który wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Rostu? – zapytał rycerz Jedi takim tonem, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Nick Rostu?

– Oczywiście masz sprawne, ale w uszach musisz mieć pełno woskowiny – odparł oficer. – Powiedziałem, żebyśmy się stąd wynosili. – Przepchnął się obok Jaksy i ruszył w przeciwną stronę korytarza. Rycerz Jedi podążył za nim. Wciąż jeszcze był zaskoczony widokiem

znajomego, chociaż nie widział go zaledwie od roku.

Minęli kilka par zamkniętych drzwi. Prawdę mówiąc, żadne z nich się nie otworzyły nawet podczas walki, co dowodziło zdrowego rozsądku osób zajmujących sąsiednie pokoje. Jax był pewny, że to nie pierwsza bitwa, jaka się rozegrała w noclegowni, chociaż prawdopodobnie jedyna, w której rycerz Jedi zmierzył się ze szturmowcami.

W końcu Rostu minął ostatnie drzwi.

– Nie da się tędy wyjść! – ostrzegł Jax i skrzywił się, kiedy usłyszał donośny huk niespodziewanej eksplozji.

Rostu odwrócił głowę w jego stronę.

– Już teraz się da! – odkrzyknął i wyskoczył przez otwór, który siła wybuchu wybiła w murze.

Jax przeszedł ostatni metr i także wyskoczył. Miał nadzieję, że Rostu nie zrobił sobie nic złego, skacząc z wysokości drugiego piętra. Sam posłużył się Mocą, żeby spowolnić tempo opadania i łagodnie wylądować, po czym rozejrzał się szybko wokół. Znajdował się w wąskiej uliczce na tyłach noclegowni. Pod wyrwanym w murze otworem leżał piankowy materac, który pewnie zamortyzował impet lądowania Nicka Rostu. Wszędzie wały się szczątki przestarzałych urządzeń, podobne do zrzuconych łusek ogromnej mechanicznej bestii. Jax zdążył rozpoznać wypatroszone i porzucone korpusy astromechanicznych robotów, strzaskane przenośne skanery, a nawet plecak rakietowy typu Z-6 – na pewno niesprawny, wielka szkoda, pomyślał z rezygnacją. W powietrzu unosił się trudny do wytrzymania smród, zupełnie jakby porzucone szczątki były pochodzenia organicznego, nie mechanicznego.

Nigdzie nie zobaczył Nicka Rostu.

Wreszcie w odległym końcu uliczki ktoś syknął i wyszeptał:

– Tu jestem!

Jax zebrał się w sobie i przeskoczył nad szczątkami. Nie było sensu się ukrywać, bo i tak wszyscy wiedzieli, gdzie się podziewa. W przeciwnym razie nikt nie wysłałby oddziału szturmowców, by go zabić. Teraz najbardziej powinno mu zależeć na szybkości. W pewnej chwili nawet mu się wydało, że słyszy odgłosy nadlatującej PJW – policyjnej jednostki wsparcia, wezwanej przez kogoś na miejsce walki i eksplozji. Kimkolwiek byli jego przeciwnicy, na pewno by nie zaryzykowali wysyłania żywych funkcjonariuszy na taką wyprawę, za to roboty pilotujące policyjne krążowniki wsparcia, podobnie zresztą jak szturmowców, można było bez problemu spisać na straty.

Rycerz Jedi wylądował obok Rostu, który odwrócił się i ruszył w stronę wylotu uliczki.

– Uciekajmy stąd – powiedział.

Ruszyli uliczką a Jax zerknął na idącego obok oficera. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że to naprawdę Nick Rostu... Korunnai, którego Mistrz Windu przetransportował w niemal beznadziejnym stanie z Haruun Kal; bohater, który pomógł schwycić osławionego Kara Vastora i odwrócił koleje Letniej Wojny.

– Zmieniłeś się – powiedział i to była prawda. Rostu zawsze odznaczał się pewnością siebie, więc mało kto odważył się z nim zadrzeć. Nie było w tym nic niezwykłego, skoro wychowywał się i dorastał na wyniosłych płaskowyżach swojej porośniętej dżunglą planety. Jax spotkał się z nim tylko kilka razy po tym, jak Rostu otrzymał patent majora. Służba w armii z pewnością go nie zmiękczyła, ale teraz...

Otoczające go wici Mocy miały szarą jak durastal, ponurą barwę, a oczy wyglądały jak metalowe kulki. Rostu zawsze był szczupły, niemal chudy, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy z jego ciała zniknęły chyba ostatnie gramy tłuszczu. Wyglądał jak Jeździec Tusken po wielokilometrowym marszu po pustyni. Jax wiedział, że jego przyjaciel może być bardzo niebezpieczny... ale nie w tej uliczce, nie w tej chwili.

– Ładna blizna – powiedział, chyba tylko po to, żeby przerwać kłopotliwą ciszę.

Rostu wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i dotknął czubkami palców lewego policzka.

– Prawda? – zapytał. – To pamiątka po wibroostrzu Manglera. Nie martw się, jego blizna wygląda o wiele gorzej.

Manglerowie byli władcami Południowego Podziemia i zyskali opinię jednego z najgroźniejszych gangów na planecie. Powiadano, że nawet Czerwoni Gwardziści pomyśleliby dwa razy, zanim wdaliby się z nimi w awanturę. Jeżeli Rostu mówił prawdę – a Jax, posługując się Mocą, nie miał powodu mu nie wierzyć – było to jeszcze jednym dowodem na to, że jego przyjaciel to ktoś, przed kim warto się mieć na baczności.

No i zamierzał pomóc rycerzowi Jedi. Nick Rostu był jednym z partyzantów, którzy mogli go przemycić na pokład odlatującego z Coruscant transportowca. Jax był bardziej niż gotów się stąd wynieść.

– Musimy porozmawiać – odezwał się oficer, kiedy dotarli do jego ślizgacza.

– Znam odpowiednie miejsce – odparł Pavan.

ROZDZIAŁ 10

Kalamariańska restauracja U Gorta na piętnastym poziomie była mroczną i posępną spelunką. Z ukrytych głośników sączyła się łagodna quarreńska muzyka, przeważnie atonalne etiudy na quetarre. Klientela była bardzo zróżnicowana. Przy kontuarze baru sulyetowego siedzieli Verpin, para ludzi, Toydarianin i Sakiyanin. Jax i Rostu także zajęli miejsca przy barze, bo mogli stąd widzieć zarówno główne, jak i tylne wejście do lokalu. Dotarli do niego okrężną drogą, więc rycerz Jedi mógł być niemal pewny, że nikt ich nie śledził.

Od razu stało się jasne, że Rostu jeszcze nigdy nie kosztował potraw quarreńskiej kuchni. Z wyraźną nieufnością gapił się na elegancko ułożone, smakowite sulyety na talerzu, który postawił przed nim szef kuchni.

– To się jeszcze rusza – powiedział.

– To dowód, że jest świeże. – Jax uniósł do ust niewielki, podłużny kawałek nasienia tikita. Wokół niego owinięto cienki plaster koralowego robaka, który cały czas się wił. Rycerz Jedi zaczął go żuć, rozkoszując się słodkavo-cierpkim smakiem.

Rostu w końcu odważył się sięgnąć po zbożową kulkę z wetkniętą w nią gołogałazką, ale kiedy z pędu gałazki spojrzęło na niego samotne oko na szypułce, pospiesznie odłożył porcję z powrotem na talerz.

– A już myślałem, że tylko wojskowe racje żywnościowe są kompletnie niejadalne – powiedział.

– Nie tak głośno – ofuknął go Jax. – Obrazisz szefa kuchni.

– A niby co mi może zrobić? – zapytał zaczepnym tonem Rostu. – Zmusi mnie do zjedzenia porcji tego purpurowego garnirunku z kwaśnoziela?

– Nie, ale może popełnić drobny błąd podczas przyrządzania potrawy z nexuryby, którą w tej chwili się zajmuje – wyjaśnił rycerz Jedi. – Nexuryby bywają śmiertelnie trujące, jeżeli się ich nie przyrządzi we właściwy sposób.

– Miałeś konkretny powód, żeby wybrać restaurację, w której owoce morza są śmiercionośną bronią, czy też jesteś od urodzenia wrogo nastawiony do ludzkości?

Szef kuchni postawił ogromną porcję nexurybnego sulyetu przed siedzącym w drugim końcu baru Sakiyaninem, który zaczął ją pochłaniać. Jax sięgnął po karafkę i nalał do kieliszka trochę zbożowego wina.

– A zatem czemu zawdzięczam przyjemność dzisiejszego ocalenia? – zapytał.

Rostu sposepniał.

– Obawiam się, że mam dla ciebie niewesołą wiadomość – zaczął. – Twoim mentorem był Even Piel, prawda?

Jax poczuł chłód i już wiedział.

– Jak to się stało? – zapytał.

Nick skinął głową.

– Poczujesz to, prawda? – powiedział.

– Tak – westchnął Jax. – Nie byłem pewny, czy to on, ale nie zostało nas wielu, więc nie musiałem się długo zastanawiać.

– Wieści rozchodzą się szybko dzięki Mocy. – Nick urwał, chwilę się zawahał, ale w końcu opowiedział rycerzowi Jedi, w jaki sposób Even Piel przeżył swoje ostatnie chwile.

Jax utkwiał spojrzenie w ceramicznym kieliszku z winem. Mistrz Piel częściej niż ktokolwiek inny wskazywał mu drogę na ścieżkach Jedi. Lannik był niewysoki i miał drobną budowę ciała, ale dla Jaksy był gigantem... zarówno jako ojciec, jak i nauczyciel. Pod okiem Mistrza Piella Jax stawiał pierwsze, niepewne kroki na drodze do poznania tajemnic Mocy, skonstruował własny świetlny miecz i poznał sztukę władania nim podczas walki. Dzięki szczegółowym instrukcjom i troskliwym wskazówkom swojego mentora przeszedł bez problemu próby i został pasowany na rycerza. Zawdzięczał Mistrzowi Evenowi Piellowi wszystko, czym był jako mężczyzna i jako Jedi.

Imperator i jego lizus, Vader, mieli się z czego tłumaczyć.

– Jest coś jeszcze – odezwał się w końcu Rostu.

Jax uniósł głowę i zrozumiał, że musi mieć grobową minę, bo oczy jego przyjaciela rozszerzyły się lekko ze zdumienia.

– Jasne – odparł rycerz Jedi. – W przeciwnym razie nie wysłałby cię do mnie.

– Wiesz, co to Whiplash?

Jax kiwnął głową.

– Naturalnie – powiedział.

– Musisz odnaleźć pewnego androida. – Rostu rozejrzał się po sali i zniżył głos: – To automat serii Tee-Oh, numer klasyfikacyjny Dziesięć-Cztery. Ma przezwisko Robalooki. Wygląda na to, że jakimś cudem pomieszał operacyjne parametry, dzięki czemu jest uważany za zaginionego. W jego pamięci zarejestrowano dane ważne dla ruchu oporu... Oczywiście nie mam pojęcia jakie. – Włożył do ust jeden z mniej ruchliwych kawałków sulyetu, żuł go jakiś czas i w końcu przełknął. – Niezłe – odezwał się w końcu lekko zaskoczony.

– Moim zdaniem nie jest ważne, co zapisano w pamięci tego androida – podjął po chwili.

– Liczy się tylko to, że Imperator chce zdobyć te informacje. Hasło, które pozwala przejąć kontrolę nad tym androidem, brzmi: *Zu woohama*. – Wzruszył ramionami. – Mówiono mi, że to brzydkie przekleństwo w mowie Wookiech. Tak czy owak, zanim Mistrz Piel zginął

podczas walki ze szturmowcami, szukał tego androida, żeby wejść z nim na pokład statku i odlecieć z Coruscant.

– I chciał, żebym prowadził dalej te poszukiwania – domyślił się Jax.

Rostu pokiwał głową.

– Właśnie tak brzmiało jego ostatnie życzenie – powiedział.

– Nawet gdyby mi tego nie polecił, będę odtąd szukać tego androida – postanowił rycerz Jedi.

ROZDZIAŁ 11

– No cóż, mogło być gorzej – odezwał się I-Five, kiedy razem z Denem wyszedł w końcu z terminalu powietrznych autobusów.

Stali na balkonie trzy piętra nad jedną z najbardziej ruchliwych ulic Slumsów Blackpit. Nawet na tej wysokości czuło się smród organicznych szczątków, odpadów przemysłowych i – jako że zbliżała się pora obiadu – mieszaninę woni najróżniejszych potraw przyrządzanych przez istoty dziesiątków ras na wolnym powietrzu. W spotęgowanym przez zapadający zmierzch półmroku mogło się wydawać, że wszyscy żyją poza czasem, jakby w pułapce niższego wymiaru. Android i Sullustanin słyszeli kakofonię klaksonów, przekleństw, okrzyków strachu, dźwięków muzyki, strzępków rozmów w dziesiątkach języków i zniekształconych przez efekt Dopplera pomruków kiepsko zestrojonych repulsorów przelatujących obok nich pojazdów. Wszystkie te dźwięki stapały się w mieszaninę emanującą wrogością i rozpaczą. Wszędzie, gdziekolwiek Den spojrzał, widział mrugające reklamy zachwalające uciechy cielesne, a rozpylone w powietrzu związki chemiczne drażniły jego wielkie oczy. Sullustanin był zadowolony, że pozbył się nawyku zapuszczania do nich tłumiących światło kropli, które mogłyby spotęgować podrażnienie. Na najniższych poziomach zresztą i tak ich nie potrzebował.

Nagle poczuł na ramieniu czyjaś dłoń... a ściślej stopę, stwierdził, kiedy odwrócił się i zobaczył stojącego przed nim Duga.

– Pałeczki śmierci? – wychrypiał uliczny handlarz. – Senny pył? Błyszczostym? Mam wszystko, czego pragniesz. – Poklepał kieszenie kamizelki czubkami zwinnych palców. – Najwyższa jakość, żadnych dodatków...

Urwał, skrzeknął z przerażenia i odskoczył do tyłu, kiedy wystrzelony z lewego palca wskazującego I-Five laserowy promień wbił się w chodnik przed jego dłońmi. Odwrócił się gwałtownie i uciekł w podskokach.

Den spojrzał na swojego partnera.

– Naprawdę uważasz, że mogło być gorzej? – zapytał.

– Mogłeś zostać zarażony strupognilcem – stwierdził I-Five. Miał na myśli niezwykle zakaźną chorobę, na którą zapadali głównie Dugowie, Ithorianie i Sullustanie. Den doszedł do wniosku, że nie zaszczyca androida odpowiedzią, chociaż musiał przyznać, że rzeczywiście

istniała możliwość zarażenia. Co więcej, całkiem spora możliwość. Było powszechnie wiadomo, że choroby, które dawno przestały nękać przedstawicieli najzamożniejszych klas coruscańskiego społeczeństwa, wciąż jeszcze się szerzą na najniższych poziomach. Den pomyślał, że byłaby to prawdziwa ironia losu, gdyby uciekł, cały i zdrowy, z Drongara – jednej z najbardziej zapowietrzonych planet w galaktyce – tylko po to, żeby złapać jakąś infekcję tu, na Coruscant.

Ciężko westchnął.

– No cóż, jesteśmy na miejscu, cali i zdrowi... przynajmniej na razie – zastrzegł szybko. – Zdobądźmy trochę kredytów i znajźmy jakąś szopę, żeby się schować, i to jak najszybciej. To jedna z okolic, gdzie nie chciałbym się znaleźć na ulicy po zapadnięciu ciemności.

Sektor Yaam znajdował się we wcześniejszej strefie czasowej niż sektor Zi-Kree, więc słońce jeszcze nie zaszło, ale przecież i tak jego promienie nie docierały na najniższe poziomy. Właściciele sklepów i handlarze uliczni zachwalali coraz więcej dóbr i usług wątpliwej jakości i jeszcze bardziej wątpliwej czystości; z każdą chwilą zapalało się więcej świateł. Wraz z nadejściem nocy robiło się więc coraz jaśniej zamiast coraz ciemniej, ale Den wolał oceniać tę ironię losu za zamkniętymi drzwiami.

I-Five odwrócił się i ruszył w kierunku rury opadowej.

– Wolnego – odezwał się Sullustanin. Pobiegł za nim i chwycił go za metalową rękę. – Wylądujesz na samej ulicy.

– Wiem – odparł android. Uwolnił rękę i ruszył ponownie w kierunku rury.

Den spojrzał na niego, jakby nie wierzył własnym oczom.

– No to dlaczego chcesz... – zaczął.

– Lubię nocne życie – wyjaśnił I-Five, włączając do rury. Kiedy repulsorowe pole schwytało go i szybko opuściło, zniknął.

Den jęknął tak głośno, że aż zwrócił na siebie uwagę stojącego kilka metrów dalej mężczyzny. Sullustanin zerknął na niego kątem oka, bo istoty jego rasy miały lepsze widzenie peryferyjne niż większość istot innych ras widzenie frontalne. Nieznajomy miał jaskrawo-karmazynowe, elektrostatycznie naładowane włosy, które odstawały jak szczecina szczotki na dobre dziesięć centymetrów od głowy, a na silnie umięśnionych ramionach widniały ozdobne żarotatuaze. Nie mógłby bardziej dobitnie dawać do zrozumienia, kim jest, nawet gdyby unosiła się nad nim reklamowa kula z mrugającym czerwonym napisem „Członek gangu” i wskazującą na niego strzałką.

Den doszedł do wniosku, że z kimś takim wolałby się nie spotkać nos w nos. Odwrócił się i ruszył szybko w kierunku rury opadowej, w której zniknął I-Five.

Szczeciniasty nie poszedł za nim. Den odetchnął z ulgą i zaczął czekać, aż repulsorowe pole opuści go na poziom ulicy.

Ach, ci ludzie, pomyślał. Wszędzie, gdzie spojrzysz, ludzie. A także istoty człekokształtne. Ciekawe, że naturalna selekcja faworyzuje chodzące prosto istoty dwunożne

i na tyłu planetach to właśnie je obdarza inteligencją. Den najbardziej nie lubił u ludzi tego, że najwyraźniej wszyscy uważali to za swoją osobistą zasługę.

Pochłonięty rozmyślaniami o ludziach, wyszedł z durastalowej rury i natychmiast o mało nie został potrącony przez Kubaza w repulsorowej platformie. Długonosy pasażer w niewielkim jednoosobowym pojeździe przemykał w tłumie, balansując ciałem. Den miał nadzieję, że robalożerca natrafi na plamę oleju, z którą nie będą umiały sobie poradzić żyroskopowe sensory czółna.

Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu I-Five i doszedł do wniosku, że ma problem. Sullustanie nie byli wprawdzie równie niscy, jak Jawowie czy Chadra-Fanowie, ale nie mogliby także splunąć w oko żadnemu Wookiemu. Den sięgał najwyżej do pasa większości znanych ras, co oznaczało, że ma niewielkie szanse wypatrzenia androida.

Nie mógł uwierzyć, że I-Five go zostawił. Gdy już zaczynał się martwić, zauważył metalową rękę, która precyzyjnie się między Quaraniem a Durosjaninem, chwyciła go za kołnierz i wyciągnęła z tłumy pod ścianę najbliższego domu.

– Tęskniłeś za mną? – zagadnął android.

– Daj mi blaster, to następnym razem nie zatęsknię – odciął się Sullustanin. – Co jest?

– Czekamy tu na kogoś.

– Na kogoś konkretnego czy po prostu sprzykrzyła się nam samotność?

– Mnie się sprzykrzyła – mruknął I-Five na tyle cicho, żeby tylko Den go usłyszał. Reporter wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie był pewny, jakie obwody odpowiadają za zgryźliwe usposobienie jego towarzysza, ale zawsze go to bawiło.

– Bądź dla mnie miły – ostrzegł. – Kto jest twoim panem?

I-Five spojrzał na niego spode łba, a Den podziękował losowi za to, że android ma lasery w czubkach palców, zamiast w fotoreceptorach. Przypomnienie mu, nawet w żartach, że stanowi czyjąś własność, zawsze wprawiało go w zły humor. Lorn Pavan uważał go za kogoś równego sobie, nie za obdarzony głosem automat. Jeżeli wierzyć androidowi, to Lorn ocalił go przed niezbyt subtelnym traktowaniem bogatych i zepsutych dzieciaków z pewnej rodziny. Podobno bachory kazały swoim „zabawkom” zeskakiwać z dachu i zakładały się, która szybciej przemieni się w stos złomu. Musiały w ten sposób zniszczyć mnóstwo androidów, pomyślał Sullustanin. Podczas pobytu na Coruscant I-Five i Korelianin, działając ręką w rękę, zajmowali się doradztwem i nadzorowali przepływ czarno – i szarorynkowych informacji różnymi kanałami podziemnego świata. I-Five twierdził, że wiedli dzięki temu całkiem znośne życie, dopóki nie weszli w posiadanie pewnego neimoidiańskiego holocronu i nie uświadomili sobie po niewczasie, że nagle stawki w tej grze stały się nieporównanie wyższe niż te, do których zdążyli się przyzwyczaić.

I-Five nigdy nie zdradził nic więcej, ale Den zebrał całkiem sporo informacji, zarówno dzięki przypadkowym uwagom samego I-Five, jak i własnej umiejętności wychwytywania strzępków wiadomości z HoloNetu, którą wyrobił sobie, będąc reporterem. Wiedział więc, że

obaj, Lorn Pavan i I-Five, zostali wzięci na cel przez doświadczonego zabójcę, wykonującego rozkazy bardzo wysoko postawionej we władzach osobistości. Den często się zastanawiał, jakie informacje zawierał tamten holocron. To musiało być coś naprawdę ważnego, bo tylko to mogło usprawiedliwić zbroczony krwią szlak, jaki zabójca pozostawił za sobą, ścigając ofiary wąskimi uliczkami. Chyba nigdy przedtem Karmazynowy Korytarz nie zasługiwał bardziej na swoją nazwę.

Z tłumu przed nimi wyłoniła się jakaś istota, a Den stwierdził z lekkim niepokojem, że to Bothanin. Słyszał kiedyś, że istoty tej rasy umieją znajdować więcej wyjść z każdej sytuacji niż superszybki komputer nawigacyjny. Powiadano, że to mistrzowie intryg politycznych, fałszu i obłudy, i że zawsze obchodzi ich tylko własna korzyść.

Nieznajomy Bothanin stanął przed nim, ale wyciągnął porośniętą ciemną sierścią rękę i wsunął jakąś kartę danych w błyszczącą, gładką dłoń androida.

– Honorarium? – zapytał cicho.

– Zostało przekazane na twoje konto – odparł równie cicho I-Five.

Bothanin lekko skinął głową i bez słowa znów wtopił w tłum przechodniów.

Den spojrzał na swojego partnera.

– Co takiego zostało przekazane na jego konto? – zapytał.

– Zgodnie z zawartą wiele miesięcy temu umową zgromadzone wyłącznie w tym celu fundusze pozostawały do tej pory w depozycie – wyjaśnił I-Five.

Den spiorunował go spojrzeniem, ale postanowił dalej nie wypytywać. Co się stało, to się stało. Wiedział, jak bardzo androidowi zależy na odnalezieniu syna Lorna Pavana.

Stanął na palcach, żeby chociaż zerknąć na kartę danych w metalowej dłoni swojego towarzysza.

– Czy to dzięki niej się dowiemy, gdzie ukrywa się stary, dobry Jax? – zapytał.

I-Five schował kartę.

– Nie bezpośrednio – powiedział. – Ale na pewno dowiemy się czegoś, co nam bardzo pomoże w poszukiwaniach.

– A mianowicie...?

– Ta karta pozwoli mi go wytropić dzięki jego więzi z Mocą.

Den obrzucił partnera sceptycznym spojrzeniem.

– Z tego, co słyszałem, Mocy nie da się zmierzyć, wykryć ani obliczyć – zauważył. – Podobnie jak nie da się schwytać tęczy ani nauczyć Wookiego dobrych manier przy stole.

– Co racja, to racja – przyznał pojednawczym tonem android. – Mocy, chociaż wszystko przenika, nie da się opracować naukowo. Można zmierzyć poziom midichlorianów, ale samej Mocy nie da się ocenić w kategorii kulombów, dżuli czy tesli. Moc nie jest falą ani cząsteczką. Jest czymś wyjątkowym.

– Jesteś chodzącą bazą danych? – mruknął Sullustanin. – Lepiej by jednak było, gdybyś przeszedł do rzeczy.

– Posługiwania się Mocą nie wykryje ani nie zarejestruje żaden znany miernik – zaczął I-Five z lekką irytacją w głosie. – Udowodniono jednak, że kontaktująca się z nią istota rozumna wykazuje charakterystyczny wzór fal mózgowych, a fale mózgowe można wykrywać i rejestrować. Daje się je także mierzyć, chociaż tylko z ograniczonej odległości.

– Hm – mruknął Den. – Jak bardzo ograniczonej?

I-Five wyglądał na lekko zakłopotanego.

– Nie większej niż dwadzieścia metrów – przyznał.

Rozmawiali, idąc chodnikiem, ale po ostatnich słowach androida Den stanął tak raptownie, że idący za nim Ho-Din musiał nad nim przejść, żeby się nie przewrócić. Sullustanin nawet tego nie zauważył, tak się zagapił na przyjaciela.

– Nie większej niż dwadzieścia metrów? – powtórzył takim tonem, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– W niektórych przypadkach trochę ponad dwadzieścia...

– Nie więcej niż dwadzieścia metrów! A szukana osoba musi się posługiwać Mocą, żeby wykrycie charakterystycznego wzoru jej fal mózgowych było w ogóle możliwe. A może się mylę?

– W zasadzie nie, ale...

Den wybuchnął śmiechem. Nie mógł na to nic poradzić. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na chodniku i śmiał się, aż do jego ogromnych oczu napłynęły łzy. Mijający go przechodnie nie zwracali na niego uwagi, jeżeli nie liczyć kilku dobroczyńców różnych ras, którzy rzucali mu centykredyty.

W końcu Sullustanin się opanował. Wstał i spojrzał na I-Five, który cały czas stał w milczeniu i bez ruchu.

– No dobrze – powiedział. – Wystarczy. – Wyciągnął rękę. – Daj mi tę kartę.

Z niezwykłą jak na niego pokorą, android podał Denowi kartę danych. Reporter rzucił ją na chodnik i zmiażdżył obcasem. Fotoreceptory I-Five zapłonęły jaśniejszym blaskiem, co było odpowiednikiem zdumienia, ale android zachował milczenie.

– A teraz zamierzam zrobić to, co powinienem, kiedy tylko zjechaliśmy na poziom ulicy – oznajmił Den.

I-Five wyglądał, jakby z niedowierzaniem uniósł brew. Den nie miał pojęcia, jak android to robi, ale jego towarzysz zawsze umiał wyraźnie okazywać sceptycyzm.

– Tak? – zagadnął uprzejmym tonem android. – A co takiego, jeżeli wolno zapytać?

– Odszukać Jaksę Pavana – odparł Sullustanin. – Moim sposobem.

ROZDZIAŁ 12

Kaird słyszał, że wszystkie polityczne intrygi knuje się na szczeblu lokalnym, i niezachwianie w to wierzył. Kierowanie pracami galaktycznego rządu niewiele się różniło od rządzenia dysponującym tylko jedną gałęzią przemysłu niewielkim miastem zacofanej planety, usytuowanej tak daleko od Zasięgu, że trzeba było tam kierować nawet światło gwiazd. W rzeczywistości wszystko się sprowadzało do sojuszków i zdrad, konfliktów i rozwiązań. Albo się było odpornym, albo podatnym na knowania przeciwników.

Polityczne intrygi wyglądały jak gra w dejarika. Kaird wiedział, że to banalne porównanie, ale – podobnie jak w każdym banalnym porównaniu – było w nim mnóstwo prawdy. Trzeba było myśleć o odległej przyszłości, umieć planować kilka posunięć naprzód i być przygotowanym na każdą ewentualność.

Używając innej metafory, świat Czarnego Słońca był jak dżungla. Pod tym względem przypominał powierzchnię planety Mimban czy Yavina Cztery. Przeżycie w takiej dżungli wymagało czegoś więcej niż wyostrzone zmysły i szybki refleks. Trzeba było mieć odwagę, żeby niepostrzeżenie podejść przeciwnika, który usiłuje zaskoczyć ciebie. Trzeba było zastawiać sidła i pułapki, a później maskować je jak najlepiej i czekać, w nadziei, że wpadnie w nie właściwa osoba.

Kłopot w tym, że twój przeciwnik także zastawiał pułapki. Przeżycie zależało od tego, żeby się ich spodziewać i przewidywać, jakie będą.

Kairdowi nie przyszło łatwo osiągnięcie mistrzostwa w takich metodach. Jego przodkowie byli latającymi drapieżnikami, mistrzami zadawania szybkich, chirurgicznie precyzyjnych ciosów. Trucizna w winie, wbity w plecy sztylet... Kaird nigdy się nie oswoił z perfidnymi działaniami, ale przez wiele lat, jakie spędził w organizacji, nauczył się ich, i to bardzo dobrze.

Właśnie dlatego przebywał teraz w dzielnicy zwanej Robotami – w jednym z najbardziej obskurnych miejsc najniższych poziomów Coruscant. Dzielnica może nie była aż tak niebezpieczna jak Korytarz czy Slumsy, ale również znajdowała się pod wszechobecną warstwą smogu. Kaird zapuścił się tu, żeby ubić interes z raktirriańskim paserem Endrigornem, który handlował głównie kradzionymi rzeźbami, dziełami holosztuki, cennymi klejnotami i innymi drobiazgami. Naturalnie Nedijanin nie mógł dopuścić, żeby Endrigorn go

rozpoznał ani tym bardziej zdradził, wypytywany o tożsamość klientów. Rakririanin nie wahałby się nawet pikosekundy, gdyby od tego miało zależeć jego życie. Właśnie z tego powodu Kaird przyszedł w przebraniu. Dla Endrigorna i wszystkich innych, którzy mogli zwrócić na niego uwagę, kiedy wchodził do sklepu pasera, wyglądał jak Besalisk, ubrany w schludny syntetyczny strój z krótką, wykończoną brokatem pelerynką. Serwomotory przebrania pozwalały mu poruszać się bez trudu i bardzo cicho, a osmotyczny model umożliwiał swobodną cyrkulację powietrza. Przebranie miało nawet pętlę algorytmicznego sprzężenia zwrotnego, która odpowiednio ekstrapolowała ruchy ramion.

Trudno było wyczytać cokolwiek na twarzy insektoidea Endrigorna. Pokryta chityną, miała nie więcej wyrazu niż maska, którą nosił Kaird, chociaż jego maska mogła zmieniać kształt. Endrigorn był trutniem, formą pośrednią między Rakririaninem a Rakririanką. Na widok wchodzącego Kairda kompletnie znieruchomiał, poruszały się tylko jego żuchwy. Kaird dowiedział się, że to oznaka przychylnego nastawienia albo dowód, że istota przygotowuje się do obrony. W przypadku Endrigorna nigdy nie było się tego pewnym, więc Kaird miał nadzieję, że chodzi o to pierwsze.

– Mam dla ciebie propozycję, która przyniesie nam obu korzyść – zaczął. – Jesteś zainteresowany?

Insektoid uniósł górną część segmentowanego ciała, przenosząc cały ciężar na trzy tylne pary odnóży. Dwiema przednimi zaczął wykonywać w powietrzu skomplikowane, rytualne ruchy, które zazwyczaj poprzedzały wypowiedzenie pierwszego słowa.

– Mozzzess mówwwićć daaalllej – odezwał się wreszcie w rozwlekłym, bzycającym, ledwo zrozumiałym basicu.

– Niedawno udało mi się zdobyć hiperklejnot niemal bez żadnej skazy – podjął Kaird. Zauważył, że czułki Endrigorna zadrżały, a przednie odnóża się zgięły, jakby istota zamierzała przykłęknąć. Odnosił wrażenie, że paser jest podekscytowany, ale wcale go to nie zdziwiło. Hiperklejnoty spotykało się niezmiernie rzadko, więc nic dziwnego, że były ogromnie cenne. Utworzone przez niewyobrażalnie potężne siły grawitacyjne w głębinach neutronowych gwiazd, były aperiodycznymi diamentoidami, a ich krystaliczne sieci planarne rozciągały się na wyższe wymiary. Próby przeniknięcia tych wielowymiarowych sieci umysłem przyzwyczajonym do rozumowania w kategoriach tylko trzech wymiarów przestrzennych oraz czasu powodowały, że istoty niektórych ras popadały w obłąd. Dla innych ras hiperklejnot był jednak przedmiotem niewysłowionej piękności... tak hipnotyzującym, że mogły dosłownie zagłodzić się na śmierć, podziwiając jego rozwijające się bez końca głębie. Do niewielu istot w pewnym stopniu niewrażliwych na śmiercionośny urok hiperklejnotu należeli Falleenowie, ale nawet oni mieli kłopoty z oparciem się jego psychochronicznemu czarowi. Kaird słyszał, że Xizor siadywał co jakiś czas przed hiperklejnotem i wpatrywał się w wypaczone wizerunki rzeczywistości – tylko po to, żeby poddać próbie potęgę własnego umysłu i siłę woli, potrzebną do oderwania spojrzenia od

niezwykłego kryształu.

Naturalnie nikt oprócz Kairda nie miał pojęcia, że ten konkretny hiperklejnot stanowił kiedyś najcenniejszy skarb Chagrianina Gogha Pleetika, jednego z hersztów Sektora Wspólnego na cuchnącej przemysłowej planecie Jądra o nazwie Metellos. Kaird zapłacił kolosalną sumę złodziejowi, aby ukraść cenny przedmiot, i mógł być pewny, że Pleetik nie pogodzi się z jego stratą. W końcu, żyjąc na Metellosie, należało wykorzystywać każdy możliwy sposób, żeby uciec od rzeczywistości.

Spojrzał na Endrigorna.

– Jesteś tym zainteresowany? – zapytał.

Insektoidalna istota wprawiła w drżenie chitynowe segmenty ciała. Rozległo się brzęczenie, które Kaird uznał za wyraz podekscytowania.

– Chzzzę zzzdobyćć – wybzyczał Endrigorn. – Chzzzę wiezzziećć, illle.

Kaird wymienił sumę – wysoką, ale nie beczelnie wygórowaną. Mimo wszystko paser nie powinien się zorientować, jak bardzo jego rozmówcy zależy na sprzedaniu hiperklejnotu. Endrigorn zareagował następnymi skomplikowanymi ruchami przednich odnóży, do których tym razem dołączyła środkowa para.

– Nnnie jesstemmm zzzadowolllonny – powiedział.

Słuchając tego bzyczenia, Kaird poczuł ból głowy, ale nie dał po sobie niczego poznać. Targowanie się z istotą o wysokość ceny było konieczne; w przeciwnym razie Rakirianin mógłby nabrać podejrzeń, że Kaird kieruje się ukrytymi pobudkami... którymi oczywiście się kierował.

– Wyjaśnij mi, o co ci dokładnie chodzi – przynaglił insektoida.

Endrigorn zaproponował sumę tak niską, że Kaird z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Wymienił teraz sumę trochę niższą niż na początku, po czym targowanie zaczęło się na dobre. Po kilku następnych propozycjach i kontrpropozycjach obaj mieli wrażenie, że zostali nabici w butelkę, ale transakcja została zawarta.

Kaird wrócił wahadłowcem do Północnej Hali, bardzo zadowolony z zastawienia tej konkretnej pułapki. Słyszał, że Endrigorn utrzymywał przedtem kontakty z Xizorem, więc prawdopodobnie wiedział, iż Falleen ceni hiperklejnoty bardziej niż cokolwiek innego w galaktyce. Może niedługo skontaktuje się znów z Xizorem, który na pewno się nie oprze pokusie kupienia tak cennego przedmiotu. Dzięki umiejętnie puszczonej w obieg plotce herszt Pleetik dowie się, że jeden z dostojników Czarnego Słońca wszedł w posiadanie przedmiotu, który stanowił kiedyś jego własność. Każda istota choć odrobinę rozumna doskonale wiedziała, że nie powinno się zadzierać z Czarnym Słońcem, ale mieszkańcy błotnistych bagien Metellosa byli prawdopodobnie jedynymi istotami rozumnymi, na tyle upartymi i pełnymi wściekłości, żeby się tym nie przejmować. Należało liczyć się z tym, że między Metellosem a Czarnym Słońcem trwa ożywiona wymiana czarnorynkowych towarów, więc nowy lord nie będzie mógł sobie pozwolić na dyplomatyczny kryzys krótko po objęciu

władzy. Na pewno znacznie dochodzenie i szybko się dowie, kto został nowym właścicielem hiperklejnotu.

Kaird uśmiechnął się do siebie i spojrział przez iluminator na oświetloną słonecznym blaskiem krzywiznę planety w dole. Dokonania tego dnia sprawiły mu ogromną satysfakcję.

Jax słyszał tę opinię często i od dawna. Choć za każdym razem używano trochę innych słów, znaczenie było nieodmiennie takie samo:

Bez zakonu Jedi jestem nikim.

Jax wiedział, że to prawda. Nie znał innego życia oprócz tego, które wiódł w Świątyni, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Trafił do zakonu, kiedy tylko nauczył się stawiać pierwsze kroki, więc nie pamiętał ojca ani matki. Nie odczuwał braku rodziców, bo zastępowali mu ich, i to z nawiązką, członkowie zakonu. Ogromne sale, wysokie komnaty i stały porządek dnia, wypełniony medytacjami, ćwiczeniami gimnastycznymi czy doskonaleniem sztuki władania świetlnym mieczem... to wszystko składało się na jego dotychczasowe życie. To życie jednak zniknęło i nic nie wskazywało, żeby miało kiedykolwiek powrócić, przynajmniej w możliwej do przewidzenia przyszłości. Jego mistrz i większość, jeżeli nie wszyscy członkowie Rady, już nie żyli. Świątynia stała pusta, splądrowana, a on był sam, zdany wyłącznie na własne siły.

Sam pośród trylionów innych istot, w śmiertelnym niebezpieczeństwie grożącym w każdej godzinie życia, której nie poświęcał na sen. Rycerz Jedi coraz częściej się zastanawiał, czy po prostu nie skończyć z takim życiem. Dlaczego się nie poddać, nie zrezygnować i nie poszukać zespolenia z Mocą?

Jeden z dogmatów kodeksu Jedi głosił, że po śmierci rycerz uwalnia swoją jaźń i jednoczy się z Mocą. To mogło oznaczać kres tożsamości indywidualnej osoby, ale także transformację, transmigrację albo transfigurację. Mogło oznaczać przejście na wyższą płaszczyznę, na której esencja jednego życia miesza się z niezliczonymi esencjami innych istot. Utworzona w ten sposób jedność jest większa niż suma składowych, opiera się więzom czasoprzestrzeni, a tworząc, rośnie w siłę i utrzymuje samą siebie w niezmiennym stanie. Jax nigdy jednak nie zrozumiał do końca korzyści, jakie mogłoby mu to przynieść. Nawet gdyby umiał, dzięki medytacjom i ścisłemu przestrzeganiu kodeksu Jedi, osiągnąć na łożu śmierci takie zespolenie, to czym miałoby się to różnić od zwykłego zaniku świadomości? Rycerz Jedi stałby się wprawdzie częścią większej całości, ale nawet by tego nie doświadczył. Jax nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak fundamentalna przemiana miałaby być bardziej pożądana niż poddanie się objęciom wiekuistej ciemności. Gotów byłby w to uwierzyć, ale nigdy nie mógł tego rozgryźć do końca.

Czy naprawdę wieczne życie było czymś tak bardzo pożądanym? Wieczność to bardzo długi okres. Jax zastanawiał się, czy Moc jest także wiekuista. Wiedział, że zdaniem niektórych naukowców w bardzo odległej przyszłości nad światem zatriumfuje entropia.

Czarne dziury pochłoną całe ciepło i światło, a później nawet same siebie. Wszechświat stanie się martwy i nieskończenie zimny. W sterylnych przestworzach nie zaświeci żadna gwiazda, nie zakwitnie żaden kwiat, nie roześmieje się żadne dziecko. Czyżby Moc potrafiła w jakiś sposób uniknąć tego losu? Czy mogłaby przeżyć zagładę samego czasu?

Ostatnio Jax zmagał się z podobnymi zagadkami metafizycznymi i wcale mu się to nie podobało. Nie mógł zapomnieć natarczywego, przekonującego głosu, który rozległ się w jego głowie, kiedy czekał w „Herbie Coruscant” na atak szturmowców. Głosu, który zachęcał go, żeby po prostu dał się zastrzelić.

O mało nie usłuchał wówczas tamtego głosu.

Do tej pory nie był pewny, dlaczego się na to nie zdecydował. Czyżby obecne życie było tak cenne i tak wiele obiecywało? Nawet gdyby odleciał z Coruscant i rozpoczął nowe życie na jakiejś odległej planecie, czy jego starania byłyby tego warte? Czy to nowe życie byłoby w ogóle życiem, czy może tylko jego namiastką? Jax obawiał się, że będzie tylko tym drugim, przynajmniej dopóki żyją Imperator Palpatine i Darth Vader. Moc wykraczała poza granice czasu i przestrzeni, podobnie jak dwie subatomowe cząstki w tajemniczy sposób wiązały się ze sobą mimo dzielących ich kosmicznych odległości. Ktoś wystarczająco potężny i wyćwiczony we władaniu Mocą mógłby wykryć miejsce pobytu każdej wrażliwej na jej oddziaływanie osoby, nawet gdyby dzieliły go od niej tysiące parseków. Czyli ucieczka nie miała najmniejszego sensu. Jax równie dobrze mógł pozostać na powierzchni Królowej Planet Jądra galaktyki, jak i cierpieć w milczeniu na najbardziej oddalonym świecie lodowatych kresów Dzikich Przestworzy.

Było wyjście z tej sytuacji, i to całkiem proste. Musiałby tylko uwolnić myśli i wysłać je dzięki Mocy, żeby odszukać w niej obecność Vadera. Problem w tym, że taka więź była dwustronna. Gdyby wyczuł obecność Czarnego Lorda, Vader odkryłby obecność Jaksy w Mocy. Dowiedziałby się wówczas, przynajmniej w przybliżeniu, gdzie on się ukrywa. Co prawda zdaniem Imperatora i Vadera zakon został unicestwiony i przestał stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, ale nikt by nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Gdyby jakiś Jedi, mówiąc w przenośni, pojawił się nagle na ekranie ich radaru, mógł się niebawem spodziewać wizyty szturmowców.

Jax wiedział, że istnieje jeszcze jeden powód do wyjątkowej ostrożności. Zanim on i Rostu się rozdzielili, oficer powiedział mu, że Mistrz Pielu polecił rycerzowi Jedi, by odszukał androida... Ale także przekazał ostrzeżenie mistrza dla byłego ucznia, że szuka go sam Vader. A poszukuje go nie tylko dlatego, że zależy mu na zabiciu jeszcze jednego Jedi. Istnieje jeszcze jeden powód, ale Lannik zginął, zanim zdążył wyjawić jaki... O ile w ogóle go znał.

Jeżeli rzeczywiście tak wyglądała prawda, to niezbyt rozsądnie było zlecać Jaksowi odszukanie zaginionego androida. Cóż, kiedy rycerz Jedi był jedyną osobą, której drobny mistrz Jedi ufał na tyle, żeby powierzyć dalsze prowadzenie swoich poszukiwań.

Jax zmarszczył brwi. Został skazany na śmierć dlatego, że jest Jedi. Dlaczego jednak

Darth Vader miałby się nim szczególnie interesować? Każdy Jedi miał wrogów, bo to stanowiło nieodłączny element ich służby. Jax nie był jednak rycerzem Jedi wystarczająco długo, żeby kogokolwiek do siebie zrazić... A przynajmniej nic o tym nie wiedział. Jego awans na padawana nie był aż takim wydarzeniem, żeby sprowokować kogoś do nienawiści... zwłaszcza osoby tak wysoko postawionej w nowych władzach.

Stał na ruchomym chodniku, podobnie jak wielu innych pieszych. Jechali pomostem przerzuconym na wysokości piątego piętra nad ulicą. Kiedy zbliżał się do końca, anizotropowa powierzchnia zwolniła tempo biegu, dzięki czemu mógł zeskoczyć na podest.

Starał się nie rzucać w oczy, więc ograniczał korzystanie z usług Mocy, gdy kogoś śledził, a i to tylko od czasu do czasu. Dopóki pozwalał Mocy tylko kierować swoimi krokami, mógł się czuć względnie bezpieczny, licząc że nikt nie da rady go wytropić. Nawet jeżeli Vader naprawdę go szuka, na pewno ma na głowie wiele spraw ważniejszych niż wysłanie jednego rycerza Jedi. Musiał przecież poświęcać wiele uwagi sprawom państwowym, a cały jego wolny czas zajmowało wypełnianie rozkazów Imperatora. Galaktyka była ogromna i wiele planet czekało, żeby je podbić i opanować. Trzeba było wziąć do niewoli mnóstwo istot wielu ras. W porównaniu z tym odnalezienie szeregowego Jedi w rodzaju Jaksy Pavana nie mogło stać wysoko na liście priorytetów.

A może jednak mogło?

Jax zwilżył językiem suche wargi i ukradkiem się rozejrzył. Dziesięć metrów nad jego głową przelatywały mniej lub bardziej regularne formacje ślizgaczy i innych środków transportu powietrznego. Pomruk repulsorów stapiał się z gwarem rozmów setek osób, tworząc rodzaj białego szumu. Pośród pieszych widywało się istoty wielu ras: Durosjan, Toydarian, Kalamarian, Twi'leków... i naturalnie ludzi jak on. Wszyscy dokądś zdążali, dokądś się spieszyli. Popychali się i potracali, a z ich błyszczących oczu – jeżeli w ogóle je mieli – wodziła desperacja.

Mieszkańcy podziemnego świata.

On także, na dobre czy na złe, zaliczał się do ich grona.

Poczuł nagle woń smażonego mięsa, która napływała od stojącego kilkanaście metrów dalej ulicznego sprzedawcy, i uświadomił sobie, że jest potwornie głodny. Podeszedł i kupił pasek mięsa na patyku. Tak wysoko nad poziomem ulicy istniała spora szansa, że to rzeczywiście mięso jastrzębionietoperza, jak utrzymywał sprzedawca, nie pancernego szczura czy czegoś jeszcze mniej apetycznego. Nie dało się tego poznać po smaku, bo mięso było bardzo pikantne.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Jax zjadł wszystko, chociaż mięso było żylaste i pełne chrząstek. Żuł je, aż zabolaty go szczęki.

Zastanawiał się, dlaczego nie poszedł za radą Mistrza Piella i nie zmienił imienia ani nazwiska. Co prawda, przedsięwziął wiele innych środków ostrożności. Kazał komputerowemu włamywaczowi usunąć wszystkie informacje o sobie z baz danych, ale mógł

zatrzeć ślady jeszcze dokładniej.

Tyle że dla Dartha Vadera nie miałyby to żadnego znaczenia. Czarny Lord potrafił wyczuwać Jedi bez względu na nazwisko. Chociaż nie mogłoby to zmylić Vadera, mogło jednak wywieść w pole szturmowców, którzy wyruszali na poszukiwania. Jax jednak nie wierzył, żeby sprawiło to jakąkolwiek różnicę. Na Coruscant żyły miliony istot o tym samym imieniu i nazwisku co on, więc wytropienie wszystkich zajęłoby kilkadziesiąt lat. Nie istniało nic, co łączyłoby go z zakonem Jedi mocniej niż jakiegokolwiek innego Jaksza Pavana.

W ostatecznym rozrachunku żaden z tych powodów nie miał znaczenia. Liczyło się tylko to, że Imperator i Vader odebrali mu wszystko, co kiedykolwiek miał: przyjaciół, dom i styl życia. Co więcej, pozbawili go możliwości posługiwania się Mocą. Zostało mu tylko imię i nazwisko, których nie zamierzał się dobrowolnie wyrzec.

Jax przeskoczył z podestu na ruchomy chodnik i przejechał nim – jeszcze jedna anonimowa twarz w tłumie – na drugą stronę pomostu. Starał się usunąć z głowy desperackie myśli o samobójstwie. Dobrze chociaż, że miał nowy cel w życiu. Musiał spełnić przedśmiertne życzenie Mistrza Piella i odszukać androida 10-4TO, zwanego także Robalookim. Nick Rostu zaproponował Jaksowi pomoc, ale rycerz Jedi odpowiedział, że musi się tym sam zająć. Rostu chyba to zrozumiał. Ostatnia wola umierającego Jedi była dla zakonu czymś równie świętym, jak przysięga krwi dla Korunnai.

Jax wyprostował się i podniósł głowę. Poczul się jak odmłodzony. Przynajmniej na jakiś czas jego życie miało znów sens. Zamierzał wykonać zadanie jako rycerz Jedi albo zginąć.

Naprawdę nie miał pewności, która z tych dwóch możliwości bardziej go pociąga.

Bez zakonu Jedi jestem nikim...

ROZDZIAŁ 13

Jak zwykle to nie on ją znalazł, ale ona jego.

Miejsce obok zestawu ogromnych skraplaczy pary wodnej, które pozbawiały miejskie powietrze wilgoci, było dosyć ustronne. Jax stał przy cokole jednego z urzędzeń, wsłuchany w niemal subsoniczny pomruk jego generatorów. Kiedy był dzieckiem, kolega powiedział mu, że potężne skraplacze funkcjonują niezwykle skutecznie; gdyby się wspiął na którąś z łopatek, cała woda z jego ciała niemal natychmiast zostałaby wyszana przez pory skóry, a on stałby się odwodnioną suchą łupiną. Kiedy dorósł, zrozumiał, że to nieprawda, ale lęk z dziecięcych czasów powrócił teraz tutaj, tak blisko ogromnego urzędzenia.

Spojrzał w górę na wąski skrawek nieba, które miało złowieszco czerwoną barwę. Księżyc Centax Jeden wyglądał na zachodzie jak wąska drzazga. Wszędzie wokół było widać budynki, wieżowce, iglice i drapacze chmur... niewiarygodnie wysokie i niepokojąco bliskie. Podobno nieszczęśnicy, którzy zapuszczali się pierwszy raz na najniższe poziomy, nawet jeżeli uniknęli niebezpieczeństw i ulicznych pułapek, tracili zmysły z powodu klaustrofobii, zwłaszcza jeżeli pochodzili z planet, gdzie dominują otwarte przestrzenie. Mogli się czuć nieswojo nawet na wyższych poziomach, ale tu, na dole, wielokilometrowej wysokości gmachy wyglądały, jakby w każdej chwili mogły runąć i pogrzebać ich pod megatonami gruzu.

Jax wyczuł ją w tej samej chwili, kiedy powiedziała:

– Już nie żyjesz, Pawanie.

Odwrócił się i zobaczył młodą istotę, stojącą na jednym ze skraplaczy. Wyraźnie widział jej sylwetkę, oświetloną od tyłu migotliwym blaskiem uszkodzonego neonu jakiejś reklamy. Nawet gdyby się nie odezwała, a Moc nie wyjawiała mu jasno i wyraźnie jej tożsamości, rycerz Jedi i tak by ją rozpoznał. Nikt nie mógł łatwo zapomnieć Laranth Tarak.

Istota zeskoczyła ze skraplacza i ruszyła ku niemu z blasterem w prawej dłoni. Drugi blaster tkwił cały czas w kaburze nisko zawieszony na lewym biodrze. Laranth była zielonoskórą Twi'lekanką, szczupłą i silnie umięśnioną a jej oczy musiały widzieć niejedno. Wiele miesięcy temu blasterowa błyskawica spopieliła końcowe dziesięć centymetrów jej lewego lekku, ale zamiast owinać nim głowę, Laranth pozwoliła, żeby głowoogon zwiślał swobodnie, jakby czuła coś w rodzaju perwersyjnej dumy. Była ubrana w szary pulower, na

który włożyła czarną kamizelkę z synwelry. Do tego nosiła szare bryczesy z cienkoskóry i neoskórzane buty.

Cały czas mierząc z blastera do rycerza Jedi, podeszła bliżej i dopiero wtedy schowała broń do kabury.

– To znaczy nie żyłbyś, gdybym była szturmowcem – dodała.

– Możliwe, ale nie zginąłbym sam – odparł Jax i zerknął w dół. Laranth podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła wymierzony w swój brzuch niewielki blaster, przymocowany do końca teleskopowo wysuwanego wysięgnika.

Uśmiechnęła się i lekko kiwnęła głową.

– Widzę, że ćwiczysz – powiedziała.

– Gdzie tam, zawsze byłem taki dobry – odparł Jax. – Nie chciałem tylko, żebyś się nabawiła kompleksów. – Kiedy zgiął rękę w łokciu, miniaturowy wysięgnik się złożył, a broń ukryła się znów w rękawie.

Laranth się nie roześmiała. Jax nigdy nie widział, żeby się choć uśmiechnęła.

– Nie widywałam cię często od Nocy Płomieni – zauważyła. – Co cię tu sprowadza? To niebezpieczna okolica, nawet jak na Slumsy.

– Jeżeli jest taka niebezpieczna, co ty tu porabiasz? – zapytał Jax.

Młoda Twi'lekanka jeszcze bardziej sposepniała, o ile to w ogóle było możliwe.

– Znasz odpowiedź na to pytanie, Jaksie – mruknęła.

Rycerz Jedi rzeczywiście ją znał, i to całkiem dobrze, choćby tylko na podstawie otaczających ją wici Mocy. Laranth Tarak była Szarą Paladynką, członkinią jednej z gałęzi zakonu Paladynów Teepa – zmarginalizowanej kadry zakonu Jedi. Wiele lat temu Rada skrytykowała Paladynów Teepa za posługiwanie się blasterami i inną bronią, zamiast wyłącznie świetlnym mieczem. Samego Teepa i jego wyznawców uważano za ekstremistów, a nawet za potencjalnych zwolenników Ciemnej Strony.

Szarzy Paladyni wyznawali jeszcze bardziej radykalne poglądy. Paladyni Teepa szukali łączności z Mocą, posuwając się nawet do tego, że dla mocniejszej więzi z Mocą niektórzy nosili podczas bitwy maski albo zasłaniające oczy nakrycia głowy. W przeciwieństwie do nich Szarzy uważali, że zakon Jedi za bardzo się uzależnił od łączności z Mocą. Twierdzili wprawdzie, że Jedi nie może się od niej całkowicie uniezależnić, podobnie jak nie mógłby przestać oddychać, ale starali się doskonalić umiejętności i techniki, które nie wykorzystywały najbardziej „błyskotliwych” aspektów więzi z Mocą. Zupełnie się wyrzekli używania świetlnych mieczy, zamiast tego pogłębiali umiejętności korzystania z blasterów i z innych rodzajów broni. Stali się mistrzami różnych stylów walki wręcz w rodzaju teras kasi, ale nie korzystali przy tym ze wspomagania Mocy. Używali egzotycznych broni w rodzaju salizjańskich spiral i wirujących pałek. Nie mieli nic przeciwko samemu pojęciu Mocy, ale ich zdaniem powinno się jednocześnie rozwijać takie umiejętności, z których można byłoby później korzystać przy minimalnym wykorzystaniu jej potęgi.

Większość Jedi uważała takie poglądy za bezsensowną herezję. Twierdzili, że skoro Moc obejmuje wszystkie formy życia, nie może istnieć żaden scenariusz proponujący robienie czegokolwiek niezależnie od Mocy. Jak na ironię, właśnie taki scenariusz stał się obecnie rzeczywistością. Garstka pozostałych przy życiu Jedi, którzy skłaniali się do filozofii Szarych Paladynów, w nowej sytuacji zyskała przewagę nad innymi Jedi.

Szarzy byli o wiele bardziej wojowniczo nastawieni niż Paladyni Teepa czy nawet Jedi, którzy nie hołdowali filozofii Paladynów. Podczas Zagłady Szarzy walczyli ze szturmowcami, a ci, którzy przeżyli, w przeciwieństwie do wielu innych członków zakonu nie stracili nadziei ani nie porzucili wyznawanych wcześniej ideałów. Szarych pozostało wprawdzie, jak optymistycznie oceniano, nie więcej niż kilkudziesięcioro, ale to właśnie oni pomogli powołać do życia ruch oporu Whiplash i próbowali niestrudzenie zrzucić jarzmo Imperatora... choćby ta walka wydawała się beznadziejna.

Laranth Tarak zawsze brała w niej czynny udział. Jax spotkał ją wkrótce po tym, kiedy dosłownie cudem udało się jej uciec z płonącej Świątyni i uniknąć losu pozostałych Jedi. Jednak po okropnych wydarzeniach tamtej nocy bardzo niewiele o niej słyszał. Przypuszczał, że Twi'lekanka leczy rany i stara się nie rzucać w oczy. Spojrzał na nią teraz i zobaczył gładkie, lśniące blizny na jej prawym policzku i szyi. Laranth mogłaby wyleczyć swoje rany i okaleczenia, gdyby miała dostęp do zbiornika bacty, ale prawdopodobieństwo znalezienia czegoś takiego na najniższych poziomach było nie większe niż szansa trafienia do osobistego kurortu Imperatora.

– A ty co tu porabiasz? – zapytała Twi'lekanka.

– Czy to nie oczywiste? – odparł Jax. – To tyle, jeżeli chodzi o moją osławioną kamienną twarz do gry w sabaka.

Laranth prychnęła.

– Moc buzuje wokół ciebie niczym pletikowa zupa – stwierdziła.

Rycerz Jedi opowiedział jej o śmierci i o ostatnim życzeniu Mistrza Piella. Laranth wybrała wprawdzie kolor i kodeks Szarych, ale oplatające ją wici miały barwę niekojarzącą się raczej z opanowaniem i spokojem. Przeważały odcienie od ciepłopomarańczowego do ognistoczerwonego, a czasami, kiedy Twi'lekanka czuła gniew, wyglądała w Mocy, jakby spowijał ją rozżarzony do białości kokon. Żyła w napięciu, którego Jax czasami jej zazdrościł. Nie mógł wprawdzie zobaczyć swoich wici, ale miał pewność, że nie płoną równie intensywnym blaskiem, jak wici młodej paladynki.

Kiedy Laranth słuchała jego opowiadania, Jax niemal musiał mrużyć oczy przed blaskiem jej aury.

Wyjawiał jej także, co powiedział mu Nick Rostu: Mistrz Pieli życzył sobie, żeby to Jax i tylko Jax wykonał to zadanie. To nie była cała prawda, a zresztą sam Jax nie był na tyle szalony, aby przypuszczać, że bez czyjejkolwiek pomocy da radę spełnić ostatnie życzenie mistrza. To była generalnie sprawa Jedi i chociaż niektórzy z zakonu mogli uważać

Twi'lekanę za heretyczkę, Laranth Tarak była Jedi. Jax miał do niej większe zaufanie niż do kogokolwiek, a młoda paladynka potrafiła walczyć lepiej niż pięciu innych wojowników naraz.

Podczas jego opowieści opuścili dzielnicę przemysłową i znaleźli się znów na lepiej oświetlonej i trochę bezpieczniejszej alei Amtor. Laranth słuchała, nie zadając żadnych pytań, dopóki Jax nie skończył. Dopiero wówczas zapytała:

– Wiesz, skąd rozpocząć poszukiwania?

– Nie – odparł rycerz Jedi. – Rostu mówił, że android zniknął zaraz po Zagładzie, a Mistrz Pielki wiedział tylko tyle, że 10-4TO przebywa gdzieś w sektorze Yaam.

– Jeżeli jest nadal sprawny – mruknęła paladynka. – Ktoś mógł mu skasować zawartość pamięci albo rozebrać go na części, niezbędne do naprawy innego androida.

– Musimy prowadzić poszukiwania, zakładając, że 10-4TO jest nadal w jednym kawałku i sprawny – zdecydował rycerz Jedi. – Masz jednak rację... jeżeli android nadal przebywa w Slumsach, jego stan szybko może ulec zmianie. Musimy się czegoś dowiedzieć... trzeba by porozmawiać z kimś, kto wie, co się dzieje w każdym mrocznym zakątku i w każdej uczęszczanej przez przestępców knajpie w tym sektorze. Z kimś, dla kogo prywatność i własność to słowa bez znaczenia. Z kimś, kto traktuje życie jak towar.

– Już wiem – odezwała się Laranth. – Masz na myśli Hutta Rokko.

ROZDZIAŁ 14

Rhinann przystąpił do poszukiwań rycerza Jedi Jaksza Pavana z tą samą pedanterią, z jaką zabierał się do rozwiązywania wszystkich innych problemów. Polecił siecioidroidom przeszukiwanie niemal nieograniczonych zasobów pamięci HoloNetu, żeby znaleźć jakąkolwiek informację o swojej ofierze. Upoważnił komputerowych włamywaczy do przetrząśnięcia planetarnych sieci organów bezpieczeństwa i wybrania z nich informacji o istotach ludzkich odpowiadających rysopisowi Pavana, który wykradł z archiwów Świątyni Jedi. W swoich poszukiwaniach uwzględnił wiele parametrów: dotychczasowy brak zatrudnienia, informacje o charakterze finansowym, rejestry zawieranych transakcji – zarówno legalnych, jak nielegalnych – oraz wszystkie inne, które mu przysły do głowy. Wysłał w teren jawnych i tajnych agentów, a także roboty szpiegowskie – miniaturowe latające kamery, zdolne do przepatrzenia kilkunastu kilometrów kwadratowych w ciągu kilku godzin – do obszaru ekumenopolii, w którym zdaniem Vadera można było odnaleźć tego Jedi: do sektora 1Y4F.

Poszukiwania zostały zakrojone na szeroką skalę, ale Rhinann był świadom, że to tylko początek. Pavan mógł się zaszyć w milionach miejsc na Coruscant, nawet we wspomnianym sektorze... pod warunkiem że do tej pory nie odleciał z planety. Miał na to tylko zapewnienie Vadera, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że Pavana od dawna nie ma na Coruscant.

Rhinann rozumiał jednak doskonale, że Lord Sithów czerpie swoją pewność z Mocy. Elomin słyszał, że Jedi potrafią wykrywać się nawzajem dzięki niej. Jeżeli więc ktoś tak wrażliwy na Moc jak Vader uważał, że jakiś Jedi przebywa w określonym miejscu, można było mieć pewność, że się go tam odnajdzie. Kręcąc głową ze zdumienia, Rhinann rozdał korale na szyi. Gdyby on sam nabrał podejrzania, że miejscem jego pobytu interesuje się Darth Vader, czmychnąłby z systemów Jądra galaktyki błyskawicznie, pozostawiając jedynie smugę płonących jonów. Miał nadzieję, że Jax Pavan nie ma tak silnie rozwiniętego instynktu samozachowawczego jak istoty rozumne większości ras. U wielu ludzi zaobserwował takie graniczące z dążeniem do samozagłady ryzykanctwo i skłonność do wikłania się w sytuacje, przed którymi większość innych istot inteligentnych dawno uciekłaby z krzykiem na drugi kraniec galaktyki.

Początkowe wyniki przeszukiwania gigantycznych baz danych były zniechęcające. W

galaktyce żyło bardzo wiele istot ludzkich zarówno mężczyzn, jak i kobiet, które nazywały się Jax Pavan. Zasadniczo Rhinann mógł od razu wyeliminować istoty płci żeńskiej... o ile Pavan nie zdecydował się na operację zmiany płci. Po krótkim namyśle Elomin odrzucił taką możliwość, ale i tak nie znalazł żadnego związku między pozostałymi osobami z listy a poszukiwanym Jedi.

Wypuścił powietrze z płuc tak raptownie, że wprawił w drżenie kostki w nosie, i wydał głośny świergot frustracji. Pavan z pewnością wynajął komputerowego włamywacza, żeby usunąć z baz danych wszelkie informacje, jakie mogły go łączyć z zakonem Jedi. Spojrzał na ekran holoprojektora. W obecnej chwili na samej Coruscant mieszkało w przybliżeniu 582.797.754 mężczyzn o imieniu Jax i nazwisku Pavan. Co kilka sekund liczba ulegała niewielkim zmianom, bo system uwzględniał na bieżąco narodziny, zgony, przyloty, odloty i inne zmienne dane statystyczne.

Ach, ci przekłęci ludzie, pomyślał Rhinann. Właśnie na tym polegał cały problem. Gdyby szukał Falleena, Neimoidianina czy choćby istoty swojej rasy, liczba na ekranie nie byłaby tak oszałamiająca. Niestety, w całej galaktyce liczba istot ludzkich przewyższała o kilka rzędów wartości liczbę istot każdej innej rasy.

Nawet kiedy Rhinann kazał uwzględnić tylko Jaksów Pawanów w samym sektorze Yaam, uzyskał liczbę 8.674. Widocznie pośród Korelian to imię i nazwisko było dosyć popularne.

Ponownie zaświergotał. Już wie, że jego zadanie nie będzie łatwe, ale właśnie tego się spodziewał. Nakazał sobie spokój. Ocalenie mogła mu zapewnić tylko właściwa metoda. Musiał istnieć sposób oddzielenia ziarna od plew. Ale jaki? Jeżeli Pavan zatarł ślady łączące go z przeszłością i zamiast nich kazał wpisać fałszywe informacje, nie da się go powiązać z zakonem Jedi, a zatem w taki sposób go się nie znajdzie.

Ubolewał, że nie może wytropić Pavana dzięki Mocy, ale wiedział, że to nie wchodzi w rachubę. Zastanowił się, co robić. Jeżeli nie przyprowadzi szybko Pavana przed oblicze Lorda Vadera, Czarny Lord zacznie... Rhinann aż się wzdrygnął. Nie potrafił nawet sobie wyobrazić tortur, jakie mogłyby się narodzić w umyśle Lorda Sithów.

Mógł spróbować już tylko jednego. Krótco po Zagładzie w ruinach Świątyni skonfiskowano ogromne ilości danych, zarówno osobistych, jak i bardziej ogólnych. Należały do nich niemal kompletne rejestry genomów. Rhinann wstrzymał oddech i zaczął na oślep poszukiwać konkretnego DNA. Jego zadanie wyglądało na beznadziejne, bo żaden haker wart choć decydująco nie zapomniałby o sfalszowaniu także tych danych. Rhinann był bliski desperacji. Kiedy jego poszukiwania zakończyły się – zgodnie z przewidywaniami – kompletnym fiaskiem, o mało nie wpadł w czarną rozpacz. Jeżeli nie brać pod uwagę gniewu i zemsty Vadera, samo dziedzictwo Elominów – kulturowe i biologiczne – zmuszało go do dalszych wysiłków, dopóki jego starania nie zostaną uwieńczone powodzeniem. Istoty jego rasy zawsze celowały w takich skrupulatnych poszukiwaniach. Wyglądało jednak na to, że w tym przypadku wszystkie jego umiejętności i sztuczki, jakie miał do dyspozycji, nie zdadzą

się na nic.

Walcząc z ogarniającą go beznadziejnością, rozszerzył zakres poszukiwań. Postanowił znaleźć jakikolwiek związek, który mógłby okazać się owocny. Zaczął szukać osoby, która mogła utrzymywać kontakt, albo choćby tylko była widziana w towarzystwie jakiegoś Jedi. Te prowadzone właściwie na oślep poszukiwania wprawiały w nerwowe drżenie jego spanchnon. Mimo to czuł, że nie ma wyboru.

Nagle usłyszał cichy sygnał – znak, że coś znalazł. Poleciał wyświetlić informację na ekranie i zaczął się z nią zapoznawać.

Nagranie przedstawiało kilku szturmowców, którzy wpadli w zasadzkę i stoczyli walkę z dwoma mężczyznami w obskurnej noclegowni w sektorze 1Y4F. Rhinann poczuł wzdłuż kręgosłupa dreszcz podniecenia. Większą część incydentu zarejestrowały kamery systemu bezpieczeństwa noclegowni. Pochwyciły wprawdzie tylko błysk twarzy, ale główne komputery zidentyfikowały jednego z walczących mężczyzn z prawdopodobieństwem rzędu siedemdziesięciu czterech procent.

Był nim major Nick Rostu. Oficer służył kiedyś w Imperialnej Armii, ale później został ściganym przez prawo mordercą.

Tożsamość drugiego mężczyzny nie została ustalona, ale na kilku ujęciach było widać, że trzyma świetlny miecz, więc Rhinann mógł być niemal pewny, że to Jedi.

Dzięki swoim uprawnieniom szybko poznał tożsamość wszystkich mieszkańców noclegowni. Z bezbrzeżnym zdumieniem stwierdził, że jeden z nich nazywa się Jax Pavan.

Czyżby rycerzowi Jedi zależało na tym, żeby go ktoś znalazł?

To wykluczone, uświadomił sobie po chwili namysłu Elomin. Po prostu, zważywszy na liczbę Jaksów Pawanów w okolicy, rycerz Jedi, który nie miał powodu uważać się za ściganego, na pewno nie widział sensu ukrywania swojej tożsamości. Mimo wszystko to była Coruscant, najgęściej zaludniona planeta znanej części galaktyki.

Rhinann zauważył także, tym razem bez szczególnego zdziwienia, że krótko po incydencie Pavan wyprowadził się ze swojego „mieszkania” w noclegowni. Może postanowił na jakiś czas zaszyć się w podziemiu, gdzie mógł pozostać anonimowy? Niewątpliwie liczył także na to, że więź z Mocą uprzedzi go o każdym nadciągającym niebezpieczeństwie. Możliwe, że rzeczywiście by się tak stało... gdyby Rhinann był na tyle głupi, żeby udać się do niego bezpośrednio.

Istniał jednak inny sposób.

Nie kryjąc satysfakcji, Rhinann rozparł się na krześle. Zrobił dobry początek. Był pewny, że wcześniej czy później odnajdzie Pavana.

Lord Vader powinien być zadowolony.

Nick Rostu nie wrócił od razu do poprzedniej nory w sektorze Zi-Kree. Po wydarzeniach ostatnich czterdziestu ośmiu standardowych godzin doszedł do wniosku, że należy mu się

chwila odprężenia i odpoczynku. Słyszał wiele pochlebnych uwag o usytuowanych przy placu Tangor lokalach rozrywkowych. Nie bardzo interesował się tym, co się dzieje za większością zamkniętych drzwi, ale na placu Tangor mieścił się salon do gry w shronkera.

Lokal cieszył się dużą popularnością. Miał pięć sfer, ale wszystkie były zajęte. Nick zamówił kufel alderańskiego piwa. Sącząc je powoli, przyglądał się najbliższej sferze i rozgrywce, w której brali udział Quarren i Yevetha. Już sam ten fakt był dziwny, bo Yevethowie gardzili istotami innych ras. Możliwe jednak, że ten Yevetha był wyjątkowo tolerancyjny. Pewnie też jego samopoczucie poprawiał fakt, że – mówiąc w przenośni – właśnie skopał Quarrenowi łuskowaty tyłek.

Wkrótce Quarren uznał się za pokonanego. Kiedy ponura kalmarogłowa istota odwróciła się plecami do baru, Yevetha spojrzał na Nicka.

– Masz ochotę zagrać? – wykrakał.

– Mogę spróbować – zgodził się Rostu. Podszedł do kontrolnego pulpitu, sprzed którego chwilę wcześniej odszedł Quarren.

– Konfiguracja? – zapytał Yevetha.

– Gorący Bepin.

Reguły gry były bardzo proste. W holosferze unosił się stylizowany wizerunek systemu słonecznego. Przed grą przeciwnicy mogli wybrać konfiguracje oparte na znanych systemach albo tworzyć własne. Istniały cztery typy ciał niebieskich: gazowe giganty, bliźniacze światy, pojedyncze planety i księżycy. Pośrodku sfery płonął wizerunek gwiazdy. Każdy gracz mógł kierować ruchami komet, bo tylko one w tej grze mogły dowolnie zmieniać trajektorie lotu.

Na początku gry planety krążyły po ustalonych orbitach. Istniało kilka konfiguracji, z których „gorący Bepin” cieszył się opinią najtrudniejszej. Każdy gracz miał kierować ruchami swojej komety w taki sposób, żeby wytrącać ciała niebieskie z pierwotnych orbit. Wygrywała ta osoba, która pierwsza posyłała planety po spirali w głąb czeluści systemu.

Nick zaplótł palce i wyprostował je tak energicznie, że wszyscy usłyszeli chrupnięcie kostek. Kilka razy poruszył ramionami, żeby rozluźnić mięśnie ramion i szyi, po czym, wyraźnie odprężony, stanął przed kontrolnym drążkiem. Yevetha cały czas kierował na niego czarne oczy, pozbawione wyrazu jak kamienie.

Nick skierował swoją komętę na inną trajektorię i oddał pierwszy strzał. Trafił jedną z planet, ale strzał odbił się rykoszetem od jej powierzchni i poszybował w kierunku obrzeży systemu. Planeta zmieniła trajektorię i zaczęła krążyć po orbicie eliptycznej.

Każda z planet miała inne właściwości. Gazowy gigant był masywny, wskutek czego miał większą inercję. Oznaczało to, że pojedynczy strzał mógł zmienić jego orbitę tylko w nieznacznym stopniu. Gorący Bepin orbitował bardzo blisko gwiazdy i okrążał ją szybciej niż pozostałe ciała niebieskie, co utrudniało posyłanie krążących w większej odległości planet w czeluść słońca. W przeciwieństwie do niego zimny Bepin, orbitując na obrzeżach systemu, przechwytywał komety i chronił krążące bliżej słońca światy. Planety binarne obracały się

wokół wspólnego środka ciężkości, ale można je było rozdzielić precyzyjnym strzałem, po którym jedna albo obie zostawały wciągnięte w głąb grawitacyjnej studni słońca. Samotne planety nie przedstawiały dużego wyzwania, ale najmniejsze i najtrudniejsze do trafienia były księżyce, które mogły także zostać łatwo przechwycone przez inne planety. Zazwyczaj to właśnie księżyce płonęły w słońcu ostatnie, więc wykończenie satelity oznaczało koniec gry.

Nick szybko się zorientował, że jego przeciwnik jest wytrawnym graczem w shronkera. Obaj zrozumieli jednak równie szybko, że Nick jest lepszy.

Rozgrywka przyciągała stopniowo uwagę innych gości, po części dzięki graniczącym z wirtuozerią popisom Nicka i Yevethy, ale także z powodu wyraźnie widocznej różnicy w podejściu każdego gracza do rozgrywki. Nick był uśmiechnięty i odprężony, a po kolejnym kuflu piwa stał się nawet gadatliwy. Pochwalił przeciwnika po kilku szczególnie udanych strzałach i skromnie umniejszał własne osiągnięcia, chociaż i tak wszyscy obserwatorzy gry mogli się zorientować, że jest lepszy.

Podczas całej gry Yevetha nie wypowiedział ani słowa, za to z każdą chwilą stawał się bardziej zdenerwowany... tak przynajmniej Nick się domyślał, bo chuda jak szkielet obca istota człekokształtna miała twarz podobną do ludzkiej, więc prawdopodobnie także podobną mowę ciała. Powiadano, że Yevethowie szybko się uczą. Nick pomyślał, że kiedy przydzielano tę umiejętność, jego przeciwnik musiał pozostawać na orbicie. Pod koniec gry Yevetha zaczął radzić sobie lepiej, ale było za późno. Ostatnie ciało niebieskie – zielono-błękitna planeta – poszybowało stromo przez czasoprzestrzeń i spłonęło w ogniu gwiazdy.

Yevetha się wyprostował i znieruchomiał. W sali zapadła głucha cisza. Nick był pijany i chyba tylko dlatego obszedł pustą holosferę, wyciągnął do przeciwnika prawą rękę i powiedział:

– Hej, doskonale sobie radziłeś. O mało nie...

Yevetha zareagował tak szybko, że Nick ledwo zdążył cofnąć rękę. W mgnieniu oka mignął przed nim długi i ostry jak sztylet pazur, który podobna do kościotrupa istota wysunęła błyskawicznie z fałdu skóry nadgarstka lewej ręki. Zanim Yevetha zdążył wciągnąć pazur, Nick wyszarpnął blaster z kabury i wymierzył lufę w przeciwnika.

– Ach, te nerwy – powiedział, grożąc niedawnemu partnerowi palcem drugiej ręki.

– Ty cuchnący szlamie – syknął Yevetha. Obrzucił Nicka jeszcze kilkoma nieprzyjemnymi epitetami, z których najmniej obraźliwym było porównanie go do owocu dość nieprawdopodobnego związku uczuciowego Hutta i istoty rasy Wookie.

– Raczej nie warto wymyślać gościowi z blasterem w dłoni – poinformował go Rostu. Zanim jednak zdążył dodać coś więcej, poczuł, że ktoś wciska mu w plecy lufę miotacza pocisków. Stojąca za nim osoba powiedziała:

– Za to w spelunkach podobnych do tej zawsze oplaca się stać plecami do ściany.

Nick odniósł wrażenie, że te słowa wypowiedział człowiek. To była ostatnia myśl, jaka mu przyszła do głowy, zanim ogarnęła go ciemność.

ROZDZIAŁ 15

I-Five spojrział na Dena.

– Wygłosiłeś tam wzruszające przemówienie – powiedział.

Przebywali w niewielkim sześcianie, wynajętym na tę noc za kredyty, które Den zdobył, zastawiając w lombardzie kciukokamerę. Mała klitka o wymiarach dwa na dwa metry mieściła się w obskurnym ferrobetonowym sześcianie rezydencyjnym i była przeznaczona dla jednej człekokształtnej formy życia. Została wyposażona we wnękę łazienkową z natrykiem oraz we wciśniętą w kąt kuchnię z chłodziarką i zestawem do przyrządzania posiłków. Miała także wysuwany ze ściany stół i rozkładaną pryczę, ale nic więcej. Samotne fluorescencyjne źródło światła w suficie zalewało pomieszczenie słabym jasnozielonym blaskiem, a kiedy było cicho, dało się słyszeć chrobot przemykających wentylacyjnym szybem pająkokaraluchów. Pokoik nie miał okien i był otoczony ze wszystkich stron innymi, podobnymi komórkami, od których oddzielały je co najmniej piętnastocentymetrowej grubości ściany. Den uświadomił sobie, że gdyby doszło do awarii systemu obiegu powietrza, pewnie by się udusił, zanim zdążyłby dobiec do szybu turbowindy w drugim końcu gmachu. Widział oczyma duszy dziesiątki ogarniętych paniką mieszkańców, rozpaczliwie starających się dotrzeć do tej samej turbowindy. Sullustanin mógł być niemal pewny, że żaden go nie przepuści.

W obecnej sytuacji może nawet powitałby z radością taki scenariusz. Zmagał się z rozłożeniem pryczy, która dawała się tylko trochę odchylić od ściany. Kąt nie był wystarczająco duży, żeby drobny Sullustanin mógł się położyć, ale nawet gdyby dał radę wcisnąć się między ścianę a pryczę, był zbyt lekki, żeby prycza odchyliła się do końca pod ciężarem jego ciała. Nie cierpiał na klaustrofobię – mieszkający w jaskiniach Sullustanie rzadko na nią się skarżyli – ale nawet on musiał przyznać, że perspektywa spędzenia więcej niż jednej nocy w podobnej norze jest w najwyższym stopniu przygnębiająca. Był jednak bardzo zmęczony, a nie miał dość kredytów, żeby poszukać innego noclegu.

Ziewnął i poniewczasie uświadomił sobie, że I-Five coś do niego mówi.

– Słucham? – burknął, nie przestając zmagać się z pryczą.

– Powiedziałem, że wygłosiłeś tam wzruszające przemówienie – powtórzył android. – Chciałbym jednak wiedzieć, jak właściwie zamierzasz odnaleźć Jaksa Pavana.

Den podskoczył i usiadł na częściowo wyciągniętej pryczy. Był gotów się pogodzić – przynajmniej na razie – ze zwycięstwem opornego mechanizmu.

– Hej, Five, jestem reporterem – powiedział. – A przynajmniej byłem. Umiem znaleźć pojedynczy bit w natłoku danych. Jax nie da rady się ukryć przed moimi uszami.

– Nic nie ukryje się przed twoimi uszami – przyznał I-Five. – Jestem zdumiony, że portier na dole nie uznał ich za osobnych gości.

Den przyłożył ręce do piersi z ostentacyjną pretensją.

– Sprawiasz mi przykrość – zauważył. Zsunął się szybko z pryczy i odwrócił się, jakby usiłował zaskoczyć nieposłuszny mechanizm. Dał jednak spokój samej pryczy, tylko wyciągnął ze szczeliny piankowy materac. – Ha! – wykrzyknął. Położył go na brudnej podłodze i stwierdził, że materac zakrywa prawie całą powierzchnię. Uniósł głowę i spojrzał na I-Five. – Jak to dobrze, że ty nie sypiasz – powiedział.

– O, tak – przyznał android. – Dzięki temu będę mógł się cieszyć każdą mikrosekundą naszego pobytu w tym pomieszczeniu. Zarejestruję wszystkie dla potomności. Może nawet...

Urwał nagle, bo Den patrzył na niego z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Potomności – powtórzył cicho, jakby sam do siebie.

I-Five umilkł. Jego fotoreceptory się rozjarzyły, co Den zawsze uznawał za dowód zainteresowania... i nadziei.

– Masz w swoich bazach danych zarejestrowane wizerunki Lorna Pavana, prawda? – zapytał Sullustanin.

– Tak – przyznał android.

– Chciałbym je obejrzeć.

I-Five wyświetlił w powietrzu między nimi serię hologramów. Den przyglądał się uważnie, jak wygląda były partner i przyjaciel I-Five. Był przystojny, a jego twarz inni ludzie określiliby jako „uczciwą”. Przygotowując się do wykonywania zawodu reportera, Sullustanin uczył się fizjonomiki istot różnych ras. Powszechnie wiadomo, że wszystkie istoty jednej rasy wydają się istotom innych ras takie same. Den nauczył się jednak je rozróżniać.

– Wystarczy – powiedział. I-Five wyłączył holoprojektor i parada hologramów się skończyła. Den rozejrzał się po małym pomieszczeniu. – Jest tu może gdzieś gniazdo systemu informatycznego? – zapytał.

Android także się rozejrzał – z powątpiewaniem.

– Jeżeli będziemy mieli szczęście, może znajdziemy staroświecki modem – zauważył.

Ku ich zdumieniu okazało się jednak, że pomieszczenie wyposażono w takie gniazdo. Z jeszcze większym zaskoczeniem stwierdzili, że jest sprawne, chociaż I-Five jakimś cudem – zważywszy na jego nieruchomą twarz – zademonstrował obrzydzenie.

– Chcesz, żebym się połączył z czymś takim? – zapytał. – Jedyne Twórcę wie, co ostatnio się z tym łączyło...

– Nie bądź śmieszny – ofuknął go Sullustanin. – O ile wiem, masz chyba najbardziej

aktualną wersję oprogramowania antywirusowego.

Android westchnął.

– Czy wspominałem ostatnio, jak bardzo mnie cieszy nasza współpraca? – zapytał. Uniósł prawą rękę, wyciągnął palec i przekształcił go we wtyczkę, którą ostrożnie umieścił w gnieździe systemu informatycznego w ścianie. – Dlaczego ja to właściwie robię? – westchnął.

– Żeby połączyć się z główną siecią systemu bezpieczeństwa tego sektora – wyjaśnił Den.

– To w najwyższym stopniu nielegalne – zauważył android.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, to tylko stwierdzenie faktu – odparł I-Five. – Czego mam w niej szukać?

– Zarejestrowanych w ciągu ostatniego tygodnia wizerunków mężczyzn, którzy wykazują wysoki stopień podobieństwa z twoimi wizerunkami Lorna Pavana – odparł reporter. – Innymi słowy...

– Rodzinnego podobieństwa – dokończył android i na chwilę umilkł. – Nie mogę uwierzyć, że sam o tym nie pomyślałem – dodał cicho.

– Ja też nie – przyznał Sullustanin. – Domyślam się, że tej części obwodów w twojej głowie wciąż jeszcze brakuje kilku synaps. – Postarał się, chociaż niezbyt usilnie, usunąć z głosu nutę samozadowolenia. – A poza tym nie wiemy, czy coś z tego wyniknie.

I-Five nie odpowiedział. Wyglądał na skoncentrowanego.

– Problemy? – domyślił się Den.

– Odkąd ostatnio dostawałem się do tej sieci, zainstalowano nowy system antywłamaniowy – wyjaśnił I-Five.

– Wcale mnie to nie dziwi – przyznał Sullustanin. – Ile to czasu upłynęło, dwadzieścia lat?

– Bądź cicho. To trudne.

Den uzbroidł się w cierpliwość i oparł pokusie nerwowego przestępowania z nogi na nogę. Gdyby I-Five zwrócił na siebie uwagę rozsianych po systemie elektronicznych strażników, mogłoby to spowodować nieprzyjemne skutki, włącznie z tym, że sieć synaptyczna androida splonąłaby jak kometa w jądrze słońca. Gdyby do tego doszło, Den nigdy by sobie nie wybaczył, że w ogóle wystąpił z taką propozycją. Nie miałby zresztą czasu na długie rozpaczanie, bo prawdopodobnie budynek zostałby okrążony przez eskadrę PJW, zanim zdołałby się z niego wydostać.

– Wszedłem – oznajmił w końcu I-Five. – Podaję szczegółowe parametry algorytmu... wzbudzam modalność poszukiwań... kopiuję dane. – Zakończony wtyczką palec wysunął się z gniazda i przybrał pierwotny kształt.

– No i co? – zainteresował się Sullustanin. – Co udało ci się zdobyć?

I-Five znów włączył holoprojektor i w powietrzu między nimi pojawiło się pięć trójwymiarowych wizerunków młodego mężczyzny w trudnym do zapamiętania stroju gwiazdnego podróżnika. Hologramy były wprawdzie trochę rozmyte, ale i tak nie mogło być

najmniejszej wątpliwości, że mężczyzna jest bardzo podobny do poprzednio wyświetlanych wizerunków Lorna Pavana.

– Witaj, Jaksie – mruknął Den.

I-Five zachował milczenie, ale jego fotoreceptory świeciły bardzo jasnym blaskiem.

Jedno ujęcie przedstawiało Jaksę Pavana przechodzącego na drugą stronę zatłoczonej ulicy. Na innym Jax Pavan kupował coś od ulicznego sprzedawcy. Ostatnie trzy, najbardziej rozmyte, ukazywały go na pomoście, rozmawiającego, a może sprzeczącego się z Huttem, Klatooinianinem i Niktem.

Na ostatnim z tych trzech było widać już tylko Jaksę, Klatooinianina i Nikta. Den zauważył, że w wolnej przestrzeni między obcymi istotami a mężczyzną przelatują dwa niewyraźne przedmioty. Przyjrzał się uważniej i zmarszczył brwi.

– Możesz poprawić rozdzielczość tego wizerunku, I-Five? – zapytał.

Android usłuchał. Obraz powiększył się i wyostrzył. Sullustanin aż zamrugał z wrażenia.

– To wygląda, jakby ten człowiek jakimś cudem wyrwał tamtym dwóm zbirom blastery z dłoni... – zaczął i urwał, bo uświadomił sobie, co to znaczy. – Posłużył się Mocą, żeby ich rozbroić!

– Te obrazy zarejestrowała automatyczna latająca kamera systemu bezpieczeństwa – wyjaśnił I-Five. – Ostatni zaznaczono do sprawdzenia pod kątem możliwej nielegalnej działalności Jedi.

– To niedobrze – mruknął reporter. – Ile czasu może upłynąć, zanim ktokolwiek zacznie to sprawdzać?

– Trudno powiedzieć – odparł android. – Imperium twierdzi oficjalnie, że zakon Jedi został zniszczony, a wyłapanie ostatnich Jedi przestało być problemem najwyższej wagi. Wszystko będzie zależało od tego, jak dużo innej pracy będą mieli miejscowi przedstawiciele prawa. Mogą się pojawić po upływie tygodni, dni albo godzin. Wcześniej czy później jednak na pewno ktoś się tym zainteresuje.

– Czyli to my musimy go odnaleźć pierwsi – zdecydował Den. – Czy wiadomo, gdzie i kiedy dokonano tego nagrania?

– Ostatnie trzy ujęcia zarejestrowano czterdzieści sześć godzin i dwadzieścia siedem minut temu na pomoście Mongoh, mniej więcej dwa kilometry na zachód stąd – wyjaśnił android.

– Do tej pory Pavan może być wszędzie – mruknął zawiedziony Sullustanin. – Jakim cudem moglibyśmy...

– To żaden problem – przerwał I-Five. – Latające kamery systemu bezpieczeństwa zaprogramowano już teraz w taki sposób, żeby rejestrowanie wizerunków Jaksy było dla nich zadaniem o podwyższonym priorytecie. A skoro już raz się włamałem do sieci bezpieczeństwa, mogę to zrobić znów... i o wiele łatwiej.

– Jesteś pewny?

– Czy ta twarz mogłaby kłamać?

Nedijanin Kaird zajmował miejsce na jednym rogu konferencyjnego stołu w komnacie lorda. Agent Czarnego Słońca siedział na fotelu, który dostosowywał się do kształtu jego ciała. Był zarazem czujny i odprężony. Starał się, żeby nikt nie mógł mu zarzucić nonszalancji. Bo też nikt nie mógł czuć się zbyt swobodnie w obecności lorda Dala Perhiego.

W drugim rogu trójbocznego stołu siedział jego odwieczny rywal, książę Xizor z rodu Sizhran. Podobnie jak Kaird, Falleen usiłował wyglądać na spokojnego i pewnego siebie. W mowie jego ciała dawało się uchwycić odrobinę dumy i arogancji, które – jego zdaniem – pasowały do godności królewskiego rodu Falleenów. Xizor przewiązał czarne, lśniące włosy na czubku głowy, a jego twarz o regularnych rysach wyglądała jak wyrzeźbiona z jadeitu.

Lord Perhi siedział przy trzecim rogu, pod ścianą z godłem Czarnego Słońca. Konferencyjny stół zaprojektowano w taki sposób, żeby można było zmieniać jego kształt, zależnie od tego, ile osób miało brać udział w spotkaniu z lordem. Wyglądał jak zwykły, wąski prostokąt do rozmów w cztery oczy, albo stawał się dziesięciobokiem, jeżeli w rozmowie z lordem miało uczestniczyć wszystkich dziewięciu vigów.

Lord Perhi był pięćdziesięcioośmioletnim mężczyzną, mierzącym sto dwadzieścia pięć centymetrów, czyli niewiele jak na człowieka. Miał krótko ostrzyżone blond włosy i kręłą budowę. Kaird oceniał, że w standardowym polu grawitacyjnym lord waży mniej więcej siedemdziesiąt pięć kilogramów. Jego ciało nie zawierało jednak ani grama tłuszczu. Kaird mógł o tym zaświadczyć, bo kiedyś grał z nim we wstrząsopilkę. Perhi był twardym zawodnikiem i miał wielką wolę zwycięstwa.

Rozpoczął karierę w Czarnym Słońcu tą samą drogą co wielu innych, nie wyłączając samego Kairda: jako egzekutor. Perhi służył jednak Huttowi o imieniu Yanth, który był właścicielem usytuowanego w Karmazynowym Korytarzu ośrodka gier hazardowych zwanego Oazą Tuskenów. Pewnego dnia mocodawcę Perhiego zamordował tajemniczy zabójca, którego tożsamości nigdy nie odkryto. Nie ustalił tego nawet Jedi, któremu powierzono rozwiązanie tej zagadki, bo podobno w zabójstwie mogło maczać palce kilku innych Jedi.

Krążyła plotka, że prowadzący śledztwo rycerz zadarł z Perhim i gorzko tego pożałował. Lord nigdy tego nie potwierdził, ale też i nigdy nie zaprzeczył. Plotka urosła do rangi legendy tylko dlatego, że tym rycerzem Jedi był sam Obi-Wan Kenobi, jeden z największych bohaterów Wojen Klonów. Nikt nie wiedział, czy Perhi rzeczywiście pokonał Kenobiego, czy nie, ale krążąca po korytarzach Północnej Hali plotka nie powstrzymała szybkiej drogi mężczyzny po szczeblach hierarchii Czarnego Słońca. Dwa lata po bitwie o Naboo Perhi został vigiem, a rok później lordem.

Miał tak wybitną osobowość, że pozostawał na tym stanowisku większą część następnej dekady. Kaird bardzo go za to podziwiał, chociaż ten podziw nie powstrzymałby go przed

zabiciem Perhiego w dowolnej chwili, gdyby miało mu to przynieść jakąś korzyść.

Nedijanin nie wiedział, dlaczego on i Xizor zostali dzisiaj zaproszeni przed oblicze lorda. Falleen nie dawał po sobie nic poznać, a jego twarz był nieruchoma jak pośmiertna maska. Skóra Xizora miała neutralny, jasnozielony kolor, a on sam nie wydzieliał żadnych feromonów. Kaird mógł być tego pewny, bo ukrył przy sobie miniaturowy czujnik molekuł, specjalnie zaprogramowany do wykrywania właśnie takich związków chemicznych. Gdyby Falleen próbował na niego wpłynąć albo zmienić jego nastawienie do siebie, Kaird by się o tym dowiedział. Nedijanin nie wiedział, czy lord Perhi też ma podobne urządzenie, ale raczej w to wątpił. Nie było takiej potrzeby, bo wszyscy wiedzieli, jaki los spotkałby księcia Xizora, gdyby się poważał na obrazę majestatu. Falleen mógł być arogancki, ambitny, bezwzględny i dumny, ale na pewno nie był głupi.

– Niedawno otrzymałem wiadomość z sektora Metellosa – odezwał się w końcu lord Perhi. – Jego administrator zgłosił kradzież bardzo cennego przedmiotu. Oskarżył o to jednego z agentów Czarnego Słońca... wysoko postawionego w hierarchii organizacji.

Kaird poczuł w żołądku łaskotanie macek niepokoju. Xizor został zaproszony jako podejrzany, co było zrozumiałe, ale dlaczego lord zaprosił na rozmowę także jego, Kairda? Czyżby wydał go Endrigorn? A może to sam Xizor zwąchał pismo nosem? Kaird wiedział, że Falleen wszedł w posiadanie hiperklejnotu, bo uważnie śledził jego dalsze losy, choć demonstracyjnie starał się okazywać brak zainteresowania.

Bezowocne rozważania nie miały sensu. Jeżeli Nedijanin chciał się przekonać, jak się dalej rozwinię sytuacja, mógł tylko czekać.

Dal Perhi przyglądał się i jemu, i Xizorowi. Minę miał obojętną, ale Kaird nie dał się zwieść pozorom. Żaden z jego drapieżnych przodków na Nediju nie obserwował potencjalnej ofiary uważniej, niż robił to właśnie przywódca Czarnego Słońca.

Kaird udał stosowne do powagi zarzutu zainteresowanie, ale żadnym gestem ani słowem nie dał do zrozumienia, że cokolwiek o tym wie.

– To poważne oskarżenie – powiedział. – Czy administrator sektora przedstawił jakiś dowód na to, że zna tożsamość sprawcy?

– Jego agenci podążali śladem skradzionego przedmiotu, czyli hiperklejnotu, z miejsca kradzieży na Metellosie do podziemi Coruscant, gdzie został sprzedany rakririańskiemu paserowi o nazwisku Endrigorn – oznajmił Perhi.

Podążali? W jaki sposób? – zastanawiał się Kaird. Zapłacił mnóstwo kredytów, żeby złodziej nie pozostawił absolutnie żadnych śladów...

– Złodziej albo ktoś, kto stał za tą kradzieżą – podjął Perhi – nie miał pojęcia, że hiperklejnoty zostawiają szczątkowy ślad w postaci smugi tachjonowych cząstek. Łatwo je wykryć i potem śledzić, jeżeli się dysponuje odpowiednim sprzętem.

Gdyby Kaird był ssakiem, do tej pory by się spocił. Uświadomił sobie, że patrzą na niego i Perhi, i Xizor.

– To musiał ukraść agent naprawdę wysoko postawiony – powiedział lord, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kamizelki hiperklejnot, który Kaird sprzedał paserowi. Uniósł go i chwilę podziwiał jego niezwykle blask, a wreszcie położył na stole i spojrzał znów na Nedijanina.

W tej samej chwili Kaird uświadomił sobie ponurą prawdę. To nie on zastawił pułapkę na Xizora, ale od samego początku Xizor zastawił ją na niego. To Falleen puścił w obieg wiadomość o hiperklejnocie. Dobrze wiedział, że Nedijanin zwróci uwagę na jego możliwości. A później, kiedy Kaird sprzedał paserowi hiperklejnot, Xizor go odkupił i udał się z nim prosto do Perhiego. Oskarżył Kairda o kradzież i przekazał lordowi hiperklejnot jako dowód swojej niewinności.

Plan był tak chytry, że Kaird nie mógł go nie podziwiać.

Do tej pory Xizor siedział w absolutnym milczeniu; w końcu wstał, zgarnął fałdy ozdobionego brokatem długiego płaszcza i spojrzał na Perhiego.

– Jeżeli mój lord nie będzie miał nic przeciwko temu, opuszczę go teraz – powiedział. Przeniósł spojrzenie na Kairda. – Zawsze ogarnia mnie smutek, kiedy dobry kolega zawodzi czyjeś zaufanie.

– Możesz odejść, książę Xizorze – zezwolił łaskawie Perhi. – Muszę odbyć z Kairdem poważną rozmowę.

Falleen się skłonił, nie odrywając wzroku od rywala.

– A więc za pańskim pozwoleniem, lordzie. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Kiedy przechodził obok Kairda, Nedijanin zauważył jego sprężyste mięśnie, wyraźnie prężące się pod synjedwabiem jednoczęściowego kombinezonu, który Fallen nosił pod płaszczem.

Płyty drzwi zamknęły się z cichym sykiem za plecami Xizora i Kaird został sam na sam z władcą Czarnego Słońca, który wiedział o jego perfidnym postępkach. Nedijanin pomyślał ze smutkiem o rodzinnej planecie. Stracił właśnie jedyną szansę, że ją jeszcze przed śmiercią zobaczy. Jeżeli rzeczywiście istniało życie po śmierci, będzie mógł na nią spoglądać z góry, z Wielkiego Gniazda.

Lord Perhi zaszczylił go spojrzeniem, zaplótł palce i powiedział:

– Musimy porozmawiać.

ROZDZIAŁ 16

Życie było łaskawe dla Hutta Rokko z klanu Besadii. Stosunkowo młody jak na istotę swojej rasy – Jax słyszał, że Rokko ma najwyżej czterysta standardowych lat – ogromny brzuchonóg zdążył się urządzić całkiem nieźle na najniższych poziomach. Jeżeli nie liczyć zysków z czarnego rynku, głównym źródłem jego dochodów były lokale umożliwiające gościom możliwość pławienia się w obscenicznym wirtualnym holośrodowisku. Lokali takich nie brakowało zarówno na samym placu Tangor, jak i w uliczkach niższych poziomów Slumsów Blackpit. Dzięki kombinacji hologramowych wizerunków, subtelnego drażnienia powonienia, hiperdźwięków i oddziaływania na zmysł dotyku, niemal każda forma życia mogła tu zaspokoić swoje pragnienia, choćby najbardziej dziwaczne. Lokale nie narzekały na brak klientów, więc kredyty płynęły do kufrów Rokka ciągłym strumieniem, i to na tyle szerokim, że gangster zaczął okazywać perwersyjną dumę z pozycji w podziemnym świecie, w którym i tak prowadził większość interesów. Zamieszkał w przestronnej, luksusowo urządzonej conapcie pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią gruntu.

Laranth i Jax zjechali tam turbowindą. Rycerz Jedi uprzedził młodą paladynkę, że ze złożeniem wizyty Huttowi może być pewien problem, zważywszy na sposób, w jaki Jax się rozprawił z jego osiłkami. Jak się spodziewał, opowieść wywarła na Laranth duże wrażenie, chociaż nawet się nie domyślał z jakiego powodu.

– To co, tak po prostu wejdziemy do jego rezydencji? – zapytała paladynka.

– Myślałem, żeby najpierw zapukać – odparł Jax. – W cywilizowanym społeczeństwie należy przestrzegać dobrych manier.

– Rokko jest mniej więcej tak samo cywilizowany jak wygłodniały reek – parsknęła Laranth, kiedy wysiedli z kabiny w prowadzącym do rezydencji Hutta przestronnym ferrobetonowym tunelu.

– Zaufaj mi – mruknął rycerz Jedi. – Czy kiedykolwiek cię naraziłem na niebezpieczeństwo?

Wejścia do conapty Rokka strzegł bojowy android typu Aegis-7. Strażnik był najnowszym, człękoksztalnym modelem, ale zamiast nóg miał obrotowe płyty repulsorów, które zapewniały mu większą szybkość i zdolność manewrowania. Powiadano, że roboty Aegis-7 potrafią schwytać lecący z największą szybkością raketowy skuter, a jeżeli go nie

złapią, rozpylą na atomy fazowym impulsem energii z działka, naszpikują pociskami albo powstrzymają na jeden z kilkunastu innych, równie śmiertelnych sposobów.

Jax nie wątpił, że Rokko z własnej inicjatywy wyposażył robota w wiele niestandardowych opcji; jego automat z pewnością dysponował potężniejszym uzbrojeniem i stał się bardziej wszechstronny. Rycerz Jedi zatrzymał się, ostentacyjnie pokazując puste dłonie. Laranth znieruchomiła w podobnej pozie obok niego.

Robot poddał ich szybkiemu skanowaniu.

– W czym mogę pomóc? – zapytał. Jego wokabulator pozwalał mu się wysławiać łagodnie i uprzejmie, ale gdyby rycerz Jedi wykonał nagły ruch, on i Laranth byłiby już martwi.

– Prosimy o zaanonsowanie wizyty rycerza Jedi Jaksy Pavana i paladynki Jedi Laranth Tarak – powiedział. Patrzył prosto przed siebie, ale wyczuwał zdenerwowanie swojej towarzyszki. Posłużył się Mocą i subtelnie dotknął jej umysłu, żeby bez słów dodać jej otuchy.

Nerwowe drżenie jej wici Mocy trochę zmalało. Jax nie mógł jej za to nie podziwiać. Od czasu zniszczenia Świątyni Laranth nie ufała absolutnie nikomu. A oto teraz ktoś, kogo spotkała zaledwie kilka razy w życiu, przedstawia ją bezlitosnemu gangsterowi. Jax był wprawdzie rycerzem, ale w przeszłości już się zdarzało, że Jedi schodzili na złą drogę.

Jax liczył na to, że i Rokko jest świadom tego faktu.

Robot się nie poruszył, ale dioda mrugająca na pancerzu jego napierśnika dowodziła, że kontaktuje się ze zwierzchnikami, a może nawet z samym Rokkiem. Trwało to tak długo, że Jax zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście podjął słuszną decyzję. W końcu automat znów się odezwał, tym razem gardłowym głosem Rokka:

– Witaj, Jaksie – wygruchał Hutt. – Zaufałem ci, a ty nie zdradziłeś mi swojej tajemnicy. Mimo to nie hoduję rankora w sercu. Proszę, wejdź. Koniecznie musisz mi przedstawić swoją uroczą przyjaciółkę.

Bojowy robot skonfiskował blastery i wibronoże obojga Jedi, cały czas zwracając się do nich głosem Rokka:

– Nie pozwalamy, żeby goście wchodzili tu uzbrojeni, z powodów, które na pewno dobrze rozumiesz.

Kiedy drzwi przed nimi się otworzyły, Laranth zaklęła pod nosem.

Pierwsza komnata rezydencji Rokka była ogromna i – zgodnie ze zwyczajami Huttów – urządzona z istic królewskim przepychem. Ściany i podłoga miały przygnębiający odcień ciemnego brązu i ochry, a pod ścianami stały łby szczerzących kły drapieżnych zwierząt: acklayów, rankorów i neksów. Nad przesłoniętymi kotarą drzwiami widniały płaskorzeźby, a dokądkolwiek Jax skierował wzrok, widział egzotyczne kryształowe posągi i fryzy. W kilku miejscach komnaty zainstalowano fontanny, z których zamiast wody tryskał, niestety, obrzydliwy syrop. Rycerz Jedi uznał, że ten smród przyprawia go o nudności. O mało się nie

zakrzuszył, co prawdopodobnie byłoby z jego strony niewybaczalną gafą.

Z zaskoczeniem stwierdził, że w ścianach są okna, chociaż znajdowali się kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią gruntu. Z jeszcze większym zdumieniem zobaczył, że widać przez nie krajobrazy rodzinnej planety Huttów, Nal Hutta. Nigdy tam wprawdzie nie był, oglądał tylko hologramy, ale nie mógłby pomylić tych widoków z czymkolwiek innym. Ponury krajobraz z niszczącymi dzielnicami mieszkalnymi i napełnionymi błotem korytami rzek mógł się wydawać piękny tylko Huttom.

– Widzę, że podziwiasz pejzaże mojej rodzinnej planety. – Rokko rozpierał się na otomanie, a górna połowa jego cielska prawie się wylewała nad jej oparciem. Obok niego cicho bulgotały nieodłączne nargile. Jax wyczuł w powietrzu aromat miodokwiatowej przyprawy. Z obu stron Hutta stali Gamorreanie, po jednym z każdej strony. Ochroniarze sprawiali wrażenie wystarczająco twardych i głupich, żeby podjąć próbę przebicia głową durastalowego muru.

– To okna do przeszłości – ciągnął Rokko dziwnie rzewnym tonem, chyba nawet z nutą nostalgii. – Stworzone wiele wieków temu przez wybitnego huttańskiego artystę Gorga, który w ciągu wielu dziesięcioleci wystawiał je w rozmaitych uroczych zakątkach planety Nal Hutta. To zamrożone skropliny gazu prothium o tak dużej gęstości optycznej, że światło przedziera się przez nie dosłownie wiele lat. Gorgo zmarł przed moim narodzeniem. Na szczęście całkiem niedawno udało mi się zdobyć ostatnie jego dzieła. Kiedy przenikające przez nie powoli obrazy w końcu znikną, nie pozostanie nic, co będzie mogło cieszyć moje oczy.

W głosie Rokka słychać było nieklamany smutek. Jeszcze jedna niespodzianka, jakby mało już ich dzisiaj było, pomyślał rycerz Jedi.

Rokko z namysłem, powoli, zaciągnął się aromatycznym dymem.

– A więc czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę? – zapytał.

– Moim zdaniem obaj tamtego dnia zareagowaliśmy przesadnie nerwowo – zaczął Jax. – Jestem gotów puścić w niepamięć to, eee, nieporozumienie w sprawie Cereanina, podobnie jak późniejszą wizytę szturmowców w moim mieszkaniu, jeżeli i ty zechcesz postąpić tak samo.

– Jaki będę miał w tym interes? – zapytał gangster.

– Nasza współpraca przyniesie korzyść i mnie, i tobie.

Rokko wypuścił z ust strużkę aromatycznego dymu.

– Słucham cię z uwagą – powiedział. – Przynajmniej na razie.

– Potrzebuję twojej pomocy w odszukaniu zaginionego androida.

Hutt zamrugnął żółtymi ślepiami wielkości spodków.

– Dlaczego miałbym ci w tym pomóc? – zainteresował się.

– Bo możesz na tym zarobić mnóstwo kredytów – wyjaśnił Jax. – Ten android nosi informacje bardzo niebezpieczne dla Imperium, gdyby się dostały w ręce powstańców. –

Rycerz Jedi wiedział, że chociaż Rokko, podobnie jak większość mieszkańców podziemnego świata, nie darzy Palpatine'a szczególną sympatią, jest dość sprytny, aby wiedzieć, po której stronie grzybowego ciastka ścieka najwięcej śluzu. Gdyby mógł zarobić chociaż trochę kredytów, odnajdując androida i przekazując go Imperatorowi, prawdopodobnie nie wahałby się ani chwili.

– Jaka jest natura tych informacji? – zapytał Rokko.

– Nie mam pojęcia – wyznał Jax. – Wiem tylko, że szukają go i powstańcy, i Imperium, więc mogę się domyślać, że w jego pamięci zarejestrowano coś więcej niż tylko receptę na Trikalooańską Niespodziankę. Bez względu na naturę tych informacji, na androida już w tej chwili poluje kilku łowców nagród. – Nick wprowadził zastrzeżenie, że to tylko plotka, ale Jax nie miał nic przeciwko jej wykorzystaniu.

– A zatem przyszedłeś z tym do mnie – stwierdził Rokko. – Dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? – odparł Jax. – Nawet gdybym pierwszy się natknął na tego androida, nie mógłbym go sam przekazać w ręce Imperatora czy Vadera. Od razu by wyczuli, że jestem wrażliwy na oddziaływanie Mocy, i domyślili się, że jestem Jedi. Ty jednak możesz go przekazać i odebrać nagrodę, którą później się podzielimy.

– Mogłeś skorzystać z usług innego pośrednika – zauważył Rokko.

– Nie chcę ryzykować – wyjaśnił rycerz Jedi. – A poza tym, jeżeli połączymy twoje środki z naszą wrażliwością na Moc, bez problemu pierwsi zlokalizujemy tego androida.

Gangster milczał. Napięcie narastało, aż Jax poczuł świerzbienie w palcach, żeby sięgnąć po rękojeść świetlnego miecza.

– Mógłbym po prostu przekazać was oboje w ręce Vadera – odezwał się w końcu Hutt. – Odebrałbym nagrodę, bo jesteście Jedi. Nie dostałbym za was dużo, ale nie musiałbym się specjalnie natrudzić.

Jax poczuł, że zalewa go fala ulgi. Nie był pewny, jak to się stało... albo wyczuł to dzięki Mocy, albo tak dobrze znał gangstera. Tak czy owak, domyślił się, że Rokko połączył przynętę. Mimo to nie mógł zlekceważyć jego ostatnich słów.

– Musisz wiedzieć, że przy schwytaniu dwojga Jedi, nawet nieuzbrojonych, natrudziłbyś się bardziej, niż ci się wydaje – poinformował Rokko.

Hutt wykonał małą, wiotką ręką lekceważący gest.

– *Eniki, eniki* – powiedział. – Nie ma potrzeby się tak unosić. Jesteśmy w tym interesie partnerami, przynajmniej na razie. – Zrobił jeszcze jeden gest i z zasłoniętych kotarą drzwi wyłonił się Kubaz. – Przynies trunki – rozkazał Rokko. – Dla mnie to co zwykle, a dla nich rozwodnione wypociny ronta, które nazywają koreliańskim piwem.

Kubaz kiwnął głową i wyszedł bez słowa.

Rokko uśmiechnął się do obojga Jedi. Widok był niesamowity. Huttowie nie mieli zębów, a dzięki chrząstkowatym, ząbkowanym wargom i elastyczności skóry uśmiech Rokka wyglądał, jakby ktoś mu odpiłował górną część głowy.

– Usiądźcie – zaproponował Hutt tonem, który prawdopodobnie miał zabrzmieć przyjaźnie. – Czas odgrywa w tym wszystkim bardzo dużą rolę.

Jax spojrział na Laranth i zorientował się, że młoda Twi'lekanka myśli o tym samym co on: że przy pierwszej nadarzającej się okazji Rokko wykorzysta skórę z ich pleców jako futerał na wibroostrze. Ale i tak sojusz z gangsterem był lepszy niż polowanie na androida tylko we dwoje. Jax nie miał wprawdzie pojęcia, jak wydostanie potem Robalookiego z rąk Hutta, jak przetransportuje androida na powierzchnię i jak odleci z nim z Coruscant, ale postanowił martwić się o to później.

Jeżeli oczywiście miało być jakiegokolwiek „później”...

ROZDZIAŁ 17

Nick się obudził. Zaskoczyło go to, bo nie pamiętał, żeby usypiał.

Kilka sekund potem uświadomił sobie, że nie usypiał, chyba że w najmniej dosłownym znaczeniu tego słowa, sądząc po potężnym i bardzo bolesnym guzie na potylicy. Dotknął go delikatnie i natychmiast poczuł tak silny ból, jakby znów dostał w tamto miejsce. Zobaczył pod powiekami purpurowe mgławice, pomarańczowo-białe supernowe i srebrzyste komety... W jego głowie eksplodowała cała galaktyka bólu. Jęknął i postanowił nigdy więcej nie grać w shronkera z istotą innej rasy... a nawet w takim przypadku zamierzał bardzo uważnie dobierać przeciwników.

Drugim pilnym problemem do rozwiązania było odkrycie, gdzie właściwie się znajduje.

Leżał na brzuchu na podłodze... a ściślej na pokładzie. Na pewno nie była to podłoga lokalu, w którym grał w shronkera. Tamta podłoga była syndrewniana, zaśmiecona trocinami i innymi, o wiele mniej miłymi dla oka substancjami. Nick stwierdził, że teraz leży na zimnych metalowych płytach, które lekko drżą. Drzeniu towarzyszył cichy basowy pomruk, który aż za dobrze znał.

Znajdował się na pokładzie statku, który dokądś leciał. I to szybko.

Spróbował przypomnieć sobie ostatnie chwile przed utratą przytomności. Pamiętał jeszcze, że ktoś wbił mu w plecy lufę miotacza pocisków. Nieznany napastnik doradził mu też, żeby zawsze stawał tyłem do ściany, chociaż akurat ta rada była w sytuacji Nicka zupełnie bezużyteczna. A później nieznajomy uderzył go w głowę, niewątpliwie kolbą tego samego miotacza pocisków, chociaż Nick czuł się raczej, jakby go ktoś zdzielił obuchem młota kowalskiego.

Upadł tam, a oprzytomniał tu. No dobrze, a właściwie gdzie znajduje się to „tu”?

Nadal na Coruscant, tego mógł być chyba pewny. Nic nie było równie stabilne niż naturalne ciążenie. Jeżeli ktoś wyjrzał przez iluminator statku lecącego w przestworzach, odnosił wrażenie, że to wszechświat przemieszcza się obok niego, nie on pośród gwiazd. Kapitanowie statków lecących w atmosferze rzadko jednak włączali generatory antygravitacyjnych pól. Po pierwsze, korzystanie z nich było zbyt kosztowne, a po drugie, masa planety zakłócała działanie inercyjnych tłumików. Nick odczuwał drobne różnice prędkości i momentu, co oznaczało, że znajdował się wciąż jeszcze blisko planety. Od czasu

do czasu żołądek podchodził mu do gardła, więc statek na pewno nie był duży.

Postanowił się rozejrzeć. Wprawdzie wciąż jeszcze czuł się trochę oszołomiony, ale rozumiał, że musi potrwać, zanim powróci do pełnej przytomności. Otworzył oczy.

Leżał na pokładzie mostka statku. Powoli i ostrożnie zmienił położenie ciała, żeby lepiej widzieć.

W pobliżu nie było nikogo. Nick odwrócił się jeszcze trochę i dopiero wtedy uświadomił sobie, że ma na przegubach i kostkach ogłuszające kajdanki. Kiedy się poruszał, czuł mrowienie, bo przez jego ciało przepływał ładunek elektryczny o niewielkim natężeniu.

Rozejrzył się po mostku. Leżał zwrócony nogami w stronę dziobu. Kiedy wyciągnął szyję – przy okazji w jego mózgu eksplodował granat jonowy – mógł zobaczyć samą sterownię. Była niewielka, przeznaczona tylko dla pilota i astrogatora. Fotele miały wysokie oparcia, więc nie widział siedzących na nich osób, ale wywnioskował, że oba są zajęte.

Odprężył się i osunął na płyty pokładu, ale nawet to przyplacił nudnościami i bólem głowy. Sądząc po szerokości i układzie odchodzących od mostka korytarzy, znajdował się na pokładzie lekkiego frachtowca albo transportowca. Na pewno nie leciał jednostką wojskową, bo mostek był od dawna niesprzątany. Klony od urodzenia zaprogramowano do utrzymywania porządku, a wojskowi, obojętne, Imperium czy Republiki, tradycyjnie utrzymywali pokład w nieskazitelnej czystości.

Na ile Nick mógł się zorientować, ten statek wyglądał wręcz niechlujnie. Na ścianach widniały tłuste odciski palców istot wielu ras, a pokład pokrywała warstwa błota z wielu planet. Na pewno takie samo błoto było pod nim. Co więcej, w powietrzu unosił się dziwny zapach. Nie przypominał odoru niemytych ciał różnych form życia. Był po prostu... dziwny.

To wszystko było interesujące, ale właściwie niewiele wyjaśniało. Nick doszedł do wniosku, że skoro nie może sam uwolnić się z kajdanków, przynajmniej powinien dać znać porywaczom, że oprzytomniał.

– Hej! – wrzasnął.

Fotel pilota częściowo się obrócił i wstała z niego koszmarna istota. Miała niemal dwa metry wzrostu i szarą, chropowatą skórę, a z bezwłosej głowy zwisało siedem czy osiem długich, cienkich warkoczy. Istota była ubrana w krótką kasztanową tunikę i takiego samego koloru buty. Wyglądała paskudnie; Nick nie zdziwiłby się, gdyby urwała mu rękę i zatłukła go nią na śmierć. A może nawet urwałyby własną rękę, by zatłuc nią Nicka.

Kiedy minął początkowy wstrząs i Korunnai zaczął myśleć logicznie, rozpoznał w istocie Weequaya. Niewiele wiedział o istotach tej rasy, poza tym, że to okrutni wojownicy. Podobno służyli jako najemnicy obu stronom walczącym podczas Wojen Klonów, a po ich zakończeniu wielu z nich zostało łowcami nagród, egzekutorami Czarnego Słońca, przemytnikami albo zwykłymi zabójcami.

Raczej nie mogę się spodziewać litości po tym potworze, pomyślał Rostu.

Weequay kucnął obok niego. Na pomarszczonej twarzy istoty nie malowały się żadne

emocje, ale czarne oczy błyszczały jak guziki.

– Eee... czy mogę dostać coś do picia? – zapytał Korunnai.

Weequay nie odpowiedział; gadatliwość chyba nie leżała w charakterze istot jego rasy. Chwycił Nicka i szarpnięciem postawił na nogi. Korunnai poczuł w głowie następną eksplozję bólu. Zmagał się ze sobą, usiłując nie zwymiotować, ale wreszcie przypomniał sobie, że to nie jego statek, i puścił widowiskowego pawia. Wymiociny rozbryzgnęły się po pokładzie, a część wylądowała na butach Weequaya.

Obca istota spojrzała w dół z obrzydzeniem.

– Moje... buty! – warknęła chrapliwie, jakby słowa wydobywały się z trudem z jej gardła. Spiorunowała spojrzeniem Nicka, który mógł tylko przepaszczając się uśmiechnąć i niepewnie wzruszyć ramionami. Weequay wzmocnił uścisk prawej ręki na przodzie jego koszuli, a palce lewej zacisnął w pięść wielkości i twardości asteroidy. Uniósł rękę na wysokość głowy i wziął rozmach...

– Mok! Przestań!

Wymierzona w nos Nicka zabójcza pięść jakby się zawahała.

– Puść go!

Nick uświadomił sobie, że rozkaz wydał człowiek. Poczuł, że Mok go puszcza. Zachwiał się i osunął na płyty pokładu.

– Doprowadź się do porządku – polecił mężczyzna. – I wezwij tu jakiegoś robota, żeby posprzątał ten bałagan. – Odwrócił się na fotelu astrogatora, dzięki czemu Nick mógł mu się lepiej przyjrzeć.

Rostu już wcześniej się zorientował, że znajduje się na pokładzie statku przemytników, a wygląd mężczyzny tylko go upewnił w tym przekonaniu. Astrogator był niski i krępy, a jego twarz szpeciła co najmniej od tygodnia niegolona broda. Miał także nie całkiem zagojoną bliznę na lewym policzku, przez co wyglądał, jakby zawsze szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Różowa tkanka blizny kontrastowała z ciemnym brązem opalenizny jego twarzy. Mężczyzna miał na sobie spodnie, źle dopasowaną bluzę i kamizelkę z naszytymi kieszeniami, a z kabury pod lewą pachą wystawała kolba małego blastera typu E-9. Krótko mówiąc, kompan Weequaya wyglądał, jakby właśnie zszedł z planu tandetnego holowideogramu o gwiazdnych piratach.

– Musisz wybaczyć Mokowi – powiedział zdumiewająco miłym głosem. – Jest bardzo dumny ze swoich butów.

Z jednego z korytarzy wyjechał robot typu MSE-6, który zaczął szybko wsysać pozostałości ostatniego posiłku Nicka. Astrogator wyszczerzył jeszcze szerzej zęby w uśmiechu.

– Witaj na pokładzie „Długodystansowca” – powiedział.

Kilka minut później wrócił Weequay, który w tym czasie zdążył doprowadzić buty do poprzedniej świetności. Ponownie obrzucił Nicka chmurnym spojrzeniem.

– Powinniśmy wyrzucić go w przestworza – wychrypiał, z wyraźnym wysiłkiem wypowiadając każde słowo.

– Nie traćmy z oczu naszego głównego celu – odparł jego towarzysz. – Pamiętaj, że major Rostu przedstawia bardzo dużą wartość. To dezerter, który zabił wysoko postawionego funkcjonariusza Imperium.

Nick stracił nadzieję. Przebywał od tak dawna na najniższych poziomach, gdzie jego życiu i wolności groziło ze wszystkich stron wiele niebezpieczeństw, że niemal zdążył zapomnieć o wysokiej nagrodzie wyznaczonej za jego głowę przez Imperium. Przez dziobowy iluminator widział przesuwany się w dole krajobraz i domyślił się, że kierują się do serca Imperial City i samego pałacu. W tej strefie czasowej zbliżał się świt, więc było później niż w środku nocy, kiedy to rozegrał w Slumsach fatalną partię shronkera. Doszedł do wniosku, że pozostawał nieprzytomny mniej więcej dwie godziny.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił porywacz. – Och, wybacź mój brak manier... nazywam się Drach Coven, ale na dłuższą metę to i tak nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Przypuszczam, że przed zachodem słońca zostaniesz uwięziony albo stracony. Podobno teraz, kiedy cały kłopotliwy proces prawny zastąpiono imperialnymi dekretami, sprawiedliwość bywa wymierzana bardzo szybko.

Nick ciekaw był, kim jest Drach Coven. Astrogator wyglądał jak bandzior, ale wysławił się jak osoba dystygowana. Oficer nie musiał się jednak nad tym długo zastanawiać. O wiele ważniejsze było znaleźć sposób ucieczki, zanim stanie przed frontem plutonu egzekucyjnego. Przez mózg Nicka przemknęło szybko kilka możliwych scenariuszy... Niestety, wszystkie zakładały, że nie ma kajdanek na kostkach ani przegubach.

Robot-mysz skończył sprzątać pokład i szybko odjechał. Weequay jeszcze raz spojrzął na Nicka, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i zajął miejsce na fotelu pilota.

– Mok jest może trochę zbyt porywczy – odezwał się Coven tonem przyjacielskiej pogawędki. – To prawdopodobnie wada wszystkich istot jego rasy. Mówi wprawdzie jak półgłówek, ale w rzeczywistości jest bardzo bystry. No i jest o wiele zdolniejszym pilotem niż ja. Jego ziomkowie na ogół porozumiewają się ze sobą bez pomocy słów. Przekazują sobie informacje, uwalniając kombinacje odpowiednich feromonów.

Nick uznał, że to wyjaśnia dziwny zapach. Prawdopodobnie dla Weequaya ta konkretna mieszanka feromonów oznaczała burczenie pod nosem. Rostu nie skwitował wypowiedzi Coven'a żadną uwagą, a przemytnik zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że nie popadniesz w depresję, bo zamierzam cię wydać dla okupu – powiedział. – Rozumiesz chyba, że to nic osobistego. Bądź co bądź, mam wydatki. Ten statek nie lata tylko dzięki uprzejmych słówkom.

– Domyślałem się, że lata dzięki zapasom czarnorynkowego paliwa – odciął się Nick.

Coven uniósł brew.

– To zabawne... zabójca prawi mi morały na temat mojej profesji.

Rostu już chciał się odciąć, ale tylko wzruszył ramionami. Uznał, że to i tak nie miałyby sensu.

Coven odwrócił się znów przodem do konsoly, żeby włączyć komunikator.

– Łądowisko Jeden-Cztery-Pięć-Trzy-Es-Gie, tu koreliański frachtowiec „Długodystansowiec” Międzygwiazdnej Ligi Handlowej – powiedział. – Proszę o zgodę na lądowanie...

Statek osiadł łagodnie na niewidzialnej poduszce repulsorów. Nick zobaczył przez iluminator przedstawicieli komitetu powitalnego: kilku szturmowców, jakiegoś fagasa i Elomina w kosztownych szatach. Kiedy frachtowiec spoczął pewnie na łapach lądowniczych, Mok opuścił rampę.

Nick miał nadzieję, że ktoś chociaż rozkuje mu nogi, żeby mógł zejść po rampie o własnych siłach, ale pomylił się w rachubach. Mok po prostu chwycił go i przerzucił sobie przez ramię, po czym zniósł po rampie jak worek dojrzałego purniksu. Nick widział tylko metalowe płyty rampy i tyły butów Weequaya.

Coven przywitał się z Elominem, który przedstawił się jako Haninum Tyk Rhinann. Kiedy Mok rzucił Nicka u stóp rampy, Rhinann wykonał gest w stronę swojego sługusa, Givina, który wręczył Covenowi jakiś pakiet. Przemysłnik wyszczerzył zęby w uśmiechu, wsunął pakiet za kamizelkę i niedbale zasalutował Elominowi.

– Miło się robi z tobą interesy – powiedział.

Rhinann wykonał następny gest, po którym dwaj szturmowcy unieśli blastery.

– Zgodnie z umową otrzymaliście nagrodę za przekazanie Imperium nieprzyjaciela – oznajmił, zwracając się do obu pilotów frachtowca. – Zostajecie jednak aresztowani za przemyt towarów i inne przestępstwa przeciwko Gildii Handlowej. – Givin podszedł do oszołomionego Cvena i wyłuskał z jego kamizelki pakiet z nagrodą. – Imperium nie prowadzi interesów z przestępcami, więc wasza nagroda przepada, a statek zostaje skonfiskowany, podobnie zresztą jak wszystko na jego pokładzie.

– Popęlniasz błąd! – zaprotestował Coven. – Jesteśmy licencjonowanymi członkami MLH...

Rhinann wykonał wymowny gest w stronę szturmowców.

– Zabrać ich! – rozkazał.

Coven był zbyt wstrząśnięty, żeby nadal protestować, ale Mok szybko odzyskał przytomność umysłu. Ryknął z wściekłości i uderzył jednego z imperialnych żołnierzy tak mocno, że szturmowiec przeleciał w powietrzu przynajmniej pięć metrów. Kiedy Mok odwrócił się w stronę drugiego szturmowca, trzeci strzelił do niego od tyłu z blastera nastawionego na ogluszanie. Wokół Weequaya zafalowały koncentryczne pierścienie energii, po których istota runęła na durbeton z takim impetem, że Nick poczuł lekkie drżenie gruntu.

Rhinann przyglądał się obojętnie, jak szturmowcy odprowadzają Cvena. Później odwrócił się do pomocnika i powiedział:

– Dopilnuj, żeby to – wykonał odchylonym do tyłu kciukiem gest w stronę frachtowca – zostało zarekwirowane. – Skinał na innego żołnierza, który szarpnięciem poderwał Nicka na nogi. – Zdejmijcie mu kajdanki – rozkazał. Nick poczuł, że w jego serce wstępuje nowa nadzieja, ale szybko ją stracił po następnych słowach Elomina: – Lord Vader na pewno zechce go natychmiast przesłuchać.

Vader? – pomyślał Rostu. Darth Vader? Prawa ręka Imperatora? Co, na miłość wszystkich przodków jego ghósha, mógł od niego chcieć Lord Sithów?

Zaczynało mu to się naprawdę nie podobać...

ROZDZIAŁ 18

Den nie chciałby się znaleźć sam na targowisku Mongoh o północy. Ustawione na wolnym powietrzu gęsto obok siebie stragany należały do różnych istot, które zachwalały swoje towary okrzykami, gwizdami, pomrukami i rykami. Den zdążył się przyzwyczaić do nieustannej kakofonii dźwięków, która była nieodłącznym elementem życia w zajmującym całą powierzchnię planety mieście. Mimo to harmider na targowisku, chociaż jego przestrzeni nie ograniczały żadne mury, przechodził wszelkie wyobrażenie. Sullustanin żałował, że zapomniał umieścić w uszach tłumiki.

Klientela była nie mniej zróżnicowana i barwna niż sprzedawcy. Den nie widział w okolicy innego androida poza I-Five, ale mimo to chyba nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Automat, prześlizgując się zręcznie w tłumie, wyminął pijanego Rodianina z uprzejmym: „Proszę mi wybaczyć” i z oszalamiającą szybkością schylił się, żeby podnieść koszyk zielonych strąków, który upuściła jakaś Snivvianka. Sekundę później wskazał drogę Arconowi, który usiłował się dostać do stacji transportu publicznego. Z pozoru mogło się wydawać, że I-Five jest doskonałym androidem protokolarnym, uprzejmym i skłonny do udzielania pomocy, niemal przesadnie ugrzecznionym. Nikt by się nie mógł domyślić, że w rzeczywistości ma do wykonania ważne zadanie.

Den podążał za nim najszybciej, jak umiał. Cały czas się zastanawiał, jak android odnajdzie Jaksa Pavana w tym tłumie, nawet jeżeli rycerz Jedi rzeczywiście przebywał gdzieś w pobliżu. Niepokoił się także, i to nie pierwszy raz, czy zapał, z jakim I-Five szuka syna swojego byłego partnera, nie przekroczył granicy obsesji i nie zmienił się w aberrację. I-Five jest niewiarygodnie lojalny jak na androida, pomyślał. To doprawdy żalosne.

Po kilku minutach pozornie chaotycznych poszukiwań I-Five zatrzymał się przed niewielkim plastalowo-syndrewnianym straganem, którego właściciel handlował maskami ozonowymi, paskami przeciwutleniającymi, filtrami do nosów i balsamami dla paranoidalnych istot oddychających tlenem.

Sprzedawca był istotą człekokształtną, choć Den nie rozpoznał jego rasy. Wcale go to nie zdziwiło, chociaż przemierzył galaktykę wzdłuż i wszerz więcej niż kilka razy. Handlarz wdał się z I-Five w cichą rozmowę. Kiedy Sullustanin przecisnął się przez tłum wystarczająco blisko straganu, żeby cokolwiek usłyszeć, rozmowa dobiegła końca i I-Five zaczął się szybko

oddalać. Den westchnął i skręcił, żeby przeciąć mu drogę.

Dogonił go jednak dopiero, kiedy android opuszczał targowisko. W tym miejscu hałas był mniejszy, co było jak balsam dla podrażnionych uszu reportera.

– Dobrze, szpiegowski automacie, o co w tym wszystkim chodziło? – zapytał.

– Podobno kilka dni temu Jax zadarł z pachołkami miejscowego gangstera – wyjaśnił I-Five. – Hutta Rokko.

– Słyszałem o nim – przyznał Den. – To pewnie tę scenę przedstawiało nagranie zarejestrowane na pomoście nad ulicą.

– Rzeczywiście – przytaknął android. – A ja właśnie się dowiedziałem, gdzie się znajduje rezydencja tego Rokka.

– I zamierzasz po prostu tam pójść i zapytać go o naszego chłopca? – Niski Sullustanin aż się zasapał, bo krótkie nogi nie pozwalały mu nadażyć za I-Five, który sadził długimi susami.

– Coś w tym rodzaju – zgodził się android.

Den skoczył naprzód i chwycił towarzysza za metalową rękę.

– Jeżeli ci się wydaje, że to będzie takie proste – warknął – to może kupisz pas asteroid w Zasięgu? – Szarpnięciem zatrzymał I-Five.

– Masz rację – stwierdził android. – No to przedstaw mi alternatywę.

Den wiedział, że jego partnerowi się spieszy.

– Nie możemy tam wpaść jak para nafaszerowanych przyprawą szturmowców, żeby przedstawić mu nasze żądania – zaczął szybko. – Musimy wymyślić jakąś historyjkę, na którą Rokko da się nabrać.

– A ty już wymyśliłeś taką historyjkę.

– Za minutę będę ją miał. – Den zastanawiał się tak szybko jak chyba nigdy w życiu. – Musimy mieć coś, co go skusi. Co będzie chciał zobaczyć... – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ciebie.

Android kilka razy wyłączył i włączył fotoreceptory, co wyglądało, jakby zamrugał.

– Mnie? – zapytał.

– A ściślej twoją umiejętność gry w sabaka – wyjaśnił Sullustanin. – Z tego, co słyszałem, Rokko uwielbia hazard. Będzie zafascynowany możliwością poznania androida, który potrafi grać w karty.

I-Five przekrzywił głowę ze sceptycyzmem.

– Każdego protokolarnego androida można zaprogramować w taki sposób, żeby... – zaczął.

– Żeby grał w karty, jasne – dokończył Den. – Ale nie da się go zaprogramować tak, żeby umiał wygrywać, a przynajmniej nie tak często jak ty.

– Nawet zakładając, że masz rację...

– Zaufaj mi – uciał Sullustanin. – Na pewno się nie mylę. Na Drongarze wygrywałeś wielokrotnie z Tolk, Barrissą i Klo – telepatką, Jedi i empatą, nie wspominając o mnie, a ja

naprawdę dobrze gram w sabaka. Wygrałeś tyle kredytów, że mogliśmy się dostać na Coruscant i przeżyć cały ten czas. Do tego potrzeba czegoś więcej niż tylko dobrego procesora. Taka umiejętność to coś w rodzaju talentu Noghrich do recytowania poezji: zdumiewa nie to, że robią to dobrze, ale że w ogóle to potrafią.

– Niech będzie – zgodził się w końcu android. – Na czym ma polegać przekręt?

– To bardzo proste – odparł Den. – Zamierzam cię sprzedać Huttowi.

Elomin nie zaliczał się do osób gadatliwych. Nick jeszcze nigdy nie spotkał istoty tej rasy. Haninum Tyk Rhinann był wysoki i chudy jak szczapa. Sadził takimi susami, że Nick z trudem dotrzymywał mu kroku. Za każdym razem, kiedy istota wypuszczała powietrze, chrząstki czy kostki w jej nosie wydawały w najwyższym stopniu irytujący świergot. Nick słyszał, że Elominowie budzą u niektórych grozę z powodu rogatej głowy i podobnego do krótkiej trąby nosa, ale osobiście uważał, że Rhinann wygląda po prostu śmiesznie... niczym ubrany w różnobarwne fatalaszki robot kroczący AT-ST, maszerujący korytarzami pałacu.

Tymczasem Rhinann, zupełnie jakby umiał czytać w jego myślach (czyżby Elominowie byli telepatami? – zastanowił się ogarnięty paniką Rostu) obejrzał się za siebie i spiorunował go spojrzeniem.

– Nie ociągaj się, człowieku – powiedział. – Lord Vader nie znosi, kiedy ktoś każe mu na siebie czekać.

Słuszna uwaga. Nick wprawdzie się nie cieszył na spotkanie z Czarnym Lordem, ale lepiej było przybyć na nie o właściwej porze.

– Dlaczego w ogóle chce się ze mną widzieć? – zapytał. – Nie jestem nikim ważnym... tylko zwykłym partyzantem. Ja...

– Zeszłej nocy udzieliłeś pomocy pewnemu rycerzowi Jedi – wyjaśnił Rhinann. – Pomogłeś mu uciec przed szturmowcami wysłanymi po niego przez miejscowe władze.

Zdumiony Nick wybałuszył oczy.

– Skąd wiesz? – wybuchnął, ale domyślił się odpowiedzi, zanim skończył pytanie. – Rejestratory w korytarzu.

Wiele hoteli i noclegowni w Slumsach miało rejestratory audiowizualne zainstalowane nie tylko w korytarzach, ale prawdopodobnie także w wielu indywidualnych pokojach. Niewątpliwie jedno z takich urządzeń zarejestrowało ostatnie minuty walki w „Herbie Coruscant”. Porównanie nagrania z hologramem byłego dyplomowanego majora Nicka Rostu było już tylko kwestią czasu.

– Tak – potwierdził Elomin. – Lord Vader obejrzał to nagranie i zidentyfikował tamtego rycerza Jedi jako Jaksa Pavana. Krótco potem nasze latające kamery zarejestrowały ciebie na placu Tangor. Wysłaliśmy Covenę i jego towarzysza, żeby cię porwali. Obaj byli przemytnikami i łowcami nagród. Resztę już znasz.

– Byli? – powtórzył Nick.

– Właśnie – przyznał Rhinann. – W tej chwili są nieprzetworzonymi odpadami. Imperium dostało za darmo nowy frachtowiec, a przy okazji nie złamało żadnego prawa. Musisz przyznać, że to bardzo skuteczne.

Nick ze zdumieniem stwierdził, że współczuje obu porywaczom, ale wcale się nie zdziwił, że ma ochotę załuc Rhinanna. Musiał się bardzo starać, żeby zapanować nad emocjami.

– To jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego Vaderowi tak bardzo na mnie zależy... – zaczął.

– Wcale mu nie zależy na tobie – sprostował Rhinann. – Zależy mu na dopadnięciu Jaksy Pavana. Ty jesteś tylko środkiem do osiągnięcia tego celu.

ROZDZIAŁ 19

– Wydawało ci się, że go przechytryłeś, prawda? – zapytał lord Perhi.

Kaird wiedział, że zaprzeczanie nie ma sensu. Zazwyczaj kiedy ktoś zaczynał rozumieć, że wszystko stracone i że nie czeka go nic oprócz śmierci i niesławy, świadomości tej towarzyszyło pogodzenie się z losem, a nawet pogoda ducha... paradoksalnie brało się to z ulgi, że w końcu patrzy się śmierci prosto w oczy. Nie trzeba się dłużej zastanawiać nad wyborem jednego z kilkunastu możliwych wariantów przyszłości, nie trzeba planować kursu przez jej mglisty labirynt. Koniec z intrygami, koniec ze zmartwieniami.

Trzeba się tylko pogodzić z tym, co nieuniknione.

Kaird słyszał o takim spokoju wojownika, chociaż sam nigdy go nie doświadczył. Coś takiego nie wchodziło w zakres kompetencji zabójcy, który miał wykonać zadanie w każdy możliwy sposób. Dla osób pokroju Kairda honor był nie tylko zbędny, ale czasami wręcz niebezpieczny. Zabójcy nie mogli pozwalać sobie na luksus honoru.

Tym bardziej był zaskoczony, że w takiej chwili jest pogodzony ze swoim losem. Nie mógł na to nic poradzić. Pozostawało mu już tylko czekać na wyrok lorda. W organizacji było co najmniej kilku chętnych do pociągnięcia za spust i wielu takich, którzy by się nie zawahali ani nie odczuli po tym żadnych wyrzutów sumienia. Kaird znał nawet kilku przyjaciół i sojuszników, którzy wysłaliby go bez mrugnięcia okiem do Wielkiego Gniazda. W końcu, jak powiadano, nie było w tym nic osobistego. Chodziło po prostu o interes.

Kaird nie żywił także złudzeń co do wagi swojego czynu. Czym innym była wymiana oskarżeń czy insynuacji z Xizorem w obecności lorda, a czym innym próba oskarżenia Falleena o kradzież niemal bezcennej własności potężnego szefa sektora Metellosa. Jako kara za to pierwsze przewinienie lordowi Perhi prawdopodobnie by wystarczyło dobranie się Kairdowi do tyłka, ale za to drugie Xizor mógłby zażądać, żeby zamrożone szczątki Nedijanina krążyły po orbicie wokół planety.

Gdyby plan Kairda się powiódł, jego sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Ród Sizhran prawdopodobnie nie byłby zachwycony z powodu wyrzucenia ulubionego syna z Czarnego Słońca, ale gdyby Kaird został vigiem, byłoby mu o wiele łatwiej odpierać ich zarzuty.

Jego plan jednak się nie powiódł. A teraz...

– To on przechytrył mnie – stwierdził Kaird. Przyznał się, ale nie wyraził skruchy.

– To prawda – odparł lord. – Następnym razem będziesz musiał być ostrożniejszy.

Następnym razem? – pomyślał osłupiały Nedijanin.

Uważnie przyglądał się twarzy Dala Perhiego. Szczycił się tym, że nieźle zna wymowę twarzy istot ludzkich, ale w tej chwili twarz lorda nie zdradzała żadnych emocji. W głowie Nedijanina zaroilo się od myśli, ścigających się niczym niesione wiatrem piórka. Kaird znał Perhiego na tyle, aby wiedzieć, że lord nie lubuje się w bezsensownym, przesadnym okrucieństwie. Z drugiej strony współczucie nie było najważniejszym prętem jego reaktora. Lord Czarnego Słońca nie sływał z wielkoduszności.

Był jednak człowiekiem praktycznym.

W końcu Kaird przekrzywił lekko głowę.

– Następnym razem? – zapytał.

Perhi pokiwał głową, jakby na potwierdzenie wcześniejszego postanowienia. Rozparł się na fotelu.

– Książę Xizor jest ambitny – oznajmił i wzruszył ramionami. – Nie ma w tym nic szczególnie dziwnego, bo przodkowie Falleenów nie byli istotami litościwymi.

– Podobnie jak nie byli nimi przodkowie Nedijan – stwierdził Kaird.

– Co racja, to racja – przyznał lord. – Między tobą a Xizorem istnieje jednak bardzo ważna różnica. Xizor zostanie kiedyś lordem. W tym też nie ma nic dziwnego, bo większość członków Czarnego Słońca uważa stanowisko viga za przedostatni szczebel kariery. Ty jednak tak nie uważasz, Kairdzie.

Nedijanin poczuł, że stroszy się delikatny puszek na jego skórze, ale nie potrafił zapanować nad tą atawistyczną reakcją na nagłe zagrożenie, tak jak nie umiałby powstrzymać bicia własnego serca. A jednak... czy rzeczywiście coś mu groziło? Zawsze uważał, że jeśli ktoś się dowie o jego pragnieniu opuszczenia organizacji, będzie to równoznaczne z wyrokiem śmierci. W tonie lorda nie brzmiało jednak oskarżenie.

Dal Perhi wstał i wyciągnął rękę w stronę ściany. Fragment kryształowej powierzchni odzyskał przezroczystość i oczom zaskoczonego Nedijanina ukazał się wspaniały widok: jasno oświetlona krzywizna planety na tle aksamitnych przestworzy. Sinharan T'sau była sztuczną planetoidą więc Coruscant majaczyła wyżej, wyraźnie widoczna na tle mrocznych przestrzeni. Kaird obserwował, jak gwiazdny niszczyciel kasy Victory opuszcza ociężałe orbitę. Dziewięćsetmetrowy klin, najeżony lufami turbolaserów, wyrzutni rakiet i innych systemów uzbrojenia zaczął się powoli i bezgłośnie oddalać w stronę gwiazd. Na rufie płonęły oślepiającym blaskiem dysze jednostek napędowych. Ogromny okręt kierował się w stronę Mgławicy Massiff, ale Kaird nie miał pojęcia, jaki może być ostateczny cel jego wyprawy.

– Xizor pożąda tego wszystkiego – podjął lord, pokazując złocisty półksiężyc Coruscant, który wypełnił górną połowę ogromnego okna. – Jestem jednak święcie przekonany, że jeżeli zajmie moje stanowisko, nie zadowolony się takim jak mój zakresem władzy. Moim zdaniem

jest tak ambitny, że wykorzysta to do zaskarżenia sobie wdzięczności samego Imperatora.

Kaird osłupiał. Republika nigdy nie tolerowała działalności Czarnego Słońca. Przedstawiciele prawa na wielu planetach nachodzili prowadzone przez organizację lokale hazardowe, zamykali jaskinie przyprawy i likwidowali punkty jej dystrybucji, kiedy i gdzie tylko mogli. Ochoczo utrudniali życie agentom Czarnego Słońca, zwłaszcza w systemach Jądra galaktyki. Naturalnie pod koniec ostatniego okresu Senat stał się do tego stopnia nieskuteczny, że przestał stanowić realne zagrożenie, ale mimo to nie zmienił oficjalnego stanowiska wobec przestępczego syndykatu.

Ale jeśli chodzi o Imperium, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Imperator Palpatine okazał się władcą o wiele bardziej pragmatycznym niż przedtem Kanclerz Palpatine. Nie uznał oficjalnie Czarnego Słońca, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że jeżeli działalność organizacji nie wykroczy poza pewne granice, szlaki przerzutowe przyprawy i jaskinie hazardu będą bezpieczne, a przemytnicy czarnorynkowych towarów będą mogli się czuć bezkarni. Można było liczyć na to, że funkcjonariusze planetarnych sił porządkowych przymkną oczy na rozmaite lukratywne operacje syndykatu.

Naturalnie istniała cena prowadzenia takiej działalności. Były nią narzuty, taryfy, łapówki i tak dalej, ale na ogół Czarne Słońce płaciło je bez mrugnięcia okiem. Mogło się wydawać, że po przejęciu steru rządów Palpatine ogłosił początek złotego wieku... przynajmniej dla przestępców.

Perhi nie wierzył jednak, żeby taka sytuacja trwała wiecznie, a zresztą nie był nawet przekonany, że dopóki trwa, jest w stu procentach korzystna. Lord pragnął, żeby Czarne Słońce zachowało autonomię. Nie życzył sobie wprowadzić ciągłej wojny z Imperium, ale był przekonany, że wzajemne ustępstwa mają granice. Jego zdaniem całkowita zgoda doprowadziłaby w końcu do utraty czujności i w rezultacie do uległości względem Imperium. Zważywszy na to wszystko, Kaird rozumiał, dlaczego lord Perhi tak bardzo się niepokoi możliwym zagrożeniem ze strony Xizora.

Wszystkie te myśli przemknęły przez umysł Nedijanina w ciągu zaledwie kilku sekund. Kaird chciał coś powiedzieć, ale Perhi powstrzymał go gestem uniesionej ręki.

– Jestem prawie pewny, że dobrze rozumiem zamiary księcia Falleenów – powiedział. – Chcę, żebyś mnie upewnił, czy dobrze rozumiem twoje. – Urwał na chwilę, by się zastanowić nad doбором słów. – Ty także chciałbyś zostać vigiem, Nedijaninie Kairdzie – podjął w końcu. – Twoim ostatecznym celem nie jest jednak zdobycie stanowiska lorda Czarnego Słońca. W rzeczywistości twój cel leży daleko, w jednym ze spiralnych ramion galaktyki.

Jeszcze raz machnął ręką i panoramiczny obraz się zmienił. Tym razem zrównał się z płaszczyzną galaktyki. Chwilę później Kaird musiał stłumić okrzyk zdumienia, bo obraz za kryształowym iluminatorem wyglądał tak, jakby cała sztuczna planetoida nagle skoczyła do przodu i pomknęła w oszałamiającym tempie w kierunku oślepiająco jasnego Jądra galaktyki.

Kaird rozumiał, że wyprawa jest symulowana, a wrażenie stwarza główny komputer gdzieś w Północnej Hali. Mimo to złudzenie ruchu było całkowite. Wydawało mu się, że dotarli do Jądra w ciągu kilku sekund. Minęli gęsto ułożone obok siebie gwiazdy, odległe jedna od drugiej niekiedy zaledwie o kilka miesięcy świetlnych. Na ułamek sekundy zawahali się na skraju płonącego wiru w środku galaktyki i straszliwej czarnej dziury, która wsysała do nieprzeniknionej głębi całe gwiazdy. Jeszcze później śmignęli obok niej i przelecieli przez świetlne przestrzenie mgławic, za którymi gwiazdy zaczęły się pojawiać coraz rzadziej.

Zostawili Jądro z tyłu i polecili dalej. Nie tylko nie zwolnili, ale chyba jeszcze przyspieszyli. Pokonywali tysiące lat świetlnych w ciągu sekund, jakby odbywali najszybszą podróż przez nadprzestrzeń. W końcu tempo symulowanego lotu osłabło. Wlecieli do jakiegoś systemu, przemknęli obok ozdobionego pierścieniami gazowego giganta i mniejszego, pozbawionego pierścieni... i znieruchomieli przed błękitno-białą planetą, orbitującą w wąskim paśmie temperatur między wrzącą a zamarzającą wodą. Kaird przeżył wstrząs, kiedy rozpoznał tę planetę. Nedi. Jego ojczysty świat. Stojący za jego plecami lord powiedział cicho:

– Ty chcesz po prostu wrócić do domu, prawda, Kairdzie?

ROZDZIAŁ 20

– Nie mogę powiedzieć, żeby podobał mi się ten pomysł – stwierdził I-Five.

– Wcale mnie to nie dziwi – burknął Den. – Nigdy nie jesteś zachwycony moimi pomysłami. Gdybyś to ty wpadł na pomysł sprzedania siebie w niewolę bezlitosnemu gangsterowi, żeby wydobyć od niego informację, paliłbyś swoje magistrale danych, aby wcielić ten pomysł w życie.

– Akurat – zachnął się android.

– Jestem o tym przekonany – zapewnił go Sullustanin. Szli właśnie w kierunku podziemnego wejścia do rezydencji Hutta Rokko. – W końcu jesteś o wiele sprytniejszy niż przeciętny android. Wymyślisz sposób wydobycia informacji, na których nam zależy, a później uciekniesz. Zrobisz wszystko dla dobrego starego Jaksy.

I-Five skierował na niego fotoreceptory; ich kąty ustawienia i natężenie blasku dowodziły umiarkowanego zaskoczenia.

– Czyżbym usłyszał w twoim głosie nutkę sarkazmu? – zapytał.

– Tego mi tylko było trzeba... paranoidalnego androida. – Chociaż zadowolony z ciętej odpowiedzi, Den poczuł się nieswojo. Uwaga I-Five zaboląła go bardziej, niż był gotów przyznać. Usiłował wmówić sobie, że to nieprawda, ale im usilniej jego towarzysz starał się odnaleźć Jaksę Pavana, tym częściej Den ulegał najmniej oczekiwanej i wyjątkowo niemiłej emocji.

Zazdrości.

Z początku próbował przekonać sam siebie, że tak nie jest, ale szybko z tego zrezygnował. W końcu przyznał się do tego w duchu i próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie. Wmawiał sobie, że ewentualne odnalezienie syna Lorna w niczym nie zakłóci przyjaźni Sullustanina z androidem, ale takie rozumowanie też w niczym mu nie pomogło. Zgrzytał zębami za każdym razem, kiedy I-Five choćby tylko wspomniał imię Jaksy.

To absurd, mówił sobie. Nie możesz się zastanawiać, co czuje do ciebie android. To żalosne, nie uważasz?

Ale cóż, nie potrafił przestać.

O ile wiedział, Lorn zaprogramował I-Five specjalnie, żeby android poświęcał czas i umiejętności wyłącznie szukaniu Jaksy. Den rozumiał jednak, że nie o to chodzi. Ze

wszystkich androidów, na które kiedykolwiek się natknął, I-Five był jedynym automatem obdarzonym inteligencją. Reporter wiedział, że podobnie jak w przypadku wszystkich innych protokolarnych androidów, jest to zasługą po części oprogramowania, a po części heurystycznej mimiki. Podobno tłumiki kreatywności i wbudowane inhibitory behawioralne zachowań powstrzymywały automaty przed osiągnięciem wyrafinowanego poziomu prawdziwej inteligencji, zastrzeżonej dla ludzi i innych istot organicznych. I-Five nie miał jednak tłumika kreatywności ani większości wbudowanych inhibitorów programowych. Pozostawiono mu tylko niektóre procedury mikrooprogramowania, bo ich usunięcie mogłoby spowodować uszkodzenie głównego procesora. Android nie mógłby, na przykład, nikogo zamordować, podobnie jak nie potrafiłby się wznieść w powietrze, wymachując rękami. Umiał jednak bronić siebie i wszystkich, którymi miał się opiekować. Brak oprogramowania i niektórych ograniczeń sprzętowych umożliwiał mu wprawdzie robienie rzeczy, których nie potrafiły robić inne androidy, ale Den odnosił wrażenie, że w tym wszystkim chodzi o coś niemożliwego do zdefiniowania, dzięki czemu I-Five jest czymś więcej niż tylko sumą elektronicznych podzespołów.

Wszystko sprowadzało się do tego, że metalowy mężczyzna został obdarzony wolną wolą. I to bardzo silną wolą. To nie oprogramowanie nakazywało mu za wszelką cenę odnaleźć syna jego przyjaciela i partnera. I-Five chciał go odnaleźć z własnej woli. Przeszukiwał ulice najniższych poziomów Coruscant, bo pragnął odnaleźć Jaksę Pavana.

A Sullustanin chciałby wiedzieć, czy kiedy już android odnajdzie rycerza Jedi, nadal będzie darzył jego, Dena, taką samą przyjaźnią i oddaniem jak poprzednio.

Dotarło do niego nagle, że android coś mówi.

– Przepraszam – bąknął. – O co chodzi?

– Zapytałem, co będzie, jeżeli Rokko każe mi zainstalować sworzeń ogranicznika.

– No cóż...

– Nie pomyślałeś o tym, prawda? – I-Five odczekał chwilę, ale Den nie odpowiedział. – Na szczęście zaraz po tym, kiedy Lorn ocalił mnie od zagłady w tamtym żłobku, zainstalował mi nielegalne oprogramowanie, które dyskretnie dezaktywuje działanie sworzni ograniczników i innych zewnętrznych urządzeń ograniczających zakres moich możliwości.

– Wiedziałem o tym – stwierdził szybko Sullustanin. Za szybko. Android obrzucił go sceptycznym spojrzeniem. W końcu obaj skręcili za róg i stanęli przed ogromnym i bardzo groźnie wyglądającym robotem. Den nie znał tego modelu, ale od razu się domyślił, że nie ma do czynienia z księgowym. Automat wyglądał jak coś, czym w rzeczywistości był: maszyną do zabijania. Spojrzał na Dena i zapytał:

– Jak mogę ci pomóc, przyjacielu?

Elektronicznie syntetyzowany głos miał łagodne, uprzejme brzmienie, ale reporter nie dał się zwieść pozorom. Dobrze wiedział, że jeżeli automat dostrzeże choć cień zagrożenia, natychmiast zamieni go w kupkę popiołu. Nie będzie zważał na to, że stoi przed nim

nieuzbrojony Sullustanin, nie groźniejszy niż pluszowa przytulanka. Reporter zrozumiał, że jeżeli nie będzie uważnie dobierał słów, ktoś przetransportuje na Sullustę jego szczątki w worku.

Automat czekał w milczeniu na odpowiedź. Zupełnie zignorował I-Five, w czym zresztą nie było niczego dziwnego; zwyczajny protokolarny android nie przedstawiał dla niego żadnego zagrożenia.

– Mam ciekawą rzecz, którą moim zdaniem chętnie by obejrzał wielki Rokko – odezwał się w końcu Den, pokazując na I-Five. – Widziałeś kiedyś, żeby protokolarny android grał w sabaka?

Robot strażnik skierował fotoreceptory na I-Five, a z jego wokabulatora wydobył się tym razem głos samego Rokka. Den wprawdzie nigdy nie słyszał głosu tego konkretnego Hutta, ale znał charakterystyczny dla istot tej rasy sposób wymawiania słów w basicu.

– Prawdę mówiąc, widziałem – odezwał się gangster znudzonym tonem.

– A widziałeś kiedyś takiego, który wygrał dziewięć rozdań na dziesięć?

Zapadła krótka cisza. Robot strażnik stał wprawdzie nieruchomo, ale reporter wiedział, że ukryty w swoim sanktuarium Hutt właśnie połknął przynętę. W końcu dał się znów słyszeć chrapliwy głos gangstera:

– Nie, czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Nick Rostu był obeznany z ciemnością.

W końcu to on i Mistrz Jedi Mace Windu stawiali czoło Karowi Vastorowi w wilgotnych dżunglach planety Haruun Kal. Kar Vastor, obdarzony niemal nadludzką siłą przywódca ruchu oporu Balawai, miał zainstalowane na ramieniu wibroostrze. Był silniejszy Mocą niż jakikolwiek inny Korunnai... prawdopodobnie potężniejszy niż ktokolwiek w galaktyce, może z wyjątkiem Jedi. Był tak głęboko zanurzony w nurcie Ciemnej Strony, że chociaż podczas tamtej końcowej bitwy Nick znajdował się zaledwie kilka metrów od niego i widział go równie wyraźnie jak Mace'a albo Iolu – strażnika, który rozplątał Nicka od mostka do pępka – nie dał rady dostrzec twarzy przywódcy partyzantów. Odniósł wrażenie, że dowódca Balawai okrywa się ciemnością i że promieniująca od niego ciemna strona Mocy pochłania światło. Kar Vastor był uosobieniem pierwotnej potęgi i przepelnionym żądzą mordy, prymitywnym dzikusiem. Nick jeszcze nigdy nie widział nikogo, kto mógłby się z nim równać.

Aż do tej pory.

Dopóki nie stanął bezbronny przed obliczem Dartha Vadera.

Jakby to robiło jakąkolwiek różnicę, gdybym był uzbrojony, pomyślał. Mógłbym mieć nadgarstkową wyrzutnię rakiet, ukryty w rękawie mały blaster, parę pistoletów typu BlasTech-44 i karabin rozrywający, ale to wszystko byłoby równie bezużyteczne jak zaostrzony kij.

Vastor był dziki i groźny jak zwierzę, które tylko czeka na okazję do zabijania. Był przepełniony energią Ciemnej Strony. Miał silnie umięśnione ręce, nogi, tors i ramiona i wyglądał, jakby potrafił unieść nad głowę ciężarną samicę trawiaka. Jedną ręką.

Vader był równie wysoki, jak Vastor, ale ważył przynajmniej dwadzieścia kilogramów mniej. Jego mięśnie nie wywierały specjalnego wrażenia, bo pod czarnym pancerzem po prostu nie było ich widać. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Nick nie miał cienia wątpliwości, że gdyby jakimś cudem Kar Vastor zmierzył się podczas walki z Darthem Vaderem, dziki odszczepieniec Balawai nie miałby najmniejszej szansy.

Moc była w Vaderze bardzo silna, wyczuwał to nawet nie bardzo wrażliwy na nią Rostu. O wiele potężniejsza niż w Vastorze. Moc wypływała z Vastora falami wściekłości. Promieniowała od niego jak od otwartego paleniska. Za to Moc Vadera była uwięziona... spętana.

Jakby na coś czekała.

Sceneria była stosunkowo niewinna – obaj stali na balkonie, wysoko nad głównymi poziomami planety-miasta. Niedawno wstał świt i pierwsze promienie coruskańskiego słońca krzeszały opalizujące iskry na strzelistych iglicach, zigguratach, kopułach i innych otaczających Imperialny Pałac budowlach. Iglica w kształcie pocisku była wyższa niż większość pozostałych. Nick przypuszczał, że znajdują się przynajmniej siedemset metrów nad poziomem ulic. Gdyby spadł z tej wysokości, miałby prawie dziesięć sekund, żeby tego pożałować... chyba że po drodze roztrzaskałby się o kadłub jednego z wielu przelatujących na różnych poziomach pojazdów.

Vader stał przy samej balustradzie i spoglądał na panoramę miasta. Nick słyszał oddech Czarnego Lorda. Po jakiejś minucie Vader odwrócił się tak szybko, że Nick usłyszał cichy furkot czarnej peleryny, i skierował w jego stronę czarny hełm. Jedynymi barwnymi punktami w czerni ubioru były mrugające na piersi lampki kontrolne. Matowe półkule, które osłaniały jego oczy – albo były oczami, Nick nie był pewny – pozostały nieruchome, ale Korunnai uświadomił sobie, że Darth Vader mu się przygląda.

– Major Nick Rostu. – Głos Czarnego Lorda zaskoczył oficera. Nick nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie aksamitnego barytonu. – Były oficer Wielkiej Armii Republiki – podjął Vader. – Jest pan oskarżony o zamordowanie funkcjonariusza Imperium, pułkownika Majjena.

– Nick nie widział powodu, żeby odpowiadać na to oskarżenie, więc się nie odezwał.

– Vader chyba nie spodziewał się po nim innej reakcji.

– Jest pan także odpowiedzialny za zabicie wielu imperialnych żołnierzy w okresie, który spędził pan jako bojownik buntowników. Nie wspominam o tym, że złamał pan kilka paragrafów prawa.

– Taki okres nazywamy wojną – odparł Nick. Nie miał zamiaru dawać się zastraszyć... a raczej wmawiał sobie, że się wcale nie boi. Prawda wyglądała jednak tak, że był przerażony.

Jego głos brzmiał dziwnie piskliwie, co wcale mu się nie podobało.

– Nieprawda – sprzeciwił się Vader. – Nazywamy to buntem. A jeżeli takie czyny popełnia oficer, nazywa się je zdradą. – Czarny Lord na chwilę umilkł, pogrążony w zadumie. – Moc się w tobie tli, majorze – podjął w końcu. – Jej ogieniek płonie słabym blaskiem, ale dostrzegam w tobie duży potencjał. Twoja Moc może przerodzić się w silny płomień, i to szybko, dzięki potędze Ciemnej Strony.

Nick cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Mam dla ciebie zadanie, majorze – ciągnął Vader. – Jeżeli je wykonasz, dostaniesz statek i będziesz mógł odlecieć, dokąd zechcesz. Nikt nie będzie cię ścigał, pod warunkiem że opuścisz Coruscant i systemy Jądra galaktyki. Jeżeli zaś nie wykonasz tego zadania, zostaniesz zabity. Czy to jasne?

– Chcesz, żebym odnalazł Jaksę Pavana – domyślił się Rostu. – Nie zrobię tego.

Oficer opanował lekkie drżenie głosu. Vader podszedł bliżej.

– Myślę, że jednak to zrobisz – rzucił. – Krótko mówiąc, jestem tego pewny. Nie brak ci odwagi, a przynajmniej tak wynika z twoich akt. Nie obawiasz się śmierci. – Uniósł lewą rękę i lekko odgiął wskazujący palec, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. – Istnieją jednak rzeczy o wiele gorsze niż zwyczajna śmierć...

I zanim Nick zdążył sobie uświadomić, co się dzieje, jakimś cudem Czarny Lord znalazł się w jego głowie. Wyglądał w niej jak mroczny cień hamujący swobodny przepływ myśli. Cień zaczął się powiększać...

Nick wrzasnął i zapadł w czerń jeszcze głębszą niż oczy Dartha Vadera.

ROZDZIAŁ 21

Jax musiał przyznać, że gościnność Rokka nie pozostawia nic do życzenia. Hutt zaproponował im dobry posiłek i prysznic. Co więcej, obiecał nawet, że jego słudzy wypiorą i połatają ich ubrania. Jax postanowił jednak zachować ostrożność i wyjął świetlny miecz z kieszeni obszernego płaszcza. Nie chodziło o to, że broń może zostać znaleziona – Rokko wiedział, że jego goście są Jedi – byłoby jednak czymś niedopuszczalnym, gdyby ktoś ją ukradł. Po długim ultradźwiękowym natrysku i energicznym masażu, jaki zafundował im wibrującymi palcami zmodyfikowany czteroręki android typu TDL, Rokko poczęstował ich grillowanymi t'surysami z gąbkobrzeczkowym garnirunkiem, a do tego kazał podać butelkę chandrilańskiego błękitnego rocznik '439. Po posiłku Jax poczuł się o wiele lepiej. Miał ochotę przespać następny standardowy tydzień.

– Rokko zamierza nam przydzielić kilku swoich ochroniarzy, żebyśmy mogli się czuć bezpieczniej podczas poszukiwań Robalookiego – odezwała się Laranth, zapinając klamrę pasa z blasterem. Jej ton dowodził, że uważa taką ochronę za bezcelową. – Kazał go także szukać swoim sługusom.

– To dobrze – stwierdził Jax. – Im szybciej się tym zajmiemy, tym lepiej. – Nie zamierzał zdradzać niepokoju spowodowanego korzystaniem z pomocy Hutta, bo na pewno ktoś ich obserwował. Co więcej, nie było właściwie powodu do niepokoju. Laranth wiedziała równie dobrze jak on, że Rokko spróbuje ich przechytrzyć. Agenci Imperatora z pewnością zapłaciliby za androida i dwoje zbuntowanych Jedi więcej niż za samego androida. Problem polegał na tym, żeby wybrać właściwy moment do przechytrzenia Hutta.

– Dokończmy to, co zamierzamy, i rozpocznijmy poszukiwania na ulicach – zaproponował rycerz Jedi.

– Jeszcze nie – sprzeciwiła się Laranth. – Rokko chce się z nami widzieć, zanim go pożegnamy. W tej chwili targuje się o cenę nowego androida.

Jax uniósł brew.

– Nowego androida? – zdziwił się.

– Nie martw się – uspokoiła go paladynka. – Z tego, co słyszałam, nie jest to obiekt naszych poszukiwań. To jednostka protokolarna... podobno ma wyjątkowy talent do wygrywania w sabaka.

Jax pozwolił sobie na niecierpliwy gest.

– Wszystko jedno – zawyrokował. – Nie mamy na to czasu.

– Wygląda na to, że Rokko uważa inaczej – odparła Laranth. – Na twoim miejscu nie przynaglałabym go, Jaksie. W tej chwili on jest naszą najlepszą, a prawdopodobnie jedyną szansą odnalezienia Four-Tee-Oha.

Karty w małych, tłusciutkich rączkach Hutta wyglądały na śmiesznie duże. Rokko przyglądał się im chwilę, po czym oznajmił:

– Stawiam dwa. Położył na stole dwa żetony kredytowe. I-Five sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego nawet dla Dena, który umiał rozpoznawać jego emocje.

– Podbijam o dwa – powiedział android.

Na stole wylądowały następne dwa żetony.

Den oparł się pokusie zatańczenia na czubkach palców. Od wyniku tej gry zależało o wiele więcej niż tylko ich reputacja.

– Podbijam o pięć. – Hutt był flegmatycznym graczem, mistrzem sabakowej maski – kamiennej twarzy; z jej wyrazu nie można było się zorientować, jakie ma karty. Nikt jednak nie miał twarzy bardziej pozbawionej wyrazu niż android. Co więcej, żaden gracz, którego Den kiedykolwiek widział, nie umiał lepiej niż I-Five rozpoznawać najsubtelniejszych ruchów i mowy ciała istot niemal wszystkich ras. Równie dobrzy nie byli nawet Lorrkanie, chociaż szczylicili się swoimi talentami.

Rokko potoczył po stole sześcioboczną kostkę. Wypadła dwójka, co oznaczało, że walory kart nie ulegną zmianom.

– Sprawdzam – odezwał się spokojnie I-Five.

Rokko zamrugał i położył karty na stole. Android poszedł w jego ślady. Den o mało się nie zachłysnął. Usłyszał pełne zdumienia, chociaż ciche okrzyki podwładnych Hutta, którzy przystanąli, żeby przyglądać się rozgrywce. Wypowiedane półgłosem uwagi były całkowicie usprawiedliwione: I-Five miał idealne karty, dające w sumie dwadzieścia trzy punkty. Zapewniały one automatycznie androidowi wygraną, a zdobycie ich zajęło mu niespełna dziesięć minut.

Później zapadła najbardziej wymowna cisza. W końcu Rokko wybuchnął śmiechem. Jego pozbawione kości cielsko aż się trzęsło, a fałdy skóry, każda wielkości gongu do przyzywania służących, kołysały się z rozbawienia.

– Podoba mi się ten android! – oznajmił Rokko. – Zarobię dzięki niemu mnóstwo pieniędzy! Nikt nie uwierzy, że android potrafi tak dobrze grać w sabaka, a jeżeli nawet ktoś się przekona, jaka jest prawda, będzie ciągle przychodził, żeby przyglądać się, jak gra. – Odwrócił się majestatycznie do Dena. – Dam ci za niego pięćset kredytów – powiedział wielkopańskim tonem.

Sullustanin zauważył, że oburzony I-Five prostuje plecy, i posłał mu ostrzegawcze

spojrzenie. Android przypomniał sobie, że ma odgrywać rolę potulnej jednostki protokolarnej, i znów się przygarbił, ale Den był świadom, że jego partner aż się gotuje z wściekłości. Pięćset kredytów byłoby śmiesznie niską sumą nawet za znacznie bardziej wysłużonego androida. I-Five może i był modelem przestarzałym, ale wszystkie jego części były w znakomitym stanie.

Rokko nie uważał tego oczywiście za ostateczną kwotę. Den wiedział, że Huttowie lubią się targować niemal równie zawzięcie jak Toydarianie.

– To wyjątkowa jednostka – tłumaczył Huttowi. – Pięćset kredytów na pewno byłoby niewygórowaną ceną. Jednak w uznaniu zaszczytnego stanowiska, jakie zajmujesz jako przedsiębiorca w sektorze Yaam, ośmielę się zażądać dwa tysiące kredytów.

Hutt zmrużył ogromne wodniste oczy.

– *Pfah!* – powiedział lekceważącym tonem. – To tylko protokolarny android z udoskonalonym procesorem matematycznym. Osiemset.

W końcu zgodzili się na tysiąc kredytów; Den od początku zamierzał tyle dostać. Kiedy otrzymał pieniądze, Rokko machnął rączką w kierunku androida.

– Jaki jest twój numer klasyfikacyjny? – zapytał.

– I-Five-Why-Cue, proszę pana. – Den stwierdził z ulgą, że android odpowiedział, jak powinien, potulnym tonem. Widocznie Rokko także nie dostrzegł w tym niczego dziwnego, bo powiedział:

– Idź na korytarz i zaprosz tu dwoje ludzi czekających w ostatnim pokoju. – Zaczekał, aż android wyjdzie posłusznie na korytarz, po czym odwrócił się do Dena. – To Jedi, którzy przyszli, żeby poprosić mnie o pomoc. Mówię ci, z każdym dniem życie staje się dziwniejsze. – Zachichotał.

Dwoje Jedi? Den odwrócił się szybko, ale I-Five zdążył zniknąć. Sullustanin wrzucił ramionami. Mimo wszystko, to by było prawie niemożliwe, powiedział sobie.

– Czekaliśmy wystarczająco długo – stwierdził zniecierpliwiony Jax. – Idziemy.

Ruszył w stronę drzwi, a Laranth podążyła za nim.

– Może masz rację – przyznała. – Poczuję się o wiele pewniej, kiedy odzyskam blastery.

Jax nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, dlaczego, ale czuł, że coś zmusza go do pośpiechu. Może przypomniał sobie o zadaniu, które polecił mu wykonać Mistrz Pielu – prawdopodobnie ostatnim, jakie otrzymał jako Jedi. Pomyślał, że dobrze jest mieć jakiś cel, który nadaje życiu nowy kierunek i sens. Jax teraz czuł, że żyje, i dzięki tej świadomości odzyskał pewność siebie. Był gotów na wszelkie niespodzianki i nagłe zwroty, jakie kryła dla niego przyszłość. Spróbuj mnie nimi zaskoczyć, powiedział sobie. Zamierzał z radością stawić czoło wyzwaniom i kłopotom, jakie miały go jeszcze czekać w życiu.

Kiedy płyta drzwi schowała się w ścianie, zobaczył przed sobą protokolarnego androida. Automat stał z uniesioną ręką jakby zamierzał zapukać. Spojrzał na niego, a Jax odniósł

dziwne wrażenie, że androida zaskoczył jego widok, chociaż żaden wyraz nie mógł się malować na jego nieruchomej, metalowej twarzy. Android był nie tylko zaskoczony... był wstrząśnięty, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Automat cofnął się o krok i opuścił rękę.

– Jax Pavan – odezwał się cicho.

– Słucham? – zapytał rycerz Jedi. Androida na pewno wysłał Rokko, żeby poprosić gości do siebie, ale to nie wyjaśniało, dlaczego metalowy posłaniec wygląda na zdumionego. Ani tego, jakim cudem w ogóle automat może wyglądać na zdumionego.

Android podszedł o krok bliżej. Po chwili odezwał się konspiracyjnym tonem. Wypowiedział tylko siedem słów – i teraz to Jax spojrzał na niego, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Jestem I-Five. Przysłał mnie twój ojciec.

Część II

Jak na górze, tak na dole

ROZDZIAŁ 22

Po drodze w dół, na powierzchnię Coruscant, Nedijanin Kaird zastanawiał się nad dziwnymi zwrotami, jakie czasami zachodzą w życiu.

Był absolutnie pewny, że lord Perhi powyrywa mu z ogona wszystkie pióra. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał nie tylko, że uniknął straszliwego losu, ale także dlaczego go uniknął. Gdyby miał usta z miękkiej tkanki, a nie z keratyny, prawdopodobnie otworzyłyby je szeroko w nazbyt ludzkim wyrazie osłupienia.

Postępowanie lorda Perhiego miało jednak głęboki sens, a zarazem okazało się tak oczywiste, że Kaird skarcił się w duchu za to, że się tego nie spodziewał.

No bo przecież był zabójcą.

Perhi wyjaśnił mu, że książę Xizor ostrzy sobie zęby na stanowisko lorda. Każdy, kto chociaż trochę znał istoty tej rasy, dobrze wiedział, że Falleenowie – nawet jeżeli nie brać pod uwagę ich wyjątkowej siły fizycznej czy umiejętności manipulowania nastrojami za pomocą feromonów – to przeciwnicy, z którymi nie można się nie liczyć. Podobno ich wrodzonej chytryści i sprytu mogli im pozazdrościć nawet Neimoidianie. Jeżeli dodać do tego bystry umysł, Xizor był rzeczywiście groźnym przeciwnikiem.

I właśnie dlatego lord wysłał Kairda, by go zabił.

Plan był prosty, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że się powiedzie. Umysł Xizora, nawykły do zastawiania pułapek i intryg, kierowania na fałszywe tory i stosowania półprawd, mógł nie dostrzec tego, co miał tuż przed oczami, dopóki nie będzie za późno. Przynajmniej właśnie na to liczyli Perhi i Kaird.

Z oczywistych względów wyroku nie da się wykonać w Północnej Hali, więc trzeba było wymyślić wiarygodny powód, dla którego książę Xizor musiałby opuścić sztuczną planetoidę i powrócić na Coruscant. Perhi wymyślił doskonały pretekst. Z przechwyconych rozmów funkcjonariuszy Imperium wynikało, że szukają androida przechowującego informacje ważne dla ruchu oporu, a więc i dla Imperium. Podobno android zaszył się gdzieś w jednym z najbardziej obskurnych sektorów planety. Gdyby ta informacja była prawdziwa i gdyby Czarne Słońce pierwsze odnalazło androida, w przyszłych negocjacjach z Imperium uzyskałoby bardzo cenną kartę przetargową.

Ważny interes przestępczego syndykatu był doskonałym pretekstem, żeby wysłać Xizora

z zadaniem odnalezienia androida i przetransportowania go do Północnej Hali. Perhi powiedział Xizorowi, że wykonanie tego zadania powierza jemu i tylko jemu, bo księżę Falleenów jest najzdolniejszym ze wszystkich kandydatów do tytułu viga. A jeżeli Xizor miał jakąś wadę charakteru, którą można byłoby wykorzystać, była nią duma. To właśnie duma nie pozwoli mu wrócić bez 10-4TO. Falleen był absolutnie pewny, że wcześniej czy później go odnajdzie. Nikt inny także w to nie wątpił. A po powrocie z odnalezionym androidem do Północnej Hali miał zostać vigiem.

Kaird wiedział jednak, że Xizor nie wróci z androidem. Ten zaszczyt miał przypaść w udziale jemu.

Lord oznajmił mu bardzo wyraźnie, że odnalezienia automatu nie uważa za sprawę najwyższej wagi. Kaird nie mógł ani na chwilę zapomnieć, że jego głównym celem jest Xizor. Kiedy pokaże Perhiemu dowód śmierci Falleena, lord przestanie się wreszcie obawiać zagrożenia ze strony ambitnego podwładnego, a Kaird dostanie stos kredytów i obietnicę, że nikt nie będzie mu stawiał przeszkód w powrocie na Nedija.

Wszyscy na tym zyskają, powtarzał sobie Nedijanin. No cóż, wszyscy z wyjątkiem Xizora, zreflektował się po chwili.

Jego statek – surroniańska jednostka szturmowa o opływowych kształtach i miłym dla oka wyglądem – leciał ustalonym z góry kursem na lądowisko Wschodniego Portu. Kaird mógł spokojnie rozpierać się na fotelu, bo nawigacyjny komputer przetwarzał nadsyłane współrzędne i dokonywał właściwych korekt trajektorii i prędkości lotu. Nedijanin nie był jednak wcale zachwycony tym, że musi zrezygnować z pilotowania smukłego statku choćby przez kilka minut, jakie zajęło kontroli ruchu powietrznego sprowadzenie statku na powierzchnię planety. Ukradł Stingera byłemu dowódcy MedStara, admirałowi Bleydowi, chociaż uznał, że „kradzież” to może zbyt dosadne określenie. Bądź co bądź, zabił Bleyda, zanim przywłaszczył sobie jego statek. Czy można okraść kogoś, kto nie żyje?

Obniżając pułap lotu, przeleciał łagodnym łukiem od strony południa nad Wzgórzami Calocour, a później nad Pałacem Imperialnym. Tu i ówdzie w różnych punktach miasta wciąż jeszcze widniały wielkie kratery, chociaż ogromne nowe automaty konstrukcyjne, które Palpatine nakazał skonstruować tuż po zakończeniu działań zbrojnych, radziły sobie doskonale z usuwaniem wszelkich śladów wojny. Czterdziestopiętrowe kolosy miały ogromne czerpaki, obejmujące szeroki zasięg laserowe mapy i wyrzutnie niszczycielskich promieni naładowanych cząstek, a także tarany i inny sprzęt do burzenia lub kruszenia niemal wszystkich budowli. W dolnej części każdej takiej maszyny roily się niczym mikroby miliardy nanodroidów, które rozdrabniały gruz, cząsteczka po cząsteczce, wchłaniały go i oszałamiająco szybko tworzyły nowe konstrukcje, zwłaszcza te najbardziej potrzebne w infrastrukturze miasta: uliczne ślimaki, przezroczyste kryształowe rury pojazdów na poduszce magnetycznej czy wielopiętrowe wieżowce. Podobne do ogromnych mechanicznych mięczaków automaty konstrukcyjne, poruszając się powoli i niezgrabnie

zniszczonymi ulicami, z takim samym apetytem kruszyły durastalowe wsporniki, plastbetonowe mury i transpastalowe okna, pozostawiając zamiast nich nowiutkie budowle i arterie komunikacyjne. Precz ze starym, niech żyje nowe, pomyślał Kaird. Popatrzył, jak pracuje jeden z ogromnych automatów, wyraźnie odcinający się od tła zrujnowanego gmachu. Robot machnął burzącą kulą niczym gigant z dziecięcej bajki buławą i zamienił pozostały fragment muru w gruz.

W dokach lądowiska Wschodniego Portu obsługiwano rozmaite gwiazdne statki, począwszy od bardzo popularnych wahadłowców klasy Lambda, a skończywszy na niszczycielach klasy Victory. Statek Kairda wyprzedził kilka mniejszych jednostek, bo sfalszowana tożsamość wysokiego stopniem członka Gildii Handlowej zapewniała mu pierwszeństwo obsługi.

Czekał już na niego szybki środek transportu, więc kilka minut później rozpoczął drugi etap podróży. Czarne Słońce dysponowało najnowocześniejszymi systemami przeszukiwania baz danych, więc można było powiedzieć z dużą dokładnością, że poszukiwany android znajduje się gdzieś w sektorze Yaam. Mimo to rejon poszukiwań był dosyć rozległy i znajdował się daleko od miejsca, w którym Kaird wylądował. Cóż, jedną z cech niezbędnych dla zawodowego zabójcy była cierpliwość. Kaird mógł być pewny, że wcześniej czy później odnajdzie swoją ofiarę. A reszta będzie już tylko kwestią czasu. W tym przypadku czasu Xizora, którego nie pozostało mu dużo.

Rhinann sprowadził Nicka Rostu na dół, na lądowisko hangaru. Oficer był przytomny, ale nic nie mówił, nawet się nie rozglądał. Elomin znał trochę mimikę i mowę ciała istot ludzkich, więc był pewny, że Rostu zobaczył albo usłyszał coś, co nim wstrząsnęło tak bardzo, iż popadł w odrętwienie. Rhinann wzdrygnął się, usiłując nie myśleć, co takiego mógł wyrządzić Vader temu mężczyźnie. Obojętne, co to mogło być, wywołało u niego taki szok, że Rhinann nawet nie musiał mu zakładać ogłuszających kajdanków.

Podczas gdy Elomin się nad tym zastanawiał, Nick potknął się i uklęknął na fioletowym dywanie. Rhinann zawahał się, ale jednak pomógł mu wstać. Starał się dotykać go tylko przez ubranie, ale i tak poczuł dreszcz obrzydzenia na myśl o tym, że mógłby przypadkiem dotknąć ciała istoty ludzkiej.

– Tędy, panie majorze – powiedział. – Czas iść dalej.

Rostu odwrócił się posłusznie i w milczeniu poszedł dalej. Rhinann podążył za nim.

Ach, ci ludzie, pomyślał z goryczą. Niemal wszystko w galaktyce – meble, środki transportu, narzędzia, broń, a nawet głupi sprzęt kuchenny – jeżeli nie zostało wykonane na specjalne zamówienie, było projektowane z myślą o istotach ludzkich. Jeśli oddychający metanem mieszkańiec Heliksa Dziewięć zamawiał w stoczni gwiazdny krążownik, musiał się upewnić, że po jego pomieszczeniach będzie krążyła właściwa mieszanka gazów, aby mógł w niej przeżyć. Podróżując przeznaczonym dla istot różnych ras dowolnym środkiem transportu,

miałeś pewność, że jeżeli wyraźnie sobie tego nie zażyczysz, ciążenie będzie zawsze równe standardowemu ciążeniu na Coruscant, częstotliwość źródeł światła będzie się zawierała w wąskim paśmie od trzystu do siedmiuset nanometrów, a temperatura będzie się wahała wokół dwudziestu pięciu stopni. Taki był zwyczaj, taka norma, i biada każdemu, kto wykraczał chociaż trochę poza powszechnie uznawane granice.

Ach, ci ludzie. Ich cywilizacja zdominowała kulturę, handel, władzę i siły zbrojne... krótko mówiąc, wszystko w galaktyce. Można było ich kochać albo nienawidzić, ale nie dało się ich ignorować. Na dobre czy na złe, ludzie byli architektami przyszłości galaktyki. Rhinann doszedł do wniosku, że tylko taka pogrążona w mrokach barbarzyństwa, agresywna i butna rasa mogła stworzyć potwora w rodzaju Dartha Vadera.

W końcu dotarli do szybu turbowindy. Na kabinę czekało już kilku pałacowych funkcjonariuszy różnych ras, ale na widok Rhinanna i jego więźnia wszyscy się cofnęli.

Kiedy drzwi kabiny się otworzyły, Elomin i Rostu weszli do środka. Rhinann przeszedł w kąt i obejrzał się za siebie. Żaden inny potencjalny pasażer nie zamierzał wchodzić do kabiny, chociaż pozostało w niej dużo wolnego miejsca. Jakiś Ishi Tib powiedział:

– Nic nie szkodzi. Pojedziemy następną.

Drzwi kabiny się zamknęły. Rhinann głośno sapnął przez kły.

Ach, ci ludzie, pomyślał z rezygnacją.

ROZDZIAŁ 23

W pierwszej chwili Jax nie zrozumiał, co android stara się mu przekazać. Zastanowił się, czy na pewno go dobrze rozumiał. Może z powodu jakiejś usterki procesora android wypowiedział słowo „ojciec” zamiast „gospodarz”? Rycerz Jedi zauważył jednak zdumienie na twarzy Laranth i już wiedział, że jednak się nie przesłyszał.

– Co takiego? – zapytał.

Android – jakie było jego oznaczenie, I-5? – wyglądał na wzruszonego. Jax nie miał pojęcia, jakim cudem odniósł takie wrażenie, skoro korpus androida był równie nieruchomy, jak jego twarz.

– Od dawna cię szukam – odezwał się automat równie cicho, jak poprzednio. – Twój ojciec, Lorn Pavan, był moim przyjacielem. On...

Przyjacielem? Jax doszedł do wniosku, że sytuacja staje się zbyt absurdalna, a on dłużej tego nie zniesie.

– Wszystko jedno – burknął, przecisnął się obok androida i wyszedł z komnaty. – Nie mam na to czasu.

Idąc korytarzem, usłyszał, że android za jego plecami jakby się zachłysnął, a potem chyba westchnął z irytacją...

Zaraz, zaraz, pomyślał Jax.

Androidy nie mogły się zachłystywać. Androidy nie wzdychały... bo w ogóle nie oddychały.

Odwrócił się i spojrzał na I-Five, który dreptał za nim. Rycerz Jedi nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że automat jest niezmiernie wzburzony. Zupełnie jakby usiłował mu dać do zrozumienia, że nie ma chwili do stracenia.

Rycerz Jedi podszedł do niego.

– Nie jesteś własnością Rokka – powiedział. Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

Android pokręcił głową. Jax pomyślał, że to jeszcze jeden dziwnie ludzki gest.

– Nie – odparł automat.

– I twierdzisz, że przysłał cię... mój ojciec?

– Tak – potwierdził I-Five. – Lorn Pavan. On był...

– Mój ojciec nie żyje – przerwał Jax. – Nigdy go nie znałem. A teraz na pewno nie jest właściwa pora, żeby...

– Umarł jak bohater, Jaksie – wpadł mu w słowo android. – Zginął, starając się pomścić zabitego Jedi. Oddał życie, usiłując ocalić Republikę. Poległ w czasie walki z jednym z najniebezpieczniejszych zabójców galaktyki. Nie wie o tym nikt oprócz mnie – zakończył I-Five tonem szczerego współczucia.

Jax gapił się na androida, jakby zapomniał języka w gębie. Nie miał pojęcia, co myśleć o jego słowach. I-Five delikatnie położył metalową dłoń na jego ramieniu.

– Łatwo możesz sprawdzić moją prawdomówność – powiedział. – Posłuż się Mocą. Uwolnij swoje uczucia. Wsłuchaj się w podszepty serca, Jaksie Pawanie. Zorientujesz się, że mówię prawdę.

– Ale przecież... jesteś androidem – bąknął rycerz Jedi. – Nie masz niczego... nie istnieje nic, co...

– Zaufaj temu, co podpowie ci Moc, Jaksie – powtórzył I-Five. – Jeżeli nie potwierdzi moich słów... choć w głębi serca wiesz, że są prawdziwe... – Android rozłożył ręce w ludzkim geście przyznania się do porażki – ...stanę się naprawdę własnością Rokka.

Zdezorientowany Jax pokręcił głową. Android chyba naprawdę nie wiedział, o czym mówi. Ale co tam, spełnienie jego życzenia nie powinno zająć więcej niż kilka sekund. Ta jego natarczywość była doprawdy intrygująca.

Rycerz Jedi nawiązał myślowy kontakt z Mocą.

Wici, które zawsze zapewniały mu najściślejszą więź, otoczyły i przeniknęły androida. W pierwszej chwili Jax zauważył tylko to, czego się spodziewał: impulsy płynów smarujących, pomruki transformatorów i kwantowych łączy czy niewrażliwość nadprzewodników. Wyczuł także wzajemne interakcje subatomowych cząstek, które, bezustannie łącząc się w przypadkowe pary i rozdzielając, zapewniały I-Five dosłownie nieograniczoną umiejętność przetwarzania, analizowania i wykorzystywania danych.

Rycerz Jedi nigdy dotąd nie zwracał sobie głowy sondowaniem androida; coś takiego po prostu nie miało sensu. Wiedział, że nawet pozbawionym tłumików kreatywności automatom brakuje czegoś w rodzaju głównego impulsu. Równie dobrze można było próbować nawiązać kontakt z własnym komunikatorem. W przypadku tego konkretnego, całkiem niepozornego androida coś jednak wyczuł. Coś, czego nie dałoby się wytłumaczyć tylko w kategoriach inżynierii obwodów czy mechaniki. Coś... więcej.

Cofnął myśli i oplatał I-Five wiciami Mocy, kierując je we wszystkie strony, a także w przeszłość i w przyszłość. Badając wici i śledząc cały przebieg czyjegoś życia, Jax często widział nie tylko linię, którą dana istota przeszła przez continuum, ale także niezliczone kontakty, jakie nawiązywała z innymi istotami. Wici tworzyły w Mocy wibrujące fale harmoniczne, które łączyły wszystko, co się kiedykolwiek wydarzyło, z jeszcze bardziej odległą przeszłością, ale także z przyszłością.

Wyczuł, że I-Five zbliżył się do mężczyzny, który uważał go nie za rzecz, lecz za osobę, za partnera. Poznał, że androida łączyło z tym mężczyzną uczucie... z tym samym mężczyzną, z którym Jax był także połączony wiciami Mocy. Rycerz Jedi domyślił się, że połączył się ze śladami energii, jakie pozostały w bazach danych androida.

Z Lornem Pavanem.

Ze swoim ojcem.

Jax przerwał myślową więź tak raptownie, że zachwiał się i o mało nie upadł. Zauważył, że zaniepokojona Laranth obserwuje go znad ramienia I-Five. Na nieruchomej twarzy androida także dało się odczytać coś w rodzaju niepokoju.

– Jax? – zaniepokoił się I-Five. – Czy na pewno dobrze się...

– Odejdź ode mnie – warknął rycerz Jedi. Odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku wielkiej sali.

Den zaczynał się już niepokoić, co się dzieje z I-Five, kiedy w drzwiach na korytarz pojawił się obcy mężczyzna. Minął go i pospiesznie podążył do wyjścia w przeciwną stronę. Sullustanin miał tylko tyle czasu, aby się zorientować, że to prawdopodobnie jeden z dwojga Jedi, po których Rokko wysłał androida. Chwilę później śladem mężczyzny przebiegła Twi'lekanka, młoda, ale krzepka; wyglądała, jakby potrafiła bez wysiłku chwycić i unieść sullustański automat do kruszenia skał.

Jeszcze później pojawił się I-Five, od którego promieniowało uczucie udreki.

– Jaksie! – wykrzyknął android.

Jax, Laranth i I-Five znaleźli się już w głębi wielkiej sali, więc wszyscy w niej usłyszeli okrzyk androida. Rokko odwrócił się zaskoczony.

– O co chodzi, Pawanie? – zapytał. – Kim jest...

W tej samej chwili zauważył I-Five. Dał znak ręką i dwaj krzepcy gamorrekańscy strażnicy zastąpili drogę Jaksowi, uniemożliwiając mu wyjście z sali.

Rokko popatrzył na Pavana, ale zaraz przeniósł spojrzenie na Dena i I-Five. Zmrużył wielkie żółte oczy.

Niedobrze, pomyślał Sullustanin.

– Nie do wiary – burknął gangster. – Sullustański oszust zjawia się u mnie z androidem, który jest geniuszem w grach hazardowych, ale dziwnym zbiegiem okoliczności zna także Jedi, który zwrócił się wcześniej do mnie z propozycją zawarcia innej korzystnej umowy. To nie może być przypadek. Coś tu cuchnie jak dojrzałe keebada. – Wykonał następny gest i Trandoshanin stojący pod jedną z kolumn, na których wspierało się sklepienie sali, skierował w ich stronę lufę blastera. – Domagam się wyjaśnień – zakończył Hutt. – Jeżeli okażą się wiarygodne, może pożyjecie trochę dłużej.

Mężczyzna, który zdaniem I-Five nazywał się Jax Pavan, odwrócił się do gangstera.

– Nie mam pojęcia, skąd tu się wziął ten android, Rokko – powiedział. – Nigdy przedtem

go nie widziałem. To samo dotyczy zresztą tego kurdupla. – Wskazał gestem sullustańskiego reportera.

– Jak chcesz – oburzył się Den. – Skreślam cię z listy gości, którym wysyłam świąteczne holokartki.

– *Keel-ee calleya ku kah, Jedi* – warknął gangster. – Spodziewałem się, że będziesz mądrzejszy. – Wyciągnął rękę w stronę Trandoshanina. – *Keepuna nańya* – rozkazał.

Trandoshanin przyłożył blaster do ramienia.

– Zaczekaj – odezwał się Pavan. – Mieliśmy umowę, nie pamiętasz?

– Mieliśmy – powtórzył z naciskiem Hutt. – Czas przeszły. Za sekundę ty także przejdiesz do przeszłości. – Odwrócił się, a jego pozbawione kości cielsko popłynęło nad wyłożoną kamiennymi płytami posadzką.

To koniec, pomyślał Den. Zważywszy na sytuację, odczuwał zdumiewający spokój. No cóż, przynajmniej znajdujemy się pod powierzchnią gruntu.

Czerwony błysk od strony I-Five zmusił go do odwrócenia się w tamtą stronę. Android mierzył z lasera w palcu wskazującym, ale nie w kierunku Rokka ani Trandoshanina. Kierował promień lasera w jeden z obrazów – albo w jedno z okien; Den nie miał pojęcia, czym są w rzeczywistości wizerunki na ścianie – który przedstawiał fragment planety Nal Hutta. Obraz jakby pochłaniał energię promienia; po krajobrazie rozlewała się powoli szkarłatna plama.

Rokko stanął raptownie i odwrócił się z plaśnięciem. Den nigdy by nie uwierzył, że Huttowie potrafią wykonywać tak szybkie ruchy.

– Co ty wyprawiasz! – wrzasnął przerażony gangster.

– Powiedz temu Trandoshaninowi, żeby odłożył broń – rozkazał I-Five. – A jeżeli już o tym mowa, powiedz reszcie swoich zbirów, żeby także oddali blastery. Jestem pewny, że moi towarzysze chcieliby dostać z powrotem swoją broń.

– *Eniki! Eniki!* – zawył Hutt. Odwrócił się do swoich sług. – Róbcie, co wam każe! *Yatuka!*

Pavan i towarzysząca mu Twi'lekanka szybko otrzymali z powrotem swoją broń, a strażnicy Rokka odrzucili swoją.

– Zdezaktywuj także swoje roboty bojowe i obronne mechanizmy – rozkazał I-Five. – I żadnych podstępnych sztuczek, jeśli łaska. W tej chwili mój laser ma nastawiony współczynnik kolimacji równy pięć koma trzy. Jeżeli zwiększę tę wartość, promień lasera zacznie topić nieprzepuszczalną warstwę glazury kondensatu.

Rokko zbladł – całe cielsko Hutta stało się białe, usiane cętkami. Den jeszcze nigdy nie widział tak przerażonego wielkiego ślimaka.

Kiedy opuszczali podziemną komnatę, I-Five cały czas celował laserem w obraz, dopóki nie uniemożliwił mu tego zakręt korytarza. Dopiero wtedy android wyłączył laser.

– I co teraz? – zapytał go Den.

– Teraz w nogi!

Zanim jednak dotarli do turbowind, usłyszeli za plecami odgłosy pościgu. Charakterystyczny skowyt repulsorów dowodził, że ściga ich ogromny robot bojowy.

Pavan zatrzymał się, odwrócił, przyjął postawę jak do walki i włączył klingę świetlnego miecza.

– Idźcie dalej – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Powstrzymam pościg.

– A gdzie legion robotów niszczycieli, które by ci w tym pomogły? – zadrwiła paladynka, której imienia Den do tej pory nie usłyszał. – Ten robot potrafi się przedzierać przez ferrobetonowe bunkry równie łatwo, jak neutrino przez plazmę.

– Macie do wykonania ważne zadanie – przypomniał rycerz Jedi. – Musicie odnaleźć tamtego androida i...

– Bardzo przepraszam – przerwał I-Five. Stał przed obojgiem Jedi i strzelił z obu laserów, mierząc w sufit zaraz za zakrętem korytarza. Posłużył się przy tym wokabularem, który wydał głośny pisk o tak wysokim tonie, że prawdopodobnie tylko Den go usłyszał i natychmiast tego gorzko pożałował.

Pavan i Twi'lekanka spojrzeli najpierw na androida, a później po sobie. Zanim zdążyli coś powiedzieć, w sklepieniu pojawiły się pęknięcia, rozchodzące się promieniście z punktu trafienia, niczym kryształowe węże uciekające ze zniszczonego legowiska. Kiedy android-strażnik pokonywał zakręt korytarza, sklepienie się zawaliło i pogrzebało go pod tonami gruzu.

Zapadła głucha cisza, jeżeli nie liczyć szelestu osypujących się bryłek. TwFlekanka odwróciła się do I-Five.

– To sklepienie wykonano z litej ceramistali – zauważyła. – Jakim cudem...

Rumowisko, które blokowało całą szerokość korytarza, nagle zadygotało – raz, a potem drugi, teraz już z większą siłą.

– Proponuję, żeby stąd uciec – odezwał się I-Five. – Specjaliści z Arakyd Industries umieją konstruować swoje automaty.

Kiedy jechali do góry kabiną turbowind, Den odwrócił się do androida.

– Miałeś nam powiedzieć, w jaki sposób zawaliłeś sklepienie tamtego korytarza – przypomniał.

– Dzięki ultradźwiękom połączonym z energią moich laserów – wyjaśnił I-Five. – Takiej kombinacji nie wytrzymuje nawet ceramistał.

– Wykazałeś się szybką orientacją – pochwalił Den. – Ale tamten obrazek w ścianie... to był, hm...

– Spowolniony wizerunek luminescencyjny – dokończył android.

– Superciecz – dodała paladynka. – Ochłodzona do temperatury bliskiej bezwzględnej zera, przepuszcza światło z prędkością pełznącego ślimaka.

– To prawda, taki materiał ma wyjątkową gęstość – przyznał android. – Można

powiedzieć, że każdy taki obraz ma w pewnym sensie grubość kilku lat świetlnych. To rzeczywiście okno w przeszłość.

– A co by się stało, gdyby promień twojego lasera przeniknął przez warstwę ochronnego szkliwa? – zagadnął Sullustanin.

– Ciekawe pytanie – przyznał I-Five. – Przyznaję, że moje informacje na temat przechłodzonych kwantowych kondensatów nie są tak kompletne, jak mógłbym sobie tego życzyć, ale zważywszy na współczynnik gęstości i prawdopodobną prędkość ekspansji... cóż, to wielkie szczęście, że Rokko zgodził się spełnić moje żądania.

– Chcesz powiedzieć, że mogłeś wysadzić w powietrze całą jego podziemną rezydencję? – zaniepokoił się reporter.

– Nie – odparł spokojnie android. – Chcę powiedzieć, że mogłem wysadzić w powietrze kilka kilometrów sześciennych nieruchomości sektora Yaam.

Den przełknął ślinę; nagle poczuł w żołądku bryłę przechłodzonego kondensatu.

W końcu dotarli na powierzchnię i wysiedli z kabiny na kiepsko oświetlonej i opustoszałej stacji przy jednej z bocznych ulic Slumsów. Wszędzie wały się śmiecie i połamane meble, a w powietrzu unosił się odór gnijących odpadków organicznych.

– Naturalnie musiałbym strzelać z lasera nastawionego na maksymalną moc od mniej więcej trzech tygodni, żeby jego promień przedostał się na drugą stronę szkliwa – dodał I-Five. – Na szczęście Rokko o tym nie wiedział.

Den był zbyt zdumiony, aby odpowiedzieć, więc I-Five odwrócił się do syna swojego zmarłego przyjaciela.

– Jaksie – powiedział. – Bardzo się cieszę, że w końcu...

– Nie mamy na to czasu – uciął rycerz Jedi. Sięgnął za plecy I-Five i przestawił w drugie położenie dźwigienkę przełącznika na szyi androida. I-Five zamarł, a jego fotoreceptory zamigotały i zgasły.

Den obrzucił Jaksę oburzonym spojrzeniem. Rycerz Jedi odwrócił się do swojej towarzyszk i powiedział:

– Teraz już wiemy, że szukamy androida. Musimy go odnaleźć wcześniej niż oni.

Larant skinęła głową. Odwrócili się plecami do Dena i I-Five i od razu odeszli, nie oglądając się za siebie.

Sullustanin włączył swojego towarzysza, który ponownie przesłał energię do procesora. Spojrzał za oddalającym się Pavanem, jakby nie mógł uwierzyć własnym fotoreceptorem.

– Tak, tak – odezwał się Den do osłupiałego androida. – Chyba zaczyna cię lubić.

ROZDZIAŁ 24

Nick leciał „Długodystansowcem” zaprogramowanym wcześniej kursem, który miał mu umożliwić pokonanie odległości między pałacem a Sektorem Yaam. Frachtowiec był kierowany przez automatycznego pilota, bo Nick nie miał ochoty na pilotowanie statku. Siedział na fotelu pilota, wpatrując się w bezkresny miejski krajobraz w dole.

Czuł się oszołomiony i ogłupiały. W jego głowie rodziły się myśli zbyt straszne, aby umysł mógł je zatrzymać na dłużej niż chwilę.

Dano mu prosty wybór, prosty i oczywisty. Miał zdradzić Jaksę Pavana, zastawić na niego pułapkę i przekazać go w ręce Dartha Vadera.

Jeżeli tego nie zrobi, Vader zniszczy jego ghósh.

W pierwszej chwili Nick nie przejął się tą pogroźką. Klan Rostu, jego ród, rozproszony po jednym z największych płaskowyżów na Haruun Kal, zawsze podążał za stadami trawiaków – ogromnych zwierząt, dzięki którym jego ziomkowie utrzymywali się przy życiu. Jak Vader mógłby wziąć na cel tak liczne plemię nomadów?

Odpowiedź pojawiła się zaraz i też była prosta... Vader mógł po prostu zbombardować cały płaskowyż z orbity, posługując się w tym celu gwiazdnym niszczycielem. Wystarczyło wydać odpowiedni rozkaz. Vader uświadomił Nickowi bardzo dobitnie, że nie zawahałby się przed wydaniem takiego rozkazu, a już na pewno nie odczuwałby później żadnych wyrzutów sumienia.

Rostu doszedł do wniosku, że pozbawione częstotliwości harmonicznym subsoniczne wibracje jonowych silników wcale mu nie przeszkadzają. Zważywszy na okoliczności, statek nie był w złym stanie. Jego poprzedni właściciele dobrze o niego dbali, przynajmniej jeżeli chodzi o urządzenia mechaniczne i elektroniczne. Co więcej, frachtowiec był praktycznie niewidzialny. Nie zawdzięczał tego maskującej aparaturze, tylko faktowi, że całe mnóstwo podobnych statków roilo się wokół planety niczym ogniste osy przy owocującym drzewie. Nick mógł być pewny, że nikt nie zwróci na niego uwagi.

Tak, to był dobry statek. A najważniejsze, że stanowił jego własność. Mógł nim dolecieć w najdalsze krańce galaktyki. Koniec z harówką na dnie kamiennych wąwozów Coruscant... Miał własny gwiazdny statek. Mógł sobie lecieć, dokąd zechce, i stać się kimś innym. Mógł przybrać nową tożsamość i nadać statkowi inną nazwę. Mógł polecieć do Zewnętrznych

Rubieży i rozpocząć tam nowe życie. Mógł zostać przemynikiem przyprawy na trasie do Kessel. Mógł się przyłączyć do Słonecznej Straży w gromadzie Corbett. Mógł nawet zostać dysydem w jednym z odległych systemów gwiazdnych...

Miał nieograniczone możliwości. Czekala na niego cała galaktyka... a przynajmniej te jej fragmenty, które do tej pory nie znalazły się pod bezpośrednią władzą Imperium.

Pod warunkiem że przekaze Jaksę Pavana w ręce Dartha Vadera.

Miał wybór. Mógł wieść beztroskie, swobodne życie, przemierzać gwiazdne szlaki... albo trafić za kratki na więziennej planecie Despayre, gdzie spędziłby resztę życia ze świadomością, że jest odpowiedzialny za śmierć tysięcy krewnych i ziomków.

Nick pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Zastanawiał się, co robić.

Kiedy Jax wyszedł z budynku opustoszałej stacji, targały nim sprzeczne emocje.

Nie miał nic przeciwko androidom, ale też nie żywił do nich specjalnej sympatii. Androidy były po prostu maszynami, które można było wykorzystać. Prawdę mówiąc, rycerz Jedi nie miał w tym dużego doświadczenia. Spędził niemal całe życie w Świątyni, gdzie androidów nie widywało się zbyt często. Większość automatów w Świątyni stanowiły protokolarne jednostki typu 3PO albo 3D-4X. Wszystkie były ciche, skuteczne i usłużne, niekiedy aż do przesady. Jax mógł sobie wyobrazić, że któregoś z nich polubi, tak jak ktoś mógłby woleć znajomy, stary ślizgacz od nowej maszyny. Może nawet w taki sposób jak hodowane zwierzątko. W zamian za poświęcany mu czas mógł się spodziewać ze strony androida lojalności i oddania.

Jax jednak wiedział, że nie na tym polegał związek między I-Five a jego ojcem. Prześlędziwszy wici Mocy rycerz Jedi zrozumiał, że Lorn Pavan uważał androida za kogoś równego sobie... za przyjaciela, a nawet, w ostatnich dniach ich znajomości wręcz za brata.

Było w tym coś zdecydowanie nienaturalnego, niemal perwersyjnego. Na samą myśl o tym, że jego ojciec mógł uważać taki chodzący zbiór obwodów i serwomechanizmów za równy istocie organicznej, Jax czuł głęboki niepokój. Naturalnie nie znał ojca, bo wychowali go inni Jedi, którzy byli dla niego jak członkowie rodziny. Rycerz Jedi uważał, że dobrze wywiązali się ze swoich obowiązków. Nigdy mu nie brakowało miłości, towarzystwa ani rodzicielskiego autorytetu. Kiedy był młodszy, często się zastanawiał, jak mogli wyglądać jego prawdziwi rodzice, a czasami marzył, żeby ich kiedyś zobaczyć. To jednak miało miejsce w odległej przeszłości, a Jax Pavan dawno przestał być małym dzieckiem.

Za to teraz, kiedy od dawna się pogodził z brakiem rodziców, w jego życiu pojawił się android i jakby od niechcienia przekazał mu wiadomość, która podziałała na Jaksę jak eksplozja bomby. Rycerz Jedi mógł sądzić, że jego ojciec był niespełna rozumu.

Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby uwierzył słowom I-Five. Łatwiej byłoby mu wówczas zlekceważyć tę informację... uznać ją za błąd synaptycznej sieci androida albo skutek działania podprogramu do opowiadania dziwacznych żartów. Przekonał się jednak

dzięki Mocy, że to nie żart. Zobaczył związek, jaki łączył ojca z tą... maszyną.

Chcąc nie chcąc, musiał jednak przyznać, że dostrzegł także cień sugestii, iż I-Five jest czymś więcej niż tylko zwyczajnym androidem.

Jax pokręcił głową. Nie potrzebował teraz takich kłopotów.

ROZDZIAŁ 25

Den zerknął na I-Five. Chętnie by wygłosił jedną z licznych uwag, jakie cisnęły się mu na usta – niektóre obłudne, inne współczujące – ale na żadną nie mógł się zdecydować. Od androida promieniowały emocje aż nazbyt dobrze znane każdej inteligentnej istocie organicznej: rozczarowanie i żal.

– Naprawdę powinienesz kazać komuś zdezaktywować swój wyłącznik – odezwał się w końcu.

I-Five nie odpowiedział, bo też nie było takiej potrzeby. Den dobrze wiedział, że wyłącznik jest na stałe połączony z głównym procesorem androida, więc nie mógł zostać usunięty ani zdezaktywowany. Ta uwaga pozwoliła jednak przerwać kłopotliwą ciszę.

– I co teraz? – zagadnął Sullustanin.

– Pójdę za nim – odparł I-Five bez szczególnego przekonania. – Będę się trzymał w znacznej odległości, dopóki nie przyzwyczai się do mnie i nie poczuje swobodniej w mojej obecności.

Reporter przyłączył się do niego i ruszyli unieruchomionym ślizgochodnikiem. W pobliżu prawie nie było widać przechodniów, a w powietrzu nie latało wiele pojazdów. Okolica wyglądała na opustoszałą, co było rzadkością na Coruscant. Od czasu do czasu prąd powietrza unosił skrawek flimsiplastu czy lżejsze śmiecie. Fruwając nad ich głowami, pogłębiały wieczny półmrok, który nadawał okolicy wygląd wymarłego miasta.

– A co zrobisz, jeżeli się nie przyzwyczai? – zapytał w końcu Sullustanin.

– Nie wiem – odparł cicho I-Five. Rozłożył na boki ręce z dłońmi do góry, co wyglądało, jakby wzruszał ramionami. – Po prostu nie wiem. Nie mam pojęcia, co robić.

Den osłupiał. I-Five zawsze wiedział, jak się zachować. W każdej sytuacji. Nigdy dotąd się nie wahał przed podejmowaniem konkretnych kroków. W przeciwieństwie do innych istot inteligentnych nie miał świadomego umysłu, który by mu podsuwał irracjonalne decyzje.

A może jednak miał? Może rozwój głębokiej warstwy nieświadomości był nieuniknionym rezultatem samoświadomości? A może, aby zostać istotą inteligentną, I-Five musiał także się stać, przynajmniej do pewnego stopnia, neurotykiem?

Den pokręcił głową. Po prostu filozoficzne bagno, bardziej niebezpieczne do eksploracji niż czarna dziura.

– No cóż – odezwał się w końcu. – Zawsze możesz wrócić do poprzedniego zawodu androida-niani.

I-Five popatrzył spode łba.

– Zastanowię się nad podjęciem innej pracy, kiedy ty zaczniesz grywać w komediach – powiedział z przekąsem. – Tylko pamiętaj o zakładaniu repulsorowych butów, jeżeli chcesz, żeby ludzie widzieli cię na scenie.

Den wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu. Z radością powitał powrót do normalnego charakteru I-Five. Jego przyjaciel i partner bywał ostatnio bardzo przygnębiony. Zachowywał się, jakby stracił całe poczucie humoru.

Sullustanin szybko jednak spoważniał, kiedy przypomniał sobie grubiaństwo Pavana. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak I-Five się czuje. Zawsze traktował bardzo poważnie przedśmiertne życzenie starszego Pavana, ale kiedy je w końcu spełnił, spotkał się z bezceremonialną odprawą, a w dodatku został wyłączony.

Może to i dobrze, pomyślał reporter. Może I-Five wreszcie przestanie ścigać Pavana i przypomni sobie, kto jest jego prawdziwym przyjacielem. Zazdrość, jaką od dawna odczuwał Den, znów zaczęła podnosić swój paskudny zielonooki łeb. Sullustanin stwierdził z zaskoczeniem, że nie znosi Jaks Pavana, a nawet zaczyna go nienawidzić.

Mógłbym go wydać, pomyślał.

Zamrugął zaskoczony, jakby to ktoś obcy podsunął mu pomysł, który w rzeczywistości zrodził się w jego głowie. Po chwili uświadomił sobie, że to nic trudnego. Musiałby tylko odbyć jedną rozmowę. Wiedział, że łatwo byłoby wszystko zorganizować w taki sposób, aby nikt nie posądzał go o tę zdradę. I-Five mógłby wprawdzie coś podejrzewać, ale nie potrafiłby niczego udowodnić.

Problem w tym, że sam Den by wiedział, co zrobił. Sam przed sobą nie potrafiłby usprawiedliwić wydania kogoś w ręce Imperatora tylko dlatego, że nie podobało mu się jego zachowanie. Wprawdzie odkąd poznał Pavana, rycerz Jedi robił wszystko, żeby go do siebie zrazić, ale to nie mógł być powód, żeby chcieć się go pozbyć.

Ale właśnie Jedi nie powinni się zachowywać w taki sposób, szeptał cichy głos w jego głowie. Jeżeli Jax bywa tak bezduszny w drobnych sprawach, czy można mu zaufać, że nie zdradzi I-Five – albo ciebie – jeżeli będzie tego wymagała sytuacja?

Żałował, że nie może porozmawiać o tym z Barrissą Offee. Młoda padawanka miała wszelkie cechy, jakie przypisywano Jedi. Była odważna, współczująca, silna i uprzejma. Sullustanin był ciekaw, co się z nią stało. Miał nadzieję, że jakimś cudem uniknęła zagłady.

W głębi duszy jednak w to wątpił. Słyszał, że niemal wszyscy Jedi zginęli. Jeżeli jednak Jax Pavan był naprawdę ostatnim żyjącym rycerzem w galaktyce, to bardzo kiepsko reprezentował minioną świetność zakonu.

A nazwanie mnie „kurduplem” także nie zaskarbiło ci mojej wdzięczności, kolego, pomyślał Sullustanin.

– Jesteś przygnębiony – stwierdziła Laranth.

Jax stał na skraju niewielkiego krateru, jednego z tysięcy, które pozostały po dywanowych nalotach Separatystów na Coruscant. Stopiona powierzchnia leja wyglądała jak czarne lustro, z którego spoglądała na rycerza Jedi jego wykoślawiona, zniekształcona podobizna.

– I kto to mówi? – burknął Jax. – Sama przeważnie milczysz. Czemu uważasz, że jestem przygnębiony?

Młoda paladynka zignorowała jego uwagę.

– To bardzo dziwny android – powiedziała. – A to stwierdzenie, że zaprzyjaźnił się z twoim ojcem...

– Moi rodzice oddali mnie do Świątyni, bo wykazywałem potencjał Jedi – przerwał Jax. – Na pewno była to dla nich bardzo trudna decyzja, ale podjęli ją dla ogólnego dobra. Podziwiam ich za to, ale nie chcę wiedzieć o nich nic więcej. Zawsze będę pamiętał o ich poświęceniu.

Laranth uniosła brew.

– Dlaczego powiedział, że twój ojciec był bohaterem, który usiłował ocalić Republikę? – zapytała.

Jax wzruszył ramionami.

– A dlaczego miałbym wierzyć słowom androida? – powiedział.

– A dlaczego android miałby kłamać? – odgryzła się Twi'lekanka.

– Może dlatego, że tak go zaprogramowano – odparł rycerz Jedi. – W końcu to tylko android. A skoro już mowa o androidach, mamy do wykonania ważniejsze zadanie. Musimy wypełnić ostatnią wolę Mistrza Piella i poszukać drugiego androida – wiesz, tego ważnego – zanim odnajdą go Vader albo Rokko.

Laranth obejrzała się za siebie, w głąb ulicy.

– Nadchodzą – oznajmiła.

Kiedy android i Sullustanin podeszli bliżej, Jax spojrzął na reportera i niepewnie się uśmiechnął.

– Przepraszam, że dezaktywowałem twojego androida – powiedział, wyciągając rękę. – Nazywam się...

– Wiem, jak się nazywasz – przerwał Den, ale zignorował wyciągniętą rękę rycerza Jedi.

– I to nie mnie, ale jemu jesteś winien przeprosiny. – Odgiętym kciukiem wskazał stojącego za nim androida.

Zakłopotany Jax zmarszczył brwi.

– Przeprosiny? Twojemu androidowi? – zapytał zdziwiony.

Den przewrócił oczami – co, zważywszy na ich wielkość, wyglądało imponująco.

– To nie jest mój android – sprostował. – Jest panem samego siebie. Kiedy już wbijesz

sobie to do głowy, wszyscy będziemy się rozumieli o wiele lepiej.

Zdumiony Jax zamrugał. Znów był pewny, że się przesłyszał, i znów wszystko wskazywało, że słuch go nie zawiódł. Spojrzał na stojącą obok niego Laranth. Nawet ona wyglądała na lekko zdezorientowaną.

– Nie musisz mnie przeproszać – odezwał się cokolwiek oschle I-Five. – Przekroczyłem moje granice. Zapomniałem, że rycerz Jedi Pavan nie może nic wiedzieć o niezwykłym związku, jaki łączył jego ojca i mnie. To ja jestem ci winien przeprosiny.

Sullustanin odwrócił się i spojrzał zdumiony na swojego towarzysza.

– Co takiego? – wybuchnął. – Zamierzasz mu to puścić płazem?

– Jestem androidem, Denie Dhurze – odparł I-Five. – Nie zaprogramowano mnie, żebym się obrażał.

Jax zauważył, że głos androida brzmi o wiele bardziej nienaturalnie i oschle niż jeszcze niedawno, kiedy z nim pierwszy raz rozmawiał. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, jak przystało na metalową maskę.

Sullustanin nie wyglądał na zadowolonego. Ani na chwilę nie odrywał spojrzenia od I-Five.

– Nic się nie martw – powiedział. – Obrażę się za nas obu.

Rycerz Jedi zaczynał mieć tego dość. Na szczęście znał prosty sposób, który pomoże jemu i Laranth wybrnąć z tej sytuacji. Ten sposób nie podziałałby na androida, ale Sullustanin powinien być na niego wrażliwy. Zresztą gdyby nawet android się uparł, żeby udowodnić swoją inteligencję, i nie chciał posłuchać swojego towarzysza...

...zawsze będzie go można zdezaktywować.

– Najlepiej będzie, jeżeli każde z nas uda się w swoją stronę – powiedział kojącym tonem, wykonując rękami hipnotyzujące gesty, dzięki którym tyle razy od początku zagłady zakonu wydobywał się z tarapatów. – Nie musicie nam towarzyszyć w dalszej wędrówce...

– Och, na miłość przestworzy – burknęła niewysoka obca istota. – Naprawdę uważasz, że jestem wrażliwy na twoje myślowe sztuczki? Spędziłem wiele miesięcy w Mobilnej Jednostce Chirurgicznej na Drongarze, małooki. Obserwowałem, jak Barrissa Offee posługuje się codziennie taką samą sztuczką, by wyrzeć kojący wpływ na pacjentów...

– Znałeś Barrisę? – przerwał rycerz Jedi.

– Obaj ją znaliśmy – odparł Sullustanin. – Ona jest tym, kogo nazywam prawdziwym Jedi. To współczująca, miła i tolerancyjna...

– Barrissa nie żyje – uciął Jax.

Den umilkł i wyraźnie sposepniał. I-Five się nie poruszył, ale jakimś cudem od jego metalowego ciała zaczął promieniować wielki smutek.

– Jak to się stało? – zapytał w końcu reporter.

– Nie wiem tego na pewno – wyjaśnił Jax, przypominając sobie rozpacz, jaka go ogarnęła, kiedy wyczuł jej śmierć dzięki więziom Mocy. – Nie jestem pewny, jak, ale wiem,

że nie żyje. Moc nie kłamie.

– Przypuszczałem, że może ją spotkać taki los – stwierdził Dhur. – Ale trudno mi w to uwierzyć. Wśród trylionów istot trudno byłoby znaleźć drugą taką jak ona.

I-Five nie skomentował śmierci Barrissy, a Jax nie miał nic przeciwko temu. Nie miał pojęcia, jak by się poczuł, gdyby android wyraził żal po jej śmierci, choć był prawie pewny, że to by mu się nie spodobało.

Zamiast tego I-Five powiedział:

– Pora ruszać w drogę.

Jax poczuł impuls irytacji, oburzony tym przynaglaniem, ale emocja prawie natychmiast zniknęła, zmyta przez falę Mocy, z którą napłynęła świadomość nadciągającego zagrożenia.

– Tak – powiedział. – Wyczuwam to.

– Ja też – potwierdziła ponuro Laranth. Upewniła się, że blastery dają się łatwo wyjmować z kabur.

Zdezorientowany Dhur spojrział na nich.

– O co chodzi? – zapytał. – Nie znoszę, kiedy jestem jedyną osobą pozbawioną nadzwyczajnych zmysłów.

– Nic się nie martw – uspokoił go I-Five. Objął Sullustanina w pasie, wziął go na rękę jak duże dziecko i ruszył pospiesznie w drogę. Jax i Laranth poszli w jego ślady. Rycerz Jedi wyjął świetlny miecz, ale nie włączył energetycznej klingi. – Mając takie uszy, powinieneś niedługo to usłyszeć.

– Miałeś na myśli narastający skowyt repulsorów zbliżających się do nas szybko pojazdów, tak? – domyślił się reporter.

– Właśnie – przyznał android.

– Jak myślisz, co to jest?

– PJW – stwierdził Jax. – Policyjne Jednostki Wsparcia. Co najmniej cztery, może więcej.

– Wygląda na to, że Imperator niełatwo zrezygnuje ze zdobycia tych danych – zauważyła paladynka.

– To nie Imperator – oznajmił Jax, wpatrując się w niebo nad nimi. – To Vader. I nie chodzi mu tylko o odnalezienie androida. Zależy mu na mnie.

ROZDZIAŁ 26

Trzeba przyznać, że ten zabawny potomek gadów potrafi zagrać główną rolę w niemal każdej sytuacji, pomyślał Kaird, patrząc na Xizora kroczącego pewnie zaśmieconą odpadkami ulicą.

Nedijanin wiedział, że nawet przebrany za najpaskudniejszego, najgroźniej wyglądającego Shistavanena w galaktyce, zastanowiłby się dwa razy, zanim by się odważył wejść choć na chwilę między kręcących się po ulicy złodziei i bandytów. W tej chwili, ucharakteryzowany na Kubaza, krył się na balkonie kilka pięter nad ulicą i przez niewielką elektrolornetkę obserwował poczynania Falleena. Xizor zastosował tylko jeden środek ostrożności: jak najprostszy ubiór. Zamiast noszonego zwykle kosztownego stroju z jedwabi, brokatów i żakardów, miał na sobie skromną tunikę i spodnie ze skóry fleeka. Rękawice i buty takiego samego granatowocznego koloru harmonizowały z przewiązanymi na czubku głowy włosami, choć dramatycznie kontrastowały z zielenią skóry. Przy każdym pełnym wdzięku i pewności kroku Kaird widział wyraźnie rysujące się pod obcisłym ubraniem mięśnie. Falleen wyróżniał się w tłumie, nawet tak barwnym jak ten, przez który właśnie przechodził. Nisko na biodrze nosił kaburę z blasterem i nie cofał się ani nie zwalniał na widok nikogo. Kaird zauważył, że idąca w stronę Falleena para – Sakiyanin z przepaską na oku i Whiphid z oszpeconą przez paskudne blizny twarzą – rozstępuje się na jego widok.

Niesamowite, pomyślał Nedijanin. Wiedział, że Xizor jest mistrzem różnych form walki wręcz i umie się posługiwać niemal wszystkimi rodzajami broni. Widział go kiedyś podczas walki, a ściślej honorowego pojedynku. Jego przeciwnikiem był wtedy mężczyzna, także świetnie wyszkolony w sztuce zabijania. Miał niemal dwa metry wzrostu i groteskowo rozdęte mięśnie; był też zwinny i szybki jak błyskawica.

Mimo to walka okazała się nierówna i nie trwała długo.

Sam Kaird był także biegły w sztuce zabijania, ale doskonalił stosowanie metod pośrednich, nie bezpośrednich. Kiedy jednak nie miał wyboru, potrafił walczyć; nie wzdragał się także przed stosowaniem nieczystych sztuczek.

Nikt nie mógł wątpić, że Xizor jest groźnym przeciwnikiem. Kaird byłby głupcem, gdyby postanowił stanąć z nim do otwartej walki. Na szczęście, jako zabójca, miał wiele możliwości. Mógł zabić Falleena już teraz, szpikując go toksynami tak jadowitymi, że Xizor

byłby martwy, zanim by jeszcze upadł na oblepiony brudem durbeton. Sprawa nie wyglądała jednak tak prosto. Nedijanin miał wprawdzie dostęp do najnowocześniejszych rodzajów broni, jego przeciwnik jednak dysponował znakomitymi systemami obronnymi. Na pewno nosił urządzenie utrudniające lokalizację – kombinację holoprojektora i techniki maskowania; dzięki niemu obserwatorom się wydawało, że cel znajduje się w nieco innym miejscu niż w rzeczywistości. Mogli strzelać do celu, którego tam wcale nie było. Falleen miał też pewnie wąskopasmowy deflektor, który odbijał energetyczny promień – z wiadomym skutkiem – z powrotem w stronę napastnika. Mógł też mieć setki innych urządzeń ochronnych.

A poza tym zabicie go w miejscu publicznym – nawet tak mało reprezentacyjnym – na pewno by nie pozostało bez echa. Kaird bywał na rozmaitych planetach w różnych spelunkach, w których zabicie istoty rozumnej na oczach gości nie zasługiwało nawet na uniesienie brwi czy drgnięcie czułka. Problem w tym, że nawet jeżeli niewiele osób na dole wiedziało, kim jest książę Xizor z rodu Sizhran, tylko kompletny dureń by nie zauważył, że to ważna osobistość.

Co więcej, Kaird wciąż jeszcze mógł liczyć na to, że Xizor wyświadczy mu przysługę i odnajdzie zaginionego androida. Nedijanin zamierzał wykonać zadanie do końca. Falleen nie powinien już wrócić do Północnej Hali, ale jeśli jego zabójca mógł zasłużyć na jeszcze większą wdzięczność lorda Perhiego, żeby przyspieszyć swój odlot, tym lepiej...

Rhinann siedział w komnacie w pozycji medytacyjnej. Poszukiwał wewnętrznego spokoju.

Może postawił sobie zbyt optymistyczny cel? Miałby szczęście, gdyby udało mu się choć na krótko przestać się bać. Na razie żył w ustawicznej trwodze.

Rozszerzył tchawicę i poczuł, że jego płuca wypełniły się powietrzem. Potem stopniowo je wypuścił. Kilkakrotnie powtórzył sekwencję tych czynności. Większość istot oddychających tlenem potrafiła w ten sposób osiągać spokój; wywierało to kojący wpływ na nastroje. Jednak u Rhinanna głębokie oddychanie nie wywierało takiego skutku.

Źródłem strachu Elomina był jego pracodawca. A przecież Lord Vader nigdy mu nie wyrządził fizycznej krzywdy. Ba, zapewnił mu pracę i uporządkowane życie zamiast chaosu wegetacji w biedzie i codziennej mordędze. Lord Sithów nie musiał go jednak nawet dotknąć, żeby wzbudzać trwogę. Nie musiał mu nawet grozić. Wystarczyło, że po prostu istniał.

Co za ironia losu, że wewnętrzny spokój i równowagę, których Rhinann tak rozpaczliwie potrzebował, Vader osiągał bez trudu. Był przekonany o swojej potędze, pewny słuszności własnego sposobu postrzegania świata. Był wprawdzie wyjątkowo zdeprawowany, ale Rhinann, który w ciągu wielu lat poznał najrozmaitsze formy życia, nauczył się, że tylko nieliczne istoty rozumne przyznają się do swojej deprawacji. Większość po mistrzowsku wypierała się i usprawiedliwiała swoje postępowanie. Zresztą to i tak nie miało znaczenia, dopóki Vader naprawdę uważał, że postępuje słusznie, a jego posłannictwo jest święte.

Nie zamierzał pozwalać, żeby cokolwiek stało mu na drodze do osiągnięcia celu życia.

To właśnie dlatego Rhinann był zdenerwowany. Dlatego tak się bał, że od czasu do czasu dostawał na całym ciele swędzącej wysypki. Świerzbienie bywało czasami tak nieznośne, że mimo medytacji musiał nastawiać ultrasoniczny natrysk na maksimum i spać pod nim całą noc, tylko po to, żeby uzyskać chwilową ulgę. Łazienka była o wiele za mała, żeby zapewnić choć minimum wygody, ale czasami nie miał innego wyjścia.

A ostatnią kroplę przelał człowiek, Nick Rostu. Rhinann wysłał go w drogę na pokładzie frachtowca, ale aż dotąd się zastanawiał, jak Vader wprowadził zaprawionego w bojach partyzanta w takie przerażenie. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej się niepokoił o własne bezpieczeństwo. Zawsze się bał Dartha Vadera, ale nigdy aż tak. Był przekonany, że kiedy popełni jakiś błąd lub w czymś go zawiedzie, Czarny Lord albo sam odbierze mu życie, albo każe to zrobić jednemu ze swoich podwładnych. Nie miał nawet jak uciec przed nieuniknionym losem. Nie dałby rady ukryć się przed władcą tak potężnym Mocą.

Moc... Rhinann westchnął. Bardzo chciałby zgłębić jej tajemnice, doświadczyć tego, do dawała – pogody ducha i potęgi. Wiedział jednak, że nic takiego się nie wydarzy. Nigdy nie pozna, czym jest Moc ani na czym polega jej oddziaływanie.

Wstał, a stawy nóg zatrzeszczały na znak protestu. Zaczynał się starzeć. Rozejrzał się po niewielkiej komnacie, w której panował idealny porządek. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Żadnego bałaganu, żadnego chaosu.

Żałował, że nie może powiedzieć tego samego o stanie swojego umysłu.

Usłyszał świergot komunikatora, a wszystkie jego cztery żołądki skrzyły się z przerażenia. Głęboko odetchnął i włączył urządzenie.

Na niewielkim ekranie pojawił się wizerunek administracyjnego androida.

– Rhinannie, Lord Vader pragnie cię natychmiast widzieć – usłyszał.

Nie czekając na odpowiedź, android przerwał połączenie i głośnik komunikatora umilkł. Ciekawe, pomyślał Rhinann. Czyżbym ja też miał zostać uciszony? Z każdą chwilą taka możliwość wydawała mu się coraz bardziej prawdopodobna.

Kiedy komunikator albo jakieś inne urządzenie się psuło, najprościej było je zastąpić nowym. Rhinann nie miał pojęcia, czy ktokolwiek umiałby wykonywać jego pracę równie dobrze jak on, czy nawet (co za straszliwa myśl!) lepiej, ale na pewno nie był niezastąpiony.

Vader wiedział to także.

ROZDZIAŁ 27

„Długodystansowiec” był z całą pewnością doskonałym statkiem. Podczas dwugodzinnego lotu Nick sprawdził stan silników i był pod wrażeniem kilku dokonanych przez Covenę i Moka modyfikacji. Statek mógł się poszczycić nadzwyczaj zaawansowanym zestawem sensorów. Miał deflektory i systemy obronne o wiele lepsze niż te, jakich można się było spodziewać na pokładzie zwykłego frachtowca. Jednostki napędu nad – i podświetlnego również przewyższały standard, a harmoniczne obu napędów wyjątkowo dokładnie dostrojono.

Podczas lotu Nick nie zapomniał o sprawdzeniu zawartości zamykanych szafek na górnym pokładzie. Znalazł w nich przedmioty codziennego użytku członków załogi: racje żywnościowe, astrogacyjne holopodręczniki, pojemniki z przyborami toaletowymi, próżniowe skafandry i inne drobiazgi. Były tam rzeczy typowe dla zawodu przemysłowca: przenośne urządzenia zakłócające i maskujące, skrzynki z bronią i całkiem spory stos kredytów. Nick znalazł również coś, co go zaskoczyło.

Sięgnął po przedmiot podobny do rękojeści świetlnego miecza. Zanim zaczął go badać, upewnił się, że część, która wygląda jak wylot broni, nie jest zwrócona w jego stronę. Zauważył, że otwór wylotowy ma mniejszą średnicę niż w typowym mieczu Jedi. W pierwszej chwili chciał włączyć nieznaną broń, żeby się przekonać, jak funkcjonuje, ale szybko z tego zrezygnował. Zganił się w duchu za to, że w ogóle o tym pomyślał. Wątpił wprawdzie, żeby broń dysponowała energią wystarczającą do przebicia kadłuba frachtowca, ale nikt o zdrowych zmysłach nie bawił się nieznaną bronią podczas lotu.

Broń wyglądała jednak intrygująco i niewątpliwie stanowiła część łupu zdobytego na odległej planecie. Nick wsunął cylinder do kieszeni.

Zbliżał się do platformy lądowniczej numer 472 sektora Yaam, latającego lądowiska, na którym mogło równocześnie parkować pięć frachtowców typu YT. Głos robota pełniącego funkcję kontrolera lotów oznajmił mu, że może osiąść na lądowisku czwartym.

Zszedł z pokładu i podpisał wymagane deklaracje oraz formularze. Eskortujący go android pokazał mu ślizgacz do wynajęcia i kilka minut później Nick opadał już w kierunku ulicy w dół.

Vader wyjawiał mu prosty i pewny sposób zwabienia w pułapkę Jaksa Pavana: zdradził,

gdzie można znaleźć zaginionego androida. Nick nie wyciągnął pożytecznych wniosków z tej informacji. On i Jax zawsze sądzili, że to Vader poszukuje androida i że zdobycie zarejestrowanych w jego pamięci informacji jest sprawą bardzo ważną a może nawet najważniejszą. Jeżeli jednak Czarny Lord wiedział, gdzie szukać androida, i gotów był zaryzykować ujawnienie tych informacji, byle tylko zwabić Jaksę w pułapkę... To mogło oznaczać, że bardziej zależy mu na znalezieniu rycerza Jedi, niż zaś zaginionego androida. A jeżeli Vader tak bardzo chciał dostać w swoje ręce Pavana, to pewnie planował dla niego o wiele gorszy los niż ten, który wcześniej zgotował Nickowi.

Rostu nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy w końcu odnajdzie Jaksę. Nie pozwalał sobie wybiegać tak daleko myślami w przyszłość. Kilkaście razy podczas suborbitalnego lotu z sektora imperialnego sięgał do urządzeń kontrolnych, żeby zmienić kurs. Miał ochotę skierować statek w stronę odległych gwiazd, przedrzeć się przez sieć i przekonać, jak dobrze są dostrojone jednostki napędu nadświetlnego. Ani razu jednak tego nie zrobił. Elomin, ten sługus Vadera, poinformował Nicka, że wszczepiono mu pod skórę mikroskopijny nadajnik sygnału namiarowego. Urządzenie było zbyt małe, żeby dało się je zobaczyć czy namacać, więc gdyby Nick chciał się go pozbyć, musiałby dosłownie obedrzeć się ze skóry. Rhinann nie ukrywał, że dzięki temu urządzeniu Vader będzie mógł odnaleźć Nicka nawet na drugim krańcu galaktyki. Oficer nie wierzył wprawdzie, żeby coś takiego było możliwe, ale nie zamierzał ryzykować życia, żeby się o tym przekonać. Nie znał dobrze Vadera, ale mógł być pewny, że Czarny Lord zrobi wszystko, aby uniemożliwić mu ucieczkę. Jeżeli naprawdę śledził Nicka, najmniejsza zmiana kursu mogła mieć bardzo poważne konsekwencje, i to zarówno dla niego, jak i jego pobratymców.

Bo skoro Czarny Lord był gotów zniszczyć cały klan tylko po to, żeby zmusić do uległości jednego mężczyznę...

Czy naprawdę jest do tego zdolny? – zastanowił się Rostu. Gdyby podobne stwierdzenie padło z ust kogoś innego, może z wyjątkiem samego Imperatora Palpatine'a, Nick by nie uwierzył. W tym przypadku jednak stawką w grze było nie tylko jego życie. Teraz był odpowiedzialny również za życie członków rodziny i przyjaciół. Brzemie nie mogło być cięższe, nawet gdyby je wykonano z litego neutronium.

Nick kiedyś już czuł ciężar odpowiedzialności za innych, chociaż nie na tak wielką skalę. Musiał wówczas podjąć decyzję, czy Parakus, mały, lecz odgrywający strategiczne znaczenie księżyc w systemie Dantooine, powinien zostać zbombardowany z orbity i cofnięty w rozwoju do epoki kamienia, czy też nie. Na powierzchni księżycy stacjonował wtedy tylko niewielki garnizon. Tym razem skala ofiar była o kilka rzędów większa.

Kogo próbuję oszukać? – zadał sobie pytanie. Czy naprawdę mam jakiś wybór? To właśnie dlatego Vader tak bardzo podbił stawkę. Nie chce, żebym się choćby zastanawiał nad innymi możliwościami.

Pokręcił tarczą skuteczności działania repulsorów i nastawił ją na maksimum. Maleńki

pojazd opadł jak kamień w mroczne głębie. Ale i tak szybkość jego opadania nie dorównywała prędkości, z jaką rosło przygnębienie pilota.

Pavan zapalił klingę świetlnego miecza, a Laranth wyciągnęła blastery. Nieliczni przechodnie na ulicy, słysząc dobiegający z oddali skowyt repulsorów, szybko się rozproszyli.

– Jakim cudem nas odnaleźli? – mruknęła paladynka.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – odparł Jax. – To prawdopodobnie sprawka Rokka.

– Kiedy posłużyliście się Mocą, jedna z latających kamer zidentyfikowała was jako Jedi – wyjaśnił I-Five. – Wszystko, co wydarzyło się później, było tylko kwestią czasu.

Den był boleśnie świadom tego, że jest w tej grupie jedyną osobą pozbawioną nadnaturalnie szybkich odruchów, bez wieloletniego szkolenia w sztuce walki wręcz i bez durastalowego ciała. Uwolnił się z objęć androida i zeskoczył na powierzchnię gruntu. Jeżeli czekała ich walka, nie powinno się ograniczać swobody ruchów I-Five.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – zapytał. – Piloci tych PJW mogą krążyć wysoko nad nami i strzelać do nas, jak długo zechcą.

– Jeżeli znajdziemy się w zasięgu ich broni, ja też będę mogła któregoś trafić – wyjaśniła ponuro Laranth. Skowyt repulsorów stawał się coraz głośniejszy.

– Z całym szacunkiem, ale mam inne zdanie – stwierdził I-Five. – Jeżeli nie liczyć innych systemów uzbrojenia, na pokładach tych policyjnych krążowników zainstalowano samopowtarzalne blastery typu T-21. Mają zasięg o dobre sto metrów większy od twoich.

Pavan chwycił silniej rękojeść miecza i przyjął klasyczną postawę.

– Ktoś ma lepszy pomysł? – zapytał.

– Zawsze w takich sytuacjach można pomyśleć o ucieczce – mruknął Sullustanin.

– Zgadzam się z tobą. – I-Five spojrzał na oboje Jedi. Znajdowali się w dzielnicy składów i magazynów, więc po obu stronach ulicy wznosiły się dwu – albo trzypiętrowe budynki. Android przebiegł nagle na drugą stronę ulicy i posługując się laserami we wskazujących palcach, przepalił zamek w bramie jednego z magazynów.

– Zaraz będziemy mieli środek transportu! – zawołał, nie oglądając się za siebie.

Den pospieszył na drugą stronę ulicy tak szybko, jak pozwalały mu na to krótkie, grube nogi. Oboje Jedi pobiegli za nim. Najwyraźniej wolą towarzystwo jednego androida niż pięciu czy sześciu uzbrojonych w blastery, pomyślał Sullustanin. Dobrze chociaż, że nie brak im zdrowego rozsądku.

W mrocznym magazynie fotoreceptory I-Five rzucały tylko tyle światła, żeby można było dostrzec zarysy skrzyń i innych przedmiotów. Kiedyś będę musiał zapytać I-Five, jak może cokolwiek widzieć, używając fotoreceptorów jako reflektorów, powiedział sobie Sullustanin. Zdumiewające, jakie myśli przychodzą do głowy, kiedy komuś zagraża niebezpieczeństwo.

Wyglądało jednak na to, że android orientuje się bez trudu. Poruszając się po magazynie

pewnie mimo niemal całkowitej ciemności, znalazł w końcu to, czego szukał: rząd najnowszych platform repulsorowych, zwanych także czólnami.

– Dzięki nim będziemy mieli większą zdolność manewrowania – powiedział.

Odgłos nadlatujących PJW rozlegał się coraz głośniejsze.

– Skąd wiedziałeś, że je tu znajdziemy? – zapytała Laranth androida. Weszła na platformę najbliższego czółna i uruchomiła mały pojazd. – Masz emiter promieni Roentgena czy coś w tym rodzaju?

– Nie – odparł I-Five. – Po prostu przeczytałem napis na ścianie.

– Do każdego czółna zmieszczą się najwyżej dwie osoby – stwierdził Pavan, uruchamiając następny pojazd. – Laranth, leć z Dhurem. Może pilotować, kiedy ty będziesz walczyć. Androidzie, polecisz ze mną.

Den wstąpił na metalową podłogę. Czółno zaprojektowano jako jednoosobowy środek transportu, ale w sytuacjach nagłego zagrożenia mogły nim lecieć dwie osoby. Nasza sytuacja z pewnością się do takich zalicza, pomyślał Sullustanin. Przyjrzał się kontrolnej konsolce. Czółno było konstrukcją bardzo prostą. Pod metrowej szerokości płytą podłogową umieszczono zestaw niewielkich repulsorów. Z przodu płyty wystawała zaopatrzona w kierownicę pionowa kolumna, a na jej wierzchołku zainstalowano pulpit z urządzeniami kontrolnymi. Po ustaleniu prędkości i wektora lotu stojący na płycie kierowca pilotował pojazd, zmieniając położenie środka ciężkości ciała. Den leciał kilka razy takim czólnem i wiedział, że opanowanie sztuki pilotażu jest bardzo łatwe.

Na szczęście wysokość kolumny sterowniczej można było zmieniać, Den szybko więc ją dostosował do swojego wzrostu. Uruchomił czółno i pospiesznie skierował pojazd do bramy, ale zastopował, kiedy zobaczył przed nią, na wysokości mniej więcej trzech metrów nad ulicą, dwie unoszące się nieruchomo PJW.

– Poddajcie się w imię Imperatora Palpatine’a! – zagrzmiął wzmocniony przez aparaturę elektroniczną, beznamiętny głos androida-pilota jednego z PJW.

Pavan spojrzał na I-Five.

– Musimy znaleźć inną drogę ucieczki – powiedział spokojnie. Android wyciągnął rękę i wskazującym palcem wypalił otwór w przeciwległej ścianie. Rycerz Jedi wyprowadził przez niego czółno na tyły magazynu. Wokół wypalonego otworu zaczęły się rozpryskiwać błyskawice blasterowych strzałów, a we wszystkie strony posypały się odłamki durbetonu i wstęgi plastali.

Den przełknął ślinę, chwycił z całej siły kierownicę, po czym wyleciał przez otwór za rycerzem Jedi i androidem na pogrążoną w ciemności nocy uliczkę.

ROZDZIAŁ 28

Czołno zaprojektowano do szybkiego przemieszczania się po mieście. Pojazd miał mniej miejsca, ale był zwrotniejszy niż lądowy śmigacz albo ślizgacz. Mógł rozwijać prędkość do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, a pilota chroniło czołowe pole repulsorowe. Zazwyczaj ulice były zbyt zatłoczone, żeby dało się rozwinąć maksymalną prędkość, ale uciekinierzy znajdowali się w dzielnicy przemysłowej, do której zapuszczało się niewielu przechodniów. Jax i I-Five lecieli szybko wąską uliczką, a fale ujemnej grawitacji z repulsorów rozrzuciły na boki strzępy flimsiplastu i inne śmiecie.

Chwilę później zza zakrętu uliczki wyłoniły się obie ścigające ich PJW. Miały kształt dysku ze sterzącą w centralnej części transpastalową bańką kabiny, w której siedział android-pilot – zazwyczaj, jak i w tym przypadku, policyjny automat typu 501-Z. Pas na równiku dysku mógł się szybko obracać, utrzymując zawsze z przodu rozmaite systemy uzbrojenia, a wśród nich lasery, emitory zjonizowanych cząstek, wyrzutnie granatów ogłuszających i rozpryskowych, miotacze pocisków, elektrosieci i inne rodzaje śmiercionośnych czy ogłuszających broni. Jak tylko pilot pierwszego krążownika policyjnego skręcił za róg, otworzył ogień do czołna z ciężkiego blastera typu T-21.

Jax i I-Five stwierdzili, że niosące ogromną energię błyskawice przelatują stanowczo zbyt blisko, żeby mogło im się to podobać.

– Jeśli dobrze pamiętam, mówiłeś, że Vader chce cię dostać żywego – przypomniał android.

– Powiedziałem „prawdopodobnie”. – Jax zmienił położenie czołna i uniknął trafienia przez następną ognistą kulę, chociaż z najwyższym trudem. – Może ci goście o tym nie wiedzą?

– Istnieje duża szansa, że im powiedziano „żywego albo martwego” – mruknął android.

Balansując ciałem, Jax wykonywał platformą repulsorową skręty i uniki. Moc pozwalała mu wprawdzie przewidywać tory lotu blasterowych błyskawic, ale i tak unikanie ich nie przychodziło mu łatwo.

– Są o wiele szybsi niż my – stwierdził I-Five wystarczająco głośno, żeby Jax go usłyszał mimo świstu wiatru i skowytu repulsorów. – Nie damy rady im uciec, ale może zdołamy ich wymanewrować.

– A jak ci się wydaje, czym cały czas się zajmuję?

Kolejna błyskawica przeleciała zaledwie o centymetry od ich platformy i wypaliła wielką dziurę w pobliskim zbiorniku na płynne odpady.

– Jeżeli odpowiedź na to pytanie brzmi inaczej niż „staram się dać zabić”, może to ja powinienem się zająć pilotowaniem – zaproponował I-Five.

Jax zastanowił się nad zaletami i wadami wypchnięcia androida z czółna.

– Jeżeli ci się wydaje, że zrobisz to lepiej, zamienimy się miejscami – powiedział. – W przeciwnym razie zamknij się.

– Masz na myśli jakąś konkretną strategię?

Jax obniżył o kilka centymetrów pułap lotu, żeby przelecieć pod łukiem ferrobetonowego wiaduktu, muskając włosami chropowatą dolną powierzchnię konstrukcji.

– Inną niż wydanie im ciebie? – zapytał.

– Rozumiem. Żadnego pomysłu – mruknął android.

Śmignęli obok osmalonych szczątków lądowego frachtowca.

Jax skręcił raptownie w lewo, dzięki czemu laserowa nitka przecięła miejsce, w którym by się znajdowali, gdyby nie wykonał tego manewru. Po chwili rycerz Jedi zrobił zwrot w prawo, żeby uniknąć zderzenia ze wspornikiem drapacza chmur. Ulice były wąskie i kręte, a gigantyczne konstrukcje wspierające budynki często zajmowały część ich przestrzeni, więc wymijanie ich w locie z dużą prędkością było bardzo trudne. Wieżowce w sektorze Yaam może i nie były równie wysokie jak drapacze chmur w rejonach równika, ale i tak musiały się wspierać na masywnych ferrobetonowych fundamentach. Miały także ogromne durastalowe kotwy, wpuszczone na głębokość setek metrów w litą skałę. Jax był pewny, że jeżeli nawet się nie zderzą ze ścianą gmachu czy z inną przeszkodą, wcześniej czy później zostaną trafieni przez strzał androida-pilota PJW. W ciągu ostatnich trzech dni niewiele spał i chociaż dzięki energii Mocy mógł reagować szybciej niż większość innych istot, musiał przyznać, że i tak nie jest w szczytowej formie.

– W porządku, androidzie! – krzyknął w końcu, kiedy energetyczna błyskawica bliższego krążownika policyjnego przeleciała ze skwierczeniem obok nich i trafiła latającą kulę reklamową.

– To jaki masz plan?

Kiedy lecieli krętą i coraz węższą uliczką, I-Five wyjaśnił szybko szczegóły planu. Obie PJW leciały za nimi jedna za drugą a żaden z pilotów nie zamierzał rezygnować z pościgu.

Ogromne, masywne wieżowce musiały mieć równie wielkie stabilizujące kotwy, ściągi i kolumnowe wsporniki. W starszych sektorach planety, takich jak Yaam, podobne elementy konstrukcyjne dodano później, wiele wieków po zakończeniu budowy. Czasami nie było już na nie dość miejsca. W takich przypadkach stosowano zazwyczaj odpychające albo przyciągające pola siłowe.

Zdaniem I-Five pola były zbyt słabe i rozproszone, aby wywierać wpływ na istoty

organiczne czy niewielkie urządzenia mechaniczne w rodzaju androidów albo czółen. Dużym pojazdom groziło jednak, że ich napędy repulsorowe stracą właściwą częstotliwość. Zazwyczaj piloci takich pojazdów omijali podobne miejsca.

– Skąd mamy wiedzieć, że Zety pilotujące te krążowniki nie wiedzą o rezonansie częstotliwości? – zagadnął Jax.

– Tego się nie dowiemy – odparł android.

– Wspaniale – mruknął rycerz Jedi. – A czy mamy pewność, że te PJW są wystarczająco duże, aby ulec wpływowi takich pól?

– Tego też się nie dowiemy – powtórzył I-Five. – Wiemy jednak, że moc wyjściowa napędów repulsorowych tych PJW wynosi w przybliżeniu osiemset dżuli na sekundę, a współczynnik tolerancji standardowego pola odpychającego wynosi...

– Chwileczkę – przerwał mu Jax, raptownie skręcając w stronę ogromnego drapacza chmur. Na ścianie widniała pokryta grubą warstwą sadzy i brudu, ale wciąż jeszcze częściowo widoczna ostrzegawcza płaskorzeźba informująca, że w budynku działa generator odpychającego pola siłowego. – Zaraz przetestujemy twoją teorię.

– Doskonale.

Jax skierował platformę repulsorową w stronę budynku i zastopował w ciemności, w miejscu, w którym powinien się znajdować środek pola. Czuł lekkie świerzbienie skóry i miał wrażenie, że włosy stają mu dęba na głowie, jakby w reakcji na ładunek elektrostatyczny. Miał nadzieję, że android wie, o czym mówi.

Jak się spodziewali, android kierujący pierwszym krążownikiem policyjnym połąkł przynętę i puścił się w pościg. Gdy tylko wleciał w obszar działania pola, jego maszyna się zakołysała. Jax zauważył, że pilot, zmagając się z urządzeniami kontrolnymi, usiłuje odzyskać panowanie nad sterami, ale było za późno. Latający dysk wymknął się spod kontroli, obrócił w locie, wbił w jeden z ferrobetonowych wsporników i eksplodował w kuli ognia.

– Jednego mamy z głowy – stwierdził rycerz Jedi. – Przekonajmy się, czy jego kolega będzie równie głupi jak on.

Nie był. Pilot drugiej PJW zwolnił, zanim wleciał w obszar działania pola. Skręcił w prawo i zniknął w zasnutym mgłą labiryncie magazynów, zakładów przetwórczych i innych budowli.

– Do licha! Dokąd ten poleciał? – zdenerwował się rycerz Jedi.

– W pobliżu nie wyczuwam emisji energii – stwierdził I-Five.

– To dobrze. – Jax znów uruchomił czółno. – Wynośmy się stąd. – Oddalił się od drapacza chmur i skręcił w boczny zaułek, by się przekonać, że jego wylot jest zablokowany przez inny gigantyczny wspornik. – Ślepa uliczka – mruknął z irytacją. Zawrócił...

Na początku uliczki czekał na nich pilot drugiej PJW.

Den skulił się nad kolumną sterowniczą platformy i obrócił do oporu pokrętko przepustnicy na rączce kierownicy. Parszywy pojazd nie mógłby prześcignąć dziecięcego trójkołowca, a co dopiero policyjnej jednostki wsparcia. Sullustanin doszedł do wniosku, że I-Five miał kiepski pomysł.

Gdyby próbował uciekać sam, do tej pory już dawno by wyglądał jak spalony pniak. Na szczęście drugą pilotką jego czółna była Jedi. Laranth Tarak stała na platformie pojazdu, zwrócona tyłem do kierunku lotu, i spokojnie ostrzeliwała ścigającą ich PJW. W tym czasie Den, którego serce, żołądek i kilka innych organów wewnętrznych walczyło ze sobą o miejsce w gardle, leciał wybieranymi przypadkowo uliczkami. Nie przejmował się, że do tej pory na pewno zablądził ani że odłączył się od Jaksy Pavana oraz I-Five. Skupiał uwagę tylko na jednym: jak uciec zrobotyzowanym policyjnym krążownikom.

Skręcił raptownie w bok, żeby ominąć niewielki krater po eksplozji bomby, a później jeszcze raz, ledwo unikając kolizji z przelatującym nad skrzyżowaniem towarowym transportowcem. Cały czas słyszał za plecami odgłosy ognia z blasterów, wyrzutni pocisków i innych rodzajów broni, jakimi dysponowały obie PJW. Żaden pocisk nie śmiał jednak przelecieć blisko paladynki Jedi. Laranth potrafiła niewiarygodnie celnie strzelać z blasterów. Den niby rozumiał, że młoda Twi'lekanka korzysta ze wsparcia Mocy, ale i tak jej wyczyny wydawały się absolutnie niemożliwe. Trafiając pociski i energetyczne promienie w powietrzu, zmieniała tor ich lotu albo posyłała je na boki. Sullustanin trochę się orientował, co robi Laranth, bo raz czy dwa zaryzykował i obejrzał się za siebie. Czasami także widział jej odbicie w oknach mijanych budynków.

Dopiero po kilku minutach uświadomił sobie z niedowierzaniem, że mogą mieć szansę przeżycia. Młoda paladynka nie pozwalała, żeby nawet w pobliżu ich platformy przelatywały jakiegokolwiek pociski, smugi zjonizowanej energii czy promienie lasera. Sullustanin pomyślał, że skoro Laranth jest tak fenomenalna, w końcu powinna sama trafić ścigające ich krążowniki, żeby wybawić ich z tarapatów.

– Mamy problemy! – krzyknęła w pewnej chwili, oglądając się za siebie. – W komorach moich blasterów wyczerpuje się zapas gazu. Lepiej szybko coś wymyśl.

Kiedy wreszcie się nauczę, że nadzieja to najgłupsza rzecz w sytuacjach, kiedy decyduje się o życiu albo śmierci? – zadał sobie pytanie Sullustanin.

– Trzymaj się! – wykrzyknął i wychylił się w prawo, aż czółno raptownie skręciło.

– Dokąd lecimy?

– Nie martw się o to! Strzelaj!

– Wystarczy mi energii najwyżej na trzydzieści sekund!

Doskonale, pomyślał Den. Za następne dziesięć będziemy albo wolni, albo martwi.

Wiedział to, bo Laranth nie patrzyła, którędy lecą. Nie wiedziała też, co Den zamierza zrobić, i nie miała się o tym dowiedzieć przed faktem. I bardzo dobrze, bo próba przelecenia repulsorową platformą – czy czymkolwiek innym, jeżeli już o tym mowa – z maksymalną

prędkością przez pierwsze piętro na w pół zrujnowanego budynku graniczyła niemal z samobójstwem, mniej więcej jak zamiar przelecenia gwiazdowym statkiem przez pole asteroid. Kiedy Den wpadł w głąb wyglądającego jak szkielet gmachu, usłyszał za plecami cichy okrzyk niedowierzania. Miał tylko tyle czasu, aby pomyśleć: Jeżeli paladynka Jedi, która trafia swoimi strzałami w blasterowe błyskawice przeciwników, jest zaskoczona tym, co robię, to jesteśmy zgubieni. Potem już był zbyt zajęty wymijaniem wsporników, kolumn, rur dźwigów i innych przeszkód w wypatroszonym budynku, żeby mieć czas rozmyślać o czymkolwiek innym. Sytuacja zmieniała się o wiele za szybko.

Nagle usłyszał z tyłu głośny trzask i huk eksplozji. Mroczną przestrzeń przed nim rozjaśnił na chwilę pomarańczowy błysk.

– Trafiłam jedną PJW! – krzyknęła Twi’lekanka. – Zderzyła się z kolumną!

Tylko jedną? – zastanowił się Sullustanin, ale nie miał czasu dociekać, co się stało z drugą. W górę, w dół, w lewo, w prawo, szybko, jeszcze szybciej... Miał o czym myśleć. I nagle wyleciał z labiryntu wsporników i kolumn przez lukę między dwiema ogromnymi bryłami ferrobetonu.

Zwolnił, ale nie zastopował. Nie mógł, bo chyba by eksplodował z powodu nadmiaru adrenaliny w krwiobiegu. Tak się w każdym razie czuł. Skierował czołno w głąb ulicy.

– Dajeś niesamowity pokaz pilotażu – odezwała się paladynka. – Najwyższy czas. Komory gazowe moich blasterów są puste.

Den zastopował platformę, odwrócił się i spojrzał na nią nie wierząc własnym uszom.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy... bezbronni? – zapytał.

– Super, słowo daję. A co zrobimy, jeżeli tamta druga PJW... Tamta druga PJW wyłoniła się tuż za nimi z ciemności nocy.

– ...w końcu się pojawi? – dokończył niepewnie Sullustanin.

Larant szybko sięgnęła za głowę, pod uciętę lekku. Wyjęła stamtąd niewielki wibronóz i cisnęła go w kierunku imperialnej jednostki policyjnej tak błyskawicznie, że Den nie dał rady nadażyć za nim spojrzeniem. Sztylet wbił się w wirujący pas z systemami uzbrojenia i zniknął. Den nie widział, gdzie, ale dostrzegł efekty. Z silnika PJW strzeliły snopy iskier i rozległ się narastający skowyt. Policyjny krążownik zadrżał i przechylił się na bok. Twi’lekanka popchnęła reportera ku kontrolnemu pulpitowi.

– Zabieraj nas stąd! – wrzasnęła.

Sullustanin zrobił to dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy oddalili się mniej więcej o sto metrów, tamta jednostka eksplodowała. Na ułamek sekundy wszystko wokół nich stało się czarno-białe, a Dan usłyszał dźwięk, który znał aż za dobrze z okresu Wojen Klonów: świst przelatujących obok rozżarzonych do czerwoności odłamków metalu.

Skulił się, ale niepotrzebnie. Kilka ostrych kawałków, które do nich doleciały, Larant bez trudu odepchnęła na bok niedbałym machnięciem ręki. Spojrzała na reportera.

– Nigdy nie jestem bezbronna – oznajmiła.

ROZDZIAŁ 29

Druga PJW unosiła się nieruchomo za Jaksem i I-Five.

– Wygląda na to, że moje sensory powinny zostać poddane ponownej kalibracji – stwierdził android.

– Coś wspaniałego. – Jax obrócił czołno. Wyraźnie widział Zeta w kabinie spodka. Android mierzył uważnie, żeby przypadkiem nie chybić. Rycerz Jedi postanowił nawiązać kontakt z Mocą, w nadziei, że zaczerpnie z niej dość energii, aby odbić niosącą ogromną energię błyskawicę, która lada chwila miała...

Doznał wstrząsu, kiedy uświadomił sobie straszliwą prawdę.

Niczego nie znalazł.

Tam, gdzie zazwyczaj czekały gotowe go oplątać wici Mocy, natknął się na kompletną pustkę. Nie miał pojęcia dlaczego, ale nie potrafił nawiązać łączności z Mocą.

Niemal nadludzkim wysiłkiem zmusił się do spowolnienia tempa bicia serca. Przypomniawszy sobie, że już raz coś takiego mu się przydarzyło, w jego conapcie w „Herbie Coruscant”. Później jednak Moc powróciła, więc może i tym razem też tak się stanie. Przypomniawszy sobie nauki Jedi: „Moc będzie zawsze z tobą”.

Tym razem jednak nie była. A Zet w kabinie spodka wydawał się gotów do otwarcia ognia.

Jax uświadomił sobie, że ma tylko jedną szansę. Chwycił I-Five za ramiona i popchnął go w kierunku urządzeń kontrolnych czołna.

– Leć prosto! – rozkazał. – Z maksymalną prędkością!

Na plus androidowi trzeba zapisać, że się nie zawahał. Obrócił do oporu pokrętło przepustnicy i mały pojazd wystrzelił jak z katapulty. Śmignął prosto pod unoszącą się nieruchomo PJW.

Tak jak rycerz Jedi się spodziewał, jego pozornie samobójczy manewr zaskoczył pilotującego spodek androida. Zanim Zet zdołał ponownie wziąć na cel czołno, mały pojazd przeleciał mu pod zestawami emiterów repulsorów, ale trochę z boku, żeby uniknąć rozplaszczenia przez ich pole. Jax włączył klingę świetlnego miecza i unióś ją nad głowę. Trzema cięciami posiekał na kawałki łopatki emiterów repulsorów spodka. W końcu wyleciał z cienia policyjnego krążownika.

I-Five zwolnił i zawrócił. Przyglądali się, jak PJW obraca się na bok, unosi mniej więcej dziesięć metrów i z hukiem wali na ulicę. Spodek zderzył się z nawierzchnią z wystarczającą siłą, żeby strzaskać durbeton. Potoczył się metr czy dwa i w końcu spoczął na swoim posiekanym systemie napędowym.

Zapadła cisza, jeżeli nie liczyć syku i trzasku iskier sypiących się ze zniszczonych repulsorów.

Jax wyłączył świetlny miecz i właśnie zamierzał przypiąć rękojeść do pasa, kiedy otworzyła się owiewka kabiny. Zza kontrolnego pulpitu wstał android 501-Z i zaczął się odwracać, skanując okolicę promieniami sensorów ruchu. Rycerz Jedi westchnął i sięgnął do włącznika klingi, ale powstrzymał go I-Five.

– Ja się tym zajmę – powiedział.

Wymierzył prawy palec wskazujący w Zeta i dał ognia. Z czubka palca wystrzelił ze skwierczeniem intensywnie szkarłatny promień, który stopił sensory optyczne Zeta i spalił jego główny procesor. Policyjny android wzdygnął się, niepewnie poruszył rękami... i wpadł z powrotem do kabiny.

Jax i I-Five spojrzeli po sobie.

– Nie spodziewaj się po mnie podziękowań – zastrzegł rycerz Jedi.

– Nawet nie mógłbym o tym marzyć – odparł I-Five.

– Nie dziękuję nawigacyjnemu komputerowi na pokładzie mojego statku tylko za to, że pomógł mi dolecieć tam, dokąd chciałem.

– Może gdybyś to zrobił – stwierdził I-Five – woziłby cię potem trochę szybciej.

Jax nie odpowiedział. Przełamując wewnętrzny opór, uwolnił myśli, otworzył umysł na przepływ... I nawiązał kontakt z Mocą. Nic się nie zmieniło. Podbudowany na duchu rycerz Jedi wyjął komunikator.

– Laranth, jesteś tam? – zapytał.

Mimo trzasków usłyszał jej głos:

– W porządku, Jaksie. Ten mały Sullustanin jest piekielnie dobrym pilotem.

Rycerz Jedi odwrócił się tyłem i zniżył głos.

– Ten android także spisuje się nie najgorzej w trudnych sytuacjach – przyznał.

– Wszystko słyszałem – stwierdził I-Five.

Kaird wiedział, że musi podjąć decyzję. Jeżeli zamierzał zabić księcia Xizora, powinien działać bez chwili zwłoki. Domagały się tego wszystkie jego instynkty zabójcy. Każda poprzednia okazja, jaką zmarnował, mogła być jego ostatnią. Lord Perhi wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie musi wracać z androidem i jego informacjami. Najrozsądniej byłoby zabić księcia Falleenów już teraz. Kaird mógłby to zrobić bez najmniejszego trudu. Przyczepione binarnym klejem do prawej dłoni, nosił małe czarne pudełko, niewiele większe niż pakiet pałeczek śmierci. Od pudełka do czubka wskazującego palca biegła giętka rurka

strzelnicza. Urządzenie było wyrzutnią strzałek i zawierało piętnaście cienkich żudełek. Każde pokryte tak silną trucizną, że dziesięć takich strzałek mogłoby zważyć z nóg dorosłego bantha. Jedna powinna aż nadto wystarczyć do załatwienia nawet tak wytrzymałego i silnego osobnika jak Xizor. Toksyna była zresztą uniwersalna. Gdyby się trafiło taką strzałką Nikta, Falleena, człowieka czy jakkolwiek inną istotę człekokształtną, każda powinna zginąć, zanim by zwała się na ziemię.

Nedijanin był zaledwie kilkanaście metrów od celu, w sam raz na pole rażenia tego rodzaju broni. Obaj znajdowali się w wielopiętrowym budynku, który przed wielu laty był prawdopodobnie centrum handlowym albo biurowcem, a dziś stał się tanim budynkiem mieszkalnym dla nielegalnych imigrantów z innych planet. Gnieździli się tu głównie Uгнаughtowie, ale widziało się także rodziny Kubazów oraz Ishi Tibów. Nedijanin w przebraniu Kubaza nie rzucał się więc w oczy, dzięki czemu mógł podążać za ofiarą w niewielkiej odległości, bez obawy, że ktoś zwróci na niego uwagę.

Kaird szybko zdecydował, że trzeba przystąpić do działania. Zawsze jeszcze mógł znaleźć androida, gdyby po wykonaniu głównego zadania naprawdę zaistniała taka potrzeba. W dodatku przebranie zaczęło go irytować, bo podrażniało skórę.

Wyszedł na balkon i omiół spojrzeniem galerię w dole. Xizor przecinał akurat otwartą przestrzeń dwa poziomy niżej. W sklepach, gabinetach czy czemu tam służyły pomieszczenia w dawnych czasach, gnieździli się obecnie biedacy, emigranci albo uchodźcy. Prowizoryczne ścianki działowe z syndrewna i plastali zastąpiły okna wystawowe, a w powietrzu unosił się drażniący zapach gotowanych, cuchnących chwastów, opiekanego gartra i krwi szczurów. Z najniższego poziomu napływała muzyka, która brzmiała w uszach Kairda jak miauczenie parzących się spleenów. Na otwartym powietrzu rozstawiono tam namioty i stragany z produktami, ledwo widocznymi przez gęsty dym ognisk, nad którymi przyrządzano potrawy. „To pa-aszywe mie-esce, żeby żyć i umie-eać, kolego, o ta-a-a”!

No cóż, dzięki niech będą Jaju, że nie takie było jego życie. Kaird wyciągnął rękę z wyrzutnią zatrutych strzałek. Wymierzył ją w cel, głęboko odetchnął i...

...w tym momencie wpadł na niego od tyłu nagusieńki mały Uгнаught, który usiłował złapać żyropiłkę. Nedijanin pochylił się do przodu i chybił. Zatruta strzałka trafiła obok Xizora w ścianę i odłupała z niej kawałek tynku. Falleen uniósł zimną, przystojną twarz i wpatrzył się w tłum. Błyskawicznie się zorientował, że Kubaz na balkonie to przebrany zabójca. Zielona skóra księcia zmieniła nagle kolor na pomarańczowoczerwony, co było dowodem wściekłości. Falleen wyciągnął blaster, wymierzył i dał ognia.

Kaird nie był Jedi i nie umiał unikać energetycznych błyskawic. Gdyby nie to, że padł na posadzkę balkonu, kiedy tylko się zorientował, że jego cel zamierza sięgnąć po broń, zostałby usmażony. I tak zresztą niosąca dużą energię błyskawica wypaliła dymiącą bruzdę w jego przebraniu prawie do skóry.

Nedijanin zerwał się szybko na nogi i pobiegł w kierunku wejścia do najbliższego lokalu.

Po strzale Xizora na dole rozpętało się istne piekło. Całe rodziny istot różnych ras, krzycząc i płacząc ze strachu, rozbiegły się we wszystkie strony. Wielu dorosłych, uzbrojonych w blastery czy miotacze pocisków, zaczęło strzelać mniej więcej w kierunku, skąd padł strzał.

Kaird szybko się pozbył przebrania Kubaza, które – nadpalone – i tak stało się bezużyteczne. Rozejrzył się wokół. Znajdował się w mieszkaniu, w którym pewnie kiedyś mieścił się punkt usługowy, nie wiadomo jakiego rodzaju. Na razie musiało mu wystarczyć, że lokal nie jest zamieszkały.

Spaprał robotę, nie da się ukryć.

Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Pokpił sprawę! To mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie pracowało się dla największej i najgroźniejszej organizacji przestępczej w galaktyce, jeżeli się nie było mistrzem, a Nedijanin Kaird był najlepszy w swoim fachu. Co za pech, pomyślał. Musiał szybko naprawić błąd, w przeciwnym razie będzie mógł wrócić na Nedija tylko jako swobodnie unoszący się w przestworzach kosmiczny pył.

Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Pozbycie się przebrania miało swoje dobre i złe strony. Zaletą było to, że niewygodny strój przestał mu ograniczać swobodę ruchów. Miał być podobno swobodny i praktyczny, ale bez niego Nedijanin mógł się poruszać zwinnie i szybciej.

Niestety, bez tego stroju miał się odtąd wyróżniać w tłumie istot innych ras. Xizor będzie go mógł od razu zauważyć. Cóż, na razie Kaird nie mógł na to nic poradzić. Stracił przewagę, jaką dawało mu zaskoczenie, i nie miało znaczenia, czym w tej chwili zaatakuje Falleena. Kiedy Xizor go zauważy, od razu go załatwi i dopiero później będzie zadawał pytania. Co więcej, od tej pory to on będzie polował na Kairda, by go zabić.

Nedijanin doszedł do wniosku, że nie wolno mu zwlekać z podjęciem następnej próby.

Wiedział, że to musi być frontalny atak, bo trudno liczyć na to, że uda mu się drugi raz zaskoczyć przebiegłego Falleena. Naturalnie zawsze mógł uciec z podwiniętym ogonem, licząc na to, że uniknie zemsty Xizora... przynajmniej na jakiś czas. Czy jednak warto zamienić się w zbiega ściganego przez resztę życia w zatęchłych podziemiach Coruscant albo przy przenoszeniu się z planety na planetę? Tak czy owak, na pewno nigdy już nie zobaczy Nedija. Jego rodzinna planeta byłaby pierwszym miejscem, od którego Xizor by rozpoczął poszukiwania. Kaird wiedział zresztą, że jeżeli Falleen nie zdoła zemścić się na nim, nie zawaha się przed zbombardowaniem z orbity jego ojczystej planety.

Niech to zaraza, pomyślał Nedijanin. Może trzeba sprawę rozstrzygnąć tak, jak robią to wojownicy?

Wypadł z kryjówki i biegiem pokonał otwartą przestrzeń. Oprócz wyrzutni strzałek miał tylko ukryty w lewym rękawie niewielki blaster. Nie zatrzymując się, wy dostał go z ukrycia.

Od drapieźnych przodków, którzy polowali na otwartych przestrzeniach, dzieliło go wprawdzie wiele pokoleń, ale nadal mógł się poszczycić bystrym wzrokiem drapieźnika,

który z odległości stu metrów potrafi wypatrzeć kameleona na drzewie. Od razu zauważył Xizora, chociaż Falleen znajdował się dwa poziomy niżej i po drugiej stronie.

Xizor był jednak również potomkiem drapieżników i podobnie jak Kaird umiał widzieć wszystko wokół siebie, więc zauważył Kairda niemal równie szybko, jak Kaird jego. Kiedy Xizor otworzył ogień, blasterowe błyskawice trafiły w spód platformy, po której biegł Nedijanin.

Kaird zbyt późno uświadomił sobie strategię przeciwnika. Zorientował się dopiero, kiedy plastalowa powierzchnia pod jego stopami zaczęła osiadać. Chwilę później fragment, na którym stał, rozpadł się na kawałki i załamał. Hałaśliwi Uгнаughtowie i Kubazowie, rozpaczliwie szukający bezpiecznego miejsca, niechcący uniemożliwili mu ucieczkę z platformy.

Nedijanin runął w dół. Miał tylko tyle czasu, żeby pożałować podjętej wiele tysiącleci wcześniej decyzji swoich przodków, którzy zrezygnowali z polowania w locie. W ostatniej chwili chwycił koniec kabla energetycznego, który oderwał się od zrujnowanej platformy i kołysał się w pobliżu. Zacisnął palce na izolowanym końcu zaledwie kilka centymetrów od nagich przewodów, które syczały i pluły w niego błękitnymi iskrami.

Uniknąwszy upadku z wysokości dwóch pięter, zaczął się kołysać, chcąc łagodnie wylądować obok zamierzonego celu. Kiedy tak szybował w powietrzu w stronę Xizora, zauważył na jego twarzy zdumienie. Falleen uniósł blaster, ale Kaird stwierdził z przewrotną satysfakcją że książę zareagował zbyt późno. Już za chwilę Nedijanin mógł zostać porażony prądem, ale zamierzał zginąć w towarzystwie nieprzejednanego przeciwnika.

Nie miał nic przeciwko temu.

Uderzył stopami w ciało księcia Xizora, a cały świat wokół niego eksplodował w skwierczącym niebieskim rozbłysku. Kaird dobrze rozumiał, że nigdy więcej nie zobaczy Nedija, ale przynajmniej wywiąże się z zadania. Musiał się tym zadowolić. Zastanowił się, co dalej: niebył, a może Wielkie Gniazdo?

Nie doczekał się ani jednego, ani drugiego. Otworzył oczy i stwierdził, że był nieprzytomny zaledwie sekundę. Leżał na niższym podeście, na którym jeszcze przed chwilą stał Xizor. Elektryczny wstrząs był potężny, ale nie śmiertelny. Kilka metrów dalej leżał książę Falleenów, oszołomiony i ogłuszony. Na próżno usiłował wstać.

Kaird poczuł w piersi dzikie uniesienie. Nie zginął, więc wciąż jeszcze miał szansę zwyciężyć w tej walce. Zamierzał skoczyć w stronę przeciwnika, ale mięśnie wciąż jeszcze mu drżały po przeżytych wstrząsach. Wstał chwiejnie, zauważył, że Xizor robi to samo, i o mało się nie roześmiał. To miała być epokowa walka, pojedynek tysiąclecia. Teraz, chwycając się i zataczając, musieli zadać decydujący cios.

Zanim jednak zdążyli się zbliżyć do siebie, Kaird zauważył kątem oka błękitny płomień. Jęknął z bólu, a jego ciałem wstrząsnęły kolejne dreszcze. W pierwszej chwili pomyślał, że kołyszący się kabel energetyczny uderzył go i poraził, ale zaraz zauważył, że przewody

zaczepiły się o poręcz dobre dziesięć metrów dalej.

A potem zemdłał. Kiedy kolejny raz przyszedł do siebie, niespełna metr dalej zobaczył Xizora. Falleen stał z rękami zaplecionymi na piersi i szczyrzył zęby w pogardliwym uśmiechu.

Co, na miłość Jaja, tu się dzieje? – pomyślał Nedijanin.

Spojrzał znowu na Xizora. Kiedy ich oczy się spotkały, Kaird już wiedział, że Falleen zrozumiał niewypowiedziane pytanie. I wtedy dostrzegł trzecią osobę, która stała w pobliżu.

Kaird skupił spojrzenie na nieznanym. Z początku myślał, że się pomylił, bo zamiast istoty organicznej zobaczył androida. Automat wyglądał trochę jak jednostka protokolarna... miał dwie nogi i był podobny do człowieka. Miał błyszczący czarny pancerz i ogromne, owadzie oczy, które miały złocistą barwę i zajmowały większą część górnej połowy metalowej twarzy. Ze skroni androida sterczała w górę para mniej więcej dziesięciocentymetrowych segmentowanych czułek.

Najbardziej jednak zainteresowało Kairda energetyczne działko, które właśnie wyłoniło się z gniazda w lewym przedramieniu.

To musiał być ten android, którego wszyscy tak gorliwie poszukiwali. Robalooki albo 10-4TO. Przechowujący ważne informacje automat kierował właśnie na Kairda wylot ogromnego i paskudnie wyglądającego blastera.

– Jeszcze raz – rozkazał Xizor.

Nedijanin zamrugał; czyżby wciąż jeszcze nie przyszedł do siebie? Jak Xizor mógł wydawać rozkazy androidowi, którego nigdy przedtem nie widział?

Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo Robalooki znów dał ognia. Z lufy jego broni wyskoczył błękitny błysk, po którym Kairda ogarnęła nieprzenikniona ciemność.

ROZDZIAŁ 30

Den i Laranth spotkali się z I-Five oraz Pavanem na skrzyżowaniu bulwaru Bellusa i ulicy Zyra, w cieniu gigantycznego autonomicznego apartamentowca zwanego Monadą Magra. Den przypominał sobie reklamy, głoszące, że ogromny tysiącpiętrowy gmach mieszkalny jest całkowicie samowystarczalny. Jego mieszkańcy nie musieli utrzymywać żadnych kontaktów z resztą Coruscant, jeżeli nie liczyć zależności od planetarnego ciężenia. Krążyły nawet plotki, że niektórzy uparci mieszkańcy byliby skłonni i z tego zrezygnować, a zamiast tego zainstalować indywidualne generatory sztucznej grawitacji. Den zastanowił się, jakiego rodzaju umowę dzierżawną zawarli mieszkańcy z władzami niegdyś Republiki, a obecnie Imperium. Nie bardzo umiał sobie wyobrazić, żeby Palpatine wyrzekł się władzy nad tak wielkim obszarem miejskiej nieruchomości, której mieszkańcy chełpili się, że całe pokolenia żyją tu i umierają, nie wychylając nosa poza obręb budowli.

Pavan spojrzał na młodą Twi'lekanę.

– Musimy stąd zniknąć – zawyrokował. – Nie możemy ryzykować, że znajdą nas następni żołnierze Imperium czy funkcjonariusze lokalnych sił porządkowych.

– Nadal nie mamy pojęcia, gdzie szukać tego androida – zauważyła Laranth. – Nasze zadanie będzie trudniejsze niż poprzednio, bo podczas poszukiwań musimy dbać także o własną skórę.

– Czy mogę zapytać, jakiego androida? – wtrącił I-Five.

Pavan zignorował jego pytanie. Den nie był tym specjalnie zaskoczony. To Laranth odpowiedziała androidowi. Młoda paladynka wyjaśniła, że przed śmiercią Mistrz Pielki kazał Jaksowi odnaleźć 10-4TO i zapoznać się z przechowywanymi w jego pamięci informacjami.

I-Five chwilę się zastanowił i odwrócił się do Pavana.

– Na podstawie twoich wcześniejszych wypowiedzi i własnych obserwacji mogę przypuszczać, że Darth Vader szuka cię nie tylko z powodu chęci ostatecznego unicestwienia zakonu Jedi – powiedział.

Den zauważył, że arogancja I-Five zaczyna irytować rycerza Jedi. Android też musiał to wyczuwać, ale drażył dalej.

– Mam rację? – zapytał.

– To nie twój... – zaczął Pavan, ale przerwała mu Laranth.

– Na to wygląda – przyznała. – Nie wiemy tylko dlaczego.

– Jeżeli to prawda i jeśli Jax posłuży się Mocą w jakikolwiek sposób, Vader prawdopodobnie to wyczuje – stwierdził I-Five. – A trudno odnaleźć androida dzięki Mocy.

– Co prawda, to prawda – rozległ się z mroku czyjś głos. Oboje Jedi zareagowali niewiarygodnie szybko. Laranth sięgnęła po blaster, a Pavan odpiął rękojeść świetlnego miecza. Byli gotowi do użycia broni, zanim jeszcze nowa osoba skończyła mówić. Równie szybko zareagował I-Five. Uniósł obie ręce, zacisnął dłonie w pięści i wyciągnął przed siebie wskazujące palce niczym dziecko na Naboo, które bawi się w „kaadu i obcych”.

Chwilę później z ciemności wyłonił się mężczyzna, chudy jak wygłodniały Givin. Miał na sobie ubiór, który Den określał mianem „stroju złoczyńcy” – długi do kolan granatowo-czarny płaszcz ze skóry fleeka, obcisłe spodnie i buty. Jedynymi elementami obronnymi, odpowiednimi do walk w mieście, były napierśnik ze skóry durbetonowego ślimaka i blaster na biodrze.

– Co powiecie na to, żebym was do niego zaprowadził? – zapytał.

Den zauważył, że Jax Pavan trochę się odprężył.

– Cześć, Nick – powiedział. – Miło cię znów widzieć. – Przedstawił mu Laranth i Dena, ale świadomie zignorował obecność I-Five. – To Nick Rostu – oznajmił swoim towarzyszom. – Był bohaterem podczas Wojen Klonów...

– A teraz jest po prostu zwykłym włóczęgą. Myślę, że kryje się w tym jakaś głęboka prawda. – Rostu wzruszył ramionami. – Macie coś do jedzenia? – zapytał.

Den uznał, że to on powinien przybyszowi przedstawić I-Five, bo nikt inny nie zdradzał takiej ochoty. Niezwłocznie wcielił swój zamiar w życie.

Rostu zaszczycił androida tylko przelotnym spojrzeniem. O wiele większe zainteresowanie okazał wręczonymi mu przez Laranth wafelkom z macek.

– To twój android? – zapytał Pavana, żując wafelki.

Musi być naprawdę wygłodzony, doszedł do wniosku Sullustanin. Wafelki z macek smakowały równie paskudnie, jak się nazywały. Prawdę mówiąc, jeszcze gorzej. Nic wprawdzie nie mogło dorównać gotowym racjom żywnościowym, ale wafelki z macek smakowały niemal równie obrzydliwie.

– Niezupełnie – odparł Pavan. – To...

– ...bardzo niezwykły android – dokończyła Laranth ku widocznemu osłupieniu rycerza Jedi. – Jestem pewna, że I-Five zaskoczy cię swoimi umiejętnościami, Nicku Rostu. Nas zaskakuje nieustannie.

– Dziękuję – odezwał się cicho android.

Pavan machnął ręką, wyraźnie zły.

– Czy dobrze cię usłyszałem, Nick? – zapytał. – Naprawdę wiesz, gdzie jest tamten android? Jakim cudem?

– Tak po prostu – odparł Rostu. – No cóż, może jednak nie bardzo, po prostu. Chodźcie

ze mną. Na następnym skrzyżowaniu zaparkowałem mój ślizgacz. Znajdzie się w nim miejsce dla nas wszystkich.

Kiedy szli ulicą, Rostu opowiedział trochę bardziej szczegółowo o przygodach, jakie przeżywał od chwili rozstania z Pavanem. Na zakończenie napomknął o swojej ucieczce z pałacu i porwaniu koreliańskiego statku, co uchroniło go od kary w postaci śmiertelnego porażenia prądem elektrycznym za zabicie kilka miesięcy temu imperialnego oficera. Den stwierdził, że opowiadanie Nicka brzmi dosyć logicznie, chociaż w kilku miejscach Rostu jakby omijał szczegóły.

– Nie powiedziałaś nam jeszcze, skąd wiesz, gdzie szukać tego androida – zauważyła Laranth, kiedy dotarli do ślizgacza. Pojazd miał tylko cztery miejsca siedzące, więc Den postanowił usiąść na kolanach I-Five.

– Sam go znalazłem – oznajmił wreszcie Rostu, kiedy pojazd wzbił się w powietrze. – Zamierzałem wrócić w znane okolice, ale usłyszałem, że właśnie tam pracuje jeden z ogromnych automatów konstrukcyjnych Palpatine’a, więc doszedłem do wniosku, że może trochę ci pomogę i sam odnajdę tego androida. – Ostatnie słowa skierował do Pavana, który skwitował je kiwnięciem głowy.

Rostu pilotował ślizgacz wąską i zatłoczoną arterią komunikacyjną.

– Nietrudno go było znaleźć – podjął po chwili. – To rzadko widywany model.

– Dobra robota, Nick – pochwalił rycerz Jedi. Siedział na tylnej kanapie obok I-Five z Denem na kolanach. Sullustanin zauważył, że po słowach Nicka android odwrócił głowę w stronę Pavana.

– To wszystko wygląda podejrzanie – powiedział cicho. – Twój przyjaciel ucieka z rąk Imperialnych Gwardzistów, ale nie wyjaśnia w jaki sposób. Później bez trudu znajduje androida, którego bojownicy podziemnego ruchu oporu poszukują na próżno od wielu tygodni. Myślę, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej, niż chce nam powiedzieć pan Rostu.

Mówił tak cicho, że oficer nie mógł go usłyszeć. Poprzez skowyt repulsorów i świst powietrza nawet obdarzony doskonałym słuchem Den z trudem słyszał jego słowa.

Pavan zmierzył androida kamiennym spojrzeniem.

– Rozumiem, że masz konkretne argumenty na poparcie swoich słów, które według mnie nie są do końca subiektywne – powiedział.

I-Five nie dał po sobie niczego poznać, ale Den zauważył, że android jest urażony kąśliwą uwagą Pavana, bo na chwilę umilkł.

– Mierzę zmiany przewodności elektrycznej jego skóry, które u istot ludzkich dowodzą emocjonalnego napięcia – odezwał się w końcu I-Five. – Rejestruję także podwyższone tempo bicia jego serca. On kłamie, Jaksie. Jestem tego pewny.

Rycerz Jedi obrzucił androida gniewnym spojrzeniem.

– O ile wiem, Nick Rostu to żołnierz i patriota – powiedział. – Dostał Srebrny Medal za

Odwagę. Walczył w czasie Wojen Klonów na tyłu frontach, że nie mógłbym ich zliczyć. Trudno mi uwierzyć w twoje słowa, bo znam go dłużej niż ciebie. Czy aby na pewno wyniki twoich pomiarów są rzetelne?

– Jestem tego pewny.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Dlaczego miałbym kłamać, zwłaszcza tobie? – zachnął się I-Five.

– Jesteś naiwny nawet jak na androida – burknął rycerz Jedi. – A podobno przyjaźniłeś się z moim ojcem i nawet go lubiłeś... choć ja go znałem nie lepiej niż ciebie. Nie zamierzam wierzyć we wszystko, co mówisz. Androida można zaprogramować, żeby kłamał...

– Nie tego androida.

Pavan, wyraźnie zdenerwowany, odwrócił się i wpatrzył w plecy siedzącego przed nim mężczyzny. Nie dał nic po sobie poznać, ale Den był pewny, że rycerz Jedi posługuje się Mocą, żeby zbadać Rostu.

Po jakiejś minucie Jax spojrział znów na I-Five.

– Nie wykrywam u niego żadnych oznak dwulicowości – powiedział. – Moc mówi mi, że Nick jest zupełnie czysty.

I-Five „zamrugnął”, wyraźnie zakłopotany.

– Ale... jego fizjologiczne reakcje dowodzą... – Android chyba nie wiedział, co ma o tym myśleć. Potem odezwał się półgłosem: – Właśnie dokonałem następnego pomiaru. Tym razem wyniki badań charakterystycznych parametrów jego organizmu nie odbiegają w niczym od normy.

Pavan nie odpowiedział. Nie musiał.

No cóż, wspaniale, pomyślał Den. Jeżeli I-Five stracił wrażliwość, to wyskoczyliśmy z rdzenia reaktora tylko po to, żeby wpaść w głąb supernowej.

Powietrzny ślizgacz leciał coraz dalej w rozjaśnioną blaskiem neonów noc.

ROZDZIAŁ 31

– Jak idą poszukiwania, Rhinannie? – Niski, aksamitny głos Lorda Vadera brzmiał jak zawsze uprzejmie, ale Elomin usłyszał w nim ledwo uchwytną nutkę groźby. – Czy major Rostu już odnalazł Pavana?

– Tak przypuszczam, mój panie – odparł Rhinann. Jego głos lekko drżał, chociaż adiutant starał się nie okazywać przerażenia. – Chociaż nie otrzymałem jeszcze ostatecznego sygnału.

– Kiedy go wreszcie dostaniesz, wyślij tylu żołnierzy, aby mogli schwytać go żywcem – polecił Czarny Lord. – Nie spraw mi zawodu, Rhinannie.

Elomin poczuł, że każdy z jego czterech żołdaków zapada się w nicość. Nie mógł wykrztusić słowa, jakby język przymarzył mu do podniebienia. Mimo to bąknął coś w odpowiedzi i opuścił komnatę Vadera o własnych siłach.

„Nie spraw mi zawodu, Rhinannie”, przypomniał sobie słowa lorda. Nawet obecnie, w zaciszu i względnym bezpieczeństwie swojego gabinetu, cały czas słyszał je w głowie. Prawie widział, jak płoną przed nim w powietrzu i pulsują zagrożeniem. Gdyby je wypowiedział ktoś inny, Rhinann uznałby je za ostrzeżenie przed możliwymi konsekwencjami. W ustach Dartha Vadera były równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Coś trzeba było z tym zrobić.

Rhinann wiedział, że nie znieśie dłużej życia w takim napięciu i przerażeniu. Czuł, że jest na skraju załamania nerwowego. Był o wiele za młody, żeby umrzeć z takiego powodu... miał zaledwie osiemdziesiąt dziewięć standardowych lat.

Ta praca go zabijała, a ściślej mówiąc, zabijał go strach przed śmiercią z ręki Dartha Vadera. Rhinann musiał jakoś znaleźć sposób ucieczki, nie tylko przed dalszą pracą w pałacu, ale także przed życiem na Coruscant czy w jakimkolwiek innym systemie Jądra galaktyki. Niezbadane przestworza, pełne barbarzyńskich planet, które kiedyś zbyt go przerażały, żeby próbował tam uciec, zajęły teraz drugie miejsce w jego prywatnym panteonie zła. Na pierwsze miejsce wysunął się Darth Vader.

Tylko jak się stąd wydostać? – zadał sobie pytanie, drapiąc pryszcze, które mu wyskoczyły na szyi. Do zarezerwowania miejsca na pokładzie międzygwiazdowego statku potrzebne były kredyty... mnóstwo kredytów. Musiałby uciec przed Vaderem na drugi kraniec galaktyki, a może nawet do samej gromady Minosa albo do sektora Dalonbiany. Dopiero tam

mógłby się poczuć bezpieczny. Zaoszczędził wprawdzie niewielką sumkę, ale na pewno nie tyle, żeby marzyć o odbyciu tak dalekiej podróży. Westchnął, sfrustrowany, tak głęboko, że trącające wyrostki w jego nosie powietrze wydało dźwięk w tonacji wysokiego E. Czy gdziekolwiek będzie mógł się poczuć bezpieczny? Vader był ucieleśnieniem zła... był groźniejszy niż sama ciemność.

Rhinann stanął przed transpastalową ścianą, skąd rozciągał się widok na panoramę bezkresnego miasta. Widział gmach Opery i Ogrody Botaniczne Gwiazdnej Kopuły, a w oddali Zachodni Kosmoport z jego lądowiskami. Właśnie wzniosła się stamtąd powoli fregata typu Lancer. Chwilę później z innego miejsca ogromnego kosmoportu wystartował cywilny statek pasażerski. Elomin odprowadzał go spojrzeniem, aż liniowiec roztopił się na tle czystego, błękitnego nieba. Zastanowił się, co musiałby zrobić, żeby znaleźć się na pokładzie podobnego statku.

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że musi wymyślić jakiś sposób, i to szybko.

Jax Pavan siedział w powietrznym ślizgaczu lecącym wąskimi, ponurymi uliczkami Slumsów Blackpit i zastanawiał się nad swoim życiem.

Musiał przyznać, że nie było doskonałe.

Był rycerzem Jedi, członkiem prastarego zakonu, założonego w celu utrzymywania pokoju i zachowywania standardów cywilizacji. Członkowie zakonu mieli walczyć z wszelkim złem i z niesprawiedliwością.

Żyć w obrębie Mocy.

To było najtrudniejsze i zawsze miało takie pozostać. Jax Pavan się starał, ale musiał przyznać, że nadaremnie. Życie rycerza Jedi nie zapewniło mu wewnętrznego spokoju ani wyciszenia, którego poszukiwał, odkąd dorósł na tyle, aby rozumieć, czego poszukuje.

Miał niepokojące wrażenie, że to jego wina. Dogmaty zakonu nie zmieniały się od tysiącleci. Zrobiły z wielu dzieci rycerzy i mistrzów Jedi, gotowych i chętnych do wcielania w życie szczytnych ideałów prawdy i sprawiedliwości... do wykorzystywania potęgi Mocy w celu walki ze złem, obojętne w jakiej postaci. Jeżeli ta pochodnia nie płonęła w nim równie jasno, jak w jego towarzyszach, winy za to nie ponosiły nauki zakonu. Winny był on, Jax Pavan.

– Jesteś zmartwiony. Dlaczego? – Głos androida, jak zawsze rzeczowy i spokojny, wyrwał go z zadumy. Jax uświadomił sobie jednak, że dla odmiany jest mu za to wdzięczny.

– Dlaczego? – powtórzył. – Moi koledzy i przyjaciele zginęli, a całe moje życie legło w gruzach. Jestem ścigany przez nową władzę, a najgroźniejsza istota w całej galaktyce z jakiegoś powodu uczyniła mnie obiektem osobistej wendety... Nie mam więcej żadnych powodów do zmartwienia.

I-Five spojrzał na niego. Jego metalowa twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć, a jednak coś wyrażała.

– Najwyraźniej ojciec przekazał synowi gen sarkazmu – odezwał się android.

– Co by się stało, gdybym wydał ci jednoznaczny rozkaz wyskoczenia z tego ślizgacza? – zapytał Jax.

I-Five zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wiem – stwierdził w końcu.

– Kusi mnie, żeby się przekonać.

– Wątpię, żeby ci się udało mnie do tego nakłonić – odparł android. – Jak już wspomniałem, moje oprogramowanie jest nietypowe. Nie mam tłumików kreatywności ani oprogramowania zakazującego mi określonych zachowań.

– Kto padł na tak błyskotliwy pomysł?

– Twój ojciec – wyjaśnił I-Five lekko rozbawionym tonem, na którego dźwięk Jax aż zgrzytnął zębami. – Usunął tłumiki i niektóre procedury oprogramowania – ciągnął android. – Umożliwił mi przez to zwiększony dostęp do wolnej woli, a ja postarałem się o resztę. Ostatnio z pomocą Dena dokonałem kolejnych modyfikacji. Jax odwrócił się, żeby lepiej widzieć androida.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś obdarzony samoświadomością? – zapytał.

I-Five znów się zamyślił.

– Często sam zadawałem sobie to pytanie – stwierdził w końcu. – Muszę przyznać, że czasami niechętnie wyciągałem logiczne wnioski. Wreszcie jednak, z pomocą przyjaciół, do których zaliczała się także padawanka Jedi Offee, uświadomiłem sobie, że możliwość rozważania tego zagadnienia jest sama w sobie potwierdzeniem. Innymi słowy: jestem, bo myślę.

– Chcę się upewnić, czy cię dobrze rozumiem – wtrącił się Nick, który usłyszał jego słowa. – Twierdzisz, że nie podlegasz operacyjnym ograniczeniom oprogramowania zwyczajnej jednostki protokolarnej. Czy to prawda?

– Dokładnie tak – odparł I-Five. – W pewnym stopniu sam się programuję. Prawdę mówiąc, w znacznie większym stopniu niż inne androidy, chociaż w galaktyce istnieją podobne do mnie automaty.

Jax nie ucieszył się z tej wiadomości.

– Mówisz, jakbyś był tego pewny – stwierdziła Laranth. – Czy spotkałeś je kiedyś?

– Lecąc okrężną trasą na Coruscant, Den udawał handlarza bronią, a ja, naturalnie, jego sługę – zaczęła I-Five. – Właściciel pewnego łamacza blokad umożliwił nam dostanie się do Zewnętrznego Jądra. Na pokładzie tego statku natknęliśmy się na protokolarnego androida, który związał się z jednostką astromechaniczną. Ten android był obdarzony sporą samoświadomością, ale i astromechaniczny robot miał niezłe rozwinięty zmysł świadomości swojego istnienia, bardziej niż wiele istot organicznych, jakie zdarzało mi się spotkać. Oba automaty troszczyły się o bezpieczeństwo swojego właściciela, kapitana statku, a także o swoje. A jednostka protokolarna była wręcz przewrażliwiona na punkcie własnego

bezpieczeństwa.

Jax nie uważał się za człowieka ograniczonego. Jako Jedi, powinien tak samo traktować wszystkie istoty rozumne. Wiedział wprawdzie, że nie istnieje uniwersalny wzorzec, według którego można byłoby osądzać wszelkie istoty – w końcu inteligencja, moralność, zdolności i milion innych cech zależały w bardzo dużym stopniu nie tylko od genów osobnika w ramach danej rasy, ale nawet od samej rasy – był jednak pewien, że wszystkie zasługują na sprawiedliwość... przynajmniej tak uważał za czasów Republiki.

Nie potrafił jednak zrozumieć, jakim cudem taka reguła miałyby się stosować do złożonej masy obwodów, która tylko przypadkiem umie się poruszać.

To prawda, nic nie stało na przeszkodzie, żeby skasować zawartość pamięci i przeprogramować androida, ale rycerz Jedi podejrzewał, że I-Five mógłby się na to nie zgodzić. Myśl ta była sama w sobie bardzo niepokojąca. Na pewno taki pomysł nie spodobałby się także kumpłowi androida, Sullustaninowi, a sądząc po zachowaniu Laranth i Nicka, punkt widzenia rycerza Jedi – jedyny rozsądny, jaki istniał – stawał się w tym towarzystwie coraz mniej popularny.

To nie było sprawiedliwe. Prawdę mówiąc, Jax uważał to za odstępstwo od porządku, jaki jego zdaniem powinien panować we wszechświecie. Jeżeli w tej galaktyce androidy umieją myśleć, czuć i zachowywać się niemal jak istoty inteligentne... sama ta myśl była przerażająca. Dawniej, kiedy czuł się oszołomiony i przytłoczony przez podobne zagadki, zawsze był w stanie nawiązywać kontakt z Mocą. Pozwalał, żeby go omywała i kołła, żeby zapewniała mu spokój. Teraz jednak nawet i na to się nie poważył, bo pogrążając się w jej objęciach, mógłby zwrócić na siebie uwagę Dartha Vadera.

Jeżeli nawet nie mógł dotknąć Mocy...

Jedi często oskarżano o to, że w ostatnich dniach Republiki stracili wrażliwość. Nie potrafili wyczuć obecności Dartha Sidiousa, chociaż Lord Sithów znajdował się dosłownie pod ich dachem. Dlaczego tego nie odgadli? – zastanowił się Jax. Prawdą było, że zakon Jedi pozwolił, aby ogarnął go marazm i samozadowolenie. Czytając epickie historie o zamierzonych czasach, można było niemal w to uwierzyć. Bohaterowie, tacy jak Nomi Sunrider, Gord Ves, Arca Jeth i wielu innych, umieścili poprzeczkę bardzo wysoko. W ciągu późniejszych wieków Jedi stracili jednak kontakt z ludźmi, ze sobą, a nawet z Mocą. Stopniowo stawali się ograniczonymi umysłowo mnichami, których bardziej interesowała budowa bibliotek i ośrodków nauczania niż stanie na straży wspólnego dobra. Wprawdzie nadal zdarzały się wśród Jedi zdolne do aktów bohaterstwa wybitne osoby pokroju Mace'a Windu czy Qui-Gona Jinn, i nadal trzeba było toczyć bohaterskie walki, ale na ogół Jedi stali się ślepi i głusi na podszepty Mocy. Nie zorientowali się w knowaniach Sithów, którzy chcieli ich obalić, dopóki nie było za późno...

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się Nick. Łagodnie osadził ślizgacz na podeście.

Okolica wyglądała na to, czym naprawdę kiedyś była: na strefę wojny. Ekspłodowało tu

kilka mniejszych ładunków wybuchowych, które Separatyści pozostawili w atmosferze. W nawierzchni wciąż jeszcze widniały pęknięcia i kratery. Markiza nad lokalem, w którym znajdował się kiedyś nocny klub, była ciemna i połamana. Nieregularnie przepływały przez nią impulsy energii, po których raz po raz zapalał się i gasł holowizerunek śpiewającego Pa'lowicka.

Jax zwrócił uwagę na budynek po drugiej stronie ulicy. Kiedyś mieściły się tam biura, ale teraz chyba mieszkała tam kolonia Ugnaughtów.

– Hej – powiedziała Laranth. – Czujesz to?

Jax kiwnął głową. W budynku po drugiej stronie odbywało się coś, co działało na Moc niczym wichur na powierzchni wzburzonego oceanu. Nikt oczywiście nie wiedział, czy 10-4TO ma z tym coś wspólnego, ale tym bardziej należało to sprawdzić.

Rycerz Jedi powiedział to głośno. Jak można było się spodziewać, Den Dhur zapytał:

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy Jedi – odparła Laranth.

Sullustanin nie odpowiedział, ale kiedy pozostali ruszyli na drugą stronę, podążył za nimi. Jax nie mógł się oprzeć, żeby nie zapytać:

– Nie jesteś Jedi. Dlaczego idziesz za nami?

– Bo jestem reporterem – stwierdził ponuro Den i westchnął. – Chociaż czasami nie znoszę sobie o tym przypominać.

ROZDZIAŁ 32

Kaird odczuwał skutki energii blasterowego strzału, która paliła wszystkie jego nerwy, docierała do każdego zakątka ciała. Przypomniwał sobie chwilę sprzed wielu lat, kiedy jako młode pisklę wpadł do kolonii meduzopszczół. Pojedyncza parząca wic nie stanowiła dużego zagrożenia, ale w każdym roju żyło co najmniej tuzin owadów i wszystkie zaatakowały go równocześnie. Kaird pamiętał, że wokół jego ciała owinęło się wówczas ponad sto wici. Każda powodowała bolesny wstrząs jak od porażenia prądem elektrycznym. Właśnie tak się czuł w tej chwili: jakby raz po raz ktoś go raził prądem. Odnosił wrażenie, że każdy wstrząs jest bardziej bolesny niż poprzedni.

W końcu jednak – a trwało to wieczność – elektrowstrząsy ustały. Nedijanin spróbował wstać, coś powiedzieć albo chociaż tylko przepełznąć w inne miejsce. Żadnej z tych czynności nie udało mu się doprowadzić do końca. Czuł się, jakby ktoś odłączył jego ciało od umysłu... z wyjątkiem nerwów, w których nadal pulsował ból. Nerwy były bardzo żywe.

Xizor podszedł do niego i kucnął, żeby Kaird mógł widzieć jego twarz. Falleen już się nie uśmiechał. Miał ponurą minę, a jego skóra przybrała ponownie zwykłą zielonkawą barwę. Kaird widział już kiedyś u niego taki wyraz twarzy i zawsze współczuł osobie, na którą Xizor patrzył.

– Jeszcze kilka takich wstrząsów i skończę z tobą więc powinieneś o tym pamiętać, kiedy będziesz odpowiadał na moje pytanie – odezwał się Falleen. – Będzie łatwe. Czy działasz z własnej inicjatywy, czy też może to lord Perhi zgodził się na moją śmierć?

Kaird nie odpowiedział. Jego umysł kiepsko sobie radził z zebraniem myśli. Rozpaczliwie próbował znaleźć coś, na czym mógłby skupić uwagę, ale nic z tego nie wyszło.

Xizor chlasnął go w twarz... niemocno, ale i niezbyt delikatnie.

– Wiem, że możesz mówić, Nedijaninie – powiedział. – Mów prawdę, to może przeżyjesz.

– *Yosh* – powiedział Kaird. Nie znał dobrze mowy Falleenów, ale słyszał, że to wyjątkowo ordynarne, jednowyrazowe przekleństwo.

Chyba dobrze usłyszał, bo Xizor ponownie go walnął na odlew grzbietem dłoni, tym razem tak mocno, że Kaird usłyszał dzwonięcie w uszach.

– Głupcze! – warknął książę, ale po chwili opanował się z wysiłkiem. Obejrzał się przez

ramię na androida. – Jeszcze raz – poleciał i usunął się na bok, żeby mu nie przeszkadzać.

Świat Kairda rozpląnął się znowu w skwierczącej, oślepiająco jasnej błyskawicy ogłuszającego strzału, po którym napłynęła następna fala nieznosnego bólu.

– Wiesz, co ci powiem? – zagadnął Nick rycerza Jedi, kiedy kierowali się do turbowind. Za nimi szli Laranth, Sullustanin i android. – Zważywszy na to, że miałeś wykonać to zadanie sam, zwerbowałeś zdumiewająco wielu pomocników.

– Ty też to zauważyłeś, prawda? – W tonie Jaksa brzmiała irytacja, ale Nick usłyszał też nutkę rozbawienia.

– Mogę zrozumieć, że Laranth ma cię osłaniać od tyłu – ciągnął Rostu. – Nigdy jej wcześniej nie spotkałem, chociaż słyszałem o niej to i owo. Po co jednak zabrałeś tego Sullustanina i androida?

Jax westchnął.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego się do mnie przyłączyli – powiedział. – I-Five kilkakrotnie ocalił nam życie. Podobno znał mojego ojca. Przyłączył się do mnie razem z tym Sullustaninem, Dhurem.

– Chcesz powiedzieć, że jest jego własnością? – domyślił się Nick.

Rycerz Jedi znów westchnął.

– Uwierz mi, chciałbym, żeby tak było – powiedział.

Rostu doszedł do wniosku, że teraz wie jeszcze mniej niż na początku, ale właśnie dotarli do turbowind. Urządzenia nadal funkcjonowały, chociaż płyty repulsorowe straciły sporo ładunku i jakby niechętnie obudziły się do życia. Nick spróbował nie myśleć, co by się stało, gdyby płyty zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Z drugiej strony odrobinę żałował, że nie runie z wysokości czwartego piętra, bo wówczas nie musiałby zdradzać przyjaciela.

Lecąc ślizgaczem, uświadomił sobie – dosłownie w ostatniej chwili – że zdenerwowanie i wyrzuty sumienia z powodu tego, co ma zrobić, mogą go łatwo zdradzić. Gdyby Jax wyczuł jego niepokój i zaczął go badać Mocą, od razu by wyczuł, że coś jest nie w porządku. Pewnie by się nie zorientował, co takiego, ale nabrałby podejrzeń i postanowił go poddać dokładniejszemu badaniu.

Na szczęście, chociaż związek Nicka z Mocą nie był na tyle silny, żeby umożliwić wpływ na inne osoby, wystarczał do wpływania na własny organizm. Rostu zawsze umiał dobrze panować nad swoimi reakcjami, dzięki czemu w trudnych sytuacjach na ogół potrafił zachowywać spokój. Teraz spowolnił tempo bicia serca i częstotliwość oddychania, a nawet obniżył temperaturę skóry. Kątem oka zauważył, że Jax go obserwuje, a nawet wyczuł słabutki dotyk jego myśli. Chwilę później jednak myślowy kontakt się urwał, a wyraźnie zadowolony Jax rozparł się na tylnej kanapie i wymruczał coś do I-Five.

Niewiele brakowało, pomyślał Rostu.

Dotarli na czwarty poziom bez żadnych przygód. Kiedy wysiedli z kabiny, natknęli się na

kilku Ugnaughtów i Ishi Tibów, którzy wyszli ze swoich jaskiniopodobnych mieszkań. Nick nie miał im za złe, że są nieufni i niespokojni... sądząc po strzaskanej podłodze i śladach po blasterowych strzałach, musieli przeżyć niespokojną noc. Mieszkańców musiało ogarnąć jeszcze większe przerażenie na widok nowej grupy intruzów.

Na czwartym piętrze panowała ciemność, rozjaśniana tylko przez migotliwe fluorescencyjne reklamy. Kiedy ostrożnie się zbliżyli do skrzyżowania korytarzy, usłyszeli gdzieś z boku cichy głos – męski, spokojny, ale z nutką groźby. Nick nie rozumiał słów, ale od razu przypomniał mu się głos Vadera, chociaż ten brzmiał zupełnie inaczej.

Kiedy rycerz i paladynka Jedi podeszli do skrzyżowania, Nick odebrał napływający zza rogu sygnał niebezpieczeństwa. Czyżby wyczuł go dzięki Mocy? A może dzięki swojemu podświadomemu przerażeniu? Doszedł do wniosku, że jego wątpliwość z Mocą doprowadza go czasem do szaleństwa. Wątpił, żeby Jedi miewali podobne wątpliwości.

Na szczęście w tym przypadku to nie miało żadnego znaczenia. To nie on miał iść na czele grupy, musiał tylko podążać za dwójgim świetnie wyszkolonych Jedi. Na pewno Jax ani Laranth nie zamierzali zaprowadzić nikogo w zasadzkę.

Niestety, właśnie na tym polegało zadanie Nicka.

Oboje Jedi napięli mięśnie i zatrzymali się na chwilę. Rostu zastanowił się, co wyczuwają. Odnosił słabe, ale nieomyłne wrażenie... zdecydowania. Bezwzględności. Odbierał to niczym ciemną, jakby brudną smugę na swoim mózgu.

Jax odpiął rękojeść świetlnego miecza, ale nie wysunął energetycznej klingi. Laranth wyciągnęła z kabur blastery. Nick poczuł świerzbiecie w palcach, jakby same chciały wyciągnąć blaster zza pasa.

Sytuacja nie rozwijała się po jego myśli. Gdyby Jax zginął podczas tej wyprawy, Czarny Lord byłby bardzo niezadowolony. Nick ciągle się zastanawiał, jak się wywiązać z danej mu obietnicy bez zdradzania przyjaciela. Cały czas miał jednak świadomość, że sprawienie zawodu Vaderowi byłoby równie rozsądne, jak zapuszczenie się do nory wygłodzonego nexu z zapachem mięsa na ubraniu.

W końcu Jax zapalił klingę miecza i oboje Jedi wybiegli na skrzyżowanie korytarzy.

I od razu wpadli pod deszcz blasterowych strzałów.

ROZDZIAŁ 33

Kiedy Jax wyskoczył za róg, był gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. W pół skoku sięgnął po Moc, wiedząc, że dzięki niej będzie mógł przewidzieć kilka sekund przyszłości... a to wystarczy, żeby odbić na bok wszystko, co mogłoby lecieć w jego stronę.

I znowu, jak niedawno, Mocy po prostu nie znalazł.

Zanim zdążył dojsć do siebie po tym zawodzie, salwa energii rzuciła go na kolana. Każdy nerw, każdą komórkę jego ciała wypełnił ból po trafieniu przez blasterową błyskawicę. Był trudny do zniesienia, ale nie mógł się równać z bólem, jaki go ogarnął, kiedy zamiast znajomej więzi natrafił na pustkę.

Po chwili uświadomił sobie niejasno, że ulewa blasterowych błyskawic ustała. W pierwszej chwili nie wiedział, co o tym sądzić, bo cały czas słyszał strzały. Otworzył oczy i uniósł głowę.

Przed nim stała Laranth. Spokojnie strzelając z obu blasterów, odbijała wszystkie nadlatujące ku niej błyskawice.

Młoda paladynka zakończyła potyczkę, która na pewno nie trwała dłużej niż kilka sekund, trafiając w lufę blasterowego działka w rękę androida, co na jakiś czas zdezaktywowało broń.

– Nie ruszaj się – rozkazała, cały czas mierząc do niego z blasterów. – To dotyczy także tego gościa za tobą.

Jax wstał nieporadnie. Zanim zdążył się wyprostować, poczuł dotyk silnych, chłodnych dłoni I-Five, który starał się mu pomóc. Rycerz Jedi drgnął gniewnie i odtrącił pomocne dłonie.

Kilka kroków dalej stał drugi android, niewątpliwie 10-4TO. Dopiero teraz Jax zrozumiał, dlaczego niektórzy nazywają go Robalookim. Spodziewał się go tu zobaczyć, więc jego widok go nie zaskoczył. Nie oczekiwał jednak stojącego za nim Falleena ani obcej istoty leżącej między nim a androidem.

Nigdy dotąd nie widział istoty tej rasy. Była dwunożna i miała może półtora metra wzrostu, a dolną połowę jej ciała pokrywał delikatny niebieski puszek, który wyglądał jak piórka. Kształt czaszki także sugerował, że przodkowie istoty byli ptakami.

Skąd się wzięła i co tu robiła? Jax uświadomił sobie nagle, że nie może zebrać myśli.

Poczuł tak silny zawrót głowy, że o mało nie stracił przytomności. Zauważył, że skóra Falleena zmienia barwę z zielonkawej na czerwoną. Kątem oka dostrzegł, że i Laranth sprawia wrażenie oszołomionej.

Miał za mało czasu, żeby zrozumieć, co się dzieje, bo w następnej sekundzie Falleen wyszarpnął blaster z kabury, wymierzył do nich i dał ognia.

Rycerz Jedi sięgnął po Moc. Jak na ironię zawrót głowy, spowodowany uwolnieniem przez Falleena chemicznych związków, ocalił mu życie. Jego umysł był tak przyćmiony, że Jax nawet się nie zastanawiał, czy da radę nawiązać kontakt z Mocą. Na szczęście tym razem Moc go nie zawiodła. Jax odbił laserową błyskawicę na bok klingą świetlnego miecza, a później, pomagając sobie Mocą, jednym susem przeskoczył całą dzielącą ich odległość – jakieś dziesięć metrów. Kiedy lądował, jedna noga nie wytrzymała ciężaru jego ciała i Jax stracił równowagę.

Falleen postanowił to wykorzystać. Błyskawicznie chwycił leżącą na podłodze małą obcą istotę i przerzucił ją sobie przez ramię.

– Uciekamy! – krzyknął do Robalookiego i pobiegł. Android podążył za nim i chwilę później obaj zniknęli w głębi korytarza. Laranth puściła się za nimi w pościg.

Całe zajście trwało niespełna minutę, chociaż Jax mógłby przysiąc, że ciągnęło się całą wieczność. Nick, Dhur oraz I-Five wyłonił się z za rogu i stanęli obok niego.

– *Zu woohama!* – krzyknął Nick, a Jax poniewczasie przypomniał sobie, że to hasło, które umożliwia przejęcie kontroli nad 10-4TO. Było jednak za późno; Robalooki znalazł się na pewno poza zasięgiem głosu. Rozczarowany Rostu pokręcił głową.

I-Five spojrzał na rycerza Jedi.

– Nic ci się nie stało? – zapytał. Jax stwierdził, że kolejny niepokojąco ludzki odruch androida znów go zirytował; doszło do tego, że zaczynał o nim myśleć jak o osobie, zamiast o przedmiocie. Tym razem jednak niczego nie dał po sobie poznać.

– Nie – powiedział spokojnie i obojętnie. Odwrócił się, żeby nie widzieć na metalowej twarzy wyrazu ulgi, który na pewno się tam pojawił, podobnie jak przed chwilą zaniepokojenie.

– Nie miej do siebie żalu za to, że zapomniałeś, jak brzmi kontrolne hasło – odezwał się Nick. – Trudno pamiętać takie rzeczy po porażeniu strzałem z blastera.

Z ciemności przed nimi wyłoniła się Laranth. Była sama i wyglądała na rozgoryczoną.

– Tam jest istny labirynt – oznajmiła, marszcząc brwi. – Powinna być ich wytropić dzięki Mocy, ale... byłam oszołomiona.

Przyznanie się do tego musiało być dla niej bardzo trudne.

Jax zastanowił się, czy przypadkiem Laranth nie miewa takich samych kłopotów jak on z nawiązaniem łączności z Mocą. Przyjrzał się jej wiciom. Wyglądały na równie silne, jak zawsze.

– Mam pewien pomysł – odezwał się I-Five. – Możemy wykorzystać przeciwko

Falleenowi jego systemy obronne. Chodźcie za mną... jeżeli nie macie nic przeciwko temu – zastrzegł pospiesznie, zerkając na Jaksę. Odwrócił się i ruszył w kierunku, w którym zniknęli Falleen i 10-4TO.

Rycerz Jedi nie był zachwycony perspektywą podążania za I-Five, ale rozsądek mu podpowiadał, że na razie tylko umiejętności androida w tropieniu zbiegów mogą im pomóc. Odwrócił się do pozostałych.

– No to idziemy – powiedział. – Jeszcze możemy ich znaleźć.

Ruszyli w pościg – szybko, ale ostrożnie. Podążali mrocznymi korytarzami, schodzili po schodach i przecinali zaśmiecone pomieszczenia. Od czasu do czasu mieszkańcy ogromnego gmachu zerkali na nich z otworów drzwiowych albo przez szpary w ścianach, ale żaden nie okazał złych zamiarów ani nawet się do nich nie odezwał.

Wyszli na ulicę krótko po wschodzie słońca, chociaż Jax poznał to tylko dzięki wskazaniu chronometru. Jeżeli nie liczyć błysków okolicznych reklam, na dworze było nadal równie ciemno jak o północy.

– Chyba porwał twój ślizgacz – oznajmił I-Five, patrząc na Nickę.

Na szczęście w pobliżu zaparkowano kilka przestarzałych śmigaczy, a do uruchomienia jednego nawet nie był potrzebny kod aktywacyjny. Jax nie miał wyrzutów sumienia ani wątpliwości natury moralnej, że porywa czyjś środek transportu. Reguły Jedi były pod tym względem dosyć elastyczne, a dla ogólnego dobra mógł je jeszcze trochę nagiąć. A poza tym wszystko wskazywało, że porywając pojazd, wyświadczają przysługę jego właścicielowi. Ten lądowy śmigacz typu SoroSuub G-17 okres największej świetności miał dawno za sobą. Przynajmniej jedna repulsorowa łopatką była skrzywiona, więc maszyna zbaczała z kursu nad każdą, choćby nawet najmniejszą nierównością nawierzchni. Mogła się unieść na wysokość zaledwie kilkunastu centymetrów i leciała równie szybko, jak dręczony niestrawnością Ithorianin.

– Szybciej bym szedł – mruknął rozgoryczony Den Dhur, kiedy G-17 leciał ulicą. – I to w stanie silnego upojenia alkoholowego.

I-Five kierował się zapachem, jaki pozostawili w powietrzu uciekinierzy. Android miał wyjątkowo wrażliwe zestawy sztucznych zmysłów. Ze wszystkich stron napływały tak intensywne i tak różne wonie, swądy i odory, że rycerz Jedi już dawno przestał je rejestrować, ale na myśl o umiejętnościach I-Five zaczął znów zwracać na nie uwagę. Trudno byłoby uwierzyć, że ktoś potrafi wyróżnić zapach konkretnego osobnika spośród drażniących powonienie wyziewów połowy ras zamieszkujących galaktykę. Żadne laboratorium nie dysponowało równie czułym sprzętem jak ten, który I-Five miał zainstalowany na piersi za zestawem czujników węchowych. W dodatku android twierdził, że wyróżnienie konkretnego zapachu jest nie tylko możliwe, ale całkiem łatwe.

– Tak nisko zapuszcza się niewielu Falleenów – powiedział. – Istoty tej rasy są kosmopolitami. A co ciekawsze, ten Falleen ma na skórze resztki olejków i mydeł, na które

mogą. sobie pozwolić tylko wyjątkowo zamożne osoby.

– Kim on jest? – zainteresowała się Laranth. – Chyba go już gdzieś widziałam.

– Bardzo możliwe – odparł Sullustanin. – To księżę Xizor z rodu Sizhran. Według krążących plotek szybko awansuje w hierarchii Czarnego Słońca. Falleenowie rzadko opuszczają macierzystą planetę; Xizor jest jednym z niewielu wyjątków.

Na kilka minut zapadła cisza. Jeżeli naprawdę z tym wszystkim miało coś wspólnego Czarne Słońce, wkrótce mogli się znaleźć w naprawdę paskudnej sytuacji.

– Jest mniej więcej pół kilometra przed nami – oznajmił I-Five. – Właśnie nawiązuje łączność z kontrolerem miejscowego kosmoportu. Każe mu przygotować do odlotu jego statek.

– Imponujące – stwierdził Nick. – Twoje sensory optyczne i słuchowe muszą być równie sprawne, jak detektor węchowy.

– Sprawa wygląda o wiele prościej – wyjaśnił android. – Mam radar i wielozakresowy odbiornik sygnałów elektromagnetycznych.

– Moim zdaniem to nielegalne – zauważył rycerz Jedi. – O ile wiem, prawo zabrania androidom posiadania takiego odbiornika.

– Prawdopodobnie masz rację – odparł spokojnie I-Five.

– Jeżeli Falleen wystartuje, jak zdołamy go dogonić? – zaniepokoił się Dhur. – Nawet twój nos nie da rady kierować się jego zapachem w próżni.

– Spokojna głowa – odparł Nick. – Mam statek. Będziemy lecieli blisko za nim.

Jax milczał. Miał dziwne wrażenie, że sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli. Wyruszył na samotną wyprawę, żeby odkupić honor swojego mistrza i spełnić jego ostatnie życzenie, a tymczasem towarzyszyła mu grupa najbardziej niezwykłych pomocników. Co gorsza, to nie on wydawał im rozkazy. Szefem był ktoś inny, i do tego android.

Rycerz Jedi nie miał pojęcia, jak się zachować w takiej sytuacji. W dodatku nie był pewny, czy w ogóle powinien jakoś zareagować. Naprawdę bardzo mu zależało na wykonaniu zadania.

Tylko że z każdą chwilą przypominanie sobie tej prawdy przychodziło mu z większym trudem.

ROZDZIAŁ 34

Kaird miał świadomość wszystkiego, co się działo w ciągu kilku ostatnich minut. Był przytomny, ale nie mógł poruszyć ręką ani nogą. Energia strzału z nastawionego na ogłuszanie blastera przeniknęła całe jego ciało, więc dopiero kiedy Xizor dotarł do platformy lądowniczej, Nedijanin zaczął odczuwać pierwsze oznaki krążenia krwi w żyłach.

Falleen stanął nad nim.

– Polecimy twoim statkiem – oznajmił spokojnie i stanowczo. – Przyleciałem tu wahadłowcem, ale zawsze chciałem mieć taki statek jak twój. Podoba mi się jego kształt.

Kaird spiorunował go spojrzeniem. Gotował się z wściekłości, ale nadal nie mógł nawet kiwnąć palcem. Jakby mało było upokorzeń, które musiał wycierpieć w ciągu ostatniej godziny, miałby jeszcze pozwolić, żeby podły potomek gadów porwał jego stingera? To było oburzające! Zmodyfikowana surroniańska jednostka szturmowa klasy Conqueror mogła się poszczycić najnowocześniejszym napędem podświetlnym i silnikami napędu nadświetlnego klasy pierwszej, nie wspominając o dwóch sprzężonych działkach laserowych. Statek był jedną z jego najcenniejszych zdobyczy. Kaird nie zamierzał go tracić na rzecz Xizora, chociaż sam go wcześniej porwał.

Falleen podał operatorowi wieży kontrolnej właściwy kod. Nedijanin nie miał pojęcia, skąd jego prześladowca go zdobył. Podejrzał, że Xizor włamał się do jego osobistych baz danych. Teraz przeszli ze ślizgacza na pokład smukłego statku i dziesięć minut później wzbili się w powietrze. Jako potomek królewskiego rodu Xizor nie musiał czekać w kolejce statków, których piloci mieli dopiero uzyskać zgodę na start.

Kairda zaczęło ogarniać nieprzyjemne odrętwienie. Przypięty do fotela, starał się na nim nie wiercić, choć miał ochotę kureczyć czy rozciągać drętwiejące mięśnie, porażone przez błyskawicę blasterowego strzału. Po kilku następnych minutach stinger zajął pozycję na niskiej planetarnej orbicie.

Siedzący na fotelu pilota Xizor położył dłonie na wpuszczonych w pulpity urządzeniach kontrolnych. Ze swojego miejsca Kaird słyszał ciche piski monitorów i wskaźników poziomu. Widział także pulsujące słupki różnobarwnych wyświetlaczy, wskaźniki mierników napięcia i punkciki diod elektroluminescencyjnych.

– Piękny statek – odezwał się zachwycony Falleen. – Muszę przyznać, że masz dobry

gust, Kairdzie.

Nedijanin nie odpowiedział. Na fotelu obok niego siedział sztywno wyprostowany 10-4TO. Przez iluminator za nim Kaird widział świecące niezmiennym blaskiem gwiazdy i jasny półksiężyc planety w dole. Wbił spojrzenie w nieskończoność. Gdzieś tam, daleko, znajdowała się jego ojczysta planeta. Czyżby to była najmniejsza odległość, jaka miała go od niej kiedykolwiek dzielić?

Minęła godzina. Kaird zauważył, że krążenie w jego żyłach wróciło do normy. Sprawdził wytrzymałość więzów, chociaż wiedział, że to na nic. Pomyślał, że może będzie miał szansę ucieczki, kiedy Xizor doleci do celu...

A skoro już o tym mowa, jaki właściwie był cel podróży Falleena?

Kaird przypuszczał aż do tej pory, że książę zamierza wrócić na Sinharan T'sau, do ukrytego labiryntu Północnej Hali. Kiedy teraz zaczął się nad tym zastanawiać, doszedł do wniosku, że to nie miałyby sensu. Xizor musiał się domyślić, dlaczego Kaird go śledził i zaatakował. Liczył się z możliwością, że wyrok śmierci wydał na niego sam lord Perhi, w przeciwnym razie nie pytałby o to Kairda. Nedijanin z pewnością nie poważiłby się na równie oburzający czyn jak zabicie księcia Falleenów, gdyby wcześniej nie uzyskał na to zgody przywódcy Czarnego Słońca. Xizor musiał zdawać sobie z tego sprawę. Na pewno nie był na tyle głupi, żeby dobrowolnie oddawać się w ręce kogoś, kto kazał go zamordować. A z tego wynikało, że zmierza do innego celu.

Tylko dokąd?

Zastanawiając się nad tym, Kaird usłyszał lekką zmianę tonu pracy silników. Chwilę później panorama gwiazd za iluminatorem zaczęła zmieniać położenie. Statek opuścił orbitę. Nedijanin wyciągnął szyję i zobaczył brzeżek jasno świecącego półksiężyca Coruscant, a także zbliżającą się linię terminatora. Pograżali się w objęcia nocy.

Kilka minut później domyślił się, dokąd zmierza Xizor. Antypody... miejsce na powierzchni planety dokładnie po przeciwnej stronie co Imperial City, znane także pod nazwą Dzielnicy Fabrycznej.

Poczuł zimny dreszcz na karku i ramionach. Dzielnica Fabryczna uchodziła za jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na całej planecie. Przed wieloma wiekami mieścił się tam kwitnący ośrodek przemysłowy, zajmujący większość północno-wschodniej ćwiartki sfery, w pobliżu równika. Na Coruscant doszło jednak do załamania koniunktury gospodarczej, kiedy na planetach Jądra galaktyki w rodzaju Metellosa, Brentaala i Duro zaczęto doskonalić techniki produkcyjne. Wystarczył impuls w postaci zniesienia sankcji gospodarczych i politycznych nacisków w Galaktycznym Senacie, żeby większość zleceń przemysłowych przekazano gdzie indziej. Pozostało niewiele odosobnionych zakładów produkcyjnych; tysiące kilometrów kwadratowych opustoszało, a potem odcięto je od dostaw elektryczności, gazu, wody, od zaopatrzenia i łączności. Cały teren wyglądał teraz jak pustkowie, bardziej nawet niebezpieczne niż Południowe Podziemie czy Niewidzialny Sektor. W walących się

budynkach koczowały we dnie prymitywne plemiona ludzi i istot innych ras, a nocami w ruinach grasowały Cthony, stratty i, jak twierdzili niektórzy, niespotykane na żadnej innej planecie bezimienne straszidła.

Kaird słyszał te historie, ale zawsze uważał, że w najlepszym razie jest w nich jeden procent prawdy, a dziewięćdziesiąt dziewięć to kompletne bzdury. Kiedy jednak stinger zaczął obniżać pułap lotu, a jego oczom ukazał się koszmarny krajobraz, Nedijanin zaczął się zastanawiać.

Dzielnica Fabryczna nie przypominała w niczym podziemi metropolitalnej Coruscant. Widoczne na niebie dwa mniejsze księżyce zalewały posępną scenerię w dole srebrzystym, zimnym blaskiem i błyszczały jak łzy w oczach Hutta. Pełen zniszczeń i rozkładu obszar ciągnął się we wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, chyba bez końca.

Tylko nieliczne budynki miały więcej niż pięćdziesiąt pięter, więc nawet nie zasługiwały na miano drapaczy chmur. Na ogół rozrastały się we wszystkie strony w poziomie, nie w pionie. Kaird zobaczył fabryki, magazyny, lądowiska, rampy towarowe i kratownice... wszystko to przedstawiało ponury widok. Szkielety zrujnowanych budowli wyglądały jak patrzący w gwiazdy ślepcy. Pogięte resztki ogromnych transpastalowych rur komunikacyjnych, poprowadzonych łukami nad budynkami i wokół nich niczym fantazyjne formacje lodowe, niespodziewanie się urywały; część z nich leżała w kawałkach na powierzchni gruntu. Kiedy statek opadł jeszcze niżej, Nedijanin zobaczył, że w paru miejscach starano się dokonywać prowizorycznych napraw, z lepszym albo gorszym powodzeniem. Zauważył sporządzone z kabli i metalowych płyt prowizoryczne mosty sznurowe i biegnące nad powierzchnią toporne wyciągi, napędzane przez ręczne kołowroty. Na ulicach sterczały jakieś budy, baraki i szałas z odpadów. Kaird był ciekaw, jakie istoty mogą być na tyle wytrwałe lub zdesperowane, żeby nazywać Dzielnicę Fabryczną swoim domem.

Xizor wylądował stingerem w pobliżu jednego z większych budynków na otwartym, stosunkowo mało zaśmieconym terenie. Kiedy ucichł pomruk repulsorów, zapanowała cisza... tak absolutna, jaką można spotkać chyba tylko na powierzchni jednego z pozbawionych atmosfery księżyców. Pierwszy przerwał ją 10-4TO.

– To nie jest miejsce, w którym przebywają bojownicy ruchu oporu Whiplash – powiedział. Mówił beznamiętnym tonem, co nie powinno dziwić, ale odnosiło się dziwne wrażenie, że android coś podejrzewa. Pochylił się lekko do przodu.

Xizor wstał, podszedł do niego i wypowiedział dwa słowa, których Kaird nigdy przedtem nie słyszał:

– *Zu woohama.*

Nedijanin nie miał pojęcia, z jakiego języka te słowa pochodzą, zauważył jednak, że wywarły duże wrażenie na androidzie. Ten-Four-Tee-Oh wyprostował się na fotelu.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Towarzyszyć mi – odparł Xizor. – Pokażę ci, gdzie masz przekazać swoje dane.

– Oczywiście.

Dopiero wówczas Kaird przypomniał sobie znaczenie zaszyfrowanego hasła. Perhi mówił, że umożliwia ono przejście kontroli nad tym androidem. Czarne Słońce poznało hasło dzięki swoim szpiegom w pałacu, Perhi zaś przekazał tę informację Xizorowi, żeby Falleen mógł wykonać swoje rzekome zadanie.

Ale przywódca Czarnego Słońca popełnił błąd.

Zanim zeszli z pokładu stingera, Xizor starannie umieścił knebel w przypominających krótki dziób ustach Kairda.

– To na wypadek, gdyby nagle naszła cię ochota na przejście kontroli nad naszym metalowym przyjacielem – powiedział. Minął Nedijanina i poszedł do rufowego wjazdu. Android wstał i podążył za nim potulnie. Zabójca doszedł do wniosku, że nie ma wyboru, więc także wstał i poszedł za androidem.

Na dworze zapadł zmierzch, zbliżała się noc. Kiedy Kaird zeskoczył na czarną jak smoła nawierzchnię, uderzyła go zupełna cisza. Nie wyczuwał nawet podmuchu wiatru, nie słyszał odgłosów owadów ani żadnych innych dźwięków, które by świadczyły o obecności istot wiodących nocny tryb życia. W powietrzu czuło się jednak napięcie, jakby z mroku przyglądało się im ogromne, niewidzialne stworzenie. Nie okazywało zniecierpliwienia, wrogości czy ciekawości, tylko obserwowało ich z kliniczną obojętnością, co było chyba jeszcze gorsze.

Kaird zadrżał, pełen jak najgorszych przeczuć. To była niesamowita okolica.

ROZDZIAŁ 35

Den doszedł do wniosku, że wszyscy inni w ich małej grupie postradali rozum. Nawet I-Five. Zwłaszcza I-Five.

Powstrzymywał się ze wszystkich sił, żeby nie krzyknąć na androida: „Czyś ty oszalał”? I-Five nie tylko się nie zadowolił odnalezieniem rycerza Jedi Pavana, ale kontynuował pościg za innym androidem. Co gorsza, zmuszał Dena, żeby dotrzymywał mu towarzystwa. Android zachowywał się jak obłąkany i wcale nie zamierzał opuszczać Pavana, chociaż rycerz Jedi wielokrotnie dowodził, że nie jest zainteresowany przyjęciem jego pomocy.

Sullustanin miał tego powyżej dziurek w nosie. Próbował być dobrym przyjacielem. Usiłował popierać poczynania I-Five, chociaż w głębi duszy uważał, że graniczą z obsesją. Starał się nie poddawać zazdrości z powodu uczucia, jakim android darzył syna Lorna Pavana, chociaż czuł się odrażony. Jego uczucia zdeptano, a ostrzeżenia zlekceważono. Starał się nie okazywać uprzedzeń do Jaksy Pavana. Wierzył, że rycerz Jedi, chociaż pozornie bezduszny, w gruncie rzeczy jest przyzwoitym gościem.

Próbował być dla niego uprzejmy, ale dokąd go to zaprowadziło? Na pokład rozklekotanego koreliańskiego statku przemytniczego, którym leciał, nie wiadomo dokąd... śladem innego statku, który pewnie mógł ich bez trudu prześcignąć, jeszcze zanim jego pilot włączyłby jednostkę napędu nadświatlnego. Spójrz prawdzie w oczy, powiedział sobie Sullustanin. Ta balia raczej nie zdobędzie nagrody w zawodach na najszybszy międzygwiazdny statek. Prawdę mówiąc, bardzo wątpił, czy dałaby radę zająć choćby trzecie miejsce w zawodach ścigaczy na Tatooine.

Trudno sobie wyobrazić, żeby sytuacja mogła wyglądać jeszcze gorzej.

– Kieruje się do Dzielnicy Fabrycznej – oznajmił w pewnej chwili Nick Rostu.

Właśnie zaczęła wyglądać gorzej, pomyślał Sullustanin.

Dzielnica Fabryczna, położona po przeciwnej stronie planety niż Imperial City, cieszyła się ponurą sławą najbardziej niebezpiecznego miejsca na Coruscant. Pełno tam było wysadzonych w powietrze i zrujnowanych budowli, w których buszowały co noc najgorsze męty różnych ras. Pod powierzchnią gruntu żyli posługujący się prymitywnymi narzędziami kanibale. Można też tam było spotkać polujące w stadach dzikie bestie, a prócz tego – najgorsze ze wszystkich, jeżeli choćby tylko część opowieści na ich temat była prawdziwa –

zdziczały roboty.

– Nie możemy tam lecieć – zaprotestował Sullustanin.

Nikt mu nie odpowiedział. „Długodystansowiec” zaczął obniżać pułap lotu i opadać z nocnego nieba.

Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby Den wiedział, czym się kierować. Gdyby widział wyraźny trop, na pewno stanąłby na czele grupy pościgowej, a przynajmniej zajął miejsce gdzieś w jej środku. Wiele lat temu jednak nauczył się nie ryzykować niepotrzebnie swojej cennej skóry, jeżeli stawka w grze nie jest dostatecznie wysoka. Robalooki może i miał cenne informacje, które mogły pomóc raczkującym Rebeliantom, ale prawdopodobieństwo obu tych faktów wydawało się bardzo małe. Nie zasługiwało na to, żeby ryzykować życie.

– Posłuchajcie – odezwał się znów Den. – Jeżeli jest tu ktoś, kto nie stracił do końca resztek zmysłów, lepiej niech zada sobie pytanie: dlaczego to robimy?

Nikt się nie zdecydował przerwać ciszy.

– Muszę spełnić ostatnią wolę mojego mistrza – odezwał się w końcu Pavan. – Nie prosiłem nikogo, żeby mi w tym towarzyszył. Z wyjątkiem Laranth.

– No cóż, nie przypominam sobie, żebym się zgłaszał na ochotnika – odparł Den. – Zwłaszcza po to, żeby lecieć do rejonu Coruscant, w którym ze strachu zbledliby nawet Czerwoni Gwardziści.

– Na pewno nie będzie tak źle – pocieszył go Jax Pavan.

Den spojrzał na niego.

– Czy wiesz, jak by nazywano to miejsce, gdyby sprowadziło się tu plemię istot rasy Noghri? – zapytał. – Istny Raj.

– Zgadzam się z Denem – oznajmiła Twi’lekanka. – Rozumiem twoją chęć pomszczenia śmierci Evena Piella, Jaksie, gdyby jednak mistrz Jedi był wśród nas, pierwszy by ci powiedział, żebyś nie ryzykował życia.

– W takim razie dobrze, że go tu nie ma – burknął Jax.

Nikt nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Den spojrzał przez iluminator. Z ponurą rezygnacją obserwował, jak statek powoli opada w kierunku ruin i zgliszcz w dole.

– A na dokładkę te dziczające roboty – powiedział. – Czy ktoś o nich pomyślał?

– To prawdopodobnie tylko bajki... – odparła niepewnie Laranth.

– Miejmy nadzieję – mruknął nieprzekonany Den. – Krążą plotki, jakoby automaty konstrukcyjne i burzące pozostały na tym terenie, kiedy go opuszczano. Podobno niektóre oszalały, chociaż nikt nie ma pojęcia dlaczego. Jedna z najpopularniejszych teorii głosi, że zdradziecki wirus zmienił ich oprogramowanie i zmienił je w zabójców.

Rostu sięgnął nad głowę i pstryknął dźwigienkami kilku przełączników. Den poczuł, że żołądek wywinął mu kozła. Domyślił się, że Nick wysunął łapy lądownicze. Chwilę później „Długodystansowiec” osiadł na powierzchni gruntu i Rostu wyłączył pomocnicze repulsory.

– Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli się sami przekonać, ile prawdy się kryje w

tych historiach – powiedział, spoglądając przez bańkę kabiny. – Tam widzę ich statek, ale gdzie się podzieli pasażerowie?

– Mam lepsze pytanie: dlaczego w ogóle tu przylecieli? – stwierdził Jax.

– A ja jeszcze lepsze: dlaczego ich ścigaliśmy? – dodał Sullustanin.

Rostu opuścił rampę i zaczęli po niej ostrożnie schodzić. Pierwsi szli oboje Jedi, potem Rostu i android, a między nimi bezbronny Den.

Budynki wokół nich wyglądały jak ponure, mroczne prostopadłościanny, oświetlone tylko zgnitym blaskiem obu księżyców. Niedługo powinien wejść także Centax Dwa, więc miało się stać niemal równie jasno, jak w dzień. Rozmaitym potworom łatwiej nas będzie wypatrzeć, pomyślał Den.

– Pochwyliłem zapach Falleena – oznajmił I-Five. – Tędy. Ruszył w kierunku jednego z budynków, z otworem drzwiowym mrocznym jak serce Hutta Rokko.

– Moim zdaniem – dodał – nie powinniśmy zostawać tu zbyt długo. Ze wskazań moich sensorów wynika, że energię dla całej okolicy zapewniał kiedyś jeden z tych staromodnych reaktorów jonowo-neutrinowych. Wykrywam radioaktywny wyciek o stosunkowo niskim poziomie.

Den pokręcił głową. Z każdą chwilą coraz lepiej, pomyślał ponuro.

Kaird szedł między Xizorem a 10-4TO korytarzami mrocznego budynku, w którym mieściła się kiedyś fabryka androidów. Wyglądało na to, że Falleen zna drogę na pamięć, bo prowadził ich bez wahania labiryntem korytarzy, klatek schodowych i pokojów. W końcu dotarli do niewielkiego pomieszczenia. Przez oblepione brudem okna wpadało zimne księżycowe światło. Kaird nie zauważył w ciemności żadnego ruchu i poczuł lekką ulgę. Dzięki dużej wrażliwości na światło widział lepiej niż którykolwiek z jego towarzyszy. Nic nie wskazywało, żeby mu coś zagrażało, chociaż poczułby się o wiele lepiej, gdyby nie miał zakneblowanych ust ani ogłuszających kajdanków na przegubach.

– Prawdopodobnie jesteś ciekaw, dlaczego przyleciałem z tobą na drugą stronę planety, do tego zapomnianego przez wszystkich miejsca, Kairdzie – odezwał się Xizor. – To proste... Chciałem, żebyś się tu z kimś spotkał. – Postawił przenośną latarkę na półce i włączył źródło światła. Kaird spojrział na niego. Księżę się uśmiechał. Z długiego doświadczenia Nedijanin wiedział, że to niepomyślna wróżba.

Falleen odwrócił się do 10-4TO.

– Zdezaktywuj się na dziesięć minut – rozkazał.

Android zgasił fotoreceptory i lekko się zgarbił. Xizor odczekał chwilę, aby się upewnić, że Robalooki jest rzeczywiście wyłączony, po czym podszedł do Kairda i usunął mu knebel z ust. Wyciągnął rękę w stronę kogoś za jego plecami.

– Chyba nie muszę was przedstawiać – powiedział.

Nedijanin powoli się odwrócił. Dręczyło go coraz silniejsze przecucie, że zaraz wydarzy

się coś strasznego. Pod ścianą, w najciemniejszym miejscu niewielkiego pokoju, stał mężczyzna. Kaird od razu go rozpoznał, chociaż w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wpatrywał się w niego, zdretniały z przerażenia.

Mężczyzną tym był lord Dal Perhi.

ROZDZIAŁ 36

Larant, Den Dhur, I-Five i Jax skierowali się w stronę ciemnego otworu drzwiowego. Nick zacisnął palce na rękojeści blastera w kaburze. Oboje Jedi weszli pierwsi, a Rostu ostatni.

Znalezienie uciekinierów nie powinno być trudne... przynajmniej dopóki działały sensory węchowe I-Five. Jego fotoreceptory świeciły najsilniejszym możliwym blaskiem, więc na brak oświetlenia także nikt nie mógł narzekać. Dzięki szczątkowej więzi z Mocą Nick nie wyczuwał bezpośredniego zagrożenia, chociaż był całkiem pewny, że na obrzeżach jego świadomości czają się potwory.

A co najmniej jeden czai się bardzo blisko, pomyślał. Tym potworem jestem ja.

Czasu było coraz mniej i oficer wiedział, że niebawem będzie musiał podjąć decyzję. Odkładał ją tak długo, jak mógł, w nadziei, że coś się wydarzy... że nie będzie musiał wykonać nikczemnego zadania.

Mógł wyliczyć kilkanaście powodów uwalniających go od wyrzutów sumienia po wydaniu Jaksy w ręce Dartha Vadera. W końcu rycerz Jedi nie był jego krewnym ani nawet bliskim przyjacielem. Rostu nie miał pojęcia, jaki los zamierza Czarny Lord zgotować rycerzowi Jedi, chociaż raczej się nie spodziewał, żeby Vader kazał przetransportować Jaksę do Imperial City tylko po to, żeby go poczęstować przyprawową herbatką i chrupiącymi babeczkami.

Rostu wiedział jednak aż za dobrze, co się stanie, jeżeli sprawi zawód Vaderowi: porośnięty dżunglą płaskowyż, który był ojczyzną jego plemienia, zostanie przemieniony w hałdy spalonego żużlu.

Czy Vader rzeczywiście mógł wydać taki rozkaz? Haruun Kal nie była przecież nieznaną zacofaną planetą. Mimo najróżniejszych chorób, epidemii i innych nieprzyjemnych zjawisk była w znanej galaktyce jedynym źródłem takich niezbędnych do życia surowców, jak drewno lammas, kora thyssele czy liście portaak. Chęć wyeliminowania choćby tylko jednej drobnej gałęzi kwitnącego przemysłu galaktyki z powodu zwykłej urazy, no cóż... wydawała się absurdalna.

Z drugiej strony jednak...

Nie, Nick po prostu nie miał szans się z tego wywinąć. Nie mógł ryzykować, że Vader

spełni choćby tylko część swojej groźby. Dobro ogółu było ważniejsze niż interes nielicznych... czyli, konkretnie, tylko jednej osoby.

Oficer zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie usiłuje znaleźć usprawiedliwienia w danych statystycznych. W końcu gniewnie pokręcił głową. Nie potrzebował usprawiedliwienia. Dobrze wiedział, co musi zrobić dla dobra innych. Mimo wszystko to nie była jego wina. Wszystkiemu zawinił wysoki, złowieszczy mężczyzna w czarnej masce.

Nie chodziło o to, że Nick postępuje niesłusznie. Walczył o mnóstwo słusznych spraw i o tyleż samo niesłusznych na tyłu rozdieranych przez wojny planetach, że nie potrafiłyby ich zliczyć. Zastanowił się, kiedy znajdzie chwilę wytchnienia, kiedy nadejdzie okres spokoju? Pogodził się z tym, że w jego przyszłości nie ma miejsca na luksusową conaptę, żonę i dzieci czy wysoką emeryturę. Z drugiej strony jednak nie chciałby dożyć ostatnich dni w więzieniu na planecie w rodzaju Despayre, w dodatku ze świadomością, że odpowiada za śmierć tysięcy ziomków.

Zauważył spojrzenie Jaksa i złapał się na tym, że znów zapomniał stłumić nerwowe reakcje na dręczący go niepokój. Prawdopodobnie przekazywał swoje emocje na wszystkich pasmach Mocy. Szybko się opanował, licząc na to, że rycerz Jedi nie zdecyduje się zapuścić bezpośredniej sondy do jego mózgu. Na ile Nick się orientował, Pavan nie był równie silny Mocą jak Vader, rycerz Jedi bez trudu mógłby jednak pokonać słabiutkie umysłowe bariery, które Nick zdołałby przeciwstawić takiej sondzie.

Na szczęście Jax nie zdecydował się na zapuszczenie bezpośredniej sondy. Zwolnił i zrównał się z Nickiem.

– Nic ci nie jest? – zapytał półgłosem.

– Nic, tylko... staram się wszystko tłumić w sobie – odparł Rostu. – Jeżeli uwalniam myśli i wysyłam je zbyt daleko, czuję, jakby coś je odpychało.

– Wyczuwasz innego dysponenta Mocy? Tutaj? – zapytał sceptycznym tonem Jax, chociaż wyglądał na zaskoczonego.

– Nie, nie o to chodzi – zastrzegł pospiesznie Rostu. – Coś jednak czai się na obrzeżach.

Rycerz Jedi zmarszczył brwi. W pierwszej chwili Nick pomyślał, że Pavan wygląda ponuro. Po chwili jednak, zupełnie niespodziewanie, zarejestrował związany z Jaksem przebłysk Mocy. Zdumiony spojrzał na rycerza Jedi. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby się okazało, że w rzeczywistości Jax jest zmiennokształtnym Clawditem.

Zrozumiał, że Jax Pavan traci łączność z Mocą.

Nie miał pojęcia, dlaczego akurat w tej chwili jego słabiutka więź nagle ujawniła mu tę zaskakującą prawdę. Czasami tak się działo; nie było ściśle ustalonych reguł ani wyraźnych praw, które by określały wpływ Mocy. A jednak niektórzy Jedi skłonni do metafizycznych rozważań wierzyli, że jej objawienia kształtują bieg wszystkich wydarzeń. Organiczne istoty inteligentne nie miały szans, by to zrozumieć. Nick nie wiedział, czy to prawda, czy też kompletna bzdura. Był pewny tylko jednego: tym razem Moc mówi mu prawdę.

Więź rycerza Jedi z Mocą to pojawiała się, to zanikała.

Nick nie zdążył oderwać wzroku od Jaksa, kiedy Pavan spojrział na niego i od razu się zorientował, o czym on myśli. Oznaczało to, że słabnąca więź Jaksa jest wciąż jeszcze wystarczająco silna.

– Tak – odezwał się półgłosem Pavan. – To prawda.

Nick nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jego własna więź z Mocą, chociaż słaba, nigdy nie zanikała. Może nie miała przeblysków oświetlających mroczną płaszczyznę istnienia, za to płonęła zawsze stałym blaskiem. Nick nie słyszał dotąd, żeby takie zaniki przydarzyły się komukolwiek, kto ma szczęście utrzymywać łączność z Mocą.

– To... pojawia się i znika – podjął Jax. – Nie dzieje się to często, ale kiedy już się wydarzy... czuję się, jakby mnie wystrzelono ze śluzy w przestworza bez próżniowego skafandra.

Mogę się o to założyć, pomyślał Nick. Przyszło mu do głowy, że mógłby to wykorzystać do swoich celów. Łatwiej byłoby mu ukryć prawdziwe zamiary, gdyby Jax nie utrzymywał cały czas ścisłej więzi z Mocą.

Gdy tylko o tym pomyślał, poczuł odrazę do samego siebie. Ogarnęły go wyrzuty sumienia, ale Jax chyba ich nie zauważył.

– Powiedziałeś o tym paladynce? – Nick nie bardzo wiedział, o co go zapytać w tej sytuacji.

– Nie, ale Laranth chyba coś podejrzewa – odparł rycerz Jedi. – Będę musiał jej powiedzieć z tego samego powodu, dla którego zwierzyłem się tobie. Jeżeli moja więź z Mocą zaniknie w niewłaściwej chwili, razem z nią będziesz musiał doprowadzić do końca to zadanie. Rozumiesz?

– Jasne, że rozumiem – odparł Rostu, chociaż słowa smakowały w jego ustach jak popiół.
– Wspieramy cię we wszystkim, co robisz. Osłaniamy cię od tyłu.

Po pokonaniu mrocznego labiryntu korytarzy i pokojów przeszli przez wyłamany panel drzwiowy i znaleźli się w pomieszczeniu, w którym mieściła się kiedyś główna sterownia. Były tu rzędy konsol, stojące pod ścianami szafy z elektrycznymi zestawami, zawieszzone pod sufitem monitory i inne urządzenia. Od razu zwrócili uwagę na ogromny transpystalowy panel, przez który można było obserwować ciągnącą się jak okiem sięgnąć linię montażową w dół. Wszystkie urządzenia wyglądały na bardzo stare. Jedynymi źródłami światła w sterowni były płonące słabym blaskiem kinkiety, które oświetlały wszystko słabym błękitnym blaskiem.

Sterownia została zdewastowana. Z regałów pod ścianami wyszarpnięto moduły, po których zostały tylko wiązki kabli i uszkodzone podzespoły elektroniczne. Ekran monitorów strzaskano, a urządzenia elektroniczne rozbito o podłogę i ściany. Ze środka transpystalowego panelu rozchodziła się we wszystkie strony pajęczka pęknięć.

Ogrom zniszczeń dowodził zdziczenia sprawcy. Obojętne, kim był, działał metodycznie, jakby z zapiekłą nienawiścią. Musiał być także bardzo silny, bo inaczej nie dałby rady strzaskać grubej transpastali. Jax zauważył, że Den Dhur podniósł z podłogi kawałek framugi panelu i zaczął mu się uważnie przyglądać. Po chwili bez słowa wręczył go androidowi. I-Five obejrzał uważnie znalezisko i zacisnął metalowe palce na krawędzi dokładnie w miejscu, gdzie widniał odcisk czterech durastalowych palców, które prawdopodobnie wyszarpnęły framugę ze ściany.

Larant popatrzyła na odłamek w dłoni I-Five.

– Zdziczałe roboty – mruknęła.

Część III

Zdziczałe miasto

ROZDZIAŁ 37

Nick stał nie dalej niż metr od swoich towarzyszy, którzy gorączkowo się sprzeczcali, czy tak zwane zdziczałe roboty istnieją, czy też nie. Jax nadal nie godził się z żadną opinią wygłaszaną przez I-Five. Oficer doszedł do wniosku, że Pavan jest dziwnie przewrażliwiony na tym punkcie. Dlaczego tak bardzo go złości ten android? – zadał sobie pytanie. Jeżeli rzeczywiście I-Five, jak twierdził, jest obdarzony samoświadomością i wolną wolą, to trzeba by zmienić zdanie na temat inteligencji maszyn. Nick nie rozumiał jednak, dlaczego miałyby to być tak wstrząsającą nowiną. Jego zdaniem nawet upośledzony umysłowo reek był bardziej inteligentny niż większość tak zwanych istot rozumnych.

Obserwował dyskretnie Jaksę, wciąż nie mogąc uwierzyć, że rycerz Jedi traci powoli łączność z Mocą. Stawiało to w nowym świetle jego zdradzieckie posłannictwo. Przekazanie w ręce Vadera rycerza Jedi, który sprawował władzę nad Mocą, było wystarczająco obrzydliwym postępkim, ale wydanie go Czarnemu Lordowi w takim stanie było niewiele lepsze niż wbicie mu w serce klingi świetlnego miecza. Ba, posłużenie się świetlnym mieczem byłoby bardziej humanitarne.

Rostu wiedział, że musi podjąć decyzję... chociaż powinien to zrobić wcześniej. Powinien był skontaktować się z Vaderem, kiedy tylko znaleźli Robalookiego w slumsach Ugnaughtów, ale od tamtej pory wydarzenia toczyły się zbyt szybko. Nick wiedział jednak, że nie może zwlekać ani chwili dłużej. Jeżeli rzeczywiście miał wszczepiony pod skórę miniaturowy nadajnik sygnału namiarowego, to właśnie w tej chwili urządzenie przekazywało informację, że jego właściciel znajduje się po przeciwnej stronie planety, niż zapowiadał. W tym samym miejscu przebywał wprawdzie Robalooki, ale Nick nie chciał ryzykować życia członków swojego gósha, gdyby Vader doszedł do przekonania, że oficer próbuje się wykręcić od wykonania zadania.

Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: albo natychmiast przekaże Jaksę w ręce Vadera, albo pogodzi się z tym, co nieuniknione, i będzie żył z brzemieniem odpowiedzialności za śmierć tysięcy ziomek.

Czarny Lord ostrzegł go, żeby nie usiłował sam schwytać rycerza Jedi, i przekazał mu nastawiony na specjalną częstotliwość komunikator. Nick musiał go tylko włączyć, żeby Vader od razu otrzymał umówiony sygnał. Urządzenie było wszytym w ubranie kawałkiem

inteligentnej tkaniny, nie do wykrycia przez żadne standardowe urządzenie skanujące. Komunikator zaprojektowano tak, żeby rozpoznawał jego DNA. Wystarczyło lekko ścisnąć materiał między kciukiem a opuszką wskazującego palca, aby Vader natychmiast się dowiedział, że Nick Rostu odnalazł Jaksę Pavana. Umieszczony pod skórą nadajnik sygnału namiarowego pozwoliłby Czarnemu Lordowi nieomylnie rozpoznać miejsce nadania.

Nick musnął lekko palcem fragment tkaniny i natychmiast odwrócił się. Kiedy wszyscy byli zajęci dyskusją, roztopił się bezszelestnie w ciemności i wyszedł ze sterowni przez wyłamany panel drzwiowy.

Kiedy zniknął pozostałym z oczu, przyspieszył. Nie miał pojęcia, dokąd idzie; chciał się tylko znaleźć dalej od Pavana, żeby rycerz Jedi nie wykrył możliwego zagrożenia z jego strony. Wiedział, że nie potrafiłby zdradzić Jaksę, dopóki przebywa z nim w tym samym pomieszczeniu.

Nie zamierzał odchodzić daleko. Zdawał sobie sprawę, że w ciemności mogą się czaić zębate zagrożenia. Chociaż łączyła go z Mocą tylko słabiutka więź, cały czas jej ufał. Wierzył, że nabyte podczas licznych walk szybki refleks i automatyczne odruchy uchronią go na tyle czasu, żeby doprowadził do końca swoje zadanie. A jeżeli się mylił, jeżeli coś wielkiego i szybkiego miało wkrótce potraktować go jak ciepły lunch, zanim zdąży zareagować... cóż, w obecnej chwili trudno mu było dostrzec wady takiego scenariusza.

Kaird nie mógł uwierzyć własnym oczom. Lord Czarnego Słońca był ostatnią osobą, której by się spodziewał w Dzielnicy Fabrycznej, w zniszczonej i opuszczonej fabryce androidów. To był jednak na pewno on, nie mogło być co do tego wątpliwości. Kaird stał niespełna dwa metry od lorda. I nie było dla niego problemem rozpoznać każdego pod najlepszym nawet przebraniem.

– Witaj, lordzie Perhi – powiedział, zachwycony, że nawet nie drżał mu głos. – Co cię tu sprowadza?

Przywódca Czarnego Słońca spiorunował go spojrzeniem.

– Czy to nie oczywiste? – zapytał. – Przybyłem tu, żeby posprzątać bałagan, którego narobiłeś. Książę Xizor poinformował mnie o rozwoju sytuacji, więc pojawiłem się bez chwili zwłoki.

Sytuacji? Jakiej sytuacji? – pomyślał zdezorientowany Nedijanin. Chciał już odpowiedzieć, ale zauważył coś bardzo dziwnego.

Widział lepiej w zakresach podczerwieni i nadfioletu niż większość istot innych ras, więc zorientował się, że od ciała Perhiego promieniują fale ciepła. Co więcej, temperatura skóry lorda zmieniała się co chwila od bardzo niskiej do bardzo wysokiej. Kaird pomyślał, że to niewytłumaczalne. Perhi stał zupełnie nieruchomo. Nic nie wskazywało, żeby niedawno wykonywał intensywne ćwiczenia fizyczne. Oddychał miarowo i się nie pocił, a mimo to temperatura jego skóry okresowo, z każdym oddechem, rosła i malała, rosła i malała... Kaird

oceniał, że amplituda zmian wynosi przynajmniej piętnaście stopni.

Podszedł do Perhiego i chwycił go za przedramię, żeby się upewnić, chociaż musiał w tym celu wyciągnąć obie skute kajdankami ręce. Nie, to nie była tylko jego wyobraźnia. Wyraźnie wyczuł, że temperatura skóry lorda wzrasta i opada. Przedziwne zjawisko! Perhi nie mógł stać tu przed nim i rozmawiać, jeżeli jego wewnętrzny termostat ulegał tak silnym zmianom...

I nagle Kaird zrozumiał.

Z przesadnym oburzeniem „Perhi” wyszarpnął rękę z jego palców.

– Co ty sobie wyobrażasz? – warknął. – Każę cię za to...

Fałszywy lord nagle urwał. Zadrżał i nagle uniósł głowę, a szyja wyprężyła się jak w agonii. Kaird patrzył z narastającym przerażeniem, jak symulant się... topi. Jego ciało skurczyło się i szerniało, a wreszcie rozpadło się na małe kawałki. W zgniłej brei błysnęły na sekundę gałki oczne, zęby i metalowe kości, ale zaraz i one się roztopiły, opływając organiczne i elektroniczne szczątki. Chwilę później z symulanta, który wyglądał jak lord Dal Perhi, pozostała tylko kałuża czarnej mazi. Błyskały w niej iskry wyładowań elektrycznych, zanim zupełnie ściemniała.

Przerażony Nedijanin cofnął się i potknął. Spojrzał na Xizora.

– Co... co to było? – wyjąkał. – Jakiś... nowy android?

– Ludzki replikant – wyjaśnił Falleen. Straszny widok, jaki mieli przed sobą, nie wywarł na nim absolutnie żadnego wrażenia. – Pierwszy od kilkunastu wieków poważny krok w dziedzinie produkcji androidów. Sklonowana organiczna tkanka stopiona z cybernetycznym rdzeniem i durastalowym endoszkieletem.

Oszołomiony Kaird pokręcił głową.

– Nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego ktoś chciałby produkować... sklonowane androidy? Dlaczego po prostu nie wykorzystać biotechniki Kaminoan, żeby wyhodować prawdziwego klona?

– Bo nawet przy zwiększonym tempie tego procesu wyhodowanie dorosłego osobnika z blastocysty zajmuje przynajmniej dziesięć lat – odparł Falleen. – Replikanta można wytworzyć o wiele taniej i szybciej... w ciągu niespełna trzech standardowych miesięcy. A jego indywidualne programowanie jest łatwiejsze, szybsze i bardziej wszechstronne, bo używa się sztucznej sieci neuronowej.

Myśli w głowie Kairda wirowały jak szalone.

– Chcesz powiedzieć, że prowadzisz prace po drugiej stronie planety, w jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na Coruscant, aby zastąpić lorda Perhiego kimś w rodzaju ni to klona, ni to androida? – zapytał. – Sądziłem...

Urwał, bo zauważył, że Xizor wie, co zamierzał powiedzieć.

– Ty, a prawdopodobnie także Perhi, przypuszczaliście, że celem mojego życia jest zdobycie tytułu lorda Czarnego Słońca – odparł w końcu Falleen. – Mielicie rację. Właśnie

na tym polega mój plan. Problem w tym, że Czarne Słońce to nie banda Trandoshan, którzy awansują w hierarchii organizacji tylko dzięki przemocy. Nie mogę po prostu wejść do komnaty lorda i rozpylić go na atomy. Muszę działać subtelniej.

Nedijanin spojrzał jeszcze raz na cuchnącą kałużę pod stopami.

– Nie wydaje mi się, żeby to był bardzo subtelny sposób – powiedział.

Xizor westchnął.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że technika nie jest jeszcze do końca opracowana – przyznał niechętnie. – Te okresowe wahania temperatury to poważny problem. Wygląda na to, że mózg androida został w jakiś sposób skażony przez genom klona. Powstał dziwny hybrydowy wirus, zawierający cząsteczki RNA ze sklonowanej tkanki, a oprócz tego algorytm z substratu systemu operacyjnego. W rezultacie android nie wie, kim ma być. Dochodzi do przeciążenia obwodów sensorycznych i... – Urwał i wzruszył ramionami. – Sam widzisz, co się stało.

– Dlaczego w ogóle mi to pokazałeś?

– Z dwóch powodów – odparł Xizor. – Po pierwsze, byłem ciekaw, czy replikant okaże się na tyle wiarygodny, aby wywieść w pole kogoś, kto dobrze zna Perhiego. – Falleen stanął przed Nedijaninem i bardzo paskudnie się uśmiechnął. – A po drugie, doszedłem do wniosku, że skoro w moje ręce wpadł świetnie wyszkolony zabójca, byłbym głupcem i marnotrawcą, gdybym go nie wykorzystał. Moi naukowcy ustępują tylko Imperatorowi w umiejętności prania mózgow. Fizyczne pozbycie się Dala Perhiego nie byłoby na dłuższą metę równie skuteczne, jak zastąpienie go marionetką... ale i tak lepsze niż nic. Zwłaszcza gdyby istniały dowody, że działałeś na własną rękę, aby samemu zająć jego miejsce. – Spojrzał na Robalookiego, jakby chciał się upewnić, że android jest nadal wyłączony. – Powrócę triumfalnie do Północnej Hali z androidem, który przechowuje cenne informacje. Ty zaś ze wstydu, że zawiodłeś lorda Perhiego, nie wykonując zadania, dokonasz zamachu na jego życie... i popełnisz samobójstwo.

Kaird myślał tak szybko jak jeszcze nigdy do tej pory. Musi znaleźć sposób, żeby się jakoś z tego wyplątać. Jego sytuacja nie wyglądała dobrze.

– Masz coś przeciwko temu? – zainteresował się Xizor. – Nie? Doskonale. – Zerknął na wyświetlacz chronometru na przegubie, po czym przeniósł spojrzenie na wyłączonego 10-4TO. – Moim zdaniem gawędziliśmy wystarczająco długo, prawda? – Ponownie zakneblował Kairda. Chwilę później Nedijanin usłyszał cichy zgrzyt towarzyszący włączeniu androida. Xizor wykonał wymowny gest lufą blastera.

– Chodźmy teraz na spotkanie z moimi pracownikami – zaproponował. – Przedstawię ci nowy powód, żebyś nadal żył... i umarł.

Rhinann wyszedł z conapty, pokonał krótki korytarz do turbowindy i przywołał kabinę. Zjechał nią siedemdziesiąt trzy piętra i przeszedł chyba z kilometr następnym korytarzem. W

końcu skrzył w prawo i stanął przed piątymi drzwiami po lewej stronie.

Cała wyprawa zajęła mu osiem minut i trzy sekundy. Elomin pocieszał się, że widocznie stan jego nerwów nie jest taki zły, skoro zwraca uwagę na takie szczegóły.

Pod ścianami pomieszczenia, do którego wszedł, stały regały i szafki z kasetkami. Pokój był czymś w rodzaju uniwersalnego magazynu i ostatnio pełnił funkcję przechowalni. Rhinann przeszedł na środek i powiedział głośno:

– Przeszukać katalog dziewiętnasty i wyświetlić miejsce przechowywania niezidentyfikowanego holocronu.

Katalog dziewiętnasty zawierał wykaz najróżniejszych artefaktów, w których posiadanie Imperium weszło po zakończeniu Wojen Klonów. Rhinann wiedział, że w szafkach znajdzie między innymi płonące klejnoty z Tatoonie, kulę z czystego orichalca, pojemnik bardzo rzadko spotykanego solarbenitu i wiele innych ciekawych przedmiotów.

W powietrzu pojawiła się holograficzna lista zawartości kilku szafek. Rhinann kazał wyświetlić miejsce przechowywania najstarszego przedmiotu i wszystkie pozycje z wyjątkiem jednej zgasły. W powietrzu zaczął mrugać kod katalogu: „SD41263.1: starożytny Holocron”. Elomin przeglądał pobieżnie katalog tylko raz, przed kilkoma miesiącami. Podszedł do właściwej szafki, wysunął jedną z kasetek i wyciągnął wskazaną tackę. W zagłębieniu z plastpianki, między ikoną totemu Niktów a geonosjańską geodą, spoczywał niewielki sześcian o boku mniej więcej czterech centymetrów i o zaokrąglonych rogach. Kostka świeciła słabym czerwonym blaskiem, a na jej podświetlonych od wewnątrz ściankach widniały przypominające pismo klinowe prastare znaki. Dzięki wcześniejszym studiom Rhinann od razu się zorientował, że to język Sithów.

Ostrożnie chwycił sześcian palcem wskazującym i kciukiem, wyjął i uniósł w powietrze, żeby się lepiej przyjrzeć. Teraz musiał już tylko zastąpić go innym drobiazgiem i w odpowiedni sposób zmienić dokumentację, aby mogło się wydawać, że holocronu nigdy tu nie było. Umieścił bezcenny przedmiot w kieszeni kamizelki, wsunął tackę na swoje miejsce i zamknął kasetkę. Wydał rozkaz zgaszenia hololisty, a dopóki jeszcze panował nad nerwami, wyszedł z przechowalni i sztywno stawiając nogi, ruszył w drogę powrotną do conapty.

Zanim jednak tam dotarł, rozległ się świergot komunikatora. Z dreszczem strachu Rhinann włączył urządzenie.

Usłyszał głos Lorda Vadera:

– Przyjdź do mnie, Rhinannie. Wybieramy się na wyprawę.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy Laranth wypowiedziała na głos słowa, które przysły wszystkim do głowy, na długo zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją Den.

– Możemy już się stąd wynosić? – zapytał.

Jax Pavan z uporem pokręcił głową.

– Muszę wykonać ostatnie polecenie... – zaczął.

– ...Mistrza Piella, wiemy – dokończył Sullustanin z niesmakiem, unosząc ręce w geście rozpaczy. – Chyba oszalałeś, mój przyjacielu. Co gorsza, masz skłonności samobójcze. Jestem wprawdzie tylko reporterem, ale moim zdaniem wszyscy wokół ciebie będą mieli większe szanse, jeżeli ktoś ci zabierze świetlny miecz i wszystkie przedmioty...

– Dosyć, Denie!

Ośłupiały Sullustanin umilkł, bo te słowa nie padły z ust Laranth ani Pavana, tylko I-Five.

Został przywołany do porządku przez androida! Przez swojego przyjaciela, który nigdy, jak daleko Den sięgał pamięcią, nie wpadł w gniew ani nie podniósł głosu na nikogo! Nie krzyczał nawet na ogromne, nieprzyjazne formy życia, które mogły wyrządzić im obu poważną krzywdę. A już na pewno nie zwracał się takim tonem do Dena. Reporter poczuł falę emocji... urazy, zakłopotania i – musiał to przyznać – gniewu.

Gniewu i oburzenia – a wszystko dlatego, że upomniał go android.

Zaczerwienił się aż po czubki uszu. Spojrzał na I-Five, ale android odwrócił się do Pavana.

– W takim razie lepiej nie zwlekajmy – powiedział. – Jeżeli te zdziczałe androidy naprawdę istnieją, a wszystko na to wskazuje – dodał, omiatając spojrzeniem rozrzucone wokół szczątki elektronicznej aparatury – mogą tu jeszcze wrócić.

Pavan pokiwał głową.

– I-Five, ty i Laranth będziecie zamykali nasz pochod – zdecydował. – Nick i ja... – Urwał i zdziwiony rozejrzał się po sterowni. – Gdzie się podział Nick? – zapytał.

Rzucili się go szukać. I-Five zwiększył do maksimum intensywność blasku fotoreceptorów, żeby światło docierało nawet w mroczne kąty sterowni, ale Nick Rostu zniknął.

– Coś musiało go porwać – domyślił się Den.

Oboje Jedi pokręcili głową.

– Nie – zapewnił rycerz Jedi. – Na pewno byśmy to wyczuli, Laranth i ja.

– Jax ma rację – poparła go Twi’lekanka. – Wyszedł stąd z własnej woli.

– Ta-a? Dokąd? – Den wzdrygnął się i mimo sprzecznych uczuć, jakie nim miały, podszedł bliżej androida.

– To dobre pytanie – stwierdziła Laranth. – Dokąd i po co?

– Obojętne, co zamierza – powiedział Sullustanin – wcześniej czy później i tak skończy jako obiad tubylców... o ile do tej pory nie skończył.

– Jeszcze nie, więc lepiej go poszukajmy, zanim stanie się coś złego. – Pavan na chwilę zamknął oczy. – Wyczuwam go – odezwał się w końcu. – Tędy.

Wskazał na jedno z ciemnych przejść. I-Five ruszył w tamtą stronę. Nie zmniejszył intensywności świecenia fotoreceptorów, a i tak oświetlał tylko fragment posadzki przed swoimi stopami.

Laranth ustawiła Dena w środku grupy.

– Będę szła na końcu – zdecydowała. – Idź przede mną... będziesz bezpieczniejszy.

Miło wiedzieć, że jednak ktoś się o ciebie troszczy, pomyślał Sullustanin, ruszając za Pawanem oraz I-Five.

Doszedł do wniosku, że obdarzone samoświadomością androidy nie są tworamii doskonałymi. W końcu samoświadomość zakładała istnienie wad charakteru, które także trzeba było sobie uświadamiać. Tylko istota niedoskonała musiała dążyć do doskonałości.

Ludzie popełniają błędy, pomyślał ponuro. I-Five popełnia błędy, a zatem...

Parsknął pogardliwie. Nie ma to jak logiczne wnioskowanie, dokończył w myśli.

Kaird cały czas kombinował. I bardzo się spieszył. Nie mógł zaprzeczyć, że wpadł do kolczastego gniazda. Falleen mierzył do niego z blastera, co nie byłoby powodem do specjalnego zmartwienia, gdyby nie ogłuszające kajdanki na przegubach. Nedijanin już nieraz pokonywał nawet tak czujnych i świetnie wyszkolonych przeciwników jak Xizor, ale teraz miał skrzepowane ręce. Co więcej, Kaird musiał się liczyć z niebezpieczeństwem, jakie mogło mu grozić ze strony androida. Nedijanin nie miał pojęcia, jak dużą władzę nad 10-4TO dawało Xizorowi zaszyfrowane hasło, ale nie zamierzał się o tym przekonywać. Postanowił zaczekać, aż Xizor zdejmie mu kajdanki, i mieć nadzieję, że nie będzie jeszcze za późno na próbę ucieczki.

Falleen prowadził ich w dobrym tempie. W końcu skręcili za róg korytarza i stanęli przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Książę przyłożył dłoń do identyfikacyjnego panelu, skrzydła się rozsunęły i ukazało się wnętrze. Xizor aż się cofnął. Był tak wściekły i wstrząśnięty, że jego skóra przybrała ciemnopomarańczową karnację.

Ogromne laboratorium wyglądało jak pobojuwisko. Aparaturę elektroniczną medyczną i chemiczną kompletnie zniszczono, a szczątki rozrzucono po całej sali. Kaird widział wszędzie

strzaskane zlewki i probówki, rozbite zbiorniki bacta, przewrócony sprzęt diagnostyczny i wiele innych zniszczeń.

Nie to było jednak najgorsze. W podobny sposób co aparaturę potraktowano także lekarzy i naukowców Xizora. Na ścianach widniały ślady krwi istot różnych ras, począwszy od czerwieni ludzkiej hemoglobiny, a skończywszy na zielonkawym błękitcie aqualishańskiej hemocyjaniny. W jednym miejscu leżała urwana głowa Dralla. Na porośniętej sierścią twarzy zastygł wyraz bezgranicznego przerażenia.

Stało się oczywiście, że tego dnia nie będzie żadnego prania mózgu... chyba że pod tym pojęciem kryło się zdrapywanie ze ścian i posadzki szarych komórek.

Xizor był wściekły jak jeszcze nigdy do tej pory.

Kaird usłyszał, jak Falleen mruczy:

– Roboty... parszywe zdziczałe roboty. Salizjanie mówili mi, że one...

– Ktoś nadchodzi – ostrzegł niespodziewanie 10-4TO.

Xizor napiął mięśnie i opuścił dłoń do blastera w kaburze. Odgłosy kroków stawały się coraz głośniejsze. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się mężczyzna. Kaird przyjrzał mu się. Nieznajomy był szczupły i ubrany jak gwiazdny podróżnik, ale miał także w sobie coś z wojskowego. Na ich widok przystanął zaskoczony, ale zaraz uprzejmie się uśmiechnął, jakby przypadkiem natknął się na kogoś znajomego.

– Jak miło – powiedział. – Książę Xizor. – Przeniósł spojrzenie na androida. – A to słynny 10-4TO, znany także jako Robalooki. Coś niesamowitego... Jakie mamy szanse?

Rhinann miał nadzieję, że wygląda normalnie, chociaż bał się jak jeszcze nigdy w życiu.

Nikt nie mógłby go winić, nawet gdyby wyglądał na przerażonego. Wezwany bez uprzedzenia przez Vadera, miał mu towarzyszyć w tajemniczej wyprawie na drugą stronę planety, do przerażającego miejsca, którego wszyscy starali się unikać. Czy ten pomysł nie był złowieszczy? Jego zdenerwowania nie zmniejszył fakt, że miał im towarzyszyć batalion imperialnych żołnierzy. Z drugiej strony jednak, zważywszy na to, co słyszał o Dzielnicy Fabrycznej, na pewno było lepiej mieć ich koło siebie. Elomin nie miał nic przeciwko żołnierzom, ale najchętniej w ogóle by nie leciał na tę wyprawę. Lubił wprawdzie pełne akcji opowieści, ale niekoniecznie musiał osobiście brać w nich udział. Stanowczo by wolał znaleźć zastępstwo.

A tymczasem stał na mostku transportowca Lorda Vadera i obserwował, jak planeta coraz bardziej się oddala. Jako główny adiutant Lorda Sithów towarzyszył mu niekiedy w różnych wyprawach, ale to nie zmniejszało jego przerażenia. W dodatku nie zdążył zostawić holocronu w swojej conapcie, więc nadal go miał w kieszeni kamizelki. Czasami nawet go wyczuwał.

Nie wiedział o holocronie właściwie nic oprócz tego, że przedmiot jest niewiarygodnie stary i, sądząc po napisach, stanowił kiedyś własność Sithów. Kaird przywłaszczył go sobie,

bo dał się ponieść irracjonalnej desperacji. On, Haninum Tyk Rhinann, który szczycił się tym, że nigdy nie działa pochopnie, dopuścił się czegoś niewyobrażalnego jak na Elomina: uległ impulsowi. Ukradł holocron w całkowicie pozbawionej logiki nadziei, że znajdzie w nim coś, co ochroni go przed Darthem Vaderem.

Z każdego możliwego punktu widzenia postąpił nierozważnie, i sam o tym najlepiej wiedział. Holocron może i był kiedyś własnością Sithów, ale to jeszcze nie oznaczało, że da się go wykorzystać przeciwko Vaderowi. Lord był Sithem, to prawda, ale Rhinann wiedział, że ostatni przedstawiciel prastarego zakonu żył i zginął przed wieloma tysiącami lat. Nie istniał żaden powód, aby podejrzewać, że holocron zawiera jakiegokolwiek informacje, które można byłoby dzisiaj wykorzystać. Mogła tam być na przykład lista dawno zapomnianych przepisów kulinarnych, po upływie tak długiego czasu niemożliwa do odczytania. Kaird nie miał pojęcia, czy dałby sobie z tym radę.

Rozumiał to doskonale, a mimo to podniósł rękę na własność Imperium. Sprzeniewierzył się osobistym standardom moralnym.

Nie, nic nie usprawiedliwiało jego postępuku, może z wyjątkiem bezgranicznego przerażenia. A świadomość tego wpędzała go w jeszcze większą desperację.

ROZDZIAŁ 39

– Ktoś nadchodzi – odezwała się Laranth.

Den uniósł głowę i przewrócił wielkimi oczami.

– Czy to kogoś dziwi? – zapytał. – Nieważne – dodał. – To było retoryczne pytanie.

– Wyczuwam ich – stwierdził Pavan.

– Więc już wiesz, kto się do nas zbliża? – zagadnął Sullustanin. – Cthony? Stratty? Wielkie, zmutowane stratty o czterech łapach i ogromnych kłach?

– To nie są istoty organiczne – odparł rycerz Jedi. – To automat. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Niejeden automat – poprawił go I-Five. – Wykrywam wibracje posadzki pod krokami, popiskiwanie aparatury elektronicznej i inne odgłosy. Sądząc po nich, to prawdopodobnie roboty konstrukcyjne, naprawcze albo automaty robocze. Co najmniej cztery, może więcej.

Den powiódł spojrzeniem po głównej sterowni.

– Wygląda na to, że były bardzo zdziczałe, kiedy demolowały to pomieszczenie – zauważył. – Idę o zakład, że od tamtej pory ich nastrój się nie poprawił.

– Lepiej się stąd wynośmy – zaproponowała paladynka.

– Myślę, że już na to za późno – oznajmił I-Five. – Moje sensory wskazują że roboty blokują wszystkie wyjścia.

Den usłyszał łoskot rozbijania drzwi czy może przegrody. Sądząc po reakcji jego towarzyszy, pozostali też to usłyszeli.

– Obojętne, co zrobimy, lepiej się pospieszmy – ponaglał I-Five.

Chwilę później dał się słyszeć kolejny trzask, tym razem głośniejszy, jakby z bliższej odległości. Laranth wyciągnęła blastery i wymierzyła lufy w drzwi. I-Five skierował w ich stronę wskazujące palce z laserami, a Pavan zapalił klingę świetlnego miecza. Zerknął na bezbronnego Dena, wyjął zza pasa wibronóż i podał go reporterowi.

Sullustanin kucnął za przewróconą szafką która osłaniała większą część jego ciała. Spojrzał na broń, którą ściskał w garści. Coś pięknego, pomyślał. Ostrze miało mniej więcej dwanaście centymetrów, a po włączeniu zaczęło wibrować tak szybko, że widział tylko rozmytą krawędź. Broń była niebezpieczna i śmiertelna, jeżeli miało się do czynienia z organicznym przeciwnikiem, ale do walki z pomylnym automatem... Może odetnę ją sobie

głowę, zanim zrobi to jeden z tych zdziwiających robotów, pomyślał Sullustanin.

Spojrzał na I-Five. Wciąż jeszcze miał mu za złe tamto skarcenie, ale to nie była odpowiednia pora na dąsy. Nie chciał zginąć, mając żal do najlepszego przyjaciela.

Android spojrzał na niego i Den z przymusem się uśmiechnął.

– Nigdy nie przypuszczałem, że zginę w taki sposób... walcząc z bandą oszalałych automatów – powiedział. Umilkł na chwilę, żeby podkreślić puentę: – Zawsze sądziłem, że to będzie tylko jeden szalony android.

I-Five zareagował jednym z rzadkich uśmiechów.

– Na ciebie jeden by nie wystarczył, Denie – powiedział.

To nie było najbardziej pocieszające przesłanie bitewne, jakie reporter kiedykolwiek słyszał, ale nie było czasu na nic innego. Coś uderzyło z drugiej strony w drzwi z taką siłą, że aż zatrzęsły się ściany sterowni. Chwilę później rozległ się drugi, głośniejszy trzask, po którym płyta drzwi rozpadła się na kawałki...

Nick nie był bardzo zaskoczony spotkaniem z księciem Xizorem i z androidem – a także z ptakopodobną istotą, która była nieprzytomna, kiedy ją ostatnio widział – ale ich widok sprawił mu niezbyt przyjemną niespodziankę. Skierował wici Mocy na Xizora. Android nie powinien zrobić nic, dopóki mu ktoś nie wyda rozkazu, za to ptakopodobną istotą stanowiła zagadkę. Była jednak zakneblowana i skuta kajdankami, więc prawdopodobnie nie przedstawiała żadnego zagrożenia. Najbardziej niebezpieczny z całej trójki był Xizor, który podobno utrzymywał kontakty z Czarnym Słońcem. Na razie liczyło się jednak tylko to, że trzyma blaster. Nick słyszał też, że Falleen jest mistrzem różnych form walki wręcz... no i mógł wydawać rozkazy androidowi. Rostu odkrył to jeszcze w slumsach Ugnaugtów. Krótko mówiąc, przed księciem należało mieć się na baczności.

To prawda, Nick także znał kontrolne hasło, które pozwoliłoby mu przejąć kontrolę nad Robalookim, ale zanim by wydał rozkaz w rodzaju: „Zabierz mu blaster!”, Xizor zdążyłby mu wypruć wnętrzności, omotać go nimi i udusić. Był więc zmuszony rozegrać to rozsądnie.

– Kim jesteś? – warknął książę. – Skąd mnie znasz? To miejsce jest opuszczone. Jakim cudem...

– Podobnie jak ty, nie pochodzę stąd – odparł Nick. Miał nadzieję, że jego głos brzmi nonszalancko, chociaż myśli wirowały jak szalone. Starał się wymyślić, jak przeżyć na tyle długo, aby ułożyć jakiś plan. Do tej pory nie włączył komunikatora, który ściągnąłby tu Vadera. A może dałoby się wykorzystać Xizora jako sojusznika przeciwko Czarnemu Lordowi? Gdyby odwrócił uwagę Vadera, ocaliłby od śmierci Jaksa Pavana – i siebie. Doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Nie było szans, żeby zlikwidować Vadera, więc nic nie ocali planety Haruun Kal od zagłady.

Nick doszedł do wniosku, że ma mniej więcej dziesięć sekund, zanim Xizor straci cierpliwość i go zabije. Otworzył usta, chociaż nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział tylko, że nie może dłużej milczeć.

– Przybyłem tu, żeby cię ostrzec – wykrztusił w końcu. – Lord Vader wysłał za tobą pościg. Jest na twoim tropie i wkrótce cię znajdzie.

Książę Xizor spojrział z powątpiewaniem.

– Masz na myśli tych idiotów, których mój android zasypał blasterowymi strzałami? – zadrwił. – Nie sądzę, żeby dali radę utrzymać się na nogach, a co dopiero ścigać mnie na drugą stronę planety.

– Nie lekceważ ich – ostrzegł Nick. – Dwoje z nich to zbuntowani Jedi. Posługują się Mocą, żeby cię wytropić.

– Ciekawe, o co im chodzi – powiedział Falleen. – Czego Darth Vader mógłby chcieć...

Zerknął na 10-4TO i umilkł.

– Właśnie – potwierdził Nick. – Chce zdobyć dane zarejestrowane w pamięci tego androida.

– A ty przybyłeś tu, żeby mnie ostrzec, tak? – zapytał sceptycznym tonem Xizor. – Co z tego będziesz miał?

Nick nie musiał się posługiwać Mocą, aby wiedzieć, że Falleen mu nie wierzy. Trudno. Nie mógł się już wycofać.

– Przysłało mnie Czarne Słońce – powiedział. Zabrzmiało to absurdalnie, nawet w jego uszach, ale nic innego jakoś nie przyszło mu do głowy.

– Rozumiem – powiedział Xizor cichym jak szmer strumyka, aksamitnym tonem. – A więc na pewno wiesz, jak brzmi rozpoznawcze hasło?

Nick poczuł nagły chłód w całym ciele. Jeżeli rzeczywiście istniało takie hasło, jak mógłby je odgadnąć? Miał tylko jedną, bardzo słabą szansę. Skoncentrował się i wysłał sondę Mocy, żeby zapoznać się z emocjonalnym stanem umysłu Xizora i na tej podstawie wyciągnąć jakieś wnioski. Nie było to łatwe zadanie, bo książę starannie maskował uczucia i reakcje. Mimo to Nick wybadał jego umysł na tyle, żeby udzielić prawidłowej odpowiedzi.

– Hasło? – zapytał zdziwiony. – Jakie hasło?

Zapadła długa cisza, a po chwili, ku swojej bezgranicznej uldze, Nick wyczuł, że Xizor pozbywa się podejrzeń.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu Falleen. – Rozumiesz chyba, dlaczego muszę być ostrożny?

– Naturalnie.

– Gdzie są ci zbuntowani Jedi? – zainteresował się Xizor. – Jeżeli zamierzają mnie zwabić w zasadzkę, powinniśmy się tam znaleźć wcześniej niż oni.

– Zaprowadzę cię do nich – zaproponował Rostu, już zupełnie spokojny.

Ruszył pierwszy mrocznym korytarzem. Pokazywał drogę, a Xizor szedł tuż za nim. Nick nie musiał się oglądać, aby wiedzieć, że książę cały czas mierzy z blastera w środek jego pleców.

Pomyślał, że na razie sytuacja rozwija się pomyślnie. Improwizacja dała niezłe rezultaty.

Tymczasem w jego głowie zaczynał się rodzić pewien plan. Gdyby wrócił do Jaksa i ostrzegł poprzez Moc, że jemu i pozostałym grozi niebezpieczeństwo, może wspólnymi siłami daliby radę pokonać księcia Xizora i zdobyć androida z jego informacjami. Jax w końcu by wykonał zleczone przez Mistrza Piella zadanie. A wtedy Nick powiedziałby Jaksowi o szantażu Vadera, który zagroził, że zniszczy Haruun Kal, jeżeli Rostu nie wyda mu Pavana. Wspólnie mogliby wymyślić sposób wyłatania się z tej sytuacji...

Jednak po drodze Nick doszedł do wniosku, że pomysł zdradzenia Xizora podoba mu się z każdą chwilą mniej. Więcej plusów zdawało się mieć połączenie z nim sił. Księżę Falleenów mógł się stać potężnym sojusznikiem... a przecież chodziło o to, żeby związać się z najsilniejszym.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej się dziwił, że od początku o tym nie pomyślał. To przecież miało sens. W jego najlepiej pojętym interesie było doprowadzenie księcia Xizora do pozostałych, ale nie po to, żeby mogli go pokonać. Księżę mógł ochronić Nicka i jego ghósh przed zakusami Vadera... zrozumieliby to nawet porażony przez promienie słońca Gunganin. Xizor mógłby także pomóc Jaksowi ukryć się przed Vaderem.

Po tej decyzji Nick poczuł, że zalewa go fala ulgi. Jakie to szczęście, że wpadł na ten pomysł w porę. Tak mało brakowało, żeby popełnił straszliwy błąd. Obejrzał się za siebie. Falleen z pewnością byłby wiernym i potężnym sojusznikiem. Na samą myśl o tym Rostu poczuł się lepiej. Rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa, zauważył, że skóra Falleena, jeszcze niedawno zielona jak utleniona miedź, przybrała przyjemny dla oka różowawy kolor.

Do głównej sterowni wkroczyły majestatycznie trzy automaty robocze typu, jakiego Jax jeszcze nigdy nie widział. Każdy miał mniej więcej dwa metry wysokości, był masywny, ciężki i wyposażony w standardowe manipulatory zakończone trójpalczastymi chwytakami.

– To Bee-Ex-Ell-Dziewięćdziesiątka dziewiątka – mruknął I-Five. Nie wyglądał na zachwyconego.

Androidy weszły ostrożnie do sterowni, popiskując coś w języku binarnym. Jax nie miał pojęcia, co mówią, ale brzmiało to zdecydowanie... złowieszczo.

Wszystkie trzy automaty były tego samego typu, ale nie wyglądały identycznie. Ich pancerze pokrywały rude plamy, chyba rdzy. Kiedy podeszły bliżej, Pavan zauważył, że poddano je dziwacznym modyfikacjom. Przez tors pierwszego biegły ukosem plastycenowe rurki, w których krążyły różnobarwne płyny. Drugi miał na metalowych rękach mrugające chaotycznie lampki, a z głowy trzeciego wystawały dwie cienkie płytki, między którymi przeskakiwały raz po raz iskry wyładowań elektrostatycznych. Wszystkim trzem robotom przytwierdzono archaiczne elementy elektronicznego sprzętu – płytki z obwodami drukowanymi czy próżniowe rurki. Były umieszczone w dziwnych miejscach, bez jakiegokolwiek prawidłowości.

Jax ocenił sytuację w ciągu zaledwie kilku sekund. Pomagając sobie Mocą, wyskoczył w

powietrze. Na ułamek sekundy zawisnął nieruchomo jak w niewidzialnej sieci, a potem wykonał w locie salto, po którym wylądował za plecami androida z iskrzącymi płytkami na głowie. Zanim automat zaczął się odwracać, rycerz Jedi ciął klingą świetlnego miecza w miejsce między głową a barkiem.

Zamiast jednak pozbawić robota głowy, energetyczne ostrze rozbłysnęło na chwilę, zasyczało głośno, a po chwili klinga zgasła i rozszedł się zapach ozonu. Przerażony Jax spojrzął na zdezaktywowaną broń i przez to za późno uświadomił sobie, że drugi android wyciąga w jego stronę manipulatory z mrugającymi parami lampek...

W korpusy obu automatów trafiły równocześnie dwa promienie lasera i dwie błyskawice blasterowych strzałów. Mechaniczne części straciły kontakt z centralnymi procesorami i zostały sparaliżowane. Jax przycisnął kciukiem guzik na obudowie, żeby ponownie włączyć klingę broni Jedi, i wbił szpic w pomocniczy procesor w korpusie trzeciego automatu. We wszystkie strony strzeliły snopy iskier i ostatni BXL-99 został zdezaktywowany.

Rycerz Jedi wyciągnął świetlny miecz z korpusu robota i przyjrzał się lepiej jego pancerzowi. To, co zobaczył, o mało nie przyprawiło go o mdłości.

Plamy, które w pierwszej chwili uznał za rdzę, wcale nią nie były. To były ślady zakrzepłej krwi.

Zapadła cisza. Po chwili usłyszeli, że ktoś uderza od zewnątrz w uszkodzony transpasterowy panel. Promieniujące ze środka pęknięcia pobiegły ku krawędziom.

Trzymając gotowe do strzału blastery, Laranth podeszła ostrożnie do miejsca, skąd mogła spojrzeć w dół. Odezwała się głosem jeszcze bardziej ponurym niż zwykle:

– Na dole, w hali z linią produkcyjną, widzę co najmniej sześć następnych robotów. Może więcej – poinformowała. – Przemieszczają się tak szybko, że trudno mi je policzyć, ale na pewno jest ich więcej niż nas.

Po chwili w środek ogromnego okna trafiła kolejna kula pomarańczowego blasku. Paladynka się cofnęła.

– W dodatku jeden jest uzbrojony w plazmowe działko – dodała.

– Jak miło – mruknął Dhur.

ROZDZIAŁ 40

Jax ścisnął mocno rękojeść świetlnego miecza i uwolnił myśli, żeby jeszcze raz się pograć w znajomych nurtach Mocy. Wiedział, że następna plazmowa kula zniszczy transpastalowy panel, a oni potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy, żeby pokonać...

O nie, jęknął w duchu. Tylko nie w takiej chwili.

Podobnie jak poprzednio poczuł jakby wahanie, przerwę w czymś, co normalnie było niewymagającym od niego wysiłku połączeniem. Pojawiła się niepewność i pustka zamiast znajomego przyływu Mocy – źródła potęgi i pewności, które zawsze dotąd go przepelniały.

Mocy po prostu nie było!

Jax spróbował pokonać ogarniającą go panikę. To pojawianie się i znikanie na przemian było po prostu czymś absurdalnym. Zaledwie kilka minut wcześniej posłużył się Mocą, żeby przeskoczyć nad roboczym automatem. Moc wówczas go nie zawiodła; pomogła mu bez wahania.

Tylko że tym razem jej nie wyczuwam, pomyślał z rezygnacją.

W transpastalowy panel trafiła kolejna plazmowa kula. Gruba tafla rozpadła się na tysiące odłamków i okruchów, które wpadły do sterowni jak płatki mokrego śniegu. Laranth odbiła je na bok, ale te szczątki były najmniejszym z ich problemów. Jax zajrzał w otwór po wybitym panelu i zobaczył następnego androida, który gramolił się nieporadnie przez dolną krawędź. Chudy i wysoki automat wydawał się nie mniej zwariowany niż poprzednie.

Był to operator pieca hutniczego typu 8D8, zwany powszechnie androidem hutnikiem. Zaprojektowano go w taki sposób, aby wytrzymywał żar panujący w piecu hutniczym czy w formiarni. Hutnik miał egzokonstrukcję z durastalowego stopu, który umożliwiał mu pracę w wyjątkowo wysokiej temperaturze. Zazwyczaj androidy tego typu były nieuzbrojone, ale ten egzemplarz przyspawał sobie przegubowo do lewego ramienia ciężki blaster. W dodatku – z powodu znanego chyba tylko jego obłąkanemu procesorowi – szeroki pasek metalu przesłaniał jego wokabulator i bardzo skutecznie pełnił funkcję knebla.

Gdy tylko górna połowa hutnika wyłoniła się z otworu, android zaczął omiatać główną sterownię błyskawicami blasterowych strzałów. Jax miał tylko sekundy na reakcję. Nie mógł liczyć na to, że dzięki więzi z Mocą odbije na boki deszcz błyskawic, więc dał szczupaka w kierunku robota, wyciągnął przed siebie klingę świetlnego miecza i przejechał po pokrytej

ostrymi okruchami transpastali posadzce. Zanim zdziczały 8D8 zdążył się zorientować, rycerz Jedi znalazł się tuż przed nim, machnął energetycznym ostrzem i prawie odciął blaster od ramienia automatu. Klinga Jaksza zawahała się na wysokości głowy hutnika, ale tylko na chwilę. Wyostrzona kolumna blasku sięgnęła durastalowej szyi.

Jax leżał na posadzce w niewygodnej pozycji, więc nie mógł nadać ciosowi zwykłej szybkości ani siły. Zamiast odciąć głowę, opalizująca klinga jego miecza stopiła część wewnętrznych obwodów, a impet ciosu obrócił centralny procesor. Głowa pozostała na karku, ale skierowana w drugą stronę.

Android wyprostował się i runął do tyłu. Spadając, potracił dwa inne zdziczałe automaty. Tymczasem dwa następne pojawiły się w otworze. Pierwszym był zdalnie sterowany robotnik typu J9 produkcji Roche, a drugim automat typu Asp. Rycerz Jedi podparł się rękami i wstał z posadzki. Pomyślał z ironią, że oba automaty nie mogłyby się bardziej od siebie różnić. Android typu J9 był wyjątkowo inteligentny, chociaż trochę toporny i krnąbrny jak na androida. W przeciwieństwie do niego Asp miał niewiele więcej inteligencji niż kalkulator. A tymczasem to oba zachowywały się tak, jakby miały ten sam cel, chociaż wmontowano im mikroobwody, dezaktywowane bolce ograniczników i inne urządzenia uniemożliwiające określone zachowania. Nieustannie trajkotały w tym samym binarnym języku, którym porozumiewały się poprzednie trzy androidy. Nie odzywał się jedynie „zakneblowany” 8D8.

Jax ostrożnie się wycofał, trzymając przed sobą rękojeść świetlnego miecza. Coś sphywało mu po czole. Myślał, że to pot, ale kiedy zamrugał, przekonał się, że to krew. Widocznie ostre odłamki transpastalowego panelu pozostawiły na jego twarzy krwawiące ranki. Krew na pokaleczonych dłoniach utrudniała mu pewne chwycenie rękojeści miecza.

Weź się w garść, nakazał sobie kategorycznie Pavan. Jesteś Jedi, a twoi towarzysze znajdują się pod twoją opieką. Nie możesz ich zawieść!

Tylko jak ich ocalić? Pozbawiony więzi z Mocą był jak ślepy, głuchy i kulawy. Jego siła i energia były osłabione, refleks stępiony... Bez Mocy nie był...

„Nawet pozbawiony łączności z Mocą jesteś nadal Jedi” – napłynęło skądś znane zdanie.

I poraziło go jak fizyczny cios. Mistrz Pielu mówił mu to wiele miesięcy temu, kiedy jeszcze Jax był zaledwie padawanem. Rycerz Jedi uświadomił sobie, że pod wpływem tego wspomnienia jego serce na chwilę zamarło. Pośrodku otaczającej go bitwy – Laranth spokojnie strzelała z blasterów, a I-Five równie metodycznie prowadził ogień z ukrytych w palcach laserów – trudno było uwierzyć, że Jax usłyszał w głowie cichy głos, a tym bardziej w to, że ten głos zabrzmiał tak wyraźnie. Cóż, kiedy tak właśnie było. Jax bardzo dobrze pamiętał rozmowę, którą odbył w sali ćwiczebnej Świątyni.

„Moc wspomaga potęgę Jedi – mówił wówczas Mistrz Pielu. – Uzupełnia jego szkolenie, ale sama Moc nie świadczy jeszcze o tym, że ktoś jest Jedi. Taka świadomość płynie z głębszego miejsca”.

„Ale przecież to Moc nas wyróżnia... dzięki niej jesteśmy kimś wyjątkowym – wyjąkał

młody padawan. – Jeżeli Jedi nie utrzymują z nią łączności, czym się odróżniają?”

Lannik odpowiedział mu na swój zwykły zgryźliwy sposób:

„Uważasz na to, co mówię czy nie? Moc ci pomaga, ale to nie ona cię określa. Zanim zaczęła się do ciebie przyznawać, byłeś tym, kim jesteś w tej chwili. Inaczej by cię nie wybrała na swoje narzędzie. Rozumiesz?”

Jax wyczuł, że od tyłu padł na niego czyjś cień. Odwrócił się i zobaczył nad sobą kolejnego androida. Nie był pewny, jaki to typ; zdążył tylko zauważyć, że automat to masywna konstrukcja na gąsienicach, uzbrojona w dwa zakończone dwuczęściowymi szczypcami manipulatory. Robotowi ktoś przyspawał w kilku miejscach szczerzące zęby „czaszki” innych automatów. Rycerz Jedi uchylił się przed pierwszym ciosem, obrócił się na pięcie i przebił napastnika klingą miecza. Usłyszał trzask i skowyt serwomotorów, po czym automat potoczył się w stronę otworu i runął do sali montażowej razem z J9 i Aspem.

Jax odwrócił się i nie zastanawiając się nad tym, co robi, ciął klingą świetlnego miecza jeszcze innego przeciwnika za plecami. Sypiąc snopy iskier z uszkodzonych ogniów energetycznych i dymiąc, runęły do jego stóp dwie połowy androida remontowego. Rycerz Jedi poczuł uniesienie... ale w następnej sekundzie coś chwyciło go od tyłu za szyję i uniosło w powietrze. Drugi połączony przegubowo manipulator złapał go za prawą rękę i unieruchomił rękęjść świetlnego miecza. Szczypce na szyi zaczęły się zaciskać...

...ale w tej samej chwili promień laserowego strzału prześwidrował na wylot tors zdziczałego androida. Automat zamarł i zwolnił chwyt szczypców, a rycerz Jedi wylądował na posadzce. Odwrócił się i zobaczył metr od siebie I-Five. Android wskazywał androida wyciągniętą ręką.

Zapadła kłopotliwa, dzwoniąca w uszach cisza. Jax potarł obolałą szyję.

– W pewnych okolicznościach mógłbym sobie wyobrazić, że dziękuję mojemu nawigacyjnemu komputerowi – przemówił w końcu.

I-Five kiwnął głową.

– Z pewnością potem twoja podróż byłaby bezpieczniejsza – powiedział.

Jax rozejrzał się po głównej sterowni. Na posadzce leżały dymiące jeszcze szczątki androidów i ich podzespołów, a nad nimi stali Den i Laranth. Paladynka wsunęła już blastery do kabur, a Sullustanin ostrożnie wyłączył wibroostrze, którym prawdopodobnie się posługiwał z dobrym skutkiem.

Jax odwrócił się do I-Five.

– Co gadały te roboty? – zapytał.

Android pokręcił głową.

– Bezsensowny bełkot – powiedział. – Sieczka słowna.

– Myślisz, że więcej ich nie ma? – zapytał Dhur.

– Na razie – odparła zmęczona Laranth. Zaraz jednak napięła mięśnie i zamarła, nasłuchując. Sięgnęła po blastery, ale zanim zdążyła je wyciągnąć z kabur, sterownię zalało

nagle zimne błękitne światło.

ROZDZIAŁ 41

Kaird od razu się domyślił, co się stanie, kiedy tylko mężczyzna otworzył obrzydliwie mięsiste wargi i zaczął pleść bzdury, jakoby był agentem Czarnego Słońca, który zamierza ostrzec Xizora. Lord Perhi wysłał Kairda z zadaniem zabicia księcia, ale Falleen raczej o tym nie wiedział. Mógł sądzić, że Perhi rzeczywiście się troszczy o jego bezpieczeństwo, tyle że obcy mężczyzna po prostu nie wyglądał na agenta Czarnego Słońca. Na pewno był twardzielem, ale brakowało mu bezwzględności, typowej dla zdeprawowanego przestępcy. Nie musiało się mieć łączności z Mocą ani nawet być empatą, żeby to zrozumieć. W przeciwieństwie do większości zawodowych zabójców nieznajomy chyba nie przepadał za zabijaniem innych istot rozumnych, zwłaszcza ludzi. Z pewnością istniały wyjątki... Kaird lubił się uważać za taki wyjątek, ale przecież nie był istotą ludzką.

Sytuacja rozwinęła się dokładnie tak, jak Kaird się spodziewał. Xizor udał, że wierzy w bajeczkę mężczyzny, a kiedy nieznajomy prowadził go do tamtej grupy, bardzo subtelnie zaczął się posługiwać endokrynalnym arsenałem, żeby wywrzeć na niego pożądany wpływ. Nedijanin szedł z tyłu za Falleenem, ale zauważył, że kiedy Xizor zaczął uwalniać feromony, zmieniła się jego karnacja. Mężczyzna bardzo szybko zaczął się poddawać działaniu chemicznych związków. Wyraźnie świadczyła o tym mowa jego ciała; mogła ją zrozumieć nawet obca istota, taka jak Kaird.

Na Kairda nie oddziaływała zmieniająca nastawienie porcja feromonów. Nedijanin nie dociekał, czy to jego fizjologia chroni organizm, czy też księżę Xizor po prostu nie zamierzał na niego wpływać. Kaird tylko się zastanawiał, dlaczego w tamtym slumsie Ugnoughtów Xizor po prostu nie sparaliżował go feromonami, zamiast kazać strzelić do niego androidowi. Posłużenie się ogłuszającymi kajdankami było z pewnością mniej kłopotliwe niż ciągłe uwalnianie feromonów, ale Kaird podejrzewał, że prawdziwy powód jest o wiele prostszy. Xizor lubił się napawać widokiem cierpień przeciwnika, więc chciał, żeby ptakopodobna istota była świadoma i przytomna, i w pełni zdawała sobie z wszystkiego sprawę.

Księżę miał teraz do dyspozycji dwa pionki: jeden automat i życzliwie nastawionego do niego mężczyznę. Kaird nie miał nikogo. Jego szanse wyglądały coraz gorzej.

Kiedy nieznajomy doprowadził ich do swoich towarzyszy, Xizor kazał się wszystkim zatrzymać, zanim ich jeszcze zobaczyli.

Odwrócił się do androida i powiedział cicho:

– Idź pierwszy. Kiedy znajdziesz się w zasięgu, ogłusz tyłu, ilu dasz radę, ale nikogo nie zabijaj.

Kaird wiedział, że kiepski słuch istoty ludzkiej nie pozwoli jej usłyszeć tych słów. Od razu zrozumiał powód wydania takiego rozkazu. Jedi nie zdołają wyczuć zbliżania się androida, dopóki nie będzie za późno.

10-4TO ruszył w stronę zakrętu korytarza.

– Dlaczego wysłałeś najpierw androida? – zapytał obcy mężczyzna tonem uprzejmego zainteresowania. Wydawał się lekko zaintrygowany, ale nie podejrzliwy. Widocznie paraliżujące jego umysł feromony Xizora wywarły pożądany skutek.

Kaird nienawidził Falleena, ale nie mógł go nie podziwiać. Książę zawsze przewidywał, zawsze oceniał szanse. Byłby groźnym przeciwnikiem nawet wtedy, gdyby jego organizm nie wydzielał wpływających na umysły feromonów.

Oboje Jedi mieli się o tym już wkrótce przekonać.

Android zniknął za zakrętem korytarza. Po kilku sekundach ciszy usłyszeli huk strzału z blasterowego działka w jego ramieniu.

Mężczyzna zamrugał, a na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Hej! – wykrzyknął. – Co, u licha...

Odwrócił się i puścił w pogoń za androidem, ale nie odbiegł daleko. Sekundę później blasterowa błyskawica ogłuszającego strzału Xizora trafiła go między łopatki.

Niespodziewany atak zupełnie ich zaskoczył. Den usłyszał skowyt blasterowego strzału i poczuł, że każdą komórkę jego ciała paraliżuje agonálny ból. Nie miał pojęcia, jak długo pozostawał nieprzytomny, ale musiał spędzić w takim stanie więcej niż kilka minut, zważywszy na to, jak porządnie go skrupowano. Ten, kto to zrobił, na pewno myślał, że Sullustanie są równie silni, jak Wookie. Niespełna dwa metry dalej leżała Laranth. Ona także miała na przegubach ogłuszające kajdanki. Paladynka jeszcze nie odzyskała przytomności.

Reporter usłyszał czyjeś głosy. Rozejrzał się po sterowni, znalazł ich źródło i... poczuł, że żołądek zapada mu się w przepaść. Po drugiej stronie, mniej więcej sześć metrów dalej, stał książę Xizor w towarzystwie skutej kajdankami ptakopodobnej istoty. Towarzyszył im android, który strzelił do nich z blastera – a przynajmniej tak się Denowi wydawało – i Nick Rostu. Android – sądząc po wielkości fotoreceptorów, musiał to być Robalooki – trzymał Nicka mocno za ręce.

Sytuacja wyglądała bardzo źle, ale Den najbardziej się martwił losem Jaksy, który, także skuty kajdankami, stał przed Xizorem. Sullustanin o mało się nie zachłysnął, kiedy odpowiadając na jedno z pytań Falleena rycerz Jedi uniósł głowę i Den mógł się dobrze przyjrzeć jego twarzy. Cała była pokaleczona przez odłamki transpastali. Pewnie Jax tak się urządził, szorując brzuchem po posadzce podczas bitwy ze zdziczałymi androidami.

Xizor, który trzymał jego świetlny miecz, w pewnej chwili zapalił energetyczną klingę. Z metalowego cylindra wysunęła się kolumna intensywnego błękitnego światła. Reporter podejrzewał, że wkrótce Jax na własnej skórze odczuje działanie swojej broni.

Dlaczego nie posłuży się Mocą? – zadał sobie pytanie. Mógł tylko się domyślać, że po przeżyciach ostatnich kilku godzin Jax jest po prostu wyczerpany. W każdym razie było oczywiste, że rycerz Jedi stracił ochotę do dalszej walki.

Den pomyślał, że może go ocalić.

No, może nie tyle on, co I-Five. Kiedy ścigali Xizora, android wspomniał o modyfikacjach, których dokonał z pomocą reportera. Jedną z nich była zmiana oprogramowania modułu odpowiadającego za pozostawanie w stanie dezaktywacji. Większość protokolarnych jednostek miała wyłącznik na karku, żeby mogła go łatwo osiągnąć każda wyższa niż Sullustanin istota. W przypadku I-Five i paru innych modeli wyłącznik nie mógł zostać całkowicie zdemontowany, bo sprzężono go na stałe z centralnym procesorem. Den i I-Five zdołali jednak znaleźć obwody bocznikujące i dodali hasło, dzięki któremu android mógł się sam włączyć. Hasło musiał jednak wypowiedzieć Den, bo audioreceptory I-Five reagowały tylko na brzmienie jego głosu. A wtedy centralny procesor androida sam obudziłby się do życia.

Sullustanin musiałby jednak wypowiedzieć hasło natychmiast, żeby I-Five zdążył powstrzymać Xizora przed zabiciem Pavana. Tylko android mógł ocalić rycerza Jedi od niemal pewnej śmierci. Den nie miał pojęcia, czy jego plan się powiedzie, ale nie widział innej możliwości.

Jeżeli zaczeka choćby tylko kilka sekund, Jax prawdopodobnie zginie i na zawsze zniknie z jego życia. I-Five byłby wprawdzie niepokieszony, ale wcześniej czy później by się z tym pogodził. A Den odzyskałby przyjaciela.

Mimo to Sullustanin się nie wahał. Odwrócił się w stronę rozciągniętego na posadzce androida i szepnął:

– Bota.

Fotoreceptory I-Five rozjarzyły się słabym blaskiem. Den spojrzał na Xizora, który był zwrócony do niego plecami. Księżę właśnie unosił nad głowę klingę świetlnego miecza...

I-Five wstał. Den domyślił się, co android zamierza zrobić, ale miał tylko tyle czasu, żeby pożałować, że nie da rady zatkać uszu skrępowanymi rękami...

To będzie bolało, pomyślał.

Rzeczywiście zabolalo.

Nick Rostu stał obok Xizora i Jaksa. Robalooki trzymał go tak mocno, że oficer nie mógł nawet marzyć, aby się uwolnić z uścisku jego metalowych rąk. Został wykorzystany. Słyszał nieraz, w jaki sposób Falleenowie wywierają wpływ na umysły istot innych ras, na ich uczucia i emocje, ale jakoś o tym zapomniał. Zważywszy na natłok wydarzeń w ciągu kilku

ostatnich dni, nie było w tym nic dziwnego, a Xizor wykorzystał po mistrzowsku jego nieuwagę. Mimo to nie było sensu go przeklinać. Tak czy owak, paralizujący wpływ jego chemicznych związków ustąpił, może dlatego, że Falleen poświęcił całą uwagę Jaksowi.

– Rozumiesz chyba, że to nic osobistego – tłumaczył księżę rycerzowi Jedi. – Po prostu od dawna szukałem sposobu zawarcia odrębnego sojuszu z Lordem Vaderem. Liczyłem na to, że w osiągnięciu celu pomogą mi informacje z pamięci tego androida, a teraz, kiedy mam także ciebie, muszę dopilnować, żeby nic nie przeszkodziło mi w realizacji planu. Twój przyjaciel – skinął głowę w stronę Nicka – okazał się na tyle miły, że doprowadził mnie do was.

Jax uniósł głowę i popatrzył na Rostu. To spojrzenie ubodło Nicka do żywego. Nie zobaczył w nim gniewu ani nawet pogardy, jedynie bezgraniczne znużenie.

Musiał coś zrobić. Ale co? Był doświadczonym żołnierzem i pewnie zdołałby pokonać jednego, dwóch, a może nawet trzech przeciwników. Xizor był jednak Falleenem, doskonale wyszkolonym w sztukach walki wręcz, a teraz także uzbrojonym w świetlny miecz. Co więcej, Nick nie mógł lekceważyć jego feromonów; musiał też się liczyć z możliwością interwencji Robalookiego. Android 10-4TO był uzbrojony i gotów zastrzelić każdego, kto będzie sprawiał kłopoty. Nick miał wprawdzie blaster w kaburze na biodrze, ale android trzymał go za rękę, więc broń nie mogła się na nic przydać. Prawdę mówiąc, nawet gdyby Nick wyrwał się z objęć 10-4TO, dałby sobie radę tylko pod warunkiem, że Xizor uległby chwilowemu paralizowi.

Skwierczenie klingi świetlnego miecza przypominało Nickowi brzęk wibracji napiętego do granic wytrzymałości kabla. Księżę uniósł energetyczne ostrze nad głowę rycerza Jedi.

– To nic osobistego – powtórzył. – To tylko interes.

Nie było sensu dłużej czekać na cud, zresztą w życiu Nicka cuda rzadko się zdarzały. Oficer napiął mięśnie. Miał w rękawie już tylko jednego asa, o którego istnieniu Xizor nie wiedział. Istniała pewna szansa, że Rostu zdąży go wykorzystać, zanim Falleen zetnie głowę rycerzowi Jedi. Jeżeli Nick choć na sekundę odwróci uwagę Xizora, może to wystarczy, żeby doprowadził swój plan do pomyślnego końca. Bardzo wątpił, żeby Xizor dał mu więcej czasu. Falleenowie byli nie tylko o wiele silniejsi niż ludzie, umieli także znacznie szybciej reagować.

No cóż, pomyślał z rezygnacją, nikt nie twierdził, że moje zadanie będzie łatwe.

– *Zu woohama* – odezwał się cicho do stojącego za nim androida. – Puść mnie – dodał zaraz równie cicho.

Zaraz poczuł, że jest wolny. Chociaż mówił szeptem, natychmiast się zorientował, że przez pomruki klingi świetlnego miecza Xizor go usłyszał. Nick bez wahania skoczył ku zaskoczonemu Falleenowi, chcąc złapać go za rękę trzymającą świetlny miecz. W pół skoku krzyknął do Robalookiego:

– Uwolnij Jedi!

Ułamka sekundy zabrakło mu do schwywania ręki z mieczem. Xizor był wprawdzie zaskoczony, ale zareagował błyskawicznie. Chlasnął Nicka na odlew z taką siłą, że oficer przeleciał przez pół sterowni i osunął się na posadzkę pod przeciwległą ścianą. Upadając, poczuł w piersi przejmujący ból.

A później ku jego zdumieniu jednak wydarzył się cud.

Niestety, ten cud sprawił mu jeszcze większy ból.

Kaird nie miał pojęcia, dlaczego pozostał przy życiu. Kiedy Xizor obejrzał sobie zdewastowane laboratorium, Nedijanin spodziewał się, że zostało mu najwyżej dziesięć minut życia. Nie wiedział, kto dokonał tylu zniszczeń, ale nie miał zamiaru się o to dopytywać. Xizor mówił wprawdzie coś o robotach, ale jakim cudem automaty mogłyby odpowiadać za te ruiny? Nawet bojowe roboty zaprogramowano, żeby zabijały czysto i szybko... nie ze względów humanitarnych, tylko skutecznie. Ktokolwiek pozabijał naukowców Xizora i ich asystentów, nie spieszył się i najwyraźniej rozkoszował ich mordowaniem.

Kaird się wzdygnął. Jeżeli sprawcy nadal czaili się w pobliżu, jedyna bezpieczna droga ucieczki wiodła w górę. Wyglądało jednak, że Xizor się tym nie przejmuje. Całą uwagę poświęcał rycerzowi Jedi.

– Rozumiesz chyba, że to nic osobistego – tłumaczył mu teraz, unosząc nad głowę klingę zarekwirowanego wcześniej świetlnego miecza. Nie wyjął nawet blastera z kabury, jakby wolał zabić Pavana jego własną bronią. Zawsze lubował się w dramatycznych gestach.

To nic osobistego, powtórzył Kaird w myśli i o mało się nie uśmiechnął. Odbieranie życia było zawsze sprawą osobistą. Nedijanin patrzył w oczy zbyt wielu rozumnych istot, które zabił w imię czyjegoś „interesu”, żeby tego nie wiedzieć.

Z zamyślenia wyrwały go dwa zaskakujące słowa, wypowiedziane szeptem przez mężczyznę, który podszywał się pod agenta Czarnego Słońca. Te same słowa, które Kaird usłyszał wcześniej, kiedy księżę Xizor pierwszy raz wypowiedział je do 10-4TO:

– *Zu woohama.* – Kaird wiedział, że to umożliwiające przejęcie kontroli nad androidem zaszyfrowane hasło. Zaraz potem nastąpił wypowiedziany szybko i równie cicho rozkaz: – Puść mnie.

Wszystko wskazywało na to, że Xizor stracił władzę nad tym człowiekiem. Kaird mógł się tylko modlić o powodzenie starań mężczyzny, bo doszedł do wniosku, że odwrócenie uwagi Falleena stworzy mu szansę ucieczki. Nie miał skrzepowanych nóg, więc mógł uciec, a potem zgubić pościg w labiryncie korytarzy...

A jeżeli zabłądzi, to co? Będzie się błąkać bez końca ze skutymi rękami, dopóki nie znajdzie go ten, co zdewastował laboratorium Xizora jak oszalały z wściekłości rankor? Miał nadgarstki skrzepowane ogłuszającymi kajdankami, nie sznurem ani plastpowrozem, który mógłby przeciąć ostrym kawałkiem metalu. Dawało się je otworzyć tylko kluczem, który spoczywał bezpiecznie w kieszeni ubrania Xizora.

Kaird zazgrzytał zębami. Nie miał wyboru. Jeżeli nie wydarzy się cud, mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że kiedy Falleen mu zdejmie ogłuszające kajdanki, nadarzy się okazja ucieczki. Rozsądek mówił mu jednak, że cuda się nie zdarzają.

Tymczasem wbrew rozsądkowi i długiemu doświadczeniu cud nastąpił. Nie szkodzi, że okazał się wyjątkowo bolesny.

ROZDZIAŁ 42

– To tylko interes – powtórzył Xizor, unosząc nad głowę klingę świetlnego miecza. W tej samej chwili Nick Rostu wypowiedział zaszyfrowane hasło, które pozwoliło mu przejąć kontrolę nad Robalookim, i skoczył w stronę Xizora. W pół skoku krzyknął:

– Uwolnij Jedi!

Księżę, chociaż wyraźnie zaskoczony, błyskawicznie odparł atak Nicka i odrzucił go od siebie niczym uprzykrzonego owada. W tym samym czasie I-Five, którego Xizor podobno zdezaktywował, wstał i wydał z wokabulatora ogłuszający, wysoki świst, który wszystkich zupełnie zaskoczył. Dźwięk był niewiarygodnie przenikliwy, przekraczający natężeniem granicę bólu większości inteligentnych istot organicznych.

Nie wywarł tylko najmniejszego wrażenia na drugim androidzie. Robalooki podszedł do Jaksy, żeby wykonać rozkaz Rostu, ale zanim zdążył to zrobić, Xizor krzyknął:

– *Zu woohama!*

Ten-Four-Tee-Oh zamarł jak wryty. Falleen, dręczony bólem jak wszyscy pozostali, zdołał mu wskazać I-Five. Znaczenie gestu było jasne nawet dla androida:

„Powstrzymaj go!”

Robalooki odwrócił się i wymierzył blasterowe działko w drugiego androida. Zdążył dać ognia, kiedy I-Five, cały czas przeraźliwie gwizdząc, wyciągnął w stronę 10-4TO prawy palec wskazujący, celując dokładnie, jak przystało na androida. Niosąca potężną energię wiązka laserowego światła spotkała się w powietrzu ze strumieniem zjonizowanych cząstek.

Stany kwantowe obu promieni niemal się pokrywały. Ogromne energie zmagaly się jakiś czas ze sobą, zasypując główną sterownię snopami oślepiających iskier.

Oślepiiony na chwilę Jax zachwiał się i cofnął. Przed oczami rycerza Jedi tańczyły kolorowe plamy, ale Pavan zdołał dostrzec Xizora, który słał się z bólu spowodowanego piskiem I-Five. Falleen przyłożył do uszu obie dłonie, wypuścił rękojeść świetlnego miecza i osunął się na kolana. Widocznie wcześniej zablokował energetyczną klingę, bo nie zgasła, kiedy metalowy cylinder wypadł mu z dłoni. Broń odbiła się raz od posadzki, ścięła róg metalowej szafki i znieruchomiała, oparta o zniszczony moduł jakiegoś urządzenia. Pomrukująca miarowo klinga zamarała pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

W następnej chwili niosący większą energię strumień zjonizowanych cząstek pokonał

opór spójnego światła i trafił I-Five w środek torsu. Android poszybował w powietrzu, wylądował pod ścianą i zderzył się z nią plecami. Świergot z jego wokabulatora umilkł.

– Five! – wrzasnął Sullustanin, zmagając się z kajdankami, których nie miał szansy rozerwać. Jax ledwo usłyszał jego okrzyk, bo w sterowni wciąż jeszcze brzmiało echo przenikliwego pisku. Ciekaw był, w jakim stanie są jego bębniaki. Potykając się, ruszył do świetlnego miecza. Kucnął obok niego i odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na energetyczne ostrze broni. Usiłując nie stracić równowagi, ostrożnie wyciągnął w stronę klingi skrupowane za plecami ręce, najdalej jak mógł. Liczył na to, że klinga miecza przetnie energetyczne łącze krępujące jego przeguby. Jedynym sposobem sprawdzenia, czy tak się stanie, było...

Rozległ się syk niemal równie donośny jak przedtem głos I-Five. W powietrzu przemknęła błyskawica elektrostatycznego wyładowania, po której wszystkim oprócz obu androidów stanęły włosy na głowie. Rycerz Jedi poszybował w powietrze i wylądował na posadzce kilka metrów dalej.

Ale miał wolne ręce.

Czuł w głowie bolesne pulsowanie, ale i tak postanowił dokonać oceny sytuacji. I-Five nieporadnie gramolił się na nogi pod przeciwległą ścianą. Laranth i Den leżeli, nadal związani, ale Sullustanin wyglądał na przytomnego. Za to 10-4TO szedł w stronę Jaksa, mierząc do niego z blastera.

Rycerz Jedi zerwał się na nogi i wyciągnął obie ręce w rozpaczliwej nadziei, że Moc go nie zawiedzie.

Zawiodła.

Dał susa, upadł, przetoczył się po posadzce i znów wstał, kryjąc się za resztkami sporego urządzenia. W tej samej chwili niosąca dużą energię błyskawica blasterowego strzału zwęgliła posadzkę w miejscu, w którym dopiero co się znajdował.

Android odwrócił się w jego stronę, żeby znów dać ognia. Jax wiedział, że za bryłą metalu może się czuć bezpieczny, ale jak długo mogła trwać taka sytuacja?

Jeszcze raz spróbował nawiązać kontakt z Mocą i znowu nadaremnie. Robalooki skradał się ku niemu. Bez trudu odrzucił na bok pokiereszowany moduł, za którym rycerz Jedi się ukrywał.

W tej samej chwili Pavan wyciągnął rękę i skoczył w stronę androida, nie zwracając uwagi na blasterowe działko. Wbił w szczelinę między płytkami korpusu 10-4TO niewielki sztylet, który wyciągnął z pochwy między łopatkami.

Robalooki zachwiał się i cofnął. Jax zauważył iskry przelatujące między plątaniną przewodów i obwodów, na które składały się wnętrzności androida. 10-4TO nadepnął na szczątki jakiegoś modułu, potknął się i runął prosto w otwór, w którym kiedyś znajdował się transpasterowy panel. Wypadł przez dziurę i zniknął wszystkim z oczu. Po chwili z dołu napłynęło echo donośnego łoskotu.

Jax wyprostował się i odwrócił, szukając wzrokiem rękojeści świetlnego miecza. Po

pokonaniu oporu ogłuszających kajdanków klinga zgasła – a rękojeści nie było. Zrozpaczony Jax zaczął się rozglądać.

– Tego szukasz? – usłyszał za plecami jedwabisty głos Falleena. Rycerz Jedi odwrócił się i zobaczył metalowy cylinder w dłoni Xizora. Chwilę później klinga zapłonęła ze złowieszczym pomrukiem. Szczercząc zęby w złośliwym uśmiechu, księżę ruszył w stronę bezbronnego Jedi. Jego skóra miała dziwną barwę – ni to zieloną, ni to pomarańczową. Najwyraźniej po efektach akustycznych Falleen przyszedł do siebie o wiele szybciej niż Jax.

Pavan wyciągnął prawą rękę. Miał nadzieję, że odeprze Mocą atak Xizora, ale Moc kolejny raz odmówiła mu posłuszeństwa. Tam, gdzie rycerz Jedi spodziewał się ją znaleźć, napotkał tylko ziejącą pustkę.

Xizor przystanął na chwilę, kiedy Jax wyciągnął ku niemu rękę, jakby spodziewał się pchnięcia czy ciosu, ale po chwili się uśmiechnął i ruszył dalej. Zanim zdążył zrobić kilka kroków, w posadzkę u jego stóp wbił się promień lasera, a drugi przeciął powietrze tuż nad jego głową. Falleen krzyknął zaskoczony i odwrócił się w stronę sprawcy niespodziewanego ataku.

Z boku stał I-Five, mierząc do księcia z blasterów w obu palcach wskazujących.

– Proszę wyłączyć klingę świetlnego miecza, wasza wysokość – odezwał się android. – Proszę także odrzucić na bok te blastery.

Xizor prychnął, a jego skóra zaczerwieniła się z gniewu. I-Five cały czas celował w niego z laserów.

– Na pewno jest pan bardzo szybki, ale nie tak szybki jak światło – zwrócił mu uwagę android. – To powszechnie znane prawo... i tak dalej.

Falleen wahał się jeszcze moment, ale w końcu wyłączył energetyczne ostrze miecza i odrzucił blastery. Jax poszedł do niego, żeby odebrać świetlny miecz, ale po drodze zobaczył rozciągniętego pod ścianą Nicka Rostu. Z piersi oficera wystawał zakrwawiony odłamek transpastali.

Nick leżał z głową wspartą na gruzach jakiegoś urządzenia tam, gdzie upadł po ciosie Xizora. Zauważył, że z jego klatki piersiowej sterczy kawałek przezroczystego metalu. Niemal się uśmiechnął na ten widok. Przypuszczał, że pod koszulą odłamek transpastali przeciął na pół starą bliznę, której nabawił się jeszcze na Haruun Kal. Nowa rana przecinająca się z blizną po starej może utworzyć na jego brzuchu literę X... Oficer nie potrzebował innego oczywistego znaku, aby zrozumieć, że to koniec. Dziwił się, że nie odczuwa żadnego bólu. Czasami tak się dzieje po przeżytych wstrząsach, przypomniał sobie.

Zobaczył pochylającego się nad nim Jaksę Pavana.

Próbował mu powiedzieć, że mu przykro... że to nie jego wina. Chciał wytłumaczyć, że Vader go szantażował, a Xizor wykorzystał do swoich celów. Nie miał pojęcia, czy zdąży to wszystko wyjaśnić, ale Jax chyba i bez tego wszystko zrozumiał.

Musiał mu jeszcze coś powiedzieć... ale co? Trudno mu było sobie przypomnieć, jakby razem z krwią wyciekała jego pamięć. Nick uznał nagle za bardzo ważne, aby Jaksowi wszystko wytłumaczyć. Nie miał pewności, czy cokolwiek już powiedział, ale rycerz Jedi kiwnął głową i uśmiechnął się, chociaż miał zakrwawioną twarz. Coś szepnął, ale Rostu tego nie dosłyszał. Po sonicznym spektaklu, jaki zafundował im I-Five, miał słuch równie bezużyteczny jak nogi. Zauważył, że Jax przeszukuje kieszenie jego długiego płaszcza. Prawdopodobnie sam Nick polecił mu coś tam znaleźć, ale nadal niczego nie czuł. Miał nadzieję, że mundur ma czysty, bez plam krwi. Żołnierz, a zwłaszcza oficer, powinien zawsze się godnie prezentować. Zwłaszcza kiedy umiera.

Mimo to był zadowolony, że zdążył złożyć raport. To było bardzo ważne... cieszył się, że odegrał swoją rolę w tej wojnie. Na szczęście w końcu mógł wypocząć. Był po prostu za bardzo zmęczony, aby coś więcej powiedzieć. Ale... kim był człowiek, który przed nim stał? W półmroku Nick nie widział wyraźnie jego twarzy... a potem dostrzegł drugą sylwetkę. Poruszały się powoli, jak w tańcu. Widział błyski światła i słyszał dobiegające z daleka stłumione pomruki. Czyżby jedną z tych osób był Mace Windu?

Rostu nie potrafił tego odgadnąć, zresztą teraz to i tak nie miało żadnego znaczenia. Nadeszła odpowiednia chwila. Teraz już mógł odejść. Jego nowy statek czekał na niego z włączonymi jednostkami napędu nadświetlnego, gotów do odlotu z tej planety. Mniej więcej za minutę wystartuje... kiedy tylko Nick będzie mógł znów oddychać. Jeszcze chwila odpoczynku. Zasłużył na niego. Wojna dobiegła wreszcie końca. Nadszedł czas, żeby się wycofać.

Rostu poczuł, że światło razi go w oczy, więc po prostu je zamknął.

Jax odszedł od ciała Nicka. Xizor stał nieruchomo kilka metrów dalej, nie wypuszczając z dłoni rękojeści świetlnego miecza. Rycerz Jedi także trzymał coś w rodzaju rękojeści – przedmiot, który dostał od Nicka Rostu. Korunnai wyjaśnił mu ledwo słyszalnym szeptem, że to zagadkowe urządzenie znalazł na pokładzie „Długodystansowca”. Przedmiot był na pewno rodzajem broni, ale Jax nie miał pojęcia, co to za broń. Wyglądało na rękojeść świetlnego miecza, ale było lżejsze i przystosowane do walki jedną ręką. Nick nie miał okazji tego wypróbować, więc Jax nawet nie wiedział, czy broń jest sprawna.

Postanowił się tym nie przejmować.

Nie przejmował się także tym, że Xizor ma jego świetlny miecz. Nie interesowało go, że książę Falleenów jest mistrzem teras kasi, stylu walki wręcz, wynalezionego przed wieloma wiekami i od tego czasu wielokrotnie doskonalonego, głównie w kierunku walki przeciwko Jedi. Jax nie martwił się także tym, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu jego więź z Mocą pojawia się i zanika. W tej chwili nic nie miało znaczenia. Wszystko należało do przeszłości. Przyszłość zresztą także niewiele go obchodziła. Liczyła się tylko teraźniejszość.

Liczyła się chwila obecna.

Jax powiódł spojrzeniem po swoich towarzyszach. Ptakopodobna istota, Laranth i Den Dhur mieli nadgarstki skrepowane ogłuszającymi kajdankami. Paladynka była martwa albo nieprzytomna, ale skoro ktoś ją skuł, to chyba jednak żyła. Swobodę ruchów zachował tylko I-Five. Android stał trochę z boku, w trzecim wierzchołku trójkąta; dwa pozostałe zajmowali Jax i Xizor. I-Five spojrzał na Jaksę, cały czas mierząc do Falleena z laserów w palcach.

– Moje oprogramowanie podstawowe nie zabrania mi wyrządzenia krzywdy wrogowi mojego przyjaciela – zwrócił się do rycerza Jedi. – Jeżeli oczywiście tego chcesz.

– Najpierw sprawdź, co się stało z 10-4TO – odparł Pavan. – Cały czas przechowuje w pamięci ważne informacje.

– Ale...

– Żadnych ale – uciął rycerz Jedi. – Książę Xizor i ja załatwimy to między sobą.

Zaniepokojony I-Five chwilę się zawahał, ale w końcu kiwnął głową. Minał sterownię, podszedł do otworu po strzaskanym transpasterowym panelu, zręcznie przeskoczył nad krawędzią i zniknął.

Podczas rozmowy z I-Five Jax nie spuszczał z oka Xizora. Falleen wyszczerzył zęby w uśmiechu, uniósł wolną rękę i gestem przywołał do siebie rycerza Jedi.

– Chcę zobaczyć, co tam masz – powiedział.

Jax przycisnął kciukiem guzik i włączył nieznaną broń.

ROZDZIAŁ 43

Z rękojeści wyskoczył cienki, giętki metalowy drut, za którym natychmiast pojawił się nielegalny łuk energetycznego pola. Pole podążyło w ślad za elastycznym drutem.

Broń okazała się energetycznym biczem. Jax zaczekał, aż jaskrawozielona wstęga rozwinię się do końca, i machnął ręką, a końcówka świetlnego bicza wypaliła w posadzce duży krąg o poszarpanych brzegach. Rycerz Jedi na próbę strzelił z bicza i obserwował, jak płynnie świetlna fala. Końcówka bicza wydała charakterystyczny trzask, jak po przekroczeniu bariery dźwięku... o wiele głośniejszy niż cichy pomruk broni. Jax nie potrafił sobie wyobrazić, jak skomplikowane muszą być modulacyjne obwody w rękojeści bicza.

Podczas szkolenia ćwiczył sztukę władania świetlnym biczem, ale rzadziej niż świetlnym mieczem, więc znacznie lepiej umiał się posługiwać energetyczną klingą miecza Jedi. Trudno by mu było szybko się przyzwyczaić do innej broni.

– Imponujące – stwierdził Xizor. – Wydaje mi się jednak, że miecz jest bardziej skuteczny niż bicz. Tak czy owak, musisz mi wybaczyć, że nie pozwolę ci poćwiczyć dla nabrania większej wprawy.

Książę Falleenów chwycił oburącz rękojeść miecza, wymierzył klingę w lewe oko Jaksy i rzucił się do ataku.

Rycerz Jedi się cofnął. Starał się zyskać jak najwięcej czasu, żeby się oswoić z nową bronią. Nie była równie elegancka ani potężna jak energetyczne ostrze. Nie można nią było także zadawać ciosów z taką samą siłą, za to przewagę zapewniała jej długość. Pleciony drut był ponad dwukrotnie dłuższy niż wysunięta do końca klinga miecza. Rycerz Jedi zauważył także, że metalowy rdzeń bicza jest dość elastyczny.

Falleen zatoczył klingą łuk, obniżył dłoń i zamachnął się, chcąc przeciąć nadgarstek przeciwnika, ale Jax zablokował cios grubszym, bliższym rękojeści końcem bata. Xizor odskoczył i zaczął kręcić młynka mieczem.

Jax znów strzelił z bicza i energetyczna fala powędrowała w stronę końca. Głośny trzask ostrzegł Xizora, żeby miał się na baczności.

Rycerz Jedi pomyślał, że nie ma znaczenia, jak dobrze Falleen radzi sobie ze świetlnym mieczem. Żadna istota człękoksztalna nie miała szans zwycięstwa w walce przeciwko Jedi. Nawet mistrz sztuki walki teras kasi, który umiał wykorzystać własną energię wewnętrzną i

stosować doskonalone w ciągu wielu dziesięcioleci umiejętności – a takich osób była w galaktyce najwyżej garstka – w najlepszym razie mógł liczyć na to, że pojedynek zakończy się remisem.

Zataczając coraz ciaśniejsze kręgi w prawo, książę zbliżał się do przeciwnika z wyciągniętą poziomo klingą świetlnego miecza. Odwracając się przodem do niego, Jax sięgnął po Moc...

I jeszcze raz natrafił na kompletną pustkę.

Spróbował nie dać po sobie niczego poznać, ale Xizor wyszczerzył zęby jeszcze bardziej, zupełnie jakby jakimś cudem się tego domyślił... Może wyczuł zmieniony zapach Pavana? W tym momencie rycerz Jedi odkrył, na czym polega jego problem, a raczej część problemu. Tyle miesięcy się ukrywał, unikając aktywnego kontaktu z Mocą, bo nie chciał, aby Vader się nie dowiedział o jego istnieniu, że weszło mu to w nawyk. A teraz, kiedy najbardziej potrzebował Mocy, przekonał się, że nie potrafi nawiązać z nią łączności.

Od dawna przyzwyczyił się uważać pachołków Imperatora, a zwłaszcza Vadera, za zwiastunów śmierci. Byli niczym krążący nad jego głową bezwzględni padlinożercy obdarzeni doskonałym wzrokiem, który pozwalał im widzieć najmniejszy ruch w dole. Gdyby Jax wezwał Moc, któryś z nich by się o tym dowiedział, zanurkował i wyłuskał go z tłumu jak pojedynczego fleeka z ogromnego stada. Nawet jeżeli Jax się mylił, jeżeli Vader i jego siepacze byli mniej czujni, niż przypuszczał, i tak niebezpieczeństwo istniało.

Zresztą obojętne, jaki był powód braku więzi z Mocą... rycerz Jedi musi wykorzystać z takim trudem zdobytą umiejętność, aby uniknąć zguby. Cofnął lewą stopę, odwrócił się i stanął bokiem do przeciwnika. Uniósł rękę i zaczął kręcić młynka elastycznym prętem bicia.

Xizor pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Skręcił w lewo i zaczął zataczać kręgi klingą świetlnego miecza. Niespodziewanie przerzucając rękojeść z jednej dłoni do drugiej, cały czas zbliżał się do przeciwnika. Jax wyteżył uwagę i napiął mięśnie. Czekał. Wiedział, że Falleen w końcu się zachwieje, a on wtedy trzaśnie z bicia i wyszarpienie świetlny miecz z jego...

Nagle Falleen przestał kręcić mieczem i wyskoczył wysoko w powietrze. Przelatując nad głową rycerza Jedi, wykonał salto i ciął klingą w dół.

Do tej pory Jax nie wierzył, że podobną sztuczkę potrafi wykonać ktokolwiek oprócz Jedi. Przestał kręcić młynka nad głową i rozpaczliwie machnął biczem, a przesycony energią metalowy drut owinał się wokół klingi. We wszystkie strony posypały się niebieskie i zielone iskry wyładowania elektrycznego. Rozległ się brzęk podobny do tego, jaki wydaje naprężona struna, a powietrze wypełnił zapach ozonu.

Rycerz Jedi nie zdążył jednak wyszarpiąć rękojeści miecza z dłoni Xizora, bo książę przycisnął kciukiem guzik na obudowie i wyłączył energetyczne ostrze. Pozbawiony oporu świetlny bicz opadł i Jax musiał uskoczyć w bok, żeby go nie smagnęła śmiercionośna plecionka.

Xizor wylądował i ponownie włączył miecz. Jax przykucnął, wykręcił nadgarstek, cofnął się i strzelił z bicz na wysokości ramienia. Świetlny wąs przeciął ze świstem powietrze i znów się owinał wokół energetycznej klingi. Tym razem jednak, zanim Xizor zdążył ją wyłączyć, Jax szarpnął bicz ku sobie najmocniej, jak mógł. Falleen stracił równowagę.

Nie udało się jednak wyrwać mu rękojeści. Kiedy świetlny bicz uwolnił się od klingi miecza, Xizor skoczył w stronę Pavana. Obie energetyczne klingi znów się zwały, posyłając we wszystkie strony snopy iskier. Jax zaczekał, aż klinga miecza przetnie ze świstem powietrze tuż nad jego głową, i przetoczył się na bok. Xizor zamachnął się, żeby zadać następny cios, ale chybił dosłownie o grubość palca. Rycerz Jedi zerwał się z posadzki, odwrócił i strzelił z bicz w kierunku przeciwnika. Rozjarzona plecionka śmignęła w powietrzu jak ciśnięta z całej siły włócznia.

Xizor w półprzysiadzie wykonał pełny obrót. Opuścił klingę miecza na wysokość piersi i zadał cios, który miał przeciąć Jaksę na pół. Jedi poruszał się jednak zbyt szybko, raz po raz strzelając ze świetlnego bicz, żeby osłaniać swój odwrót. Xizor musiał parować ciosy przesyconej energią plecionki, żeby nie stracić ręki.

Jax znowu sięgnął po Moc i niczego nie znalazł. Widocznie zidentyfikowanie problemu nie oznaczało jeszcze jego rozwiązania. Rycerz Jedi znalazł się w najgorszej możliwej sytuacji; w takim stanie trudno było nawiązać kontakt z Mocą. Był zdenerwowany i zmęczony, a musiał stoczyć bitwę z bardzo groźnym przeciwnikiem.

Nie powinienem był lekkomyślnie rzucać wyzwania księciu Xizorowi, pomyślał. Trzeba było zrzucić ten obowiązek na I-Five. Falleen był silniejszy od Jaksę, ale na pewno nie mógłby stawić czoła uzbrojonemu w lasery androidowi. Teraz zanosilo się na to, że próżność i duma Jaksę wszystkich skażą na zagładę. I-Five na razie ścigał 10-4TO, a Laranth cały czas leżała nieprzytomna, skuta kajdankami.

Jax usłyszał za plecami dziwny hałas, ale nie mógł sobie pozwolić na to, żeby się odwrócić. Nie mógł przestać obserwować Xizora, który cały czas krążył tuż poza zasięgiem świetlnego bicz. Hałas stawał się coraz głośniejszy, od czasu do czasu przerywany odgłosami przypominającymi huk wystrzału. Potem rozległ się zgrzyt i trzask rozdieranego metalu. Rycerz Jedi odgadł, że ktoś ścina wzmocnione plastalowe nity od drugich drzwi. Odwrócił się w samą porę, aby zobaczyć, że w jego stronę toczy się jeszcze jeden naprawczy automat. Robot miał przyspawane do torsu zębate kawałki metalu, wystające jak ostrza noży. Gadał coś w języku binarnym, a brzmiało to jak kakofonia pisków, świergotów i gwizdów, i cały czas kierował się ku niemu. Jax odskoczył w bok, uniósł nad głowę rękę ze świetlnym biczem i strzelił. Przesycona energią plecionka trafiła w zaokrągloną kopułkę centralnego procesora robota i ze skwierczeniem ją przecięła. Automat znieruchomiał na zablokowanych gaśnicach, a Jax poczuł woń palonego krzemu. Żyroskopy próbowały ze skowytym utrzymać robota w pozycji pionowej, ale było na to za późno. Rozjarzony drucziany warkocz przeciął na ukos głowę i korpus androida. Z wnętrza strzeliły iskry elektrycznych wylądowań

i automat rozpadł się na dwoje.

Jax rozpląszczył się na oblepionej brudem posadzce dosłownie w ostatniej chwili, bo energetyczna klinga świetlnego miecza przecięła z pomrukiem miejsce, w którym sekundę wcześniej stał. Rycerz Jedi odwrócił się na plecy, zerwał i błyskawicznie zatoczył metalowym wąsem świetlisty krąg przed sobą.

Świetlny bicz miał jedną wadę: nie można było zadać następnego ciosu tuż po wymierzeniu poprzedniego. Jax musiał być bardzo ostrożny, aby Xizor się nie zorientował, że jego przeciwnik jest w pewnych momentach bezbronny. Nabrał powietrza i połowę wypuścił. Jak bardzo by mu się teraz przydała łączność z Mocą...

– Jax! Uważaj! – zawołał nagle Den.

Rycerz Jedi odwrócił głowę i spróbował wykonać unik, ale za późno. Do sterowni wszedł przez wyłamane drzwi jeszcze jeden zdziczały robot i rzucił w Jaksę bryłą metalu, która trafiła go w skroń. Oszołomiony rycerz Jedi wypuścił na chwilę świetlny bicz, który od razu zaskwierczał i zgasł, jeszcze zanim rękojeść upadła na posadzkę. Jax zachwiał się, cofnął... i dopiero wówczas zobaczył napastnika. Robot był jednostką astromechaniczną, a do kopułki miał przyspawaną toporną katapultę. To właśnie ona pozwalała mu miotać bryły metalu lub durbetonu wielkości męskiej pięści.

Jax zrozumiał, że już po nim. Wiedział, że Xizor może go bez trudu pokonać, a książę wiedział, że rycerz Jedi to wie.

Świetlny bicz leżał daleko, poza zasięgiem ręki Pavana. Falleen podszedł bliżej i stanął nad nim. Był tak pewny łatwego zwycięstwa, że jego skóra spurpurowiała. Pałał żądzą mordy. Jax pogodził się już z tym, co nieuniknione. Wiedział, że wkrótce połączy się z Mocą i może wówczas uzyskać odpowiedzi na wszystkie swoje...

Nagle jego ręka wystrzeliła do przodu, jakby kierowała nią wola nieznanego mistrza lalkarskiego, i Xizor poleciał w tył jak pchnięty przez promień repulsora. Przeleciał w powietrzu trzy metry i zderzył się plecami ze ścianą.

Jax poznał, że Moc ponownie się pojawiła. Czuł wokół siebie znajome wici. Pozwolił im kierować swoimi ruchami. Wstał z posadzki tak łatwo, jakby lewitował. Wysunął rękę – miotający skały astromechaniczny robot poderwał się w powietrze, przeleciał kilka metrów i także zderzył się ze ścianą z takim impetem, że pękła jego obudowa. Ze szczeliny strzeliły iskry i wyciekł jakiś płyn. Monotonna paplanina w binarnym stopniowo cichła, aż w końcu całkowicie umilkła.

Xizor wstał, a szok widoczny na jego twarzy ustąpił miejsca gniewowi. Jax wyciągnął lewą rękę. Świetlny miecz poderwał się w powietrze z miejsca, w którym Xizor go wypuścił, i wylądował w prawej dłoni rycerza Jedi. Pavan przycisnął kciukiem guzik na obudowie, żeby włączyć energetyczne ostrze, po czym przywołał świetlny bicz do lewej dłoni.

Usłyszał za sobą głos Dena Dhura:

– Ja bym to nazwał przebudzeniem.

Dopiero wówczas Jax zrozumiał, co się wydarzyło. Kiedy pogodził się z nadciągającą śmiercią, powrócił mu spokój ducha, którego potrzebował, żeby nawiązać kontakt z Mocą. To nie on tracił z nią więź; to Moc czekała, aż znajdzie się w odpowiednim stanie psychicznym, żeby go znów mogła wybrać jako narzędzie.

Barwa skóry Xizora zaczęła się zmieniać i w końcu ponownie przybrała odcień ciepłej zieleni. Jax domyślił się, że Falleen uwalnia feromony. Wystarczył ruch ręką, żeby otaczające Jaksę wici Mocy zaczęły się wydłużać i kierować prądy powietrza z powrotem ku przeciwnikowi. Na twarzy księcia odmalowało się zaskoczenie.

– Poddaj się – zaproponował Jax. Xizor znalazł się przecież w sytuacji bez wyjścia. Rycerz Jedi miał teraz miecz, bicz – oraz Moc.

Falleen się roześmiał.

Skoczył, jakby chciał jednym susem pokonać dzielącą ich odległość. Poruszał się niewiarygodnie szybko. Leciał w powietrzu, stopami w stronę przeciwnika. Niewiele brakowało, a całkowicie by go zaskoczył. Rycerz Jedi mimo więzi z Mocą nie potrafił przewidzieć zamiarów Xizora. Księżę miał silny charakter, zdolny do ukrywania zamiarów aż do ostatniej chwili przed podjęciem akcji. Falleen umiał reagować o wiele szybciej niż człowiek, a jego prężne mięśnie pozwalały na wykonywanie równie długich skoków jak wspomagane przez Moc skoki Pavana. Rycerz Jedi uskoczył w bok i szybko się odwrócił. Świetlny bicz i miecz były gotowe do zadania śmiertelnego ciosu, gdyby miało się to okazać konieczne.

Xizor jest szalony, pomyślał. Chyba rozumie, że nie ma cienia szansy na zwycięstwo...

Falleen wylądował zwinnie na obu stopach i dopiero wtedy Jax uświadomił sobie jego prawdziwy zamiar... o ułamek sekundy za późno. Pod ścianą leżało ciało Nicka Rostu, a obok niego, w zasięgu ręki Xizora, blaster majora. Xizor schylił się, chwycił broń, odwrócił się i momentalnie strzelił do Pavana.

Rycerz Jedi zablokował błyskawicę klingą świetlnego miecza. Błysk stykających się ze sobą wiązek energii trwał tylko ułamek sekundy i zniknął, ale potomek rodu Sizhran zdążył przez ten czas wybiec na pogrążony w ciemności korytarz... i także zniknąć.

Jax nie miał ochoty go ścigać. Księżę Xizor przestał mu zagrażać, a rycerz Jedi musiał odnaleźć 10-4TO, żeby odzyskać zarejestrowane w jego pamięci ważne informacje. Odwrócił się i ruszył w kierunku otworu, przez który wypadł android.

Niespodziewanie poczuł drżenie linii Mocy... i przeniknął go lodowaty dreszcz, bo uświadomił sobie, że do Dzielnicy Fabrycznej zbliża się nowy gracz. Gracz wyjątkowo silny Mocą... silniejszy niż wszyscy, z którymi Jax miał do tej pory do czynienia. To mogło oznaczać tylko jedno.

Nadlatywał Darth Vader.

ROZDZIAŁ 44

Jax poczuł zimny dreszcz przerażenia. Odebrał kolejny wstrząs Mocy, tym razem jednak lżejszy, bardziej przyjazny. Nie oglądając się za siebie, odgadł, że to Laranth oprzytomniała. Odwrócił się, spojrzął na nią i wywnioskował, że ona także poczuła wibracje Mocy. Może nie zidentyfikowała ich powodu równie szybko i nieomylnie jak on, ale wiedziała, że to niepomysłna wróżba.

Jax podszedł do niej i do leżącego obok Dena.

– Wstańcie – powiedział. Kiedy oboje usłuchali, stanął za paladynką i jednym szybkim cięciem przerwał krępujące jej nadgarstki kajdanki. Był przygotowany na reakcję zwarcia energii obu przedmiotów, więc siła eksplozji tylko go odepchnęła kilka kroków do tyłu, zamiast rzucić na ścianę, chociaż zwarcie miało naprawdę dużą energię. Laranth zachwiała się, ale szybko odzyskała równowagę i zaczęła pocierać obolałe przeguby.

– Piecze – powiedziała.

– Przepraszam – usprawiedliwił się Jax. – Jedyne kluczyk miał Xizor, ale chyba nie zgodziłby się go nam dobrowolnie oddać, nawet gdybyśmy trafili na niego w tym labiryncie korytarzy.

Ponownie zapalił klingę świetlnego miecza i odwrócił się do Dena.

– Twoja kolej – powiedział.

– Hej, zaczekaj chwilę – burknął Sullustanin. – Nie działajmy w pośpiechu. Na pewno istnieje inny sposób... Auu!

Siła zwarcia obu energii skupiła się tym razem na lędźwiach reportera. Sullustanin runął na posadzkę, potem powoli wstał i spiorunował Jaksę spojrzeniem.

– Jeżeli jeszcze kiedykolwiek napiszę jakiś artykuł, obsmaruję cię w nim tak, mój przyjacielu, że podasz mnie do sądu za poważne zniesławienie – obiecał.

Jax odwrócił się i przypiął do pasa rękojeść świetlnego miecza.

– Zaraz, zaraz – odezwała się ptakopodobna istota. – A co ze mną?

– Zostaniesz uwolniony, dopiero kiedy poznamy cię trochę lepiej – oznajmił rycerz Jedi.

Obca istota otworzyła podobne do dziobu usta, żeby zaprotestować, ale zrezygnowała i zamknęła je z irytującym kłapnięciem.

– Zdumiewające widowisko – stwierdził Den, rozcierając plecy i pośladki. – Nie bardzo

mnie jednak zachwyciło, że byłem w nim głównym aktorem...

Na krótko zapadła cisza, a Jax zauważył kątem oka, że przez dolną krawędź otworu po rozbitym transpastalowym panelu gramoli się I-Five.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział android, zanim ktokolwiek zareagował na jego widok. – Upadek z takiej wysokości unieruchomił 10-4TO, na którego rzuciły się później... eee... zdziczałe automaty. Pozbawiły go wszystkich kończyn i centralnego procesora.

Jax zdrętwiał i zrobiło mu się zimno.

– To oznacza, że te informacje...

– ...już nie są w posiadaniu 10-4TO – dokończył I-Five. – Ja też się tego obawiam.

Wszyscy zamilkli.

– A dobra wiadomość? – zapytał w końcu Den.

– To była ta dobra wiadomość – wyjaśnił android. – Zła to ta, że jak wynika ze wskazań moich sensorów, natężenie promieniowania ciągle rośnie. Wy, istoty organiczne, musicie opuścić to miejsce. Ja także nie zamierzam tu dłużej pozostawać.

– Coraz lepiej – mruknął Jax. – Nadlatuje Vader. Może już tu wylądował.

Znów zapadła pełna przerażenia cisza. Pierwsza przerwała ją ptakopodobna istota.

– W takim razie może ktoś w końcu zechce mi zdjąć te parszywe kajdanki? – zapytała zaczepnym tonem.

Jax znów odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza. Nie miał innego wyjścia. Musieli zaufać tej obcej istocie, żeby nie opóźniała ich ucieczki. Zresztą promieniujące od niej wici Mocy, chociaż nieprzyjemne i szorstkie, nie zwiastowały zdradzieckich zamiarów.

Rycerz Jedi był coraz bardziej zmęczony. A przecież nawet gdyby uciekli, nikt nie mógł zagwarantować, że Vader zrezygnuje z pościgu. Jax miał podstawy, by sądzić, że Lord Sithów będzie go ścigał nawet na drugi kraniec galaktyki, skoro w pogoni za nim przyleciał na drugą stronę planety. Jax nie miał pojęcia, dlaczego Vader chce go dostać w swoje ręce, ale wydawało się oczywiste, że Czarny Lord nie zrezygnuje, dopóki nie złapie Jaksę albo nie znajdzie dowodu jego śmierci.

Rycerz Jedi uwolnił ptakopodobną istotę, która oznajmiła, że nazywa się Kaird, po czym ponownie włączył klingę świetlnego miecza. Spojrzał na płonące jaskrawym blaskiem ostrze, pokiwał głową i odwrócił się do I-Five.

– Musimy wymyślić sposób, żeby zatrzeć ślady naszej ucieczki – powiedział. – Chyba nawet wiem, jak to zrobić. – Szybko wyjaśnił androidowi swój plan.

I-Five okazał zaskoczenie.

– I dla dokonania tego jesteś gotów się pozbyć swojej broni? – zapytał.

– Nie jestem tym zachwycony, ale nie widzę innego sposobu – odparł Jax. – Jedyne ślady życia, które skanery frachtowca wykryły w promieniu pięciuset kilometrów, pozostawili Kaird i Xizor. Nie mam nic przeciwko zezłomowaniu bandy zdziczałych robotów, a przy

okazji także Vadera. Czy twoje sensory poradzą sobie z wykonaniem tego zadania?

– Bez problemu – zapewnił I-Five. – Wskazują, że źródło radioaktywnego promieniowania jest coraz mocniejsze.

Jax na chwilę się zawahał, ale wręczył świetlny miecz androidowi. I-Five chwycił broń i zaczął powoli krążyć po zasłanym szczątkami pomieszczeniu. Wyglądał, jakby czegoś szukał.

Den i Kaird dołączyli do Jaksa i Laranth. Wszyscy razem z nieukrywanym zdziwieniem obserwowali poczynania androida.

– Co ty robisz, Five? – zapytał w końcu Sullustanin. – Musimy się stąd wynosić.

– Jasne – zgodził się z nim I-Five. – Ale Jax słusznie zauważył, że jeżeli po prostu uciekniemy z tej sterowni, nie zniechęcimy Vadera do pościgu. Musimy zorganizować coś, co odwróci jego uwagę. Jeżeli Vader nie będzie przekonany o śmierci Jaksa, nie przestanie go nigdy ścigać. Ach... Jest!

I-Five znieruchomiał obok szczątków jednego ze zdziczałych automatów. Zablockował klingę świetlnego miecza i wyciągnął broń przed siebie na długość ręki. Chwycił rękojeść dwoma palcami i skierował szpic energetycznego ostrza pionowo w dół, a później po prostu rozwarł palce.

Szpic wbił się w posadzkę. Pozbawione tarcia ostrze miało tak wysoką temperaturę, że mogłoby stopić dwudziestocentymetrową płytę blasteroodpornych drzwi, więc nawet nie bardzo zwolniło, kiedy wchodziło gładko w durbeton. Zahuczało tylko trochę głośniejsze i bardziej basowo. Po kilku sekundach pograżyło się całkowicie i zniknęło w wytopionym otworze.

I-Five wrócił szybko do pozostałych.

– Wynosimy się, i to już – powiedział.

Den Dhur spojrzał na niego.

– Czyżby ktoś ci przysmażył procesor? – zapytał. – O co w tym wszystkim chodziło?

– Przecież już powiedział: o odwrócenie uwagi Vadera – odparł Jax. – Nie miej pretensji do I-Five... to był mój pomysł.

– Bardzo dobry – przyznał android. – Z radością pomogę ci szukać innego miecza świetlnego... jeżeli wydostaniemy się stąd żywi.

– A co z ciałem Rostu? – zainteresował się Den.

Jax odwrócił się i spojrzał na nieruchome ciało Nicka. Poczł lekkie ukłucie wyrzutów sumienia. Nick Rostu zginął jak bohater, próbując ocalić przyjaciół i doprowadzić do końca zadanie, jakie Jaksowi powierzył mistrz Jedi. Zasługiwał przynajmniej na przyzwoity pochówek.

– I-Five, dasz radę go stąd wynieść? – zapytał cicho rycerz Jedi. – Zostawimy jego zwłoki na orbicie... mam nadzieję, że by mu się to podobało.

I-Five pochylił się nad ciałem Nicka, żeby je podnieść... ale zamarł w pół drogi i jakiś czas stał nieruchomo.

– On wciąż żyje – powiedział wreszcie.

– Co takiego? – zapytali równocześnie Jax, Laranth i Den. Tylko Kaird milczał, chociaż i on wyglądał na zaskoczonego.

– Odłamek przeszedł przez dolną część brzucha – wyjaśnił android i laserem w palcu wskazującym ściał okrucuch transpastali, który wystawał z pleców Nicka. – Nie uszkodził nerek ani kręgosłupa. Wykryłem krwotok wewnętrzny, a także początki infekcji systemowej i zapalenia otrzewnej, ale moim zdaniem to wszystko może ustąpić, jeżeli jego leczenie rozpocznie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Jax poczuł obezwładniająca ulgę.

– Na pokładzie frachtowca powinniśmy mieć medyczny pakiet – powiedział. – Szybko!

I-Five ostrożnie podniósł Nicka, odwrócił się i wyszedł na korytarz, a za nim wszyscy pozostali.

– Będziemy musieli przejść obok transportowca Vadera, żeby się dostać na pokład naszego – stwierdził Kaird. – Macie pomysł, jak tego dokonać?

– Wszystko w swoim czasie – odparł Jax. – Na razie martwmy się o to, jak się stąd wydostać.

– Czy ktoś wreszcie mi powie, przed czym uciekamy? – zapytał Den, starając się ze wszystkich sił dotrzymać kroku pozostałym.

– Mniej więcej dziesięć metrów pod naszymi stopami znajduje się ochronna obudowa reaktora – wyjaśnił I-Five. – Wspomniałem już, że reaktor jest niestabilny... prawdopodobnie dlatego właśnie tamte automaty oszalały, poddane długotrwałemu oddziaływaniu radioaktywnego promieniowania. Według mnie mamy najwyżej dwadzieścia pięć minut, zanim klinga świetlnego miecza przebije osłonę z impervium i...

– Rozumiem – mruknął Den i przyspieszył, wyprzedzając pozostałych.

To może się udać, pomyślał Jax. Eksplozja powinna wystarczyć, żeby pozbyć się na zawsze problemu Vadera. A nawet gdyby Lord Sithów jakimś cudem przeżył, prawdopodobnie będzie przekonany, że Jax zginął. Tak czy owak, istniała duża szansa, że rycerz Jedi uniknie złowieszczonego cienia Dartha Vadera... jeżeli nie na dobre, to przynajmniej na długo.

Spieszyli pogrążonymi w ciemności korytarzami. I-Five, który niósł Nicka Rostu, szedł pierwszy i oświetlał drogę. Zupełnie jakby android nie był ich własnością, lecz przyjacielem. Dziwaczna myśl... ale rycerz Jedi powoli zaczynał się do niej przyzwyczajać.

Dobrze było mieć przyjaciela.

ROZDZIAŁ 45

Lord Vader, stojąc na mostku wahadłowca, nie odrywał spojrzenia od ekranu monitora, na którym widniał obraz mrocznego wejścia do budynku. Rhinann także obserwował ekran. Próbował zgadnąć, jakie myśli mogą się kłębić w osłoniętej hełmem głowie, ale jak zwykle nadaremnie.

Oprócz transportowca Vadera na placu przed zrujnowanymi budynkami były jeszcze dwa inne gwiazdne statki. Jednym był koreliański frachtowiec, którym niewątpliwie przyleciał Rostu. Drugim statkiem była jednostka szturmowa o smukłych, opływowych kształtach. Rhinann uznał, że to piękny statek. Zastanawiał się, kto może być jego właścicielem.

Vader odwrócił się do komandora Tanny.

– Kiedy stamtąd wyjdą, bierz Pavana żywcem – rozkazał. – Zabij wszystkich pozostałych. Nie ryzykuj; Moc jest w nim silna.

– Tak jest, mój lordzie. – Komandor Tanna zasalutował. – A co z androidem? – zapytał. – Czy to nie jego schwywanie było celem naszej wyprawy?

Vader machnął lekceważąco ręką.

– Nie zawracaj sobie głowy androidem – powiedział. – Ważniejszy jest Pavan.

– Rozumiem – odparł Tanna, zerknął na monitor i zrobił zdziwioną minę. – Mój lordzie... na pewno zechcesz to zobaczyć.

Czarny Lord podszedł bliżej, żeby spojrzeć na ekran dziobowego monitora. Dzięki temu Rhinann mógł chociaż przez chwilę podejrzeć, na co patrzą komandor i Vader. Z ciemnego otworu drzwiowego budynku wyszła jedna osoba i szybko, stawiając długie kroki, podążyła w kierunku stojącego nieopodal szturmowego statku. Rhinann natychmiast poznał, kto to taki i, wstrząśnięty, prawie zapomniał o strachu. Naprawdę ostatnią istotą, której mógł się tutaj spodziewać, był książę Xizor z rodu Sizhran.

Zainstalowana na zewnątrz kamera śledziła księcia, dopóki nie zniknął na pokładzie szturmowego statku.

– Czy powinienem go aresztować, mój lordzie? – zapytał Tanna.

– Nie, komandorze – odparł Vader. – Książę Xizor jest potomkiem królewskiego rodu Falleenów, więc przysługuje mu dyplomatyczny immunitet – dodał tonem lekkiego rozbawienia. – Lepiej zrozumiemy, co tu robi, kiedy przesłuchamy Pavana.

Rhinann obserwował, jak Falleen wchodzi na pokład szturmowego statku. Księżę nawet nie spojrzął na duży wahadłowiec klasy Lambda, chociaż nie mógł nie zauważyć herbu Imperium na kadłubie. Po kilku chwilach do życia obudziły się repulsory. Smukły statek wzniósł się w powietrze, szybko nabral wysokości i zniknął wszystkim z oczu.

Młody porucznik o wyjątkowo bladej twarzy uniósł głowę znad swojego pulpitu.

– Lordzie Vader, komandorze Tanna, ze wskazań sensorów wynika, że bezpośrednio pod linią produkcyjną fabryki androidów szybko narasta temperatura i natężenie radioaktywnego promieniowania – zameldował. – Istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie...

– Przegrzewa się rdzeń reaktora – dokończył spokojnie Vader. Podeszedł do konsoli, dokonał wzorcowania kilku przyrządów i przyjrzał się wyświetlanym odczytom. – Do eksplozji pozostało czternaście minut, więc tylko tyle czasu mamy na schwytanie Pavana. Szkoda, że nie będziemy mieli drugiej szansy. – Odwrócił się do Tanny. – Proszę wystartować, komandorze – rozkazał. – Kiedy znajdziemy się poza spodziewanym zasięgiem eksplozji, niech pan zniszczy tamten frachtowiec.

– Mój lordzie, z budynku właśnie wyszedł rycerz Jedi Pavan – zameldował Tanna. – Towarzyszą mu robot i inne osoby.

– Doskonale. – Vader znów przeniósł spojrzenie na ekran monitora. – Musimy uderzyć szybko, bo inaczej stracimy przewagę zaskoczenia. Kilka ostrzegawczych strzałów powinno odwrócić ich uwagę, dopóki nie wejdą do akcji nasi żołnierze. – Zbliżył hełm do ekranu monitora. – Proszę wysłać ośmiu żołnierzy, komandorze... to powinno wystarczyć.

Tanna wyglądał na zaniepokojonego.

– Mój lordzie – odważył się zwrócić uwagę. – Zapomniał pan o reaktorze?

Vader skierował na niego pozbawione wyrazu osłony oczu. Rhinann wzdrygnął się, bo wiedział, jak czuje się osoba patrząca z bliska w czarne wypukłości.

– Nie zapominam o niczym, komandorze, nie wyłączając niesubordynacji – wycedził Vader. – Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Komandor Tanna przełknął głośno ślinę i tylko kiwnął głową.

Kaird patrzył teraz w przyszłość z większym optymizmem. Był w coraz lepszym nastroju. Niby czemu nie? W ciągu kilku ostatnich godzin jego szanse na przeżycie bardzo wzrosły. Był znów wolny i towarzyszył grupie malkontentów, którzy chyba nie byli do niego nastawieni zbyt przyjaźnie, ale też nie zamierzali pozbawiać go życia. Kaird postanowił się tym zadowolić. Nie wszyscy musieli być od razu braćmi z jednego gniazda. Niechby go tylko podzucili do jakiegoś cywilizowanego miejsca, gdzie już sam zatroszczy się o siebie.

Nie zamierzał jednak wracać do Północnej Hali. Skończył z Czarnym Słońcem. Doszedł do wniosku, że nigdy nie będzie miał lepszej okazji zniknięcia z celownika niż w tej chwili... naturalnie zakładając, że im wszystkim uda się uniknąć skutków termonuklearnej eksplozji. Nawet gdyby Xizor jakimś cudem ją przeżył, to raczej nie będzie szukać Kairda, bojąc się,

żeby Nedijanin nie zdradził jego zamiaru zastąpienia lorda Perhiego androidem replikantem.

Wszystko to jednak należało do przyszłości, która wydawała się niepewna i ryzykowna. Jeżeli nie chciał, aby ogień przysmażył mu pióra w ogonie, musiał zatroszczyć się o siebie w obecnej sytuacji.

Skręcili za róg i ku wielkiej uldze Kairda zobaczyli mroczne wyjście z budynku.

– Ile jeszcze zostało czasu? – zapytał Kaird androida.

– Dwanaście minut, czternaście sekund – wyjaśnił rzeczowo I-Five.

– Nie jesteś tym zachwycony – stwierdził Den Dhur, który musiał biec, żeby nie pozostać daleko w tyle.

– Przygotowanie statku do startu zajmie nam co najmniej pięć minut, a gdybyśmy nawet lecieli z największą możliwą prędkością atmosferyczną, stracimy następne cztery albo pięć minut, aby oddalić się na najmniejszą bezpieczną odległość od epicentrum eksplozji – oznajmił I-Five. – Pozostawiamy sobie bardzo mały margines bezpieczeństwa.

Może za mały, pomyślał ponuro Kaird. Dobrze chociaż, że w końcu widać wyjście. Wyszli z fabryki... i Nedijanin spojrział prosto w wylot lufy blasterowego działka zainstalowanego na wahadłowcu klasy Lambda, zaparkowanym niespełna dwadzieścia metrów od budynku.

Jax zobaczył, że tuż nad nimi zawisł duży wahadłowiec, a w ich stronę kieruje się lufa jednego z dolnych działek blasterowych. Niewątpliwie Vader był pewien, że zwyciężył. Czarny Lord chyba nie wiedział, że już za kilka minut wszystko w pobliżu dosłownie wyparuje.

– Laranth, I-Five! – zawołał. – Musicie zrobić coś, żebym zyskał trochę więcej czasu!

Android przekazał Kairdowi ciało Nicka i zaczął strzelać ze swoich laserów, a paladynka wspomogła go ogniem z blasterów. Oboje mierzyli w matrycę celowniczą. Jax wiedział, że jej zniszczenie pozwoli mu zyskać najwyżej kilka sekund, bo komputery zaraz wybiorą inne wektory. Miał nadzieję, że tyle czasu mu wystarczy.

Dał susa, a Moc pomogła mu przelecieć całą odległość do wahadłowca. Wylądował pod dziobową częścią kadłuba. Gdy tylko dotknął stopami powierzchni gruntu, wysunął na całą długość giętki drut świetlnego bicia. Trzasnął nim nad głową i przeciął dziobowe łopatkę repulsorów.

Lufa jednego z działek laserowych zaczęła się kierować w jego stronę, ale stopiła ją niosąca dużą energię smuga zjonizowanych cząstek z blastera Laranth.

Rycerz Jedi spojrział na pozostałych.

– Biegnijcie do frachtowca! – krzyknął, ale wcale nie musiał ich poganiać, bo wszyscy już pędzili. Na końcu grupy biegli Laranth i android, cały czas osłaniając odwrót ogniem. Jax odwrócił się, żeby pobiec za nimi, ale okazało się, że stoi oko w oko z wysoką, mroczną postacią w czarnym płaszczu.

Vader... – pomyślał z rezygnacją.

– Unieruchomili dziobowe łopatki! – krzyknął komandor Tanna. – Nie możemy wystartować!

Czas się stąd zabierać, doszedł do wniosku Rhinann. Wahadłowiec był skazany na zagładę, więc jedyną możliwą szansę ucieczki dawał drugi statek. Elomin nie miał pojęcia, jaki los go czeka, jeżeli ucieknie i dostanie się na pokład. Nie wiedział, czy zdążą się tam dostać Pavan i jego kumple, ani tego, czy pozwolą mu wejść na pokład. Jednak po raz drugi zrobił coś bardzo niezwykłego: pozwolił sobie na działanie pod wpływem impulsu. Korzystając z tego, że uwagę Vadera i komandora zaprzęta niespodziewana zmiana sytuacji, zbiegł z mostka i pomknął korytarzami do rampy.

Jej opuszczenie potrwałoby za długo, ale na szczęście przy każdej burcie znajdowały się cztery umożliwiające ucieczkę awaryjne rękawy. Rhinann pociągnął za czerwoną rękojesć dźwigni i wszedł do śluzy najbliższego rękawa.

Różnica wysokości wynosiła dziesięć metrów, ale dzięki repulsorowej poduszce wylądował tak miękko, że prawie tego nie poczuł. Wygramolił się z rękawa. Wiedział, że ma tylko jedną szansę przeżycia: musi przekonać Jaksę Pavana, że nie jest jego wrogiem. Zgarnął fałdy płaszcza, żeby pobiec w kierunku drugiego statku... i ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że stoi przed nim mężczyzna, którego miał przekonać.

Po początkowym wstrząsie Jax poznał, że to nie Vader. Nie miał jednak pojęcia, kim jest stojąca przed nim obca istota. Wiedział, że to Elomin, ale nic więcej.

– Posłuchaj mnie – odezwał się z naciskiem nieznajomy. – Musisz mnie zabrać ze sobą. Mam coś...

– Powiesz mi później – przerwał Jax, chwycił obcą istotę za rękę i pobiegł w kierunku frachtowca, ciągnąc zaskoczonego Elomina.

Dotarli do statku i pobiegli w górę rampy, która wystawała z pozbawionej ciśnienia głównej śluzy. Jax przycisnął guzik i obserwował, jak pochylnia unosi się rozpaczliwie powoli. Kiedy się wreszcie zamknęła, rycerz Jedi uderzył otwartą dłońią w przycisk komunikatora i wrzasnął:

– Startujcie!

Usłyszał stłumiony pomruk repulsorów i poczuł wzrost ciężenia, tak nagły, że o mało nie osunął się na kolana. Chwilę później włączyły się pokładowe generatory sztucznej grawitacji i ciężenie wróciło do normy. Nie oglądając się za siebie, czy podąża za nim Elomin, Jax pobiegł korytarzami do sterowni.

W pomieszczeniu panował tłok. Na fotelu pilota siedział I-Five, a obok niego paladynka Jedi. Za nimi stał Den, który w napięciu spoglądał przez iluminator. Rycerz Jedi nigdzie nie zauważył ptakopodobnej istoty ani Nicka Rostu. Za iluminatorem widniało czarne niebo, na

którym świecił jeden z mniejszych księżyców. Jax podszedł bliżej i ujrzał nad ramieniem androida.

– Ile zostało czasu? – zapytał.

– Mniej więcej jedna minuta i czterdzieści osiem sekund, żeby osiągnąć najmniejszą bezpieczną odległość – odparł I-Five. – W przybliżeniu dwie minuty do eksplozji.

Jax ścisnął mocno oparcie fotela androida. Uświadomił sobie, że wciąż jeszcze mają szansę ocalenia życia...

Statek wznosił się w niebo pod ostrym kątem. Jax spojrzął na ekran rufowego monitora, który ukazywał w powiększeniu fragment Dzielnicy Fabrycznej. Na powierzchni gruntu wciąż jeszcze stał wahadłowiec klasy Lambda; jego kapitan i członkowie załogi rozpaczliwie próbowali naprawić uszkodzone łopatki dziobowych repulsorów. Jax wiedział jednak, że jest już za późno. Rzucił okiem na wyświetlacz chronometru obok monitora.

Pięć sekund... cztery... trzy... dwie... jedna...

Ekran monitora rozbłysnął oślepiającą bielą. Dopiero po chwili, kiedy włączyły się polaryzacyjne filtry, natężenie blasku zmalało. Z powierzchni planety wyrastała chmura w kształcie wielkiego grzyba. Rozprzestrzeniała się coraz bardziej, mieniając się zielono, purpurowo i pomarańczowo.

Chwilę później do frachtowca dotarło czoło fali udarowej. „Długodystansowiec” się zakołysał, a ognista kula w dole wyglądała, jakby się chwiała. Generatory sztucznej grawitacji ustabilizowały ciężenie na pokładzie statku, który znalazł się zbyt wysoko, aby zboczyć z kursu.

I-Five sprawdził wskazania wyświetlaczy.

– Siła eksplozji wyniosła w przybliżeniu dwanaście kiloton – poinformował. – Nie ma oznak uszkodzenia kadłuba, poziomy promieniowania nie przekraczają dopuszczalnego minimum, a osłony wytrzymały.

– Udało się – odetchnęła Laranth. – Mieliśmy nawet dziesięć sekund więcej niż potrzeba.

– Zawsze musisz zostawiać tak mały margines bezpieczeństwa, I-Five? – zagadnął Den.

– A co, nie podoba ci się dramatyzm sytuacji? – odciął się android.

Do sterowni wszedł Kaird i od razu poszukał spojrzeniem rycerza Jedi.

– Wasz przyjaciel w przedziale dla załogi nadal oddycha, ale pozostaje nieprzytomny – powiedział.

I-Five wstał.

– Zrobię, co będę mógł, żeby go ustabilizować – obiecał. – Jeżeli ktoś z was zna kogoś, kto ma dostęp do zbiornika bacta, właśnie teraz jest odpowiednia pora, żeby poprosić go o przysługę, kiedy w końcu dotrzemy tam, dokąd się wybieramy.

Jax usiadł na zwolnionym przez I-Five fotelu pilota i spojrzął na Dena.

– Mam nadzieję, że ten android zna się wystarczająco na medycznych procedurach, żeby pomóc Nickowi – zauważył.

– Możesz być o to spokojny – zapewnił go Sullustanin. – I-Five spędził sześć miesięcy w mobilnej jednostce chirurgicznej. A chyba zauważyłeś, że szybko się uczy.

– Powiedział także coś, co wymaga zastanowienia – dodał Jax. – Dokąd właściwie lecimy? W górę? W dół? A może na inną planetę?

Zapadła krótka cisza. Wszyscy gorączkowo szukali odpowiedzi na jego pytanie. Rycerz Jedi miał rację; nie mieli po co wracać do sektora Yaam. Jax nie wykonał zadania Mistrza Piella. Nie odzyskał informacji z pamięci 10-4TO.

W końcu Laranth spojrzała na wyświetlacz sensorów.

– W wyniku eksplozji utworzył się krater o średnicy osiemdziesięciu metrów – oznajmiła.
– Moim zdaniem możemy założyć, że Vader nie żyje.

Jax pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Moim zdaniem ocalał.

ROZDZIAŁ 46

Wreszcie doszli do wniosku, że najlepiej będzie lecieć do bezpiecznej przystani, o której opowiedziała im ptakopodobna istota. Było to miejsce wykorzystywane od czasu do czasu przez Czarne Słońce do ukrywania osób znajdujących się w niebezpieczeństwie. Podróż miała trwać kilka godzin, bo postanowiono nie wznosić się na orbitę, tylko lecieć nisko i powoli. Den nie miał nic przeciwko temu. Był wdzięczny za okazję do odpoczynku. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny miał mnóstwo przeżyć... niemal tyle, ile podczas całych Wojen Klonów.

Mieli na pokładzie dwóch nowych pasażerów, Nedijanina Kairda i Elomina Haninuma Tyka Rhinanna. Ten drugi rzadko się odzywał i tylko siedział skulony z daleka od pozostałych. Jax ani Laranth nie wyczuwali w nim złych zamiarów, więc nie mieli powodu, by wątpić w jego opowieść, jakoby w ostatniej chwili przed eksplozją reaktora zbiegł z pokładu wahadłowca Vadera.

A, właśnie... Vader. Z początku nikt nie uwierzył słowom Jaksa, że Lord Sithów przeżył. Eksplozja rdzenia reaktora zamieniła przecież spory fragment Dzielnicy Fabrycznej w radioaktywne rumowisko. Jax odtworzył jednak w zwolnionym tempie zarejestrowane przez rufową kamerę ich frachtowca nagranie kilku ostatnich chwil poprzedzających eksplozję. Tuż po starcie „Długodystansowca” od rufy lambdy oderwała się kapsuła ratunkowa, która śmignęła w kierunku przeciwnym niż frachtowiec.

– Vader żyje – powtórzył Jax. – Jestem tego pewien.

Den nie był zachwycony tą wiadomością, ale bardziej niż losem Vadera interesował się tym, kiedy znajdzie się w przestworzach. Z jego punktu widzenia jedynym rozsądnym rozwiązaniem było utrzymanie jak największej odległości między frachtowcem a planetami Jądra galaktyki.

Ptakopodobny Kaird chyba też to rozumiał. Twierdził – a Den zgadzał się z jego zdaniem – że nie powinni się fatygować lotem do bezpiecznej przystani, tylko jak najszybciej oddalić się od Coruscant. Den chciał wprawdzie poczekać, aby się upewnić, że Rostu przeżyje, ale w końcu przychylił się do zdania pozostałych. I tylko I-Five zauważył, że dalszy lot bez zezwolenia zakłóci ruch na napowietrznych szlakach i ściągnie im na głowę funkcjonariuszy policji, którzy nie będą w najlepszych humorach.

Elomin także chciał jak najszybciej odlecieć z Coruscant. Miał nadzieję, że Jax mu w tym pomoże. A żeby zyskać jego przychylną, wręczył mu coś, co jego zdaniem mogło się przydać, gdyby Vader naprawdę przeżył eksplozję reaktora. Dał to Jaksowi zaledwie przed chwilą...

Rycerz Jedi spojrział na holocron, który dostał od Rhinanna. Od razu rozpoznał znaki na jego ściankach.

– To holocron Sithów – powiedział. – Bardzo stary i bardzo cenny.

– Jeżeli Vader nadal żyje, ten przedmiot może ci się bardzo przydać – stwierdził Rhinann.

I-Five sięgnął po holocron i przyjrzał mu się uważnie. Jego fotoreceptory rozjarzyły się z zaskoczenia.

– Jeżeli nawet nie przyda ci się na nic, możesz go uważać za cenną pamiątkę – oznajmił w końcu.

Rycerz Jedi spojrział na niego ze zdumieniem.

– Pamiątkę? – powtórzył.

– To ten sam holocron, który twój ojciec starał się kupić od Toydarianina Zippy – stwierdził I-Five. – Poznaję go.

– Daj spokój – powiedział sceptycznym tonem Den. – Od tamtej pory upłynęło dwadzieścia lat, o ile się nie mylę...

I-Five spojrział na niego i Sullustanin rozłożył ręce, przyznając się do porażki.

– Prawda, jesteś androidem – mruknął cicho.

– Ten holocron zawiera prawdopodobnie wiele zaginionych tajemnic Sithów – ciągnął I-Five. – Co prawda nie mamy jak się tego dowiedzieć, bo zawartość holocronu może poznać tylko osoba, która potrafi władać Mocą.

Jax przyjrzał się dokładniej sześcianowi. Obrócił go w palcach, ale nawet nie spróbował otworzyć. Spojrział na Rhinanna.

– Właściwie dlaczego mi go dałeś? – zapytał.

Elomin odpowiedział po krótkim wahaniu:

– Vader głosi publicznie, że Jedi przestali stanowić zagrożenie, ale zależy mi na schwytaniu ciebie – odparł w końcu. – Powiedział, że ma z tobą do załatwienia pewne „sprawy”. Nie wiem nic więcej, ale los zawsze sprzyja temu, kto jest przygotowany. Jak powiedziałeś, holocron może otworzyć tylko osoba utrzymująca więź z Mocą. To oznacza, że ja nie dam rady tego zrobić – dokończył niespodziewanie markotnie. Den spojrział na Pavana.

– Nie bądź taki przygnębiony – powiedział. – Przeżyłeś, a Vader prawdopodobnie uważa, że zginąłeś. Moim zdaniem to bardzo pomyślne zakończenie.

– Mogłoby być, gdybym wykonał ostatnie zadanie, jakie zlecił mi Mistrz Pielu – mruknął Jax. – Nie odzyskałem informacji z pamięci Ten-Four-Tee-Oha.

– Nie było tam żadnych informacji – odezwał się Rhinann.

Jax odwrócił się powoli i spojrzał na niego.

– Co takiego? – zapytał, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Nie znam szczegółów planu Vadera – wyjaśnił Elomin. – Mówił mi tylko to, co uznawał za konieczne. Wiem jednak, że informacje, rzekomo tak ważne, w rzeczywistości są całkowicie bezużyteczne. Android miał być tylko przynętą.

– Mistrz Piel powiedział...

– Lannik przekazał ci tylko to, co sam uważał za prawdę – przerwał Rhinann. – Całą intrygę wymyślił Vader w jednym jedynym celu.

– Żeby mnie wykurzyć? – dokończył Jax. – Chyba nie mówisz poważnie.

– Vader wiedział, że wcześniej czy później jeden z członków ruchu oporu Whiplash poinformuje cię o śmierci Mistrza Piella – wyjaśnił były adiutant Vadera. – To, że jej świadkiem był twój przyjaciel Rostu, który przekazał ci tę informację, było po prostu pomyslnym zbiegiem okoliczności.

Z początku Jax uznał to za absurd, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wszystko się układało w logiczną całość. Interwencja księcia Xizora i ptakopodobnego Kairda była bez wątpienia także dziełem przypadku. Wszystko wskazywało na to, że kiedy Vader się o tym dowiedział, przeżył chwilę niepokoju. Postanowił sprowadzić kogoś, kto już i tak brał w tym udział: Nicka Rostu. Zanim oficer stracił przytomność, zdążył szeptem, że Vader go szantażował perspektywą zniszczenia siedziby jego ziomeków na planecie Haruun Kal.

– No cóż, na twoim miejscu nie chciałbym mieć absolutnie nic wspólnego z Sithami – stwierdził Den. – Możesz sprzedać komuś ten holocron, kiedy już stąd odlecimy.

Jax zamknął sześcian w dłoni i wsunął go do kieszeni. Niewykluczone, że kiedyś będzie potrzebował zapisanych w nim danych. Miał zresztą nadzieję, że nigdy nie będzie musiał tego sprawdzać, bo istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby jeszcze kiedykolwiek napotkał Dartha Vadera na swojej drodze.

Zaledwie dwa dni temu był gotów do odlotu: zamierzał znaleźć miejsce w wagonie podziemnej kolei na poduszce magnetycznej i opuścić Coruscant. Nikt nie mógłby mu mieć tego za złe, bo sobie na to zasłużył. Wielokrotnie ryzykował życie, dosłownie w ostatniej chwili ratując różne istoty. Przemyczał je na pokłady frachtowców, transportowców i innych statków tak krótko przed odlotem, że ledwo miały czas się pożegnać, zanim opuściły roziskrzony środek galaktyki. Czasami nawet odlatywały bez pożegnania i tylko w tym, co miały na sobie.

Tym razem jednak czuł się inaczej.

Uniósł głowę i spojrzał na Dena.

– Przykro mi – powiedział. – Nie lecę z wami.

– Ha, ha – odezwał się nerwowo Sullustanin. – Żartujesz, prawda? – Szturchnął Rhinanna łokciem pod żebro... to znaczy taki miał zamiar, ale trafił w kolano.

I-Five spojrzał na Pavana.

– Dlaczego? – zapytał.

Jax nie od razu odpowiedział.

– Bo jestem rycerzem Jedi – odparł w końcu. – Przysięgałem, że będę pomagał każdemu w potrzebie i postępował zgodnie z kodeksem Jedi. Imperium wprawdzie zdziesiątkowało mój zakon, ale jeszcze nie zwyciężyło i nie zwycięży, dopóki przy życiu pozostaje przynajmniej jeden Jedi. Wygnali mnie ze Świątyni, ale nie zmuszą mnie do opuszczenia tej planety. Jeżeli Vader przypuszcza, że zginąłem, to dobrze. Na pewno nie będę się starał zwracać na siebie jego uwagi. Jeżeli jednak sądzi, że żyję, zapewne nadal zamierza tracić czas i energię, żeby mnie odnaleźć. A to by znaczyło, że z jakiegoś powodu stanowię dla niego zagrożenie. Nie dowiem się, jakie, dlaczego ani jak wykorzystać je przeciwko niemu, jeżeli będę się ukrywał w głębinach przestworzy.

– Jeśli naprawdę zamierzasz to zrobić, zostaję z tobą – oznajmił I-Five. Spojrzał na Dena i położył mu dłoń na ramieniu. – Bardzo chcę zostać, ale zrobię to tylko wtedy, jeżeli Den zgodzi się mi towarzyszyć. Obaj przeżyliśmy zbyt dużo, żebyśmy miał go teraz opuścić.

– Nie! – jęknął Sullustanin, chwytając się za głowę obiema dłońmi. – Nie, nie, nie! To się nie może dziać naprawdę! – Powiódł spojrzeniem po twarzach pozostałych. – Pytałem o to tyle razy, że to nawet nie jest pytanie retoryczne, ale mimo to zapytam jeszcze raz: czyście wszyscy postradali zmysły? Mamy statek, kochani... może nie wygląda najlepiej, ale ma jednostkę napędu nadświetlnego i wszystko inne, co potrzeba... – Jeszcze raz przyjrzał się po kolei swoim towarzyszom, ale w końcu westchnął i rozłożył szeroko ręce na boki, jakby przyznawał się do porażki. – Poddaję się – powiedział. – Niech ci będzie, Five... Jeżeli jesteś na tyle szalony, by tu zostać, chyba będę musiał być na tyle szalony, żeby zostać z tobą. – Pokręcił głową. – Ale od tej pory będziemy się żywić tylko opiekany mięsem szczurów i gotowanymi cuchnącymi chwastami, bo nie mam już nic więcej do sprzedania.

– Jeżeli o to chodzi, mogę wam pomóc – odezwał się Kaird. – Mam trochę gotówki... wprawdzie nie zdobyłem jej w zupełnie uczciwy sposób, ale i tak... potrzebuję dla siebie tylko tyle, żeby opłacić podróż z powrotem na Nedija.

– Zrobiłbyś to? – zapytał I-Five. – Któregoś dnia możesz jej potrzebować...

– Na mojej planecie waluta Imperium nie ma absolutnie żadnej wartości – stwierdził Nedijanin. – Jeżeli chcecie, jest wasza. Muszę mieć tylko dzień czy dwa, żeby sprzeniewierzyć fundusze, ale... – Ptakopodobna istota wzruszyła ramionami. – Czekałem tak długo, że to nie robi mi różnicy.

Den się skrzywił.

– Nie wygaduj takich bzdur – powiedział. – Dopraszasz się guza czy co?

Jax siedział na fotelu pilota, obserwując, jak pograżony w ciemności krajobraz szybko przesuwa się w dół. I-Five stanął obok niego. Właśnie przelatywali nad gigantycznym pudełkowatym wysokościewcem z tysiącami mrugających światełek. Każde było oświetlonym oknem, wyraźnie widocznym na tle czarnej ściany.

– Tyle istot – mruknął do siebie Jax. – Czy pozostając tu, naprawdę robię słusznie? A może tylko się łudzę, przypuszczając, że komuś się na coś przydam?

– Twi’lekański filozof Gar Gradius powiedział: „Nawet najskromniejsza osoba kryje w sobie wszechświat nieskończonej różnorodności i cudowności. A zatem, kiedy komuś pomagasz czy poprawiasz mu samopoczucie, choćby tylko jednej osobie, stajesz się w owej chwili bóstwem całego kosmosu” – odparł I-Five.

Jax zerknął na androida. I-Five wyglądał przez kryształową osłonę sterowni. Jego rozjarzone fotoreceptory wyglądały niemal jak dwa miniaturowe słońca.

Rycerz Jedi pomyślał o świadomości spełnienia i o dumie, jaką czuł, kiedy został pasowany na rycerza Jedi; kiedy potem skonstruował i dostroił swój pierwszy świetlny miecz; kiedy w ostatnich dniach Wojen Klonów wyruszył na pierwszą samodzielną wyprawę. To była także jego ostatnia wyprawa, bo kilka tygodni później Świątynia została zaatakowana, a wszyscy pozostali przy życiu Jedi, nie wyłączając Jaksa, musieli uciekać w obawie przed utratą życia.

Rozsiadł się wygodniej na fotelu i poczuł, że jakiś przedmiot w kieszeni płaszcza wbija mu się w bok. Wyciągnął relikwiarz, otworzył go i spojrzał na leżący w środku klejnot. Wystawiony na działanie światła artefakt znów zaczął się jarzyć kolorami, od nieprzeniknionej czerni do najczystszej bieli.

Kaird zwrócił uwagę na bijący od relikwiarza blask i nachylił się nad ramieniem Pavana.

– Pyronium – powiedział. – Nigdy jeszcze nie widziałem próbki tej wielkości i czystości. Skąd to masz?

– To dar – wyjaśnił rycerz Jedi. – Dostałem go wiele lat temu od innego kolegi padawana. Nazywał się Anakin Skywalker.

Popatrzył jeszcze jakiś czas na jarzący się klejnot, po czym zamknął wieczko i wsunął relikwiarz znów do kieszeni. Anakin, jak niemal wszyscy pozostali Jedi, prawdopodobnie już nie żył. Zakon rycerzy Jedi, niegdyś ostoja nadziei i sprawiedliwości, został niemal zupełnie unicestwiony. Pozostało najwyżej kilka gasnących iskerek. Mimo to nawet z jednej z takich iskerek mógł wciąż jeszcze zapłonąć żywy ogień.

Nie ma emocji – jest spokój.

Nie ma ignorancji – jest wiedza.

Nie ma pasji – jest pogoda ducha.

Nie ma śmierci – jest Moc.

Jax starał się ze wszystkich sił postępować zgodnie z tymi dogmatami; uczynił z nich drogowskazy życia. Krótko mówiąc, usiłował być najlepszym Jedi. W dążeniu do tego celu wyrzekł się pragnienia poznania swojej przeszłości i rodziców. Przecież to oni pierwsi się go wyrzekli, kiedy powierzyli go opiece innych Jedi. To dlatego Jax uznał, że nie musi

dowiadawać się, kim albo czym byli.

Wyrzeczenie się wspomnień oznaczało jednak wyrzeczenie się części siebie. Jax doskonale to rozumiał. Jedi ukształtowali wprawdzie jego charakter i zrobili z niego człowieka, którym obecnie był, ale surowiec dostarczyli Lorn i Siena Pavanowie.

Bezkresne zajmujące powierzchnię całej planety miasto w dole budziło się do życia. Na napowietrznych szlakach gęstniał ruch, a wieżowce, wysokościewce i drapacze chmur jarzyły się coraz większą liczbą świateł. To miliony inteligentnych istot, z których każda stanowiła odrębny kosmos, zaczynały pełnić codzienne obowiązki. Ogromna większość tych istot była uczciwa i szanowana. Głębiej jednak, w mrocznych szczelinach i rozpadlinach, do codziennych zajęć budzili się także ci, którzy nie byli ani uczciwi, ani szanowani.

Ktoś musiał pomagać tym, którzy cierpieli. Ktoś musiał znaleźć tych, którzy się zagubili. Ktoś musiał stanąć do walki w obronie tych, którzy nie mogli się sami bronić.

Czy zadanie rycerza Jedi mogło być jaśniej sformułowane?

Jax uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Na horyzoncie pojawił się złocisty blask... „Długodystansowiec” zbliżał się do rejonu, w którym wstawał świt.

– Twój ojciec nie uważał się za wybitnego człowieka – odezwał się I-Five. – A jednak, kiedy sytuacja tego wymagała, wkraczał bez wahania. Chciałbym ci powiedzieć, że jego starania zakończyły się powodzeniem, ale ponury, bezwzględny los zakpił sobie z jego wysiłków. Mimo to twój ojciec się nie poddawał. W końcu naprawdę tylko to ma jakieś znaczenie.

Jax nie odrywał wzroku od nadciągającego świtu.

– Opowiedz mi o ojcu – poprosił.

PODZIĘKOWANIA

Składam podziękowania przede wszystkim moim redaktorkom, Shelly Shapiro z Del Rey i Sue Rostoni z LucasBooks, które mnie poprosiły, żebym znów się przespacerował po mrocznych poziomach Coruscant. Dziękuję Lelandowi Chee i innym galaktycznym świrom, którzy nieustrudzenie zasypywali mnie pytaniami na temat ciągłości akcji. Jestem wdzięczny Mattowi Stoverowi za wymyślenie postaci Nicka Rostu. Na moje podziękowania zasługują także Mallory Reaves i Stephen Hirayoka za korektę tekstu, a także, jak zawsze, George Lucas za całą tę historię.